Aby rozpocząć lekturę,

kliknij na taki przycisk ,

który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.

port wydawniczy
@literatura net.pl
KLIKNIJ TUTAJ

STEFAN ŻEROMSKI

DZIENNIKÓW TOM ODNALEZIONY

Z AUTOGRAFU DO DRUKU PRZYGOTOWAŁ
WSTĘPEM I PRZYPISAMI OPATRZYŁ
JERZY KĄDZIELA

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

WSTĘP

I

Jest to wiadomość doprawdy rewelacyjna.

Już po zakończeniu prac edytorskich nad siedmiotomowym wydaniem *Dzienników* w *Dziełach* Stefana Żeromskiego odnalazł się w doskonałym stanie autograf tomiku XXI *Dzienników,* objętości około ośmiu arkuszy druku, o którego istnieniu nikt nie wiedział ani nawet pośrednio nie słyszał. Odnalazł się nie w Austrii, dokąd hitlerowcy wywieźli inne tomiki *Dzienników* po upadku powstania warszawskiego w 1944 r., i nie w Moskwie, dokąd po zakończeniu wojny w 1945 r. przewieziono rewindykowane z Austrii zbiory, po czym ocalałe tomiki zwrócono Polsce. Losy wojenne tomiku XXI kształtowały się niezależnie od tamtego zespołu rękopisów.

O proweniencji niniejszego tomiku *Dzienników* udało się zebrać bardzo niekompletne informacje. Wiadomo na pewno, że tuż przed wojną tomik ten znajdował się w Gródku Jagiellońskim pod Lwowem. Miał go w swoim posiadaniu niejaki sędzia Gross, od którego pożyczył go inż. Jerzy Stamirowski. Po obu tych ludziach ślad zaginął.

Rodzina Jerzego Stamirowskiego, zamieszkała przed wojną i w czasie wojny w Warszawie, podzieliła losy swego miasta. Wysiedlona w 1944 r., wróciła tu dopiero po dwudziestu z górą latach. Przy porządkowaniu rozproszonych pamiątek rodzinnych znalazł się i ten rękopis. Uznany zrazu za rodzaj prywatnego depozytu, został w 1969 r. przekazany przez dr Zofię Stamirowską Bibliotece Narodowej, w przekonaniu, że wobec zbliżającej się do końca publikacji *Dzienników* Żeromskiego należy go już teraz uznać za własność ogólnonarodową, aby mógł wejść w obręb tego wydawnictwa. W ten sposób ocalony został z pożogi wojennej jeszcze jeden autograf o znaczeniu podstawowym, który mógł przepaść tym łatwiej, że nigdzie nie był zarejestrowany i nikt by go nie poszukiwał.

Zwykło się w takich razach powtarzać metaforyczną formułę, że „Żeromski wciąż pisze" albo że „Żeromski nadal tworzy". Takimi formułami powitali krytycy publikowane po raz pierwszy po wojnie utwory dramatyczne pisarza, z których *Grzech* odbył tryumfalny pochód po scenach teatrów całego kraju (był również wystawiany w Moskwie i w Paryżu), a niespodziewanie odkryty *Dramatu akt pierwszy* pozostał fragmentem stanowiącym zamkniętą całość i śmiałością problematyki, siłą wyrazu artystycznego wywarł silne wrażenie na widzach. Jeszcze częściej formuły te stosowano do ogromnego zespołu *Dzienników,* które w sposób najbardziej wierzytelny ukazały proces narodzin i kształtowania się pisarza oraz drogi rozwoju jego poglądów ideowych, społecznych i estetycznych, a z drugiej strony stanowiły nieoceniony dokument dla badaczy genezy jego dzieł dojrzałych.

W tych formułach metaforycznych tkwi wiele prawdy. Nie zawsze bez nich uprzytomnialibyśmy sobie z należytą wyrazistością fakt, że nowo ogłoszone i nie znane przedwojennym czytelnikom teksty Żeromskiego stanowią łącznie blisko czwartą część twórczego dorobku pisarza. Przybywa do nich obecnie nowe, rewelacyjne znalezisko.

Tomik XXI *Dzienników* obejmuje zapisy Stefana Żeromskiego od dnia 10 czerwca do dnia 18 października 1890 roku i jest bezpośrednią kontynuacją opublikowanego już tomiku XX. Autor przebywał wówczas w Kielcach, w Łysowie na Podlasiu, a od 10 września tegoż roku – w Nałęczowie. Przejazdem zatrzymywał się też na krótko w Warszawie.

W strukturze treściowej t. XXI nie różni się od kilku poprzednich tomików. Opisy stanów psychicznych bohatera – narratora przeplatane są opisami urody ziemi rodzinnej, relacje o perypetiach romansowych – dywagacjami na tematy ideowe, narodowe i społeczne, charakterystyki własnych utworów – rozważaniami estetycznymi nad kompozycją i stylem pisarskim. W autografie znajdują się ponadto dość liczne rysunki piórkiem, świadczące o wyższym stopniu wtajemniczenia plastycznego autora niż te, które ozdabiały karty wczesnych tomików.

Odkrycie nieznanego t. XXI *Dzienników* pociąga za sobą szereg konsekwencji. Przede wszystkim luźne fragmenty *Dziennika* z września i października 1891 roku, odnalezione w Archiwum Głównym Akt Dawnych między dissolutami z Biblioteki Ordynacji Zamoyskich i oznaczane dotychczas umownie jako szczątki t. XXI, są być może fragmentami t. XXIV czy nawet XXV *Dzienników*. Ponieważ nic nie wskazuje, ażeby Żeromski przerwał pisanie diariusza po osiedleniu się w Nałęczowie (wręcz przeciwnie – są poszlaki, że pisał tam bardzo regularnie), istnieje teoretycznie możliwość odnalezienia czy ujawnienia następnych trzech lub czterech tomików z okresu od października 1890 r. do września 1891 r. Te hipotetyczne tomiki – podobnie jak t. XXI – mogły również ocaleć gdzieś na prowincji, a zwłaszcza w Nałęczowie.

Tak więc odkrycie tomiku XXI pozwala żywić nadzieję na odszukanie pozostałych brakujących części *Dziennika,* które niekoniecznie trzeba dodawać do liczby pięciu tomików z czasów kieleckich i warszawskich, zaginionych w roku 1945. Nade wszystko zaś to odkrycie koryguje nasze pojęcia o rozmiarach całego zespołu autografów diariusza, wskazując, iż jest on obszerniejszy i bogatszy, niż dotychczas powszechnie sądzono.

„Żeromski nadal tworzy." Wczytajmy się w nieznane stronice jego prozy.

II

Pierwsze pytanie, jakie nasuwa się czytelnikom dotychczasowych *Dzienników* Stefana Żeromskiego, sformułować można tak oto: co nowego wnosi ten odnaleziony, tomik do naszej wiedzy o pisarzu, o jego poglądach, charakterze i projektach twórczych? W jaki sposób zmienia lub modyfikuje nasze pojęcia o tym okresie jego biografii, tak fascynująco, choć zarazem subiektywnie ukazanej w poprzednich tomikach? Czy jest on tylko kontynuacją wątków znanych, czy może stanowi przełom w dziejach osobowości pisarskiej autora?

Trzeba od razu powiedzieć, że między tomikiem XXI a bezpośrednio go poprzedzającymi nie ma jakiejś wyraźnej granicy ani w zakresie zawartości treściowej, ani w za-

kresie stylu. Jeżeli odmiennie rozkładają się akcenty treściowe czy indywidualne cechy formalne, to w ramach wątków kontynuowanych.

Jednym z nich, stanowiącym bez wątpienia naczelną dominantę ideową t. XXI, jest nieustannie tutaj obecny problem patriotyzmu. Żeromski jak mało który pisarz potrafi niedostrzegalnymi środkami odtworzyć nieustanne ciśnienie w kraju żyjącym pod zaborem, ciśnienie będące miernikiem słabości lub oporu jednostek, przeważnie zresztą ich bezradnego konformizmu. Jego bunt przeciw niewoli wyrażony wprost, w słowach pełnych oburzenia, gniewu i szyderstwa, jest może nawet mniej przekonywający artystycznie niż zwyczajna, niewyszukana opowieść o dniu powszednim pod uciskiem caratu.

Nie brak było i poprzednio wymownych deklaracji miłości ojczyzny w *Dziennikach*. Szczególnie pamiętne są te, które albo się łączyły z kształtowaniem odrębnej postawy ideologicznej w chaosie najsprzeczniejszych tendencji panujących wśród młodzieży akademickiej, albo wiązały się ściśle z planami pisarskimi autora. „Moja ludzkość – to Polacy, mój wszechświat – to moja ziemia, a mój Bóg – to ojczyzna z tym wszystkim, co się w tym wyrazie zamyka..." (20 XI 1886). „W Polsce – nie ma bodaj dwu studentów »czujących jedno«... To jedno – to miłość rodzinnej ziemi, miłość nieopisanego dobra, miłość najświętszej, niepokalanej żadną zmazą, nie podlegającej żadnemu wątpieniu idei, miłość tego czegoś, czegoś nieujętego, tego czegoś, co każą nam określać nasi koledzy, tego czegoś, co leży pod sercem jak żmija, co czasami płacze, czasami uderza pięścią miedzianą, a zawsze żyje, zawsze idzie we krwi, jak zegar puszczony w ruch przez Boga" (16 IX 1887). „Powieść nasza winna być głosem narodu całego do pojedynczych jednostek mało narodowych – a więc w wyborze tematu, w oświetlaniu pewnych zjawisk naszego życia musi tkwić satyra, skarga, bicz. Nie chcę biczować nigdy i nikogo wychodząc z punktów etycznych, jak się to czyni u nas, ani z punktów postępu czy zacofania – jedynie ginąca narodowość, nasze »ja« zanikające będzie mieć we mnie trybuna" (8 VIII 1888).

Mając te i podobne wypowiedzi w pamięci, trzeba jednak zauważyć, że nie stanowiły one zasadniczego kryterium wartościowania wszelkich zagadnień życia społecznego. Były jednym z ważniejszych, ale nie wyłącznym miernikiem postaw ludzkich i słuszności idei. W t. XXI sprawa wygląda odmiennie. Zagadnienia patriotyzmu wysuwają się zdecydowanie na czoło ówczesnej problematyki Żeromskiego, są stałym systemem odniesienia dla jego medytacji na wszelkie tematy aktualne. Wzrasta przy tym bogactwo odcieni uczuć patriotycznych: ból i rozpacz, rezygnacja i nadzieja, gniew i szyderstwo, litość i oburzenie – wszystko to potrafi uwypuklić autor w codziennym komentarzu do losów własnych i swojego pokolenia.

Zastanawiająca jest rozmaitość form, w jakich ta dominanta patriotyczna się przejawia. Formą najprostszą i najczęstszą, a zarazem nieodległą od praktyki poprzednich tomików jest ta, w której pisarz przekazuje intensywne, serdeczne i bliskie związki z ziemią rodzinną, kiedy np. opisując urodę krajobrazu wiejskiego, kończy taki opis wyznaniem patriotycznym:

„Świerki się czernią. Na szczycie topoli, jednej tylko topoli szemrzą liście. Otwierają się ramiona do czegoś, do kogoś, nalatuje młodość, która nie ma granic! Jak kwiat portulaki otwiera mały swój kieliszek na przyjęcie słońca, tak mózg w noc taką otwiera się na przyjęcie jakiegoś wielkiego wyobrażenia, jednego choćby wyrazu, formy, którą by mógł ochrzcić tę wielką całość, która go zakuwa w niemoc i podziw. Jak chłop, jak gwebr – nie znajduje nazwy innej, tylko tę najwyższą i najprostszą: ojczyzna" (28 VII 1890).

Niewygasłe zainteresowanie dla historii polskiej stanowi również kontynuację nurtu występującego już we wcześniejszych tomikach *Dzienników*. Autor nadal pasjonuje się

wszelkimi opisami chwały oręża polskiego w czasie powstań narodowych. Z porzuconych na dnie szafy egzemplarzy dziennika „Polak Sumienny" kompletuje sobie kromkę codziennych zdarzeń powstania listopadowego, akcentując w komentarzu bohaterstwo i poświęcenie żołnierzy pod Wawrem i Grochowem. W „Polaku Sumiennym" są – wedle słów autora – „nieocenione spory z „Nową Polską", polemiki z Mochnackim, wszystkie mowy, proklamacje, odezwy, rozporządzenia wodzów, wieści z placu boju, niepewne pogłoski, wiary, nadzieje, uniesienia – cały chaos rewolucyjny, tak jak był, całe uniesienia, cała boleść. Dzień po dniu śledzisz wielolice życie za dni tych bezpowrotnych, masz wyliczone ofiary, czyny ciche i rozgłośne z prostotą niespokojnej wieści rzucone na te karty dla tłumu, który łaknie. Dziennik ten dlatego właśnie, że ma za ideę przewodnią zwyczajny za owych czasów patriotyzm, że podaje bezkrytycznie masę faktów – tym jest ciekawszy" (19 VII 1890).

W przytaczanych w *Dzienniku* urywkach wybiera autor te doniesienia z placu boju, które świadczą o męstwie, odwadze i waleczności prostych żołnierzy – chłopów, gdyż one właśnie stanowiły potwierdzenie jego marzeń o przyszłej Polsce niepodległej, gdzie uświadomiony narodowo lud będzie siłą decydującą.

W związku z tym interesuje Żeromskiego szczególnie postać płomiennego trybuna rewolucji listopadowej, Maurycego Mochnackiego, który pisał o sobie: „Polska potężna i niepodległa była jedynym romansem mojej młodości". Lekturę czterotomowych *Dzieł* Mochnackiego kończy autor jak zwykle wyciągami i notatkami w *Dzienniku* oraz następującą charakterystyką ogólną:

„Pierwszy [tom] zawiera listy do matki, rzucając światło na pogmatwaną i posępną, a mało nam znaną historią emigracji, zawiera zresztą wiele rysów biograficznych samego Maurycego Mochnackiego, który jest postacią przykuwającą wzrok i godną badania na tle niezapomnianej epoki, a tak sympatyczną szczególnie... Tom drugi (*Powstanie narodu 31 r.)* ma dla mnie jako książka źródłowa mniejszą niż Barzykowski wartość. Ma on swe z tego względu zalety, że z całą młodzieńczą emfazą odtwarza stronnictwo młodych rewolucjonistów. Styl, werwa, uniesienie pisarzów tego okresu nosi na sobie cechy jeszcze polskiego żelaza, hartu, dumy, męstwa... Kąpie się w tym człowiek jak w zimnej wodzie, która płynie z czystego, górskiego, szlachetnego zdroju" (23 VI 1890).

A w innym miejscu, nawiązując do głośnej sprawy zbyt szczerych zeznań młodego Mochnackiego przed komisją śledczą w więzieniu u Karmelitów, Żeromski stwierdza: „W „Polaku Sumiennym", który tchnie taką nienawiścią do M. Mochnackiego, są jednak jego usprawiedliwienia się z zarzutów i zaszczytne wzmianki w raporcie gen. Żymirskiego. Ostatecznie uwierzyłem w prawość Mochnackiego" (19 VII 1890).

Postać Mochnackiego na tle wydarzeń 1830/31 roku fascynować będzie autora *Dzienników* jeszcze długo. Po paru latach, zetknąwszy się z bogatymi materiałami źródłowymi na temat powstania listopadowego i Wielkiej Emigracji podczas pracy w bibliotece Muzeum Raperswilskiego, zamierza nawet napisać obszerną biografię Mochnackiego. Ostatecznie jednak twórczość nowelistyczna pochłonęła go całkowicie i ten plan nie został zrealizowany.

Inną formą supremacji zagadnień patriotyzmu w niniejszym tomiku jest głęboki szacunek dla tradycji, a zwłaszcza dla tradycji literackiej romantyzmu polskiego oraz silne poczucie wspólnoty narodowej Polaków pod trzema zaborami. Wiadomość o sprowadzeniu z paryskiego cmentarza Montmorency zwłok Adama Mickiewicza do kraju i złożeniu ich w kryptach królewskich na Wawelu opatruje autor *Dziennika* taką wzruszającą glosą:

„»Poeta rozmyślacz, mąż namiętny, liryk z daru i użyczenia nieba, filozof własnego serca...«, ten, z którego jesteśmy wszyscy, ten, który nas porwał na wzdętej fali swego

natchnienia – idzie nareszcie spać między królami. Może dlatego, że na *Panu Tadeuszu* uczyła mię matka czytać, może dlatego, że on mię zrobił, czym jestem, uczciwym Polakiem, może dlatego, że utworami jego karmiłem duszę w najsmutniejszych chwilach życia – dzień, kiedy go do królewskiej wznoszą godności, będzie najpiękniejszym dniem mego życia. Kiedy myślę, że tę skrytą radość, która jakoby mnie się samemu należy, dzieli ze mną tyle tysięcy ludzi, którzy to samo czują, uczuwam, że wstępuje odwaga we mnie, że żyje naród. Ta jest wielka, nie dająca się nazwać po imieniu korzyść z oddania mu należnej czci. W takiej chwili zobaczyć można, że jest jeszcze tłum niepoliczony, któremu »zapał owiewa głowę« dla wiekuistej idei. Gdybym mógł tam być z tymi ludźmi, którzy jego tak samo kochają!..." (24 VI 1890).

Gorącym sercem patrioty Żeromski solidaryzuje się z przedstawicielami wszystkich ziem dawnej Polski, którzy uczestniczyli w tym podniosłym, ogólnonarodowym obchodzie. Nie zadowalają go skąpe, telegraficzne informacje prasy warszawskiej o przebiegu uroczystości; domaga się od Wacława Machajskiego dokładnego opisu pogrzebu, a następnie celnymi uwagami opatruje przytoczone w liście przyjaciela mowy Adama Asnyka i Stanisława Tarnowskiego, wygłoszone przed wejściem do katedry. W przemówieniu Asnyka krytykuje „letniość", brak żaru, niewykorzystanie okazji do sformułowań śmielszych, bardziej rewolucyjnych. Dla współczesnych było zrozumiałe, że wszyscy mówcy musieli się jakoś mieścić w ramach legalizmu c.k. monarchii austriackiej, że podobny obchód nie byłby możliwy ani w zaborze pruskim, ani tym bardziej w „Kraju Przywiślańskim". Ale Żeromski był niecierpliwym maksymalistą: dla niego Mickiewicz był nie tylko zmarłym dawno poetą, układaczem pięknych słów, twórcą wstrząsających a zabronionych wierszy patriotycznych, lecz nade wszystko duchowym wodzem narodu. Jego wskazania obywatelskie traktował jak aktualny nadal program ideowy, a cytaty z jego dzieł służyły mu za argumenty w dyskusjach z kolegami – internacjonalistami.

Jeszcze inną formą dominacji patriotyzmu w poglądach autora *Dziennika* jest drapieżna obserwacja i sarkastyczna krytyka metod rusyfikacji młodzieży w szkole kieleckiej, będących odbiciem tendencji powszechnie stosowanych w gimnazjach za czasów Apuchtina. Łapownictwo przy egzaminach wstępnych, różne sposoby nacisku na rodziców, stopniowa likwidacja stancji polskich, zakaz rozmawiania po polsku w szkole i poza jej murami, sfałszowane podręczniki historii, tendencyjne programy nauczania, sprowadzone do żałosnej i nieobowiązkowej parodii lekcje języka ojczystego – wszystko to miało służyć celom szybkiej i skutecznej rusyfikacji młodzieży.

Porównując własne doświadczenia gimnazjalne i ówczesnych pedagogów z takimi kreaturami lojalistycznymi jak gospodin Lwowskij, który niewątpliwie był prototypem nauczyciela Majewskiego z *Syzyfowych prac*, Żeromski trafnie dostrzega, jaki zatrważający postęp uczyniło *obrusienije* w tej samej szkole.

Na podstawie tych obserwacji z roku 1890, a nie na podstawie własnych przeżyć gimnazjalnych (jak to twierdzili jeszcze do niedawna krytycy), skonstruował potem Żeromski *Syzyfowe prace*. Za jego bowiem czasów ucisk rusyfikacyjny był stosunkowo znacznie mniejszy, a gorliwi jego wykonawcy – nieliczni. Wśród nauczycieli przeważali wtedy Polacy i tylko niektórych można by zaliczyć do bojaźliwych oportunistów. W większości nauczyciele – Polacy wykonywali tylko te zarządzenia, które wykonać musieli, i to bez szczególnego zapału. Żaden z nich nie wyróżnił się też taką nadgorliwością, żeby poza lekcjami rozmawiać z młodzieżą po rosyjsku.

Chociaż tak trzeźwo widział i opisywał rzeczywistość wynaradawiającej szkoły, nie wątpił przecież Żeromski w ostateczne zwycięstwo polskości i patriotycznej młodzieży:

„A jednak ta ogromna masa dzieci i młodzieży tam, [...] wobec rozlepionych przepisów broniących mówić po polsku, po polsku mówi i, niech nie będę złym prorokiem, po

polsku myśli. W cieniu ich praw rosną wiecznie jednacy, wiecznie szlachetni w młodości. Kiedyś życie ich żółcią napoi, gdy zobaczą wszystką bezcześć rzeczy szlachetnych i bezmierny tryumf podłości" (10 VI 1890).

Podobnymi konkluzjami zamyka zwykle autor *Dzienników* rozważania na temat tragicznej sytuacji unitów na Podlasiu, gwałtem i przemocą „nawracanych" na prawosławie. Ich przywiązanie do wiary przodków i mężny opór interpretuje trafnie jako walkę przeciwko wynaradawianiu. Religia stanowiła dla unitów (podobnie jak dla późniejszych bohaterów nowel *Poganin* i *Do swego Boga)* substytut przynależności narodowej. Opór przeciw prawosławiu był konsekwencją ich patriotyzmu.

Podczas wycieczki do Drohiczyna podsłuchuje autor mowę ludu i rozpiera go radość, że cała gromada chłopów, kobiet i dzieci mówi po polsku: „Wszystko to mówiło taką czystą polszczyzną, ale taką nieskazitelną polszczyzną, że mało się nie udusiłem, ćmiąc z radości jednego papierosa za drugim" (23 VI 1890).

Ze wzruszeniem i w podniosłym, patetycznym stylu wspomina o męczeństwie unitów we wsiach powiatu bialskiego i włodawskiego: „Oto on Bug, o którym śpiewa się w pieśniach niepodległych, oto łzawica, w którą spłynęło tyle łez cichych, niemych, nie znanych historii bohaterów, wielkich dusz świata a prostych chłopów z Pratulina, z Komicy, Szpaków... Cicho płynie w piaskach i niekochany mi za to, że tyle bólu na jego brzegach" (23 VI 1890).

O innych heroicznych dowodach wierności i przywiązania prostego ludu do swej ziemi i religii we wsiach Dołhobrody, Choroszczyzna i Kodnie opowiadała potajemna broszura, zatytułowana ironicznie *Dobrowolny powrót unitów*, z której fragmenty przytacza autor *Dziennika* dnia 5 VII 1890 r. Tę samą broszurę i ten sam jej fragment czytać będą później zbiorowo chłopi w *Mogile,* krzepiąc swą wolę wytrwania przy polskości, a Maurycy Zych, świadek tej niezwykłej sceny, tak ją wzruszonymi słowami skomentuje:

„Jakaś czcigodna ręka przelała na papier to żałosne opowiadanie, ten gorzki ból, tę pohańbioną myśl garsteczki ludzi, którzy w niesłychanym ucisku, wśród pokusy, w stadzie nędzników i głupców ufają aż do śmierci, że przysiędze, jakiejś cnocie czy prawdzie należy wiary dochować. Tę myśl składał przy blasku płomyka gazu wyzyskiwany zecer, przenosił ją jako zabroniony towar jakiś szlachetny mistyk, jakiś nieznany a na śmierć gotowy wyznawca swojej idei. I przyszła na miejsce przeznaczenia, tam, gdzie chciało marzenie prawych i – *in tenebris lux lucet..."*

Tragizm sytuacji unitów na Podlasiu polega według Żeromskiego nie tylko na tym, że jest to opór bohaterski a beznadziejny, serdeczne przywiązanie do sprawy przegranej, ale także na tym, że heroizmu straceńców nie doceniają inni Polacy, nawet szlachta w tych samych okolicach Podlasia. „Dawniej szanowałem patriotyzm arystokratyczny, obecnie przybyło mi bólu i z tego względu, że gardzę tym patriotyzmem. Dla nich dobry jest naczelnik Kutanin, ponieważ »dla szlachty ma szacunek – on sobie tylko chłopów dusił i ciągnął na prawosławie: ale to trudno...«" (11 II 1890).

Przeciwstawienie sytych i zadowolonych z siebie mieszczuchów czy szlachty zgnuśniałej w marazmie na swoich włościach temu ludowi, wystawionemu na kozackie nahajki i wywożonemu bez dobytku na Sybir za opór wobec zaborcy – ma dla autora *Dziennika* znaczenie wstrząsającego symbolu.

III

Na tym tle jaśniejsze się staje zbliżenie Żeromskiego do „Głosu", w którym właśnie wtedy przewagę uzyskały żywioły narodowe. W poprzednich zapiskach *Dziennika* uważny czytelnik dostrzegał raczej niechętny stosunek autora do ideologii ludowców, propagowanej przez Józefa Karola Potockiego i Jana Ludwika Popławskiego. Żeromski krytykował linię ideową „Głosu" najpierw ze stanowiska zwolennika pozytywistycznej „Prawdy":

„»Głos« zaczął naiwnie paplać. Nazwał się w prospekcie pismem postępowym, zapowiedział, że chce »podporządkować interesy oddzielnych warstw interesom ludu«. Pięknie, cudownie, przecudownie. Cóż wykazał dotąd? Ani jednego faktu – gdzie by podporządkowywał interesy oddzielnych warstw interesom ludu. Nie zrobił nic. W numerze noworocznym zauważył, że nasz pozytywizm nie ma »wiary«, co kłamstwem jest. Każdy pozytywista wierzy w pozytywizm, jako w środek do światłych celów. Wypowiedział to Świętochowski, że chce »klasycznego człowieka, klasycznego Polaka«. Obecnie »Głos« maltretuje pisma postępowe za ich protektorskie względy dla studentów w artykule, noszącym tytuł *Fetysze postępowości*. Zbeształ więc pisma protegujące studentów, inżynierów, techników, przemysłowców, kupców itd. Sądzicie, że domaga się opieki i sympatii dla całego narodu, jak to zrobiła »Prawda« w jednym z ostatnich numerów? – Nie. Każe »podporządkować«... Zdaje mu się, że nie jest »fetyszem postępowości«. Logika!" (31 I 1887).

Po niezliczonych dysputach studenckich, w których ujawnił się chaos poglądów ideologicznych wśród młodzieży akademickiej, Żeromski atakował „Głos" z pozycji narodowych, uważając, że wpływ teoretyków Narodnej Woli na matadorów „Głosu" dowodzi istnienia w piśmie tendencji socjalistycznych:

„Mówią, że patriotyzm i socjalizm mają punkty styczne... Dbr. np. dowodzi mi o istnieniu w Poznańskiem stowarzyszenia chłopów polskich i niemieckich na zasadach wspólnictwa. Jego zajmuje jedynie dobrobyt, jaki tam panuje, mnie zajmuje łączenie się chłopa naszego z *kulturträgerem*. Jaka tu styczność? [...] Właściwie mówiąc, nie chodziło nam o jakość socjalistów, lecz o ich ilość. Dziś jeszcze nie można orzec nic. Oni mają wpływ, »Głos«, lepsze siły uniwersytetu – my mamy patriotyzm, broszurę Jeża i » Wolne Słowo«. Co zwycięży – przyszłość okaże" (29 II 1888).

Wkrótce już miało się okazać, że tezy o odrębności narodowej studentów – Polaków, ułożone przez Żeromskiego wspólnie z Janem Wacławem Machajskim i poddane głosowaniu we wszystkich kółkach regionalnych, uzyskały zaledwie czwartą część głosów ogółu. Większość wyrażała przekonanie, że „odrębność narodowa może oznaczać dążenie do odbudowania Polski szlacheckiej", że „łączenie się z socjalistami rosyjskimi jest konieczną rzeczą", że jedność różnych klas narodu jest niemożliwa. W tej ewolucji poglądów Żeromski widział także wpływy „Głosu", które oceniał ujemnie.

Nie dość na tym. Jeszcze w styczniu 1890 r., podczas „dysputy akademickiej" z Marianem Bohuszem w Warszawie, Żeromski zaznaczył wyraźnie odmienność swego stanowiska w sprawie prześladowań unitów podlaskich, polemizując z etnograficzną koncepcją narodu, reprezentowaną przez redaktora „Głosu" i z jego programową obojętnością wobec wynaradawiania chłopów w „guberni siedleckiej". Józef K. Potocki, który w tej dyskusji akcentował szczególnie konflikty społeczne, wysunął hasło walki ekonomicznej przeciwko wszystkim wyzyskiwaczom chłopa: „Więc jedno jest: na gruncie ekonomicznym – przeciw panom, Żydom, księżom i Moskalom burzyć, rozrzucać książeczki, *0jca Szymona* np." (20 I 1890). Hasło to godziło w centralny punkt światopoglądu Żeromskiego, który działalność patriotyczną – mimo jasnej świadomości dezinte-

gracji społeczeństwa i jej przyczyn – pojmował w duchu broszury T. T. Jeża *Rzecz o obronie czynnej i Skarbie Narodowym:* jako solidaryzm wszystkich warstw narodu w walce przeciw zaborcy o wyzwolenie ojczyzny.

Wobec tak zasadniczych kontrowersji zdumienie musiał budzić fakt, że pierwodruki wszystkich prawie wczesnych nowel Żeromskiego, jak: *Siłaczka*, *Zapomnienie*, *Zmierzch*, *Oko za oko*, *Doktor Piotr*, *O żołnierzu tułaczu* i inne, zamieszczał właśnie „Głos", a ponadto, że sam autor kilkakrotnie w prywatnych listach do Oktawii Rodkiewiczowej z lat 1892 – 1897 mianował się „głosowiczem". Brak było w dotychczasowej naszej wiedzy o biografii pisarza jakiegokolwiek wiarygodnego świadectwa w sprawie jego zdecydowanego zwrotu w stronę „Głosu", nieznane były przyczyny ani dokładniejszy termin owego przełomu.

Otóż to brakujące ogniwo w dziejach związków Żeromskiego z „Głosem" odnajdujemy właśnie w niniejszym tomiku *Dziennika*. Po doświadczeniach podlaskich i po dyskusjach z kolegami w Kielcach autor tak charakteryzuje ewolucję „Głosu" i swój stosunek do pisma:

„Kierunek umysłowo – społeczny taki, w jaki ja wierzę, do pewnego stopnia, z pewnymi zastrzeżeniami reprezentuje obecnie »Głos«. Tygodnik ten od chwili wystąpienia z redakcji Krzywickiego i Pietkiewicza, od czasu polemik z pierwszym z tych Ajaksów Więckowskiego i wyświetlenia, wywnętrzenia się jego kierowników prawie że pozyskał moją sympatią. Krzywicki pociągnął ku »Prawdzie« cały orszak »ścisłych« ewolucjonistów i kosmopolitów, którzy secesją od »Głosu« dają dowód, że »mają zamiar przysiedzenia fałdów nad nauką społeczną«. [...] Gniewa ich to nawet, że Popławski w »Głosie« mówił o patriotyzmie chłopskim, ogólnochłopskim niejako, chrzcząc tym mianem przywiązanie do zagona indywidualne, które w sumie daje patriotyzm niemal. Gniewa ich to**,** że Więckowski chce wiedzieć, nie tylko co zostaje na gruncie po burzy przewrotu ekonomicznego, ale i kto zostaje. Gniewa ich ludowość w ogóle, »ten lud, lud, lud« – chcą wytworzyć ruch robotniczy, mówią mi o świętowaniu w Warszawie 8 tysięcy robotników. (Wszystkich ich jest 200 tysięcy.) Chcą przyczepić lud do kwestii robotniczej: 7 milionów, choćby 2 miliony bezrolnych, do 200 tysięcy... Wesołe błazeństwo" (2 IX 1890).

Mamy tu, ukazaną *in statu nascendi*, polaryzację poglądów jednego pokolenia. Tę samą sprawę od drugiej strony przedstawia w III tomie swych *Wspomnień* Ludwik Krzywicki, nie bez cierpkiego uznania dla talentów polemicznych Aleksandra Więckowskiego, które ostatecznie zjednały Żeromskiego dla „Głosu" na siedem lat.

Jeżeli zaś tak oceniał wówczas Żeromski wypowiedzi luminarzy kierunku „międzynarodowego", to tym bardziej zżymać się musiał na nieporadną argumentację swych kolegów gimnazjalnych, którzy – jak Jan Strożecki czy Paweł Zaorski – zmierzali rozmaitymi drogami ku socjalizmowi. Dyskusja z ich poglądami przenika niejeden akapit tego tomiku *Dzienników*. Nie ma co ukrywać, że nie zawsze operuje w niej autor przekonywającymi argumentami. Niektóre są po prostu echem wywodów publicystów „Głosu", jak np. traktowanie chłopów i robotników pod kątem widzenia arytmetycznym, ilościowym, bez uwzględnienia prężności dziejowej i organizacji klasy robotniczej, na której – jak pisał Krzywicki – „należy się oprzeć w czynnej walce przeciwko caratowi o swobody polityczne". Kiedy indziej autor wyraża nieumotywowane aksjomaty wewnętrzne i serdeczne emocje, które dla niego mają walor dogmatu, ale nie trafiają do przekonania „społecznikom".

Z tymi dyskusjami ideologicznymi wiąże się też koncepcja założenia nowego dziennika w Kielcach, na co gotów był przeznaczyć odpowiedni fundusz Bernard Krzyżkiewicz, kolega gimnazjalny Żeromskiego i Zygmunta Wasilewskiego, uczestnik światoburczych dysput młodzieńczych, a podówczas bogaty przemysłowiec. Autor *Dziennika*

pojmuje doskonale, że pismo takie musiałoby się zasadniczo różnić od wychodzącej dwa razy w tygodniu, a redagowanej przy pomocy nożyczek i kleju „Gazety Kieleckiej" Stanisława Sienickiego, że musiałoby mieć wyraźne oblicze ideowe i dążyć do poruszenia pogrążonej w marazmie inteligencji miejscowej, a nawet szokować opinię publiczną. W związku z tym pisze:

„Ja sam nie dałbym sobie rady – Zygmunt tedy musiałby być wezwany do pomocy. Zygmunt atoli chciałby, i ja nie jestem od tego, aby wydawać pismo w jakimś duchu, prosty bowiem szwindel brukowy dla utrzymania się nie leży w naszym guście. Na to nie warto tracić czasu. W założeniu samym leży kapitalna sprzeczność: Bernard – bogaty przemysłowiec, my obadwaj nie popieralibyśmy interesu wielkiego kapitału... Klapa, a przynajmniej ciągłe z władcą starcia.

»Ciołek« jednakże głupi nie jest. Jest to swojego rodzaju »łeb«, spryt ma dziedziczny – z nim można by wejść w mądry układ i znaleźć punkt styczny na gruncie... antysemityzmu naukowego. Swoją drogą, ja zwolennikiem zaciekłym rozbijania kapitału nie jestem wcale, na gruncie szczególniej kieleckim. Tu kapitalizacja – to rozwój, postęp, obudzenie się z letargu, a na kapitał żydowski śmiało, bezkarnie i z czystym sumieniem szczekać można, znajdując

brawo we wszystkich kołach, stronnictwach, za wszystkimi parawanami opinii" (5 IX 1890).

Projekty te nie zostaną zrealizowane, ponieważ Zygmunt Wasilewski ma już wtedy szersze pole pracy w Warszawie, gdzie publikuje równocześnie w „Głosie" i w „Wiśle" Jana Karłowicza (który był jego teściem), a sam Żeromski, pozbawiony możliwości bytowania w Kielcach, stara się usilnie o miejsce guwernera u inż. Michała Górskiego w Nałęczowie, m.in. ze względu na stan swego zdrowia (początki gruźlicy) i nadzieje związane z walorami leczniczymi sławnego uzdrowiska. Rychło zresztą, bo już we wrześniu 1892 roku, spotkają się obydwaj w Szwajcarii, jako bibliotekarze Muzeum Narodowego Polskiego w Raperswilu.

Literackim refleksem zabiegów wokół założenia nowej gazety w Kielcach będzie działalność Raduskiego w napisanej później powieści *Promień*, opublikowanej na łamach „Głosu" w 1897 roku.

IV

W klasyfikacji gatunków literackich pamiętniki, a tym bardziej dzienniki, zalicza się do tzw. literatury faktu, przeciwstawianej niejednokrotnie rozmaitym odmianom *vies romancées*, powieści biograficznych, w których autorzy nie tylko fikcją literacką wypełniają puste, nieudokumentowane okresy życiorysu bohatera, ale często całą jego sylwetkę modelują według z góry przyjętych założeń metodologicznych, eksponując bądź to biologiczne czy psychologiczne, bądź to socjologiczne i polityczne determinanty losu jednostki.

Paradoks polega na tym, że pamiętniki i dzienniki zaliczane do owej „literatury faktu" zarówno w selekcji, jak i w oświetleniu przedstawionych faktów reprezentują wyłącznie punkt widzenia autora. Innymi słowy; autor przekazuje tylko takie fakty, które zamierza utrwalić, i w dodatku komentuje je tylko ze swego stanowiska. Tak więc mamy tu do czynienia z wyjątkowo subiektywną literaturą, w której czasem znajdujemy

elementy fikcyjne, a zawsze uwzględniać musimy współczynnik autokreacji, świadomej bądź nieświadomej konstrukcji postaci narratora – bohatera.

Jedynym faktem obiektywnym w pamiętniku jest obraz psychiki autora, wyłaniający się – czasem wbrew intencjom twórcy – z opisu wydarzeń, z komentarzy, jakimi je opatruje, a w końcu z ocen własnej działalności. Można by zaryzykować twierdzenie, że właśnie to, co się dzieje w psychice autora, stanowi w wyższym stopniu o znaczeniu i poczytności tego typu literatury aniżeli rejestracja dawno przebrzmiałych spraw i drobnych, zapomnianych zdarzeń.

W przypadku *Dziennika* Stefana Żeromskiego ten obraz psychiki autora jest szczególnie interesujący dzięki założeniu absolutnej szczerości pisarza wobec siebie, co oznacza między innymi, że tzw. sprawy drażliwe czy nawet drastyczne, związane przeważnie z dziedziną erotyki, nie są tuszowane, choć czasem poddane są uwznioślającym sublimacjom. Podobnie jak w tomikach poprzednich mamy tu dalszy ciąg antypruderyjnej autobiografii, która gdzieniegdzie przekształca się w pean na chwałę potęgi miłości.

Rzecz zaś jest o tyle skomplikowana, że po krótkotrwałym romansie z panią Anielą, wdową po literacie Adamie Rzążewskim, Żeromski zaangażował się mocno i z wzajemnością w uczucie do jej siostry, mężatki, Natalii Faÿttowej. Oboje zdawali sobie sprawę z braku perspektyw dla tej miłości, z tysiącznych przeszkód i utrudnień nawet w okresie jej trwania, z konieczności ukrywania się i maskowania zarówno przed mężem, jak przed zawiedzioną w swych nadziejach siostrą, a przecież mimo to dostrzegali w tym związku jakieś wartości jedyne i niewymienne, które żal utracić.

Znowu więc – jak w poprzednim romansie z Heleną Radziszewską – przed naszymi oczyma rozgrywa się tercet czy nawet kwartet miłosny, jeśli uwzględnimy w tej grze pannę Stanisławę, guwernantkę córek Natalii Faÿttowej, która, zabierana na schadzki jako dama do towarzystwa, zamierzała gwałtownie rozkochać w sobie autora *Dziennika.* Dialektyka miłości z dwiema partnerkami równocześnie, tak wymownie przedstawiona w tym tomiku *Dzienników,* nie tylko przyczynia się do wzrostu samowiedzy uczuć u autora, ale także skłania go do respektowania i wyrażania takich niuansów psychologicznych, jakich w dawniejszych tomach, odtwarzających młodzieńczą pasję miłosną do Heleny Radziszewskiej, daremnie byśmy szukali. W istocie rzeczy relacja z Łysowa obejmuje niemal wyłącznie opowieść o różnych formach emocji osobistych. Nic bliższego nie dowiadujemy się o lekcjach codziennych z Adasiem Rzążewskim, o starych państwu Dobrzyńskich, o realnym otoczeniu, w jakim autor spędzał dni powszednie, dla niego bowiem ważny był tylko rozwój i fluktuacje uczucia.

Dawna namiętność do Heleny Radziszewskiej wypaliła się i zgasła. Już w poprzednich tomikach *Dziennika* istniały przekonywające dowody zmierzchu tej miłości: coraz rzadsze kontakty osobiste, coraz bardziej zdawkowe i konwencjonalne listy czy życzenia imieninowe, coraz krytyczniejsze komentarze do dawnych wspomnień. Ale bywało przecież i tak, że po dłuższej nawet przerwie to uczucie w sprzyjających warunkach rozpalało się od nowa. Tym razem autor nie pozostawia wątpliwości co do definitywnego zakończenia romansu: ironia zabiła resztki sentymentów. Do domu pani Heleny w Łukowie, dokąd mąż jej został przeniesiony z Białej Podlaskiej, zawitał autor *Dziennika* w przejeździe do Kielc. A oto opis jego wrażeń;

„Po dwu latach miałem zobaczyć moją kochankę i ukochaną, anioła mego życia, jedyną dawną myśl moją... Pan Leon bawił mię w salonie rozmową, podczas gdy pani Helena opanowywała zapewne wrażenia... Śmiech mię brał, gdym patrzał na pana Leona. Przez lat cztery bałamuciłem mu żonę, pisałem do niej około 300 listów, miewałem schadzki, spotkania, zabierałem mu ją sprzed nosa, znudziłem się nią, zapomniałem ją – i on dziś jeszcze o niczym nie wie... W człowieku jest wielkie i drapieżne zwierzę, nawet w takim humanitarniku jak ja.

Wyszła wreszcie pani Helena. Nie ma na określenie tego wrażenia, jakie wywarła na mnie, innego wyrażenia nad to, że była »jak złapana«. Starała się być uprzejmą a zimną, obojętną, a dławiło ją coś, pogardzała mną, a po kobiecemu rada była zobaczyć, co się ze mną stało... Doznawałem w ciągu całej tej wizyty uczucia nieznośnej przykrości. Jesteśmy, my mężczyźni, podli – nie ma co! Na życiu pani Heleny leży plama wieczna i niestarta, nosząca nazwę – Stefan, a ta właśnie plama ma dla mnie wielki powab. I ja udawałem wobec niej Cezara Almavivę: byłem zimny, grzeczny, wiele mówiący dlatego właśnie, aby przekonać panią Helenę znającą mię na wskroś, że nie umiem już milczeć w towarzystwie i myśleć o niej.

Mówiliśmy o rzeczach obojętnych i żadnego z przeszłością nie mających związku, nie zamieniliśmy ani jednego spojrzenia przyjaznego po dwu latach niewidzenia się – ja z Helą – czyż to możliwe? Gdy wychodziłem, zimno pożegnawszy się, dławił mię przykry, okrutny, podły śmiech, rozlegający się w pustce mej duszy z okrucieństwem szyderczym. Rad byłem, gdy nareszcie wsiadłem do wagonu. Wyjrzawszy oknem, dostrzegłem panią Helenę na peronie: zbrzydła, utyła... To już nie ta Helenka przecudna, – Ach, Boże!... Z miłości bez granic, bez pamięci, bez rachuby, z szaleństwa tylu lat nie zostało nic, nawet garści prochu! Dziś nic dla niej nie mam prócz wspomnień *à la Casanova*...” (11 VI 1890).

Chociaż dawne bożyszcze samotnika zostało obalone, w nowej księdze namiętności do pani Natalii odnajdujemy układ analogiczny: autor – wedle cytowanej kilkakrotnie maksymy Owidiusza – najsilniej dąży zawsze do zakazanego i pragnie tego, czego mu odmawiają, wymownie przeciwstawiając wartość bezinteresownej miłości konwencjom obyczajowym zorganizowanego społeczeństwa. Z najdrobniejszymi szczegółami i nieomal z lubością opisuje swe nocne wyprawy na schadzki z panią Natalią u furtki ogrodowej jej dworu, konieczność pokonywania najrozmaitszych przeszkód po drodze, zmylenia czujności szpiegującej go tajemnie pani Anieli, wywiedzenia w pole ogrodnika i dwóch stróży nocnych czatujących z psami etc.

Jak Byronowski bohater drwi z niebezpieczeństwa, a w głębi ducha przekonany jest, że to on właśnie w opozycji do martwych konwencji cywilizowanego świata reprezentuje walory ze wszech miar humanistyczne. Jak prawdziwy romantyk buntuje się przeciwko poświęceniu racji jednostki dla racji kodeksu obyczajowego, świadomie dąży do złamania surowego tabu społecznego.

Nie koniec na tym. Narrator, będący zarazem bohaterem opowieści, przeżywa typowo romantyczną potrzebę analizy własnej osobowości z równoczesnym transponowaniem jej na zewnątrz. Wobec tego często działa jak gdyby wbrew sobie, wbrew swoim interesom. A więc pośrednio ujawnia swe sekretne plany, kiedy gorzkie urągania ze szczytnego idealizmu uczuć pozamałżeńskich odparowuje gryzącą ironią, sarkazmem i szyderstwem. Nie stara się wcale o zatajenie swych udręk miłosnych, wręcz przeciwnie – „rozdrapuje rany”, pragnie swoje cierpienia wykrzyczeć jak najgłośniej. Na przykład scena, w której przeraża panią Anielę zamiarem samobójstwa, jeśli spełni ona pogróżki donosicielskie wobec męża siostry, wydaje się w pewnych momentach aż przeszarżowana w ekspresji:

„– Ja panią zmiażdżę, ja panią wydam przed światem, który pani chce oszukać, zwalając swe brutalne winy na tych, kogo pani niewarta w ręce całować. Rozumie pani! Przed Bogiem nie odpokutujesz nigdy za krzywdy, za takie krzywdy, które mnie popychają do śmierci. Niech moja krew na panią spadnie, cnotliwa wieżo z kości słoniowej. Ja mam prawie obłęd z tego wszystkiego, ale nim umrę, ukarzę panią całą moją pogardą dla hipokryzji, dla obłudy, dla namiętności zwierzęcej, która pani starczy za prawo moralne!...

Byłem prawie nieprzytomny. Nigdy w życiu nic podobnego ze mną nie było, gdybym miał w ręce rewolwer – byłbym bez wątpienia strzelił do niej wówczas. Wybiegła i za chwilę wróciła z Natusią, prowadząc [ją] za rękę.

– My jesteśmy ze sobą w najlepszej zgodzie, panie Stefanie, co panu? – mówiła, obejmując za szyję biedną N." (17 VII 1890).

Każda biografia, nawet największego indywidualisty, jest w jakimś stopniu tworem społecznym i przez to w wielu elementach powtarzalnym. Nie była też niczym nowym psychologiczna problematyka trójkąta miłosnego, eksponowana choćby w powieści Sienkiewicza *Bez dogmatu*, czytanej wówczas w odcinkach „Słowa" przez wszystkich uczestników romansu w Łysowie i w Patkowie. Ale inaczej traktuje się „piękne zmyślenie" literatury, a inaczej szarą, codzienną rzeczywistość. Intensywne przeżywanie miłości z niesłychaną egzaltacją, jakie demonstrował bohater *Dziennika*, było tak odmienne od stereotypowych modeli zachowania się w „towarzystwie", tak bardzo indywidualne i niepowtarzalne, ze musiało robić i robiło piorunujące wrażenie na obydwu partnerkach, bez względu na to, czy przyjmowały je z łaskawym przyzwoleniem, czy z frazesami o moralności na ustach.

Analizując charakter pani Natalii, autor *Dziennika* z dużą wnikliwością psychologiczną zaznacza te elementy:

– „Pamiętam, że rzadko zdarzały się jej takie wylewy uczuć, aby nie żartowała ironicznie z własnych wybuchów, z pocałunków, pieszczot, słów najczulszych. Jeżeli mi się oddała, to dlatego głównie, że przeszedłem wszelkie granice znanych jej wyznań, że prawie szalałem, żem ją przerażał gwałtownością uczucia. Dlatego tylko mi uwierzyła.

Życie, filister mąż, towarzystwo żołądków lub karierowiczów, proza bez przerwy, wielki stosunkowo majątek jej własny – przyuczyły ją do pewnego rodzaju zewnętrznego cynizmu, do pogardzania w słowach poezją, głębszą myślą, wszystkim, co się nie oblicza na ruble. A ja drwiłem właśnie z całej tej skorupy, nie kłaniałem się uznanym bożyszczom, śmiałem się otwarcie z serwilizmu dla pieniędzy. I to znalazło oddźwięk. Ona w głębi swej duszy taką była szlachetną, jak ja w słowach to wyrażałem. Dlatego jej się podobałem.

Był czas, że szła za mną jak lunatyczka. Wspólnie wyśmiewaliśmy nieraz sposób wypowiadania uczuć wierszami, a moje liche chowała jak skarb, uczyła się na pamięć i kochała mię za to, że Ją sobie stroję w szatę poezji. Później przyszła namiętność i namiętnie mię pokochała. Z utęsknieniem oboje wyczekiwaliśmy schadzek, choć utrzymywała nieraz, że robi to dla zaspokojenia mnie. To natura dziwna – porwać ją można tylko gwałtownością. Całowała mi ręce, ale wtedy tylko, gdym był straszny..." (22 VIII 1890).

Obok tego wątku liryczno – werterowskiego istnieje jednak w *Dzienniku,* wątek drugi, który nazwać by można libertyńsko – lowelasowskim. Sposoby rywalizacji między dwiema nudzącymi się w sąsiednich majątkach siostrami (przy czym pani Aniela jako osoba wolna jest w korzystniejszej sytuacji) mówią nam wiele o ówczesnym życiu obyczajowym na prowincji Królestwa. Nudne z pozoru uroczystości rodzinne, obchodzone hucznie imieniny, zwykłe wizyty i spacery, a nawet niedzielne wyjazdy do kościoła zyskują w tym oświetleniu dodatkowy wymiar i niespodziewaną barwę, pulsują ukrytym tętnem miłosnych uwielbień i zachwytów, stają się dwuznaczne dla wtajemniczonych: z zewnątrz szara powłoka długich i pustych rozmów salonowych, od wewnątrz momenty błyskawicznych olśnień, wymiany spojrzeń i znaczących półsłówek, rzadziej maleńkich karteczek.

Chwilami wydaje się, że zabawa w konwersację z aluzjami erotycznymi, ów nieszkodliwy i niezobowiązujący fechtunek flirtowy odpowiada bohaterowi *Dziennika* bardziej niż serio potraktowane uniesienia miłosne. Narrator – bohater, który mimo

wszystkie niekonsekwencje i sprzeczności w swym postępowaniu nie jest przecież cynikiem w guście Casanovy ani też Richardsonowskiego Lovelace'a z jego liczną progeniturą literacką, porusza się na tych śliskich posadzkach salonów z nadzwyczajną łatwością, zręcznością i przytomnością umysłu, potrafi często sterować oficjalną rozmową, a jednocześnie wyzyskać jej przebieg dla swych tajemnych celów.

Ale nawet wtedy, gdy nie bierze aktywnego udziału w szlacheckich dysputach, jest pilnym, uważnym i nieustannie czujnym obserwatorem zdarzeń. Z jakim parodystycznym zacięciem potrafi np. przekazywać opowieści pani Anieli o Meranie, Szczawnicy i Zakopanem, które mają utwierdzać pozę „wielkoświatowej" damy na podlaskim pustkowiu. Z jaką zaś powagą traktuje zdrowy rozsądek ludu, zaświadczony np. w „wieczornych pogwarkach" z niepiśmiennym Frankiem Królem.

Dla pokolenia romantyków erotyzm był często tylko surogatem heroizmu w czasach niebohaterskich, w erotyzmie lokowało to pokolenie ambicje nie wyżyte na innych polach działania. Wyidealizowana kochanka była niezbędna do samoutwierdzenia się w roli „geniusza bez teki". Ale oprócz romantyków pewnego okresu historycznego istnieje typ romantyków psychicznych, duchowych, który pojawia się w każdej epoce, gdyż reprezentuje jedno z zasadniczych odniesień człowieka do świata. Cechuje go niemożność zgody na świat realny, wiekuista tęsknota do świata bliższego pragnieniu, ból wynikający z niewspółmierności między marzeniem a rzeczywistością, z rozdźwięku między sercem czującym a zimnym mechanizmem istnienia. Te sprzeczności wyzwalają się w szalonej miłości albo w wytężonej twórczości artystycznej, albo w konspiracyjnej działalności politycznej czy oświatowej – wszędzie tam, gdzie jednostka może pozostawić wyraźne znamię swego indywidualnego czynu.

U autora *Dziennika* ta sprawa jest dodatkowo skomplikowana przez wpływ pesymistycznej filozofii życia. W jego świecie duchowym panuje Schopenhauerowskie prawo romantycznego estetyzmu: człowieka może zbawić tylko sztuka. „Jedyne możliwe na ziemi, bezgraniczne, nieskończone zadowolenie – daje sztuka. Jest ona nadziemskim światłem, niewysłowioną w miłosierdziu pocieszycielką nieszczęśliwych, rozkoszą upajającą, ekstazą bez granic. Jest większą i potężniejszą, niezrównanie bogatszą w łaski i zachwyty – niż miłość. Jest po milion razy od ostatniej – lepszą. Jest zapomnieniem, jest perłą w kielichu goryczy życia" (22 V 1887). Do tych słów dawniejszych można dodać inne, z niniejszego tomiku, świadczące o niezmienności przekonań autora pod tym względem: „Sztuka daje niezmierne szczęście, upaja, roznamiętnia... [...] O, sztuko, ty wynosisz zmęczoną duszę ludzką w krainę zapomnienia niedoli, ty jesteś żywicą mojego serca, która się wytacza w promieniach słońca..." (29 IX 1890).

W tych apostrofach do sztuki, która jest „pocieszycielką nieszczęśliwych", „jedynym możliwym na ziemi zadowoleniem", która „wynosi zmęczoną duszę ludzką w krainę zapomnienia niedoli", kryje się Schopenhauerowska koncepcja życia pojmowanego jako cierpienie. Cierpienie przenika egzystencję bohatera *Dzienników* niezależnie od tego, czy jego źródłem są rozmyślania nad sensem życia i wartością czynów ludzkich, czy medytacje nad nietrwałością związków miłosnych, czy bezradność wobec własnej choroby, czy piekące myśli o losach ojczyzny i narodu. Ten „ból egzystencji" często się łączy z poczuciem niemocy, zarówno w sferze działań artystycznych, jak i w sferze powszedniego, realnego życia. Nie jest to bynajmniej naiwne marzycielstwo, ale wyższy stopień autoświadomości, a nawet autookrucieństwo w bezlitosnej wiwisekcji własnej psychiki.

„Iluzja dystansu ukazuje nam niekiedy rajskie krainy, które znikają jak miraż, gdy się do nich przybliżyć. Szczęście jest zawsze w przeszłości lub w przyszłości, teraźniejszość podobna jest do maleńkiej chmurki, którą goni wiatr nad słoneczną równiną: przed nią i za nią wszystko opromienione jest słońcem, tylko ona nie przestaje rzucać

cienia. Teraźniejszość nigdy nas nie zadowala, przyszłość jest niepewna, a przeszłość bezpowrotna." Te słowa z dzieła Artura Schopenhauera *Die Welt als Wille und Vorstellung* mogłyby stanowić motto do najgłębszego nurtu refleksji filozoficznej w tym tomiku *Dziennika*. Prawda, że ich autor nie zacytował, ale przecież wiele analogicznych przytoczeń (głównie z *Parerga und Paralipomena*) znajdujemy w poprzednich tomach, a ponadto pamiętamy tak znamienną dla Żeromskiego charakterystykę filozofa:

„Pomimo wszelkich zaprzeczeń najgłębiej myślący filozof naszego wieku, Schopenhauer, kochał się w jakiejś Niemce, która trzymała go pod pantoflem, która była głupią nieskończenie i która niewarta była zamiatać pokoju wielkiego filozofa. Fakt to dość wymowny. Człowiek ten przez całe życie przeklinał tę miłość – a jednak poddawał jej się przez całe życie. Myślę o Schopenhauerze, bo nikt może spokojniej nie przypatrywał się życiu nad niego, nikt więcej, realniej i prawdziwiej nie cierpiał" (12 VI 1888).

Nie ma w zachowanych tomikach *Dziennika* bezpośrednich dowodów na to, aby Żeromski znał rosyjski przekład głównego dzieła „najgłębiej myślącego filozofa" *Mir kak wola i priedstawlenije* (tłum. A. Feta, Petersburg 1881), a polskiego przekładu – jak wiadomo – nie mamy do tej pory. Bliższa prawdy wydaje się hipoteza, że system jego poznawał okazjonalnie i z drugiej ręki. Ale infiltracje myśli Schopenhauerowskiej spotykamy w wielu głośnych utworach, które czytał i komentował autor *Dzienników*. Dość wskazać wielokroć cytowany (także i w tym tomiku) raczej schopenhauerowski niż darwinowski fragment *Życia i spostrzeżeń o nim pana Graindorge* Hipolita Taine'a albo z zachwytem i przerażeniem przyswajaną lirykę „bólu istnienia" Jakuba Leopardiego, czy wreszcie posępne i wstrząsające symfonie prozą Teodora Dostojewskiego.

Oprócz tych wpływów literackich na światopogląd i postępowanie autora *Dziennika* w znacznym stopniu oddziaływała jego sytuacja społeczna. Wyobcowany ze środowiska szlacheckiego przez brak majątku, zbuntowany przeciw systemowi wartości i wzorcom osobowym uznawanym w tej sferze, a jednocześnie uczuciowo przywiązany do kultury warstwy, z której wyszedł, ma poczucie własnej odrębności, świadomość ważnych zadań społecznych do spełnienia, poczucie wyższych przeznaczeń w twórczości artystycznej. Te wewnętrzne imponderabilia sprzeczne są z pozycją, jaką zajmuje w towarzystwie, z koniecznością zarobkowania pracą guwernerską na utrzymanie. Toteż traktuje pobyt na prowincji jak konieczne, choć pożyteczne dla zdrowia, zesłanie, wzdychając równocześnie do życia czynnego intelektualnie. Jakżeż rozszerza się widnokrąg jego problematyki, jak podnosi się temperatura jego wypowiedzi, gdy przyjeżdża do Warszawy czy choćby do Kielc, gdzie ma możność dyskusji o wszystkich aktualnych zagadnieniach, gdzie uczestniczy spontanicznie w prawdziwym życiu umysłowym swego czasu.

Przebywając na prowincji zdaje sobie sprawę, że powoli kiśnie wśród sytej szlachty w salonie (pisze nawet złośliwą humoreskę pt. *Salon*), że tępieje z braku książek, że szaleje dla niezbyt mądrych kobiet. I nie znajduje na to wszystko remedium w dawnej, pozytywistycznej „pracy u podstaw". Owszem, uczy bezinteresownie synów chłopskich, ale przedstawia tę pracę z nutą gorzkiej ironii, mając świadomość, że działalność taka jest kroplą w morzu potrzeb, że dopóki dzieci są darmową siłą roboczą w gospodarstwie, nie może być mowy o systematycznej oświacie:

„Wojtek (nie Stach) Poniatowski przychodzi do mnie z Sadurek aż, odległych od Nałęczowa o dobre trzy wiorsty. Droga jest fatalną, w Bochotnicy na przykład po kolana gliny na drodze. Aż mi żal chłopaka! W zimie da się może zorganizować »Akademią« z parobków i wyrostków. Teraz jeszcze akademicy kopią kartofle i buraki" (18 X 1890).

Na tym etapie ewolucji bohater *Dzienników* nie jest już naiwnym działaczem społeczno –oświatowym z czasów studenckich. Różnorodne doświadczenia społeczne, ja-

kie zgromadził podczas pobytu na prowincji, uprzytomniły mu z wyraźną oczywistością fakt, że szlachetne ideały i aspiracje najlepszych z jego pokolenia zderzają się nieustannie z indyferentyzmem społecznym i konformizmem narodowym ogółu, że najlepsze intencje marnują się i giną obezwładnione przez marazm ideowy i potęgę ciemnoty. Ma tragiczną świadomość sprzeczności między obiektywną bezsilnością jednostki w świecie a koniecznością podjęcia walki o zmianę jego porządku. Jasno dostrzega antynomię między dążeniem do integracji narodowej skierowanej przeciwko uciskowi zaborców a rzeczywistą dezintegracją społeczeństwa w niewoli.

A przecież mimo to nie zaprzestanie swej działalności ani nie wyrzeknie się swych ideałów. Wbrew świadomości dotkliwych porażek podejmie tę heroiczną walkę. Nadal pragnie pełnić z poświęceniem służbę narodową i społeczną, a przede wszystkim – być żywym głosem sumienia swojej epoki w twórczości literackiej.

Te same zagadnienia znajdują się w centrum problematyki całej dojrzałej twórczości Żeromskiego. Zawsze w jego dziełach poświęconych współczesności występować będzie bohater inteligencki, który podejmuje heroiczną walkę przeciwko istniejącemu porządkowi rzeczy. Ta walka w perspektywie indywidualnej jest protestem przeciw prawom przemijania i śmierci, a w perspektywie społecznej – przeciw niesprawiedliwości rządzącej światem. W niej jednostka odnajduje poszukiwany sens życia i własną godność, nawet za cenę rezygnacji ze szczęścia osobistego.

Co z tego konglomeratu myśli i uczuć zdolna była objąć „czującym wiedzeniem" pani Natalia? Czy ulegała tylko fascynacji niepospolitą osobowością autora *Dziennika,* jego odmiennością od znanych sobie postaci ze środowiska ziemiańskiego? – Nigdy się tego nie dowiemy.

Na cmentarzu parafialnym w Niemojkach zachował się grób, którego wygląd demonstruje przenikliwy smutek rzeczy minionych; zniszczony przez upływ lat i niespokojne czasów koleje, z dawien dawna zaniedbany „grób familijny Dobrzyńskich od roku 1838". Jest w nim pochowany Jakub Dobrzyński, ojciec pań Anieli i Natalii, który zmarł w Łysowie 1897 roku w wieku 73 lat. Na sąsiedniej tablicy można odczytać napis poświęcony heroinie mniejszego tomiku *Dzienników:*

Ś.p. Natalia z Dobrzyńskich Faÿtt
obywatelka ziemska
ur. 21 listopada 1858 r.
zm. 22 lutego 1907 r. w Patkowie
Pokój Jej Duszy
Ukochanej Żonie i Matce – Mąż i Dzieci.

Zwyczajem owoczesnym wyryto na pomniku nagrobnym także krótki czterowiersz:

Zwłoki umarłych złożone w tym grobie,
Przechodniu, proszą o jedno westchnienie,
Krótkiej modlitwy żądają od Ciebie,
Abyś za Ich dusze zmówił wieczne odpocznienie.

O ile wiadomo, Stefan Żeromski nigdy tego pomnika nie oglądał.

V

„Talent, ogólnie rzecz biorąc – pisał Tomasz Mann – to delikatna, trudna sprawa, w której mniejsze ma znaczenie, czy ktoś coś umie, a dużo większe, czy kimś jest – można by powiedzieć, że talent nie jest niczym innym, jak zdolnością do posiadania losu."

Jeśliby z tego punktu widzenia spojrzeć na *Dzienniki,* to zdumiewa przede wszystkim fakt, w jak wielkim stopniu młody Żeromski był obdarzony „zdolnością do posiadania losu". Jego wiedza szkolna nie wykraczała poza przeciętność, systematycznych studiów nie odbył wcale, zastąpiło je w znacznej mierze zachłanne oczytanie. A jednak czytelnik ani na chwilę nie traci przekonania, że autor „kimś jest", kimś, kto ma do wypowiedzenia wiele niebanalnych sądów o historii swego czasu i o dziejach własnego serca.

A nie są to bynajmniej mądrości książkowej proweniencji. W ogóle w niniejszym tomiku zmniejsza się wydatnie inwazja reminiscencji z lektur, które nabierają innego niż dawniej charakteru; coraz rzadziej pełnią funkcję autorytatywnych wyroczni, coraz częściej są po prostu akompaniamentem do własnych przeżyć autora. Taką rolę spełniają: Goethego *Powinowactwa z wyboru*, Sienkiewicza *Bez dogmatu*, Maupassanta *Nasze serce*, Mańkowskiego *Hrabia August*, a więc utwory mające za temat komplikacje miłosne, analogiczne do tych, które podówczas trapiły autora *Dzienników*. Podobnie rzecz się miała z poezją: liryka miłosna Asnyka i Heinego, najobficiej tu cytowana, odpowiadała mu z jednej strony klimatem smutku, zawiedzionych nadziei, melancholii i tęsknoty, z drugiej zaś – ironią, będącą jednym ze sposobów wyrażania wyższości nad niezadowalającą rzeczywistością.

Odrębną pozycję w lekturach Żeromskiego zajmuje Turgieniew, który „nad artystami Europy stoi jeden zawsze, wieczny filozof, znawca człowieka, smutny mędrzec" (19 VIII 1887). Ale nie jest to w tym przypadku realistyczny obserwator życia ludu rosyjskiego z *Zapisek myśliwego* ani twórca postaci walczącego o wyzwolenie narodowe Insarowa z powieści *W przededniu,* lecz autor *Poezji prozą*. O „schopenhaueryzmie" starzejącego się Turgieniewa z okresu *Senilii* pisała niemało krytyka rosyjska. Tu warto zaznaczyć, że zacytowany w całości z tego cyklu *Żebrak* stanowi przykładową realizację artystyczną zasad etyki litości Schopenhauera. Dostrzega to pośrednio autor Dziennika w swym komentarzu do przytoczonego „arcydzieła", aczkolwiek nie wymienia nazwiska sławnego filozofa:

„Oto jest piorun geniuszu. Takimi słowami przemawiają Grottger, Szekspir i ten Moskal. Nie jest to utwór sztuki, tylko jakiś pryzmat, przez który widzieć można przepaść nicości istnienia. Głowa opada na ręce w bezmyślnym chaosie duszących uczuć...

Ten wielki wyznawca wiary w postęp przy końcu życia umiał łkać tylko i takimi łzami nad nicością jestestwa. Jest on o tyle szczególny, że w beznadziejnej, a tak beznadziejnej i zdecydowanej jak u Leopardiego, rozpaczy miłował do ostatka nie rozwiązaną przez filozofią zagadkę: człowieka. Zda się, że humanitaryzm naszego wieku, on humanitaryzm, którego socjalizm jest gałęzią tylko, w Turgieniewie miał największego i najsumienniejszego przedstawiciela" (23 VI 1890).

Z charakterystycznymi zmianami w doborze lektur łączy się też w tym tomiku brak odwołań do autorytetu wielbionych dawniej „mistrzów naszego wieku": Buckle'a, Spencera, Taine'a, Brandesa, co można by uznać za symptom zmierzchu znaczenia powag epoki pozytywistycznej. W ogóle zanika tutaj mozaika erudycyjnych cytatów na rzecz szerokiego malowidła realistycznego lub subtelnej analizy psychologicznej.

W zakresie sztuki pisarskiej autora uderza przede wszystkim wydoskonalenie warsztatu realistycznego, o czym świadczy na przykład scena pojedynku słownego z

Leonem Wasilkowskim za pobytu w Warszawie, sugestywne opisy życia szkolnego w Kielcach, a zwłaszcza kapitalna opowieść o koledze Cieszkowskim, który zdawał egzamin z prawa przy pomocy magnetyzowania prof. Błoka. Tę opowieść można by wyłączyć z *Dziennika* i ogłosić jako samodzielną nowelę, lepszą od niejednej ze zbioru *Opowiadań* czy *Utworów powieściowych.* Niemniej jednak sam autor zdawał się niezbyt wielką wagę przywiązywać do tych „przerywników" realistycznych, traktował je jako popis sprawności pióra. Za najistotniejszy w swoim *Dzienniku* uznawał nurt introspekcji psychologicznej, któremu poświęcał najwięcej miejsca i dbałości o walory ekspresywne. Pośrednio wynika to również z dialogu, jaki toczył się na temat bohaterów powieści *Bez dogmatu:*

„– Według mnie *Bez dogmatu* jest powieścią niemoralną bardziej niż powieści Zoli i Bourgeta... – mówi Natuś.

– Jeżeli zechcemy każdy utwór sztuki mierzyć i przykrawać do łokcia katechizmu ks. Putiatyckiego. Cóż bowiem może być niemoralnego w często z serca wynurzanych skargach człowieka kochającego głęboko? Jedyną zaletą właśnie tej powieści są »niemoralne« wynurzenia Płoszowskiego, bo powieść sama budowana jest na miarę umiłowań arystokracji, niektóre zaś zwierzenia bohatera, czerpane z głębi jego duszy bez osłon dogmatu – mają wagę i piękne są.

– [...] Przekona się pan, że Anielka ostoi się pokusom tego uwodziciela.

– Może nawet żywcem do nieba wstąpi w ostatnim rozdziale, a mimo to tylko gorzkie skargi Płoszowskiego mieć będą znaczenie i dadzą piętno artyzmu powieści" (6 VIII 1890).

Ta wysoka świadomość pisarska łączy się z widoczną troską o to, aby „odpowiednie dać rzeczy słowo". Największym *novum* artystycznym autora jest swoisty styl narracji, w którym tonacja poważna lub liryczna przemieszana jest z ironiczną, romantyczny patos czy wzniosły sentyment – z drapieżną obserwacją naturalistyczną i bezlitosną satyrą wobec słabostek ludzkich. Obok scen przejaskrawionych istnieją niedopowiedzenia, apelujące do domyślności czytelnika poprzez aluzje, subtelne odcienie określeń, zwłaszcza w odtwarzaniu stanów uczuciowych. Obok bohatera działającego jest w tej prozie stale obecne *alter ego,* które autor dopuszcza do głosu nie tylko w celu komentowania przedstawionych zdarzeń, ale głównie w celu autointerpretacji własnej postawy. Czasami zresztą jest to zabieg szczególny, polegający na pozornej autokompromitacji bohatera – narratora, która ma go podnieść, w oczach czytelnika, albo na hamowaniu prawdziwego wzruszenia przez młodzieńcze dezynwoltury lub dowcipy. Na tle dość konwencjonalnych sposobów wyrażania uczuć bohaterów w prozie dziewiętnastowiecznej środki artystyczne młodego Żeromskiego sprawiają wrażenie ogromnego bogactwa i różnorodności.

Opisy przyrody ojczystej – jak zwykle u Żeromskiego soczyste i pełne krasy – pełnią w *Dziennikach* rozmaite funkcje. Najpospolitsza jest funkcja komplementarna, dopełniająca, np. opis deszczu, gdy autor oddaje się smutnym rozmyślaniom. Kiedy indziej opisy przyrody dynamizują akcję opowiadania, jak np. opis księżyca oświetlającego ścieżkę, po której bohater dąży na schadzkę. Innym razem opisy przyrody bywają projekcją stanów duchowych narratora, np. opis pniaka, w którym ukrywano korespondencję, czy lian z fasoli wokół furtki w Patkowie.

Oddzielnym zagadnieniem, wymagającym fachowych studiów i specjalnego przygotowania, jest mistrzostwo języka Żeromskiego, jego ogromna wrażliwość na odcienie znaczeniowe i zabarwienie uczuciowe słowa. W *Dziennikach* widać wyraźnie, jak odświeżał swe środki artystyczne leksyką gwarową i fachową, jak umiejętnie wydobywał z mowy ludu archaizmy i prowincjonalizmy, jak świadomie unikał klisz żargonu dziennikarskiego i mowy zbanalizowanej. To wspaniałe bogactwo językowe organizował w

całości posiadające swój wewnętrzny rytm i napięcie, z momentami retardacji i gwałtownych przyspieszeń.

W stosunku do *Dzienników* nie sprawdzają się uogólniające formuły krytyków, którzy z punktu widzenia późniejszej mody na oszczędność i prostotę stylu atakowali w dziełach Żeromskiego „barok językowy" i „liryczne wielosłowie". Moda na styl attycki lub azjański zmieniała się w ciągu wieków niejednokrotnie, lecz tak w jednym jak i w drugim rodzaju można być artystą lub fuszerem, wynalazcą lub naśladowcą. W *Dziennikach* Żeromski daleki jest jeszcze od ekstremizmów stylu modernistycznego, dopiero próbuje stworzyć nowe formy wyrazu, będące w opozycji do pozytywistycznego opisywactwa. Próbuje zresztą z rozmaitymi rezultatami, sam bowiem kształcił się na konwencjach stylistycznych epoki odchodzącej w przeszłość. Ale są tu już całe partie, które zawierają elementy stylistyczne przyszłych opowiadań, *Ludzi bezdomnych*, publicystyki społecznej, a nawet *Popiołów* i *Dziejów grzechu.*

Jeżeli zgodzimy się z twierdzeniami współczesnej krytyki, że ewolucja sztuki pisarskiej XX wieku zmierza zdecydowanie w kierunku luźnej kompozycji, pamiętnikarstwa, swobodnych skojarzeń narratora, że cechą prozy dwudziestowiecznej jest nade wszystko złamanie konwencji klasycznej powieści XIX wieku z jej koncentracją fabuły wokół konsekwentnego rozwoju psychologicznego bohaterów i z jej „przezroczystym", niezauważalnym stylem – to można by wygłosić nieco paradoksalną opinię, iż *Dzienniki* wyprzedziły literacko swoją epokę, choć tak mocno są z nią zrośnięte. Mniejsza o to, że było to wyprzedzenie nieświadome, nie oparte na przemyślanym systemie teoretycznym ani na koherentnej poetyce. Nigdzie w *Dziennikach* nie znajdziemy terminów takich, jak amorficzność czy autotematyzm, a przecież nie ulega wątpliwości, że podstawowa materia dzieła jest właśnie amorficzna i autotematyczna. Luźne epizody połączone są tu niemal wyłącznie osobą narratora, ich selekcja i hierarchia nie zależy wcale od potrzeb konstrukcyjnych, lecz od funkcyjnej ważności dla bohatera. Stąd szerokie rozbudowanie tych epizodów, które posuwają naprzód akcję duchową postaci, a referujące, skrótowe potraktowanie tych, które służą rozwojowi akcji zewnętrznej. Jest to oczywista zapowiedź techniki konstrukcyjnej *Ludzi bezdomnych*, *Dziejów grzechu, Urody życia* i innych powieści współczesnych.

Gdyby Żeromski wówczas ogłosił duże partie *Dzienników*, nawet w otoczce fikcyjnej fabuły, jaka w dziesięć lat później towarzyszyła dziennikowi Joasi z *Ludzi bezdomnych*, historycy literatury o wiele wcześniej stawialiby dziś datę początkową epoki modernizmu w literaturze polskiej. To Żeromski w przedostatniej dekadzie XIX wieku, a nie Miriam –Przesmycki we wstępie do *Wyboru pism dramatycznych* Maurycego Maeterlincka (1894) ani Artur Górski w cyklu artykułów pt. *Młoda Polska* (1898), ani Stanisław Przybyszewski w manifeście programowym pt. *Confiteor* (1899), byłby zwiastunem przełomu modernistycznego w naszej literaturze.

Tak się nie stało i tak się stać nie mogło. Po pierwsze – ze względów dyskrecjonalnych. Nazbyt intymny charakter miały *Dzienniki*, żeby autor mógł dopuścić wówczas do ich publikacji. Te zaś fragmenty, które po odpowiednich przeróbkach wydrukował w formie opowiadań, miały służyć świadomie wyeksponowanej tezie, usiłowały się włączyć w dysputę społeczną na łamach „Głosu", przy czym ideolog brał w nich górę nad artystą. Dotyczy to np. opowiadania *Oko za oko*, o którym tak pisał w liście do Oktawii Rodkiewiczowej:

„Wydam nowelę, może dostanę przecie ze 100 rubli; teraz wykańczam dużą – prawie powieść pt. *Oko za oko* i umieszczę ją w którymś z pism warszawskich. [...] Opisuję teraz w noweli miłość i trochę fałszuję, bo nie mam tych słów, jakie mi nagle przy Tobie przychodzą. Niektóre kartki z mojego dziennika, gdyby były w takiej powieści – tak jak je napisałem gorączkowo po rozmowie z Tobą – byłyby nowe, inne niż u wszystkich.

[...] Jestem inny, inny, inny. Trochę mi nawet żal dawnego łotra, który jeszcze dwa lata temu jednego wieczora szedł na schadzkę z panią Anielą, drugiego z panią Natalią, a w południe całował w lesie pannę Stasię. Dziś by mi się już tego wszystkiego nie chciało – daję na to znowu słowo honoru" (l VI 1892).

Zdając sobie sprawę z własnego nowatorstwa w dziedzinie odtwarzania uczuć, wykorzystując nawet materiał niniejszego tomiku *Dziennika* dla prowadzenia wątków fabularnych, pragnie jednak autor zrealizować w noweli *Oko za oko* całkiem inne zamiary ideowe i artystyczne, o czym świadczy wyjątek z listu do tej samej adresatki :

„Chciałem w tej noweli przedstawić ten moralny pseudonabytek, jaki osiąga społeczeństwo słowiańskie ze złączenia się z Żydami. Ale temat jest ohydnie trudny, bo nie da się takiej kwestyjki wymacać czytelnikowi palcami, tylko się ukaże jakąś antysemicką tendencję – a to licha warte. Nie mam żadnego talentu okazywania tego, co chcę napisać, gubię się w czczych słowach, w retorycznych zwrotach. Umyślnie studiowałem takich Żydków inteligentnych, żyłem z nimi w przyjaźni i doskonale wiem, co mam napisać, wiem, że to jest racjonalne, co napisać powinienem, a gdy napiszę – wychodzi całkiem co innego. Nowela taka, jaką ja chcę uprawiać, jest rodzajem literackiego artykułu, którego nie można napisać inaczej, tylko w formie przykładu, opowiadania, powieści. Stąd wynika masa trudności, bo utwór taki ma dwa jakby kierunki, a nie powinien mieć tendencji. Stąd – każde słowo trzeba oglądać z czterech stron, skracać tzw. psychologią, wymyślać dowcipy, wpadać to w realizmy, to w symbolizmy... Z tego wszystkiego wynika darcie się za łeb i – niemoc. Ma się w głowie kartkę białego papieru i ten dokuczliwy temat, jaki przy ogólnym objęciu go rzutem oka jest, zda się, pyszny, ciekawy, zupełnie nowy, a gdy przyjdzie go wykazać, gdzieś się szelma zapodziewa" (22 V 1892).

Jak z tego widać, *Dzienniki* są nie tylko kopalnią materiałów wykorzystywanych w dalszej twórczości, zbiorem motywów rozwijanych bądź parafrazowanych w utworach przeznaczonych do druku, o czym wielokrotnie i przekonywająco pisali krytycy. Są one jeszcze czymś więcej. Można by powiedzieć, że podstawowe znaczenie *Dzienników* w sferze artystycznej polega na istniejącym w nich potencjalnie nowatorstwie, a dokładniej – na antynomii tej niezbyt klarownie uświadomionej postawy nowatorskiej z postawą tradycyjną.

I nie względy dyskrecjonalne zdecydowały o tym, która z tych postaw zwyciężyła w pierwszym okresie twórczości Żeromskiego. Fakt, że najpierw zrealizowana została postawa obiektywno – realistyczna, był wynikiem świadomego wyboru autorskiego, jego poczucia odpowiedzialności narodowej i społecznej, wysokiej miary przykładanej do działalności pisarskiej jako swego rodzaju posłannictwa w służbie kraju. Dlatego druga postawa, którą można nazwać autokreacyjną – narrator stopniowo tworzy z epizodów własną postać jako świadomie budowaną rolę – zeszła na dalszy plan i ujawniła się, a raczej zaktywizowała w wiele lat później. Wielka to szkoda dla procesu modernizacji literatury polskiej, ale takie właśnie imperatywy wewnętrzne rządziły twórczością młodego Żeromskiego.

Czy jednak rzeczywiście nic nie pozostało z doświadczeń autokreacyjnych *Dziennika* nawet w tej pierwszej, programowo realistycznej fazie pisarstwa autora *Opowiadań* i *Utworów powieściowych*? Na to pytanie nieuprzedzony czytelnik nie będzie mógł bez wahania odpowiedzieć twierdząco. To prawda, że w *Siłaczce* czy *Doktorze Piotrze* eksponowane przez autora idee mają znamię pozytywistyczne czy „głosowiczowskie". Ale bohaterowie są już nowocześni, rozdzierani wewnętrznymi konfliktami, często o charakterach złamanych zwątpieniem i rozpaczą, działają heroicznie wbrew świadomości klęski. Jak diametralnie różni się ich postępowanie od czynów postaci wyznających łokciową dewizę „mierz zamiary podług sił". Jak odmienna od uładzonego świata no-

wel pozytywistycznych atmosfera panuje w opowiadaniach Żeromskiego: pełna ponurej wiedzy o rzeczywistości, pozbawiona optymistycznych złudzeń, duszna od niewoli, marazmu i ciemnoty. O ileż bardziej skomplikowane są motywacje psychologiczne poczynań bohaterów, krańcowo przeciwstawne jednowektorowym działaniom postaci dawniejszej nowelistyki.

Rejestr tych różnic można by ciągnąć jeszcze dłużej, nie chodzi tu jednak o ich pełne zestawienie. Rzecz w tym, żeby uzmysłowić sobie, w jak silnym stopniu postawa nowatorska z *Dzienników* przeniknęła nawet do tych wczesnych, realistycznych opowiadań, które sam autor konstruował wedle innych wzorów, zanim w *Ludziach bezdomnych* świadomie do prozy autokreacyjnej powrócił.

Na tym też polegają naczelne wartości *Dzienników:* krystalizacja ideologicznych i artystycznych poglądów pisarza, świadectwo dane własnej epoce, szkoła stylów, a nade wszystko nowatorskie sposoby ujęcia oryginalnej problematyki.

JERZY KĄDZIELA

TOM XXI

[od 10 czerwca 1890 r.
do 18 października 1890 r.]

Błądzi, szkodzi krajowi, kto działa według ksiąg,
a nie ze względu na czas i potrzeby teraźniejszej
chwili.

MOCHNACKI *Noc 15 sierpnia (Dzieł* t. IV, *48)*[1]

1 e p i g r a f z M o c h n a c k i e g o – pochodzi z zakończenia artykułu *Noc piętnastego sierpnia,* ogłoszonego w „Dzienniku Krajowym", nr 226 z 18 VIII 1831 r.; przedruk w *Dziełach* Maurycego Mochnackiego, t. IV; *Pisma rozmaite. Oddział porewolucyjny,* Poznań 1863, nakładem księgarni J. K. Żupańskiego, s. 49.

10 czerwca (wtorek) 90 r.

K i e l c e.

Drugi już tydzień „bawię" w Kielcach na załatwianiu interesów, z których ani mnie, ani nikomu za pół papierosa nie ma pożytku, na asystowaniu damom już na spacerach, już w progach domowych ognisk. Spotykam całe stada krewnych i kuzynów, z których każda sakramentalnie połączona para uważa sobie za święty obowiązek dręczenia mię pytaniami, zmuszania do opowieści o żywota mego celach, i sprawia to przygnębiające na umyśle moim wrażenie, jakie sprawia gotujący się asfalt.

Pan Bronisław[2] zaprowadził w swej kamienicy wodociągi, sufit w salonie kazał „wyalfreskować"[3], chodzi w kapeluszu kupionym osobiście na wieży Eiffla i coraz bardziej przypomina napchany delikatnym jadłem i uśmiechający się optymistycznie do otaczającego świata żołądek. Ujrzawszy mię, wydaje sympatią znamionujące pomrukiwanie i zaprasza najusilniej do nawiązania zerwanych przeze mnie stosunków.

Stosunków nie myślę nawiązywać, ponieważ bardzo mi jest obywać się bez nich przyjemnie. Co właściwie mogę mieć wspólnego z pawianami, ceniącymi tych tylko ludzi, jacy posiadają setki tysięcy rubli i kamienice z wodociągami. Żołądek ten jest moim bratem ciotecznym – zapewne – wtedy jednak nawet, gdy padamy sobie w objęcia i uśmiechamy się do siebie z rozkoszą, uczuwamy, sądzę, że obustronnie, tylko dotykanie się brzuchów. Jeżeli pragnę, co mi się niesłychanie rzadko przytrafia, wybić się na wierzch, to tylko dlatego, aby takim panom Bronisławom złożyć wizytę wtedy, gdy będę mógł wizytą moją salony ich zaszczycić – kiedy indziej nie będę, czyli nie będę nigdy.

Na świecie tak mało jest ludzi, że szukać ich w Kielcach byłoby co najmniej optymistycznym ryzykiem. Światek ten żyje życiem roślinnym tak wieczyście monotonnym, że ilekroć zdarza mi się po roku, po dwu do Kielc zajechać, nie znajduję zmiany żadnej. Te same twarze, ci sami emeryci, te same dewotki, ten sam profesor S.[4] z wysuniętymi mankietami i piętnem serwilizmu na licu, te same głupie oblicza młodzieży i głupsze jeszcze noski i buzie pseudomodnie ubranych panien, bajki miastowe te same i taż sama nuda, wisząca w powietrzu, przesiąkająca wszystko, wciskająca się w głąb twego ciała jak wilgoć jesienna. Jeżeli się tu co zmienia, to jedynie energia potencjalna moskiewszczyzny. Dostrzegasz ją wszędzie, gdziekolwiek stąpisz, dręczy cię, dusi, wciska się w twe serce, dławiąc je, jak woda wsiąkaniem dławi gąbkę. Ta siła piekielna niepostrzeżenie się wzmaga, rośnie, olbrzymieje, dławi żywioły dobre i dławi – na gnój. Przyjechawszy do tego rodzinnego miasta po roku nieobecności, można dopiero jasno jak na dłoni zobaczyć straszliwe ślady wysysającej z nas siłę choroby.

---

2 p a n B r o n i s ł a w – Saski (1847 – 1914), syn Wiktoryna i Ludwiki z Żeromskich, brat cioteczny pisarza; mieszkał we własnym domu w Kielcach, gdzie miał aptekę; należał do ludzi dość zamożnych.

3 „w y a l f r e s k o w a ć" – al fresco, często spotykane zamiast a fresco (wł.) – technika malarstwa na świeżym, wilgotnym tynku.

4 p r o f e s o r S. – prawdopodobnie Karol Strawiński (1844 – 1900), nauczyciel matematyki, fizyki i geografii w gimnazjum kieleckim od 1869 do 1900 r.

Z obowiązku, na egzaminach Adasia[5] przesiadywałem po kilka godzin w gimnazjum. Gdy rozlegał się znany i dziś jeszcze przejmujący mię dziwną trwogą głos dzwonka, gdy ucichało wszystko, stary „pan Teodor”[6], odwieczny pedel, zasiadał do drzemki na swym stołku przy drzwiach wchodowych, zdawało mi się, że jestem jeszcze dzieckiem tego domu, pieściłem się wspomnieniami, wiejącymi tu z każdej niemal cegły, z każdej deski podłogi... Tak samo pada wiosenny promień słońca zza poczerwieniałych szyb okien korytarza na szare ściany, tak samo w ciszy godzin lekcyj słychać szmer kilkuset małych ust zmuszonych do milczenia i szepcących potajemnie, te same najdziwaczniejsze figle małych pajaców podczas „przemiany”[7]..

Tylko za moich czasów była tu polskość i oddech swobodniejszy, był Bem[8], stary „Zubel”[9], Kremer[10]... Dziś oni albo spać poszli między zielska cmentarne, albo zgoryczeni uciekli przed Moskalami. Niektórzy z moich nauczycieli, jak „profesor Tomasz”[11], w Cytadeli wypowiadają oprawcom resztę tych boskich idej, jakie w nasze młodzieńcze serca z katedry sączyli. Dziś, w tej właśnie sali, gdzie Bem tajemnie *Dziady* nam czytywał, wisi portret cara i „ikona” cały kąt zasłaniająca. Na miejscu Naruszewicza[12], tego uczciwego Moskala, który na lekcjach literatury ruskiej *Świteziankę* po polsku jako wzór ballady czytywał, siedzi [...] jakiś, karzący malców wydaleniem ze szkół za to, że staremu „Zublowi” złożyli na trumnie z napisem polskim wieniec; na miejscu poczciwca „Foki”[13] – inny jakiś [...] z unity przechrzczony; na miejscu Star-

---

5 n a e g z a m i n a c h A d a s i a – Rzążewskiego, którego Żeromski przygotowywał na kondycji w Łysowie do egzaminów wstępnych. „Gazeta Kielecka” informowała w nrze 38 z 14 V 1890 r.:

W gimnazjum kieleckim egzamina zaczną się w dniu 3 VI, podania przyjmowane będą do dnia l VI. Wakansów kilkanaście.

W numerze 51 „Gazety Kieleckiej” z 29 VI 1890 r. zamieszczono wiadomość następującą:

Do klasy I zdawało 79, w tej liczbie; 49 uczniów klasy przygotowawczej i 30 z prywatnej edukacji; z tych 53 zdało egzamin, a będzie przyjętych tylu, ile będzie wakansów w klasie I.

Wreszcie w „Gazecie Kieleckiej” nr 72 z 10 IX 1890 r. podano jeszcze jedną informację:

Do klasy wstępnej gimnazjum kieleckiego przyjęto nowych uczniów 38.

6 „p a n T e o d o r” – Tylkowski, woźny w gimnazjum kieleckim.

7 „p r z e m. i a n a” – (z ros.) pauza, przerwa między lekcjami.

8 b y ł B e m – Antoni Gustaw Bem (1848 – 1902), ulubiony nauczyciel języka polskiego i historii w latach szkolnych Żeromskiego, przeniósł się w r. 1888 do Warszawy, gdzie pracował w szkolnictwie prywatnym oraz publikował studia i szkice krytycznoliterackie.

9 s t a r y „Z u b e l” – przezwisko Gracjana Czarneckiego (1827 – 1889), nauczyciela matematyki i fizyki w gimnazjum kieleckim od 1862 do 1887 roku.

10 K r e m e r – Robert Kremer (ur. 1819) był nauczycielem języka niemieckiego i języków starożytnych w gimnazjum kieleckim od 1862 do 1885 r., kiedy przeszedł na emeryturę.

11 11 „p r o f e s o r T o m. a s z” – Siemiradzki (1859 – 1941), nauczyciel języków starożytnych i historii w gimnazjum kieleckim od 1881 do 1885 r.; w latach 1887 – 1889 jako stypendysta rządowy studiował w Berlinie prawo rzymskie i w marcu 1890 r. otrzymał nominację na profesora uniwersytetu w Kazaniu; katedry jednak nie objął, ponieważ w kwietniu 1890 r. został aresztowany w Warszawie za działalność konspiracyjną w berlińskim oddziale Związku Młodzieży Polskiej „Zet”; więziony w Cytadeli warszawskiej, a później w petersburskich Kriestach, został zwolniony w lipcu 1891 r. i oddany pod nadzór policji.

12 N a r u s z e w i c z – Piotr Naruszewicz był nauczycielem języka rosyjskiego i historii w gimnazjum kieleckim od 1881 do 1886 r.

13 p o c z c i w i e c „F o k a” – przezwisko Faustyna Kosteckiego, inspektora oraz nauczyciela języka rosyjskiego i historii w gimnazjum kieleckim w latach 1875/76 i 1879 – 1886; według zdania prefekta szkoły, ks. Teodora Czerwińskiego, Kostecki „udawał przyjaciela Polaków..., obowiązki swoje nauczyciela i inspektora niedbale dopełniał” (T. Czerwiński: *Pamiętnik,* cz. II, Kielce 1931, s. 53).

kiewicza[14], który umiał najlepiej chyba kląć Moskali – *gospodin Lwowskij*[15], który w tym roku przeszedł na prawosławie[16].

A jednak ta ogromna masa dzieci i młodzieży tam, [...] wobec rozlepionych przepisów broniących mówić po polsku, po polsku mówi i, niech nie będę złym prorokiem, po polsku myśli. W cieniu ich praw rosną wiecznie jednacy, wiecznie szlachetni w młodości. Kiedyś życie ich żółcią napoi, gdy zobaczą wszystką bezcześć rzeczy szlachetnych i bezmierny tryumf podłości.

Marian W[17]. skończył matematykę w Kijowie, obecnie wybiera się do Paryża na nauki handlowe. Jak każdy wychowaniec uniwersytetu w Cesarstwie ma w swym myśleniu coś z myślenia wieprzka. Darowuję mu, że udaje salonowca, nie mając pojęcia o salonowości, nie mogę jednak znieść filistrii, jaka ogarnia każdego młodego człowieka kończącego nauki i osiadającego w Kielcach. Dziwne miasto! Najbardziej rozmachani „działacze", ilekroć na czas jakiś zmuszeni są zetknąć się z *high – life'em* kieleckim, starają się zetrzeć ze siebie wszelką oryginalność, spłaszczyć się, przylgnąć do poziomu tej gnijącej sadzawki, nad którą stoją tylko z wzniesionymi czołami jak tataraki – panowie zmoskaleni.

Zygmunt G[18]. jest adwokatem, ma swą kancelarią, trzy pokoje, salon, meble, dywan... Cuda opowiada o tym dywanie! Nigdy by nań nie stąpnął nogą i śmiech go nieraz ogarnia, gdy studenckimi oczami patrzy na blichtr – dla zwabienia klienta puszczony... Z takich jak on wyrastają – nerwowo chorzy. Mówi ciągle, że ma chmurę na mózgu, chaos... Musi mieć chaos w głowie każda szlachetna jednostka, zmuszona wyławiać ze szlamu sadzawki kieleckiej pożywne dla siebie cząsteczki.

Przepysznie Zygmunt kłania się prezesowi sądu okręgowego i jeszcze pyszniejsze otrzymuje ukłony. Jeżeli bowiem spotkasz w ogrodzie publicznym grono młodych „kandydatów do posad sądowych", adwokatów, sekretarzów sądu itd. i przechodzącego obok nich prezesa, ujrzysz, jak całe grono zrywa się, prostuje i czapkuje – Zygmunt rozmawiając ze mną, rozparty, niedbale uchyla kapelusza... Moskal dotyka krają kapelusza jednym palcem, rzucając jednocześnie takie spojrzenie, że pierwszy lepszy filister mógłby dostać chronicznego kataru kiszek. Toteż Zygmunt mówił do mnie wczoraj:

– Gadać już nie potrafię, nie umiem po prostu, nie wiem co już gadać, ale łeb położyć bym chciał za jedno.

Wszyscy żyjemy w tym właśnie rozbiciu. Czego chcieć – nie wiemy. Mądrzy socjologowie potrafiliby zbić nas na kwaśne jabłko, nam jednak tak dalece źle jest, tak jak jest, że z ochotą każdy z nas „położyłby łeb" za to coś nieznanego, co nazywamy daleko nawet odbiegającym od treści wyrazem – ojczyzna.

---

14 S t a r k i e w i c z – Jan Starkiewicz był nauczycielem klasy wstępnej w gimnazjum kieleckim od 1873 do 1889 r.

15 g o s p o d i n L w o w s k i j – (ros.) pan Lwowski; Piotr Lwowski był nauczycielem klasy wstępnej w gimnazjum kieleckim od 1889 do 1891 r.; nie posiadał wyższego wykształcenia, ukończył tylko seminarium nauczycielskie.

16 w t y m r o k u p r z e s z e d ł n a p r a w o s ł a w i e – w zapisie z dnia 4 IX 1890 r. autor *Dziennika* stwierdza, że Piotr Lwowski „rok temu przeszedł na prawosławie", co zgadzałoby się z datą rozpoczęcia służby państwowej w gimnazjum.

17 M a r i a n W. – Wilkoszewski (1867 – 1931), kolega szkolny Żeromskiego; po zdaniu matury w gimnazjum kieleckim w r. 1885 studiował matematykę w Uniwersytecie Kijowskim, a następnie w École des Sciences Politiques w Paryżu.

18 Z y g m u n t G. – Grunert, kolega szkolny Żeromskiego, absolwent gimnazjum kieleckiego z r. 1884; po ukończeniu studiów prawniczych na Uniwersytecie Warszawskim został adwokatem w Kielcach. O „niecenzuralnym szkicu" zaczerpniętym z jego życia wzmiankował autor *Dzienników* w zapisie z dnia 12 XI 1889 r.

Wczoraj w ogrodzie publicznym zabił się wystrzałem z rewolweru starzec[19] siedmdziesięcioletni, emeryt jakiegoś biura. Był unitą [...]. Człowiek był chory, sprzedawał graty, żonę wysłał do rodziny, sam zaczął wyprzedawać ubranie: niósł do Żyda surdut i sprzedawał go za dwa ruble, za rubla brał surdut od Żyda gorszy i rubla, za którego żył przez tydzień – wreszcie, gdy nie było co sprzedać, wpakował sobie kulę w serce. Gdy się o tym wszystkim słyszy, gdy się temu trupowi białowłosego starca utarzanemu we krwi przygląda, w całym ciele, w duszy rodzi się jakaś choroba, skir[20] chyba, toczący serce. Nie jest to już nienawiść, skarga, bunt, ale jakaś straszna boleść.

Tymczasem świat filistrów spaceruje, bawi się, weseli, używa przyjemności [...]. A my, „z chmurami na mózgu", najlepsi niby – nie mamy również prawa żądać, jak Heine, aby nam na trumnie przybito szpadę, ponieważ i my łączymy się ze „stadem owiec, rozbitym przez wilki", nie walczymy. Oburzenie straszne, tajone nie tworzy w nas żadnego czynu, a łzy połykane [...] – to nie czyn żaden. W społeczeństwie nie –Polaków i nie – Polek, lecz facetów i facetek nie ujdzie zresztą żaden czyn.

Wchodziemy w świat urzędniczy. Słucham rozmów panów dygnitarzy z panami kwalifikującymi się na dygnitarzy... Cała mądrość pierwszych i drugich polega na tym, aby mieć „czuja"[21]. Znaczy to: tak poznać pana gubernatora i panów radców, aby gdy, dajmy na to, jakiegoś referenta wyrzucą za złodziejstwo – umieć z dobrego humoru skorzystać w czas, na posadkę wleźć i kłaniając się, iść a iść aż do *sowietnika,* aż do *tajnawo sowietnika*[22]... Nazywa się to, że my mamy silnie „czującą", wallenrodyczną klasę urzędniczą.

My mamy tylko lud. Ogromny lud, niezmierzony, niedostępny Moskalom jak szczyty Tatr. Byłem tu na procesji Bożego Ciała i napatrzyłem się chłopów. Ulice starego miasta zmieniły się w kościół, po którym szły tłumy chłopów w burych sukmanach. Gdy zaśpiewali – mury, zda się, drżały i nie ma siły, która by śpiew ten stłumiła, nie ma tak długiego czasu, który by ich tego polskiego śpiewu zapomnieć nauczył. Wszystko może spodleć, zgnić [...] – lud się ostoi i nie zmieni się „w obcy naród, który nas nienawidzi"[23]...

Na próżno z zasadami takimi chadzać po świecie, na którym „być dobrze"[24] ogromnie jeszcze wiele znaczy. Nie będąc nawet szlachtą, mamy zasady i pretensje szlacheckie. Salon nas zjada. W salonie niejednokrotnie zdarza się słyszeć „kwestie" i ich rozbiory. Jest kwestia żydowska, czasami nawet – robotnicza, tylko o kwestii moskiewskiej ani mowy. Wygląda to tak, jak gdyby ktoś, komu wciśnięto na czoło żelazną obręcz, od której pęka czaszka, uskarżał się na nagniotki. O kwestii żydowskiej z niezwykłym humanitaryzmem rozprawiają nawet panowie radcy, bałamucący podżyłe mężatki,

---

19 z a b i ł s i ę w y s t r z a ł e m z r e w o l w e r u s t a r z e c – „Gazeta Kielecka" nr 46 ze środy 11 VI 1890 r. zamieściła o tym wypadku następującą notatkę:

W ubiegłą sobotę, w ogrodzie spacerowym w Kielcach, w godzinach popołudniowych odebrał sobie życie Jan Domański, syn Franciszka, emeryt, b. jeometra gubernialnej izby dóbr państwa w Grodnie, liczący 70 lat. Samobójca od marca mieszkał w Kielcach, poszukując biurowego zajęcia. Przy trupie znaleziono atestat służbowy i j e d n ą kopiejkę gotówki.

20 s k i r – (łac. *scirrhus,* z grec.) rak; nazwa używana powszechnie w XIX wieku, dziś zapomniana; Żeromski użył jej w przenośni w noweli *Tabu:* „wyrwać z serca skira boleści, który je toczy" *(Dzieła I,* 2, Warszawa 1957, s. 280).

21 m i e ć „c z u j a" – (z ros.) mieć nosa, aby wywęszyć okazję; rozważania o „czuju" zostały sparafrazowane przez Żeromskiego w *Mogile* (por. *Dzieła* I, l, Warszawa 1956, s. 111 – 112).

22 a ż d o t a j n a w o s o w i e t n i k a – (ros.) aż do tajnego radcy; była to wysoka ranga w hierarchii carskich urzędników cywilnych.

23 „w o b c y n a r ó d, k t ó r y n a s n i e n a w i d z i" – cytat z III kazania sejmowego Piotra Skargi.

24 „b y ć d o b r z e" – ironicznie przytoczony przekład zwrotu francuskiego *il est bien,* używanego w znaczeniu: potrafi się znaleźć w salonie, jest dobrze widziany w towarzystwie.

są do tego stopnia nawet podli, że puszczają się w patriotyzm, aby podtrzymywać salonową ciągłość rozmowy. Wiem przecież, że wszelkie „cele" tyle ich obchodzą, ile handlarza mydłem obchodzi rozwój talentu Konopnickiej: słyszą tylko czasami o rzeczy zwanej ojczyzną, jak się słyszy lub czyta o obrazach Wierieszczagina[25], nigdy jej nie czuli i nie przekażą dzieciom. A jednak setka osób takich samych, bo innych nie ma, nazwie ich patriotami, a ciebie złym, jeżeli patriotyzm ich nazwiesz kłamstwem.

11 VI (środa).

Jadąc do Kielc z p. Anielą[26] musiałem w ciągu pięciu godzin czekać na pociąg odchodzący do Iwangrodu[27] – w Łukowie. Gdy pociąg z Siedlec idący zbliżał się do stacji, doznawałem dziwnego wrażenia niesmaku i trwogi. Starałem się być spokojnym i przywołać na pomoc wszystkie nagromadzone w ciągu dwu lat ostatnich cynizmy. Cóż bo właściwie innego mogłem zrobić? Przez cztery lata kochałem się szalenie w pani Helenie[28], wyszarpałem sobie wszystkie zdrowe funkcje nerwów, zgubiłem się i przyszłość lepszą zgubiłem dla niej. Przed dwoma właśnie laty, w czerwcu, widziałem ją raz ostatni – później, zrażony, zmęczony przez nią, unikałem spotkań, nie pisałem do niej ani razu, zapomniałem i kochałem kogo innego, tęskniąc za kim innym podjeżdżałem do Łukowa. Bawiłem panią Anielę przez czas niejaki na dworcu, a wreszcie poszedłem podniecony czymś, co było najwyższą, najsilniej naprężoną ciekawością. Po dwu latach miałem zobaczyć moją kochankę i ukochaną, anioła mego życia, jedyną dawną myśl moją...

Pan Leon bawił mię w salonie rozmową, podczas gdy pani Helena opanowywała zapewne wrażenia... Śmiech mię brał, gdym patrzał na pana Leona. Przez lat cztery bałamuciłem mu żonę, pisałem do niej około 300 listów, miewałem schadzki, spotkania, zabierałem mu ją sprzed nosa, znudziłem się nią, zapomniałem ją – i on dziś jeszcze o niczym nie wie... W człowieku jest wielkie i drapieżne zwierzę, nawet w takim humanitarniku jak ja.

---

25 o b r a z y W i e r i e s z c z a g i n a – Wasilij Wierieszczagin (1842 – 1904) malował głównie kompozycje batalistyczne, w których dał obiektywny obraz wojny, ukazując jej tragizm i okrucieństwo (cykle: turkiestański z *Apoteozą wojny* 1871 – 72, z wojen rosyjsko – tureckich na Bałkanach, m.in. *Szipka – Szejnowo* 1878 – 79); kilkaset jego obrazów i rysunków nabył za 92 tysiące rubli Paweł Trietiakow i podarował moskiewskiemu Towarzystwu Przyjaciół Sztuki.

26 z p. A n i e l ą – Aniela z Dobrzyńskich Rzążewska, wdowa po zmarłym w 1885 r. literacie Adamie Rzążewskim, mieszkała wówczas w majątku swych rodziców w Łysowie na Podlasiu; Żeromski pełnił w Łysowie funkcję korepetytora jej syna, Adasia (ur. 1880). Później, w końcu 1895 r., założyła wraz z Justyną Lisowską (siostrą Dygasińskiego) i Faustyną Morzycką księgarnię w Warszawie, przy ul. Marszałkowskiej 84, która w 1912 r. została przeniesiona w Aleje Jerozolimskie 29. Księgarnia prowadziła działalność nakładową, specjalizując się w wydawnictwach popularnonaukowych, głównie pedagogicznych, dziecięcych i podręcznikach szkolnych. Zmarła przed 1930 r. w Międzychodzie.

27 d o I w a n g r o d u – (ros.) Iwangorod to urzędowa nazwa Dęblina, pochodząca od imienia Paskiewicza, któremu car Mikołaj I po stłumieniu powstania listopadowego nadał wielkie dobra w Królestwie Polskim, obejmujące m.in. miasto Dęblin; w Iwangrodzie była krańcowa stacja ówczesnej kolei Iwangrodzko – Dąbrowskiej, którą jechało się do Kielc.

28 w p a n i H e l e n i e – z Zeitheimów Radziszewskiej, której mąż, Leon, został przeniesiony z Białej Podlaskiej do Łukowa na stanowisko naczelnika stacji kolejowej.

Wyszła wreszcie pani Helena. Nie ma na określenie tego wrażenia, jakie wywarła na mnie, innego wyrażenia nad to, że była „jak złapana". Starała się być uprzejmą a zimną, obojętną, a dławiło ją coś, pogardzała mną, a po kobiecemu rada była zobaczyć, co się ze mną stało... Doznawałem w ciągu całej tej wizyty uczucia nieznośnej przykrości. Jesteśmy, my mężczyźni, podli – nie ma co! Na życiu pani Heleny leży plama wieczna i niestarta, nosząca nazwę – Stefan, a ta właśnie plama ma dla mnie wielki powab. I ja udawałem wobec niej Cezara Almavivę[29] : byłem zimny, grzeczny, wiele mówiący dlatego właśnie, aby przekonać panią Helenę, znającą mię na wskroś, że nie umiem już milczeć w towarzystwie i myśleć o niej.

Mówiliśmy o rzeczach obojętnych i żadnego z przeszłością nie mających związku, nie zamieniliśmy ani jednego spojrzenia przyjaznego po dwu latach niewidzenia się – ja z Helą – czyż to możliwe? Gdy wychodziłem, zimno pożegnawszy się, dławił mię przykry, okrutny, podły śmiech, rozlegający się w pustce mej duszy z okrucieństwem szyderczym. Rad byłem, gdy nareszcie wsiadłem do wagonu. Wyjrzawszy oknem, dostrzegłem panią Helenę na peronie: zbrzydła, utyła... To już nie ta Helenka przecudna. – Ach, Boże!... Z miłości bez granic, bez pamięci, bez rachuby, z szaleństwa tylu lat nie zostało nic, nawet garści prochu! Dziś nic dla niej nie mam prócz wspomnień *à la Casanova*...

Przed oczyma przesuwały się lasy i równiny, przebywane tyle razy z boleścią w sercu po rozstaniu z Heleną, z radością obłąkaną, gdym miał ją zobaczyć. Mijamy stawy rozległe pod Iwangrodem; zrywa się od brzegu spłoszone przez pociąg stado cyranek i nisko nad wodą szybuje ku przeciwnemu brzegowi: jeśli upadną – myślałem – za linią, jaką na wodzie naznaczyłem oczami, to Natuchna myślała o mnie dziś... Wzbiły się nagle w górę, zakrążyły, zmniejszały w szarym przestworzu i znikły, zakryte oddaleniem...

Zamknąłem oczy i myślałem o mojej drodze pod P.[30], o lesie, o tym, jak księżyc oświetlał białą od rosy łąkę, grupę olszyn, pole owsem zasiane, o tym, jak idę przy odgłosie bicia serca do furtki, ażeby przez chwilę na długi czas oddalenia dotknąć ust ukochanych, ukraść na chwilę tę przecudowną istotę o tajemniczym wejrzeniu oczu nadziemsko pięknych...

Wiem, że mię nie kocha i nie będzie, że nieskończenie od niej daleki jestem, a jednak na wszystko z góry się zgadzam, lecę w przepaść głową na dół i... niech mię wszyscy diabli wezmą!..

W nocy przyjechaliśmy do Kielc i stanęli w Hotelu Polskim – pani A. pod numerem ósmym, ja pod siódmym, no itd.

Wspomnienia *à la Casanova* aż się tłoczą jedne na drugie. Jestem bydlęciem – nie ulega najmniejszej wątpliwości, są jednak winne i te panie, które udają szaloną dla mnie miłość w tym celu, aby sułtańskie odruchy podniecić. A zresztą było tak zawsze, czemuż mam nad tym rozpaczać?

Dziś za dwie godziny jadę do Warszawy, skąd w sobotę wyruszę do Ł.[31], a w niedzielę zobaczę może świat mój jedyny, pusty las ze śpiewem ptaków, ogród za łąką, dom, gdzie mieszkają te jaśnie wielmożne oczy, przejrzyste jak krynica, patrzące z nieznanej, niezbadanej, niewiadomej głębiny i dalekości.

---

29 u d a w a ł e m... A l m a v i v ę – hrabia Almaviva to postać ze słynnych komedii Beaumarchais'go: *Cyrulik sewilski* oraz *Wesele Figara*.

30 p o d P. – pod Patkowem Ruskim, należącym wówczas do doktora Michała Faÿtta i jego żony, Natalii z Dobrzyńskich.

31 d o Ł. – do Łysowa.

13 VI (piątek).

W W a r s z a w i e.

Myślę o tym tylko, że jutro wracam do Ł., łudzę się, że mię tam czeka coś dobrego, jakiś uśmiech łaskawy – właściwie zaś uciekam tylko przed rzeczywistością raz na zawsze dla mnie przykrą. Co prawda każdy na moim miejscu, gdyby przyszło latać z wywieszonym językiem do panów doktorów, wyczekiwać w ich poczekalniach, drżeć z obawy przed ich wyrokiem, czułby wstręt do miasta. Dr Matlakowski[32] kazał mi jechać na sześć tygodni do Ciechocinka...

Dajmy na to, że nie będę o tym myślał, nie dają mi zresztą myśleć moi koledzy, którzy, pomimo że powietrze warszawskie przesycone jest w tej porze zaduchem egzaminów, dość mają czasu do dręczenia rozbitego przychodnia zdaniami psującymi mu krew do reszty.

– Co to jest naród, co to narodowość? – woła Jaś S.[33] – Jak człowiek inteligentny, nie popadając w obłęd, może rozumieć jakieś fantastyczne potrzeby narodu, popełniając naturalnie zbrodnie budzenia nienawiści plemiennej, a nie rozumie potrzeb klas wyzyskiwanych?

– Kochany Jasiu, jeżeli rząd przyszle nam dziesięć tysięcy [...] na osiedlenie się w naszym kraju, co uczynisz? Czy nie przyjdzie ci ochota budzenia nienawiści plemiennej?

– Nigdy! Przychodzący byliby również proletariatem...

– Żegnam cię, apostole.

Pobitych ludów jarzmo nie kala.
Gdy cierpią za ojców grzechy...
Jarzmo to wzmacnia, łączy, zespala,
Budzi Irlandię i Czechy.

Gdy nad tym myślę, niknie ma trwoga
I zwątpień mgła się rozprasza,
Boję się tylko miłości wroga
I pocałunku Judasza...[34]

Mały Jaś kładzie na czoło idei taki pocałunek Judasza... Głupi jest ze swym należeniem do Proletariatu[35] – cóż robić, będzie robił głupstwa aż do tej chwili, póki nie zo-

32 d r M a t l a k o w s k i – Władysław Matlakowski (1851 – 1895), znany chirurg warszawski, etnolog i badacz literatury, przyjmował przy ul. Marszałkowskiej 120.

33 J a ś S. – Jan Strożecki (1869 – 1918), kolega szkolny Żeromskiego; po ukończeniu gimnazjum kieleckiego w r. 1887 studiował prawo na Uniwersytecie Warszawskim; później został wybitnym działaczem ruchu robotniczego, jednym z założycieli PPS w 1892 r. i członkiem Centralnego Komitetu Robotniczego partii; aresztowany w 1894 r., był przez dwa lata więziony w Cytadeli warszawskiej, a następnie zesłany na osiem lat do Kołymska na Syberii.

34 P o b i t y c h l u d ó w j a r z m o n i e k a l a..." – wiersz Alkara [Aleksandra Kraushara] pt. *Sursum corda...*, przytoczony w całości z wydanego anonimowo zbioru *Strofy*, wyd. nowe, Kraków [1890], Wł. L. Anczyc i Spółka, s. 209. W oryginale początkowy wers brzmi:

„Podbitych ludów..." (Za pomoc w lokalizacji tego cytatu składam podziękowanie p. Pawłowi Hertzowi.)

stanie filistrem. Wszystko młode, co plecie o ludzie, a ludu tego nie zna i nie ma w tzw. przekonaniach swoich głębokich dla ludu uczuć – w filistrii kończy żywot. Wyczerpanie i niesmak nastąpić muszą w mózgach czczych.

Jedną z najpierwszych rzeczy, jakie zrobiłem po przyjeździe do Warszawy, było pójście na wystawy. Chełmoński w całej okazałości![36] Ile czarodziejskiej poezji posiadają te płótna! Na niektórych widać niemal powietrze, gdzie indziej słońce aż pali... Cudownym jest las, taki las, przez który szedłeś kilkaset razy w życiu, drogą piaszczystą przerżnięty, cichy, wiecznie jednaki. Głęboko w piasku wyżłobioną koleją wlecze się noga za nogą wóz chłopski. Zdaje się, że za chwilę owionie cię cisza i zapach żywiczny.

Cisza nocna[37] – to poemat nadzmysłowo cudowny. To światło miesięczne, oblewające niskie, w ziemię zapadłe chaty i rolę czarną, po której idzie w blasku anioł ciszy – ma w sobie tę właśnie poezją, o której śni ci się wtedy już, gdy jesteś dzieckiem. *Do kościoła*[38] przenosi cię w łan pszeniczny, którego nie można opisać, oblany słońcem, gorący, najmilszy na świecie. Nikt chyba nie umie malować tak powietrza jak Chełmoński, a nikt na pewno nie maluje naszego powietrza lepiej nad niego. A te dalekie przestrzenie niezmierne, które trzeba widzieć u nas nad Wisłą, aby ocenić całą głęboką

---

35 ze swym należeniem do Proletariatu – Jan Strożecki był członkiem tzw. Drugiego Proletariatu, partii utworzonej w 1888 r. w Królestwie Polskim pod kierunkiem Ludwika Kulczyckiego i Marcina Kasprzaka, która na czoło swego programu wysuwała walkę polityczną i postulat autonomii Królestwa; w lipcu 1891 r. Strożecki wraz z grupą działaczy wystąpił z II Proletariatu odrzucając terror i zamachy jako formę walki, postulując natomiast konieczność stosowania masowych akcji ekonomicznych; secesjoniści utworzyli w sierpniu 1891 r. nową organizację pod nazwą Zjednoczenie Robotnicze z Edwardem Abramowskim, Strożeckim i Stanisławem Wojciechowskim na czele; po zjeździe paryskim w 1892 r. przedstawiciele Zjednoczenia weszli do PPS.

36 Chełmoński w całej okazałości! – była to pierwsza zbiorowa wystawa dzieł Józefa Chełmońskiego (1849 – 1914) po powrocie artysty z Paryża do kraju, otwarta 11 maja 1890 r.; zgromadzono na niej trzydzieści kilka obrazów w salonie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych; prasa warszawska powitała wystawę na ogół entuzjastycznymi recenzjami; pisali o niej m. in.; A. Br.[eza] w „Kurierze Codziennym" 1890, nr 130 i 133, T. Dowgird w „Przeglądzie Tygodniowym" 1890, nr 23, W. Gerson w „Echu Muzycznym, Teatralnym i Artystycznym" 1890, nr 346, W. Gomulicki w „Bluszczu" 1890, nr 24, Cz. Jankowski w „Tygodniku Ilustrowanym" 1890, nr 25; por. także pochwalne sprawozdanie sygnowane kryptogramem wg. w rubryce „Luźne kartki" petersburskiego „Kraju" 1890, nr 23.

37 *Cisza nocna* – obraz Chełmońskiego z r. 1889, uważany za jeden z wczesnych eksperymentów rodzącego się wówczas symbolizmu; wymieniony dalej Henryk Piątkowski tak pisał o nim w książce *Polskie malarstwo współczesne. Szkice i notaty*, Petersburg 1895, s. 70 – 71:

Na obrazie widzimy noc księżycową, w oddali cichą wioskę w uśpieniu, pierwszy plan zajmuje zorana rola. Pejzaż byłby wystarczającym motywem do wydobycia wrażenia, jakie nam malarz pragnął uwydatnić, szczególnie pod ręką Chełmońskiego, który jest w stanie przyrodzie dać tyle duszy i myśli. Tym razem w pojęciu artysty pejzaż nie był dostatecznym środkiem do przelania w widzów idei kompozycyjnej; aby wrażenie ciszy spotęgować, umieścił na roli idącego anioła. Jedyną rolą tego anioła w obrazie jest uwydatnić ów moment psychologiczny krajobrazu, ów spokój, ową ciszę rozlaną w naturze. [...] Postać tę Chełmoński skomponował nadzwyczaj oryginalnie; [...] jest to nasz rodzimy anioł, takim widzieć go muszą we śnie dzieci chat naszych. Nie ma w nim nic tradycyjnego, jest kreacją nową. W stosunku do tła wydaje się olbrzymim, co wynika w części i stąd, że horyzont wziętym został bardzo nisko, robi przez to wrażenie widziadła niezwykłego. Stąpa poważnie, z opuszczonymi rękami, ze zwieszonymi skrzydły, w długiej fałdzistej sukni, oblany cały światłem pełni księżycowej.

38 *Do kościoła* – obraz Chełmońskiego z r. 1889, nagrodzony na wystawie w Paryżu, gdzie uzyskał najwyższą *grand prix d'honneur;* wyróżnił go w recenzji z wystawy Czesław Jankowski, pisząc w „Tygodniku Ilustrowanym" 1890, nr 25, następujące zdania:

Znalazł też miejsce na obecnej wystawie głośny obraz *Do kościoła* (własność p. Temlera), wystawiający dziewczęta wiejskie idące miedzami między łanami dojrzałego zboża; nad bezbrzeżną, zda się, powierzchnią kłosów widnieją w dali głowy sunących się z dali wieśniaków, a hen, na skraju horyzontu czuby drzew i dachy. Światło i wirtuozostwo techniki w malowaniu zboża stanowią główne zalety tej pracy.

piękność tej *die Wirklichkeit zum schönen Schein erhoben*[39], jaka widza polskiego przykuwa. Błąkając się od obrazu do obrazu przepędziłem godzin kilka w sali Chełmońskiego. Jeden z krajobrazów aż mię zgrozą przejął: zobaczyłem Rogacz[40], najprawdziwszy Rogacz, malowany od strony łąki, okrytej płachtą żółtych jaskrów...

Porwała mię tęsknota!

Widziałem wiele innych obrazów, jakie się widzi dziś, a jutro zapomina: *Ewę* Szyndlera[41], *Pierotkę* Szymanowskiego[42], *Scenę w hotelu* Piątkowskiego[43] i śliczny obraz ukrzyżowania[44]. Straszny realizm śmierci, krew brocząca z ran, z prawdziwych ran umierającego człowieka. *Szkice* Sandeckiego[45], obrazy Styki[46] – szczęściem, że p. Żmurki[47] nie było ani na lekarstwo...

---

39 *d i e W i r k l i c h k e i t z u m s c h ö n e n S c h e i n e r h o b e n* – (niem.) „rzeczywistość podniesiona do wyżyn pięknej ułudy"; jest to niedokładne przytoczenie słów Goethego, który pisał;

„Najszczytniejszym zadaniem każdej sztuki jest wywoływanie przez ułudę pozoru wyższej rzeczywistości" (Johann Wolfgang Goethe: *Z mojego życia zmyślenie i prawda,* przełożył Aleksander Guttry, t. II, Warszawa 1957, s. 50 – 51).

40 z o b a c z y ł e m R o g a c z – las między Łysowem a Patkowem Ruskim, obecnie wycięty; skojarzenie to nasunął Żeromskiemu najprawdopodobniej krajobraz zatytułowany *Las*, eksponowany także na wystawie Chełmońskiego; las Rogacz wymieni później pisarz w *Przedwiośniu* (por. *Dzieła* II, 14, Warszawa 1956, s. 183).

41 *E w a* S z y n d l e r a – obraz Pantaleona Szyndlera (1846 – 1905), wystawiony w „osobnym przedziale" wystawy Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, był odznaczony przedtem na wystawie paryskiej; przedstawiał on „piękną kobietę w szacie tylko włosów własnych stojącą na tle zieleni rajskich ogrodów" – jak pisał Van der Meer [Czesław Jankowski] w przeglądzie artystycznym „Tygodnika Ilustrowanego" 1890, nr 11.

42 *P i e r o t k a* S z y m. a n o w s k i e g o – obraz Wacława Szymanowskiego (1859 – 1930), reprodukowany na karcie tytułowej „Tygodnika Ilustrowanego" 1890, nr 12 z 22 marca; recenzent tego czasopisma, Czesław Jankowski, pisał o *Pierotce* z uznaniem w nrze 25 z 21 VI 1890 r.:

Smakiem i wielką biegłością techniczną odznacza się Wacława Szymanowskiego *Pierotka,* wizerunek hożej dziewoi w białym stroju, siedzącej w pozie swobodnej na krzesełku. Obraz ten [...] ma wiele powabu i wdzięku, a przezwyciężenie dużych malarskich trudności w malowaniu białych plam na białym tle budzi istotne zajęcie. Czuć w tym nowym dziele utalentowanego twórcy *Kłótni Hucułów* niezaprzeczony i korzystny wpływ Paryża.

Pozytywna ocena *Pierotki* znajduje się też w anonimowej nocie (Tadeusza Dowgirda?) zamieszczonej w rubryce „Echa warszawskie" „Przeglądu Tygodniowego" nr 20 z 17 V 1890 r., gdzie podkreślono „świetną technikę malarską" Szymanowskiego.

43 *S c e n a w h o t e l u* P i ą t k o w s k i e g o – obraz *Dramat w hotelu* Henryka Piątkowskiego (1853 – 1932), wystawiony w salonie Aleksandra Krywulta w Hotelu Europejskim, spotkał się z jednomyślnym potępieniem krytyków warszawskich za skandaliczność tematyki i efekciarstwo wykonania; m.in. Czesław Jankowski pisał w „Tygodniku Ilustrowanym" 1890, nr 25:

...skandaliczna scena przyłapania wiarołomnej żony na gorącym uczynku przez ziejącego słusznym oburzeniem męża. [...] Hotelowy pokój, zbiegowisko służby, przerażony lowelas, wymierzony w pierś jego rewolwer! Cała awantura – czegóż chcieć więcej?

Inny krytyk, A. Br.[eza] pisał w „Kurierze Codziennym" 1890, nr 126:

Dramat w hotelu jest niczym innym jak szukaniem za pomocą skandalicznego tematu, a bez względu na jego artystyczną wartość – rozgłosu, hałasu i krzyku.

Twórca bronił swego dzieła w artykule pt. *Przyczynek do krytyki malarskiej,* ogłoszonym w „Przeglądzie Tygodniowym" 1890, nr 24.

44 ś l i c z n y o b r a z u k r z y ż o w a n i a – chodzi tu o obraz przyjaciela Chełmońskiego, Wojciecha Piechowskiego (1849 – 1911), pt. *Na Golgocie,* wyróżniony na wystawie w Paryżu i sprowadzony do salonu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych; wspominał go m.in. Van der Meer [Czesław Jankowski] w przeglądzie artystycznym „Tygodnika Ilustrowanego" 1890, nr 11.

45 S z k i c e S a n d e c k i e g o – brak o nich wzmianek w przeglądach artystycznych ówczesnych czasopism; nazwiska tego malarza nie wymienia również Tadeusz Dobrowolski w trzytomowym dziele *Nowoczesne malarstwo polskie,* Wrocław 1957 – 1964.

46 o b r a z y S t y k i – mowa o cyklu ośmiu portretów Jana Styki (1858 – 1925), wystawionych w salonie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, a ocenionych krytycznie przez większość recenzentów warszawskich; cytowany wyżej Czesław Jankowski pisał o nich w „Tygodniku Ilustrowanym" 1890, nr 25, następująco;

Poznałem dziś sławną panią Ułaszyn, przyjaciółkę p. Anieli – w Hotelu Rzymskim, oraz p. Wyleżyńską, autorkę *Loli*[48]. Powieść tę krajał na sztuki i przyprawiał z szarym sosem Zygmuś W. w „Głosie”[49]. Pani Ułaszyn jest starą, brzydką i nieznośną kokietą. Prawdopodobnie od niej uczyła się pani Aniela sztuki zdobywania serc – stąd tak marne postępy. Piękność okrzyczana!

15 VI (niedziela).

W Ł y s o w i e.

Wczoraj nad wieczorem przyjechałem z Warszawy. Z Siedlec jechaliśmy powozem, przypominającym budową kolebki średniowieczne. Przeklęta buda! Samochcąc babrzesz się w błocie, namiętny młodzieńcze... Za Stokiem pani Aniela miała już postać tak nieszczęśliwej, że aż się rozpalił we mnie fosfór namiętności. W powozie, szczelnie prawda zakrytym, ale jadącym po szosie publicznej... *O, Herr Je...*[50]

Onegdaj byliśmy z Wackiem w Teatrze Letnim na Daudeta *Walce o byt*[51]. Jedna to z najlepszych sztuk, jakie sfabrykowali Francuzi. Daudet, niekompetentny wcale w „sce-

---

Zawiodły one nasze oczekiwania. Ta naiwność i konwencjonalność w portretach kobiecych po prostu razi, zważywszy na nadzieje pokładane w pięknie zapowiadającym się talencie młodego malarza; te obrysowane skrupulatnie usteczka, ta cera porcelanowa, te oczy jak wycięte... dobre dla zaspokojenia niewybrednego gustu filistrów, ale popisywać się z tym, jako z dziełem sztuki, nie ma racji.

47 p. Ż m u r k o – Franciszek Żmurko (1859 – 1910) słynął w sferach burżuazyjnych jako malarz zmysłowych, nasyconych erotyzmem aktów i półaktów kobiecych (*Zuzanna wśród starców*, *Śmierć na kwiatach* i in.) oraz banalnych scen antycznych, biblijnych i orientalnych *(Neron nad zwłokami Agrypiny*, *Śmierć Messaliny*, *Z rozkazu padyszacha* i in.); duża łatwość techniczna i stałe powtarzanie pewnych typów doprowadziły go do ckliwej, sentymentalnej maniery.

48 a u t o r k ę *L o l i* – powieść Wirginii Wyleżyńskiej nosiła tytuł *Księżna Lola (Kartka z życia);* wydana została nakładem Teodora Paprockiego w Warszawie 1889 r.

49 p o w i e ś ć t ę k r a j a ł n a s z t u k i... Z y g m u ś W. w „G ł o s i e” – bibliografia zawartości „Głosu” (1886 – 1899), opracowana zespołowo pod kierownictwem Marii Stokowej (Wrocław 1955), nie wykazuje ani recenzji Zygmunta Wasilewskiego, ani żadnej innej o powieści *Księżna Lola.*

50 *O, H e r r J e...* – (niem.) O, Panie Jezu!

51 D a u d e t a *W a l k a o b y t* – dramat w 5 aktach Alfonsa Daudeta (1840 – 1897), wystawiony po raz pierwszy w Teatrze Letnim dnia 6 czerwca 1890 r. w doborowej obsadzie ról (Astiera grał Jan Tatarkiewicz, księżnę Padovani – Zofia Noiret, poza tym wystąpili: Rapacki, Prażmowski, Wolski, Nowicki i Ładnowski oraz Barszczewska, Ostrowska i Leszczyńska), spotkał się z krytycznym na ogół przyjęciem prasy warszawskiej. Edward Lubowski w „Tygodniku Ilustrowanym” 1890, nr 24, zwracał uwagę, że główne postacie sztuki pochodzą z powieści Daudeta *Nieśmiertelny*, ale tam ich losy były lepiej umotywowane; krytykował poza tym luźną, chaotyczną kompozycję oraz melodramatyczny ton wielu scen, niezręczności w rysunku charakterów i poświęcenie prawdy psychologicznej dla efektu scenicznego. Aleksander Rajchman w „Echu Muzycznym, Teatralnym i Artystycznym” 1890, nr 349 i 350, zakwestionował naczelną tezę sztuki, stwierdzając, że w dramacie Daudeta nie chodzi o „walkę o byt”, lecz o „walkę o karierę”, gdyż księżna, zarzucając mężowi zamach trucicielski na swe życie, nie miała na myśli ani Darwina, ani wzorowanej na obserwacjach przyrodniczych teorii walki o byt; mówiła o zbrodni w jej ohydnej, a starej jak świat formie. Taka właśnie zbrodnia jest celem, prowadzące do niej drogi szlakiem, którym zawsze staczały się zdeprawowane instynkta, pozbawione równie starego jak świat kryterium: sumienia. Zamach zbrodniczy Astiera – to jedno więcej ogniwo wielkiego łańcucha występku, a czy na wytworzenie jego złożyła się nadmierna ambicja, czy potworna chciwość – to etyce jest obojętnym. Owej „walki o byt” nie spotykamy w dziele całym ni śladu.

niczności", zrobił jednak rzecz, której się słucha z ciekawością od początku do końca. Darwin w łeb bierze na caluteńkim obszarze filozofii i etyki. Co prawda taki Paweł Astier jeżeli jest w życiu, to jest nie jako filozof, ale jako zwykły karierowicz, łotr, obłudnik. Takiego znał od wieków świat, już jako makiawelistę, już jako jezuitę. W darwinowskiej „walce o byt" nie powiedziano: będziesz łotrem dla dopięcia celu – trzeba było tedy piętnować nie teorią, lecz człowieka, sztukę nazywać nie *Walką o byt,* lecz *Pawłem Astier.* Tak też w gruncie rzeczy Daudet zrobił; w akcie śmierci Astiera ukarał człowieka, lecz zasady nie zniszczył. Zasada istnieć będzie do skończenia świata, bo jest stałą i wieczną: zawsze lis będzie jadł młode zające i kaczka małe ryby.

My tylko wszyscy wszystkie mądrości Spencerów, Darwinów, Büchnerów i... Bismarcków zaczynamy traktować przez nogę... Świat ludzi pozytywnych, wierzących w siłę będącą dobrem – kończy się. Szukamy w ciemności dróg nowych i, komu ducha starczy, rzucamy się w socjalizm. Jest to szeroka droga publiczna, po której zdążają umęczeni, łudzeni pięknymi krajobrazami, zostającymi w tyle – wędrówce. Nie ulega wątpliwości, że wiek XX będzie świadkiem innych myśli społecznych, na miłości opartych.

Dziś w zasadę walki o byt, w zasadę etyczną, w twierdzenie samo słowne wierzyć może tylko taki dobry z kościami chłop, jakim jest Prus. Inna rzecz jest stwierdzenie przez Darwina faktu jasnego jak słońce, zjawiska bijącego w oczy, a inna rzecz jest – zasada, jaką mali mędrcy stworzyli w etyce. Rzeczy te tak się pokrzyżowały, że Darwin winien jest i nie winien. Gdyby nie on – może nie byłoby na świecie zła tyle i podłej głupoty, lecz gdyby nie on – nie wiedzielibyśmy nic prawie, a że nie ludzie wytwarzają zasady, lecz zasady nurtujące głąb społeczeństw wytwarzają ludzi wielkich, zbierających w rodzaj manifestów myśli i nastroje skryte, więc Darwin – winien i nie winien. Stąd Daudet, pisząc dla zdławienia zasady, napisał rzecz przepysznie obyczajową, w której, jeżeli nie zechcemy dopatrywać zasady, tendencji – będziem mieć rzecz tak tytaniczną, jak *Tartuffe* Moliera.

Prus mówi[52] :

... przypomnij sobie, że świat zwierzęcy i roślinny wspierają się nawzajem chociażby w oddychaniu. Oddech zwierzęcy, produkujący kwas węglany, jest niezbędny dla życia roślin; oddech roślin, produkujący tlen, jest niezbędny dla życia zwierząt[53]. Przypomnij sobie, że motyl nie tylko pije miód z kwiatów, ale pomaga im do rozmnażania się; że ptak nie tylko zjada jagody, ale jeszcze nasiona ich przenosi do najdalszych okolic. Pamiętaj wreszcie, że największy morderca, człowiek, nie tylko zabija woły, ale też i pielęgnuje je, i że bez człowieka gatunek wół nie istniałby w tej co dziś ilości. Pamiętaj, że ten sam człowiek nie tylko zjada zboże, ale jeszcze hoduje je, a nawet karmi je – własnymi prochami.

Ładna wymiana usług, gdy ptak zje jagodę i nasienie gatunku jagoda zaniesie do dalekich okolic. Gdy ptak zje jagodę, to dokonana została najstraszniejsza walka. Nie masz tu wymiany usług – jest jedna tylko walka.

Podobne zastrzeżenia formułowali A. Br[eza] w „Kurierze Codziennym" nr 153 oraz Kazimierz Zalewski w „Kurierze Warszawskim" nr 155 i 156 z tegoż roku.

52 P r u s m ó w i – autor *Dziennika* zacytował fragment *Kroniki tygodniowej* Bolesława Prusa, zamieszczonej w „Kurierze Codziennym" nr 156 z 8 VI 1890 r., wprowadzając drobne zmiany w tekście (np. „oddech zwierzęcy" zam. „oddech zwierząt") i w interpunkcji, które zachowano; rozważania Prusa związane są z dyskusjami na temat dramatu Daudeta *Walka o byt.*

53 d l a ż y c i a z w i e r z ą t – w autografie *Dziennika* omyłkowo: roślin.

My jednak, którzy posiadamy serce świadome uczuć swych, winniśmy granice tej wszechmocnej siły ile możności zmniejszać i wytwarzać w mózgach naszych prawa lepsze.

17 VI (wtorek).

W niedzielę po południu widziałem panią N[54]. Wiem, że daleko więcej interesuje ją stan zdrowia jej kurcząt niż cała moja osoba – cóż robić! Dałbym się jednak z ochotą posiekać na sztuki, gdyby to jej sprawiło przyjemność... Nie mówiłem z nią zupełnie, gdyż zazwyczaj w takich wypadkach, gdy dławią mię Bóg wie jakie uczucia, mówię wcale nie tak, jak na mędrca przystało, mówię jednym słowem tak głupio, jak na zakochanego przystało.

Jestem chory trochę, od wczoraj zacząłem znowu kąpać się w ługu ciechocińskim, nie mogę wychodzić. A ciągnie mię coś w zboża, do lasu, aby tam lec pod drzewem na sposób zwierzęcy i słuchać, jak szumi żyto.

Dziś zobaczę może *Γλαυχωπις*[55] u pana Adolfa[56], dokąd mam jechać jako *attaché* pani Anieli. Ta rola już mi nosem wyłazi... Ach, gdyby nie to, że pragnąłem widzieć jeszcze sowiooką, jakżebym chętnie pojechał sobie gdzieś do diabła. Społeczeństwo podlaskie, któremu już przyjrzałem się przez mikroskop, nudzić mię zaczyna. Maluczko, a pójdę w świat na nowo.

18 VI (środa).

Wczoraj widziałem panią Natalią. Zauważę zaczynając tę notatkę mądre zjawisko, że zaczynam znowu, jak w poprzednich miesiącach i dzienniku, odróżniać monotonne dnie po tym tylko... „widziałem" lub „nie widziałem"... Było kilka osób – czyli czterech *summa summarum* obywateli i damy trzy. Rozmowa przed kolacją toczy się opieszale, w czasie kolacji ożywia się aż do stopnia drastyczności, po kolacji towarzystwo rozpoławia się: damy udają się do sali i o czymś tam mówią. Słyszę tylko dominujący jak zawsze głos pani Anieli:

– Meran... Szczawnica... Nałęczów...

Panowie mówią o koniach z takim ożywieniem, z takim zapałem, z takim entuzjazmem. Wyrazy na kształt poświstów wiatru przelatują koło mych uszu... Czasami śmieją się z jakiegoś tłustego konceptu, wtedy i ja się śmieję, literalnie z czego – nie

54 w i d z i a ł e m p a n i ą N. – Natalię z Dobrzyńskich Faÿttową (1858 – 1907), siostrę Anieli Rzążewskiej, żonę lekarza Michała Faÿtta, któremu wniosła w posagu majątek Patków Ruski, położony niedaleko Łysowa; jest ona główną bohaterką wątku miłosnego niniejszego tomu *Dziennika.*

55 w y r a z g r e c k i – *Glaukopis,* „sowiooka", przydomek bogini Ateny u Homera, tu w zastosowaniu do Natalii z Dobrzyńskich Faÿttowej.

56 u p a n a A d o l f a – Adolf Kopeć (1851 – 1916), brat Lucyny Żółkowskiej, był właścicielem Patkowa Pruskiego, odziedziczonego po matce, Marii z Dzięciołowskich Kopciowej.

wiedząc. Nie będąc w stanie przyłączyć się do tej rozmowy, doznaję niemal złości. Po jakiego jasnego diabła siedzę tam**,** niemy jak kufel piwa? A bo nie wypada bawić dam wobec tego, że nie posiadam ani trochy zdolności do bawienia dam. Nigdy jeszcze w życiu nie byłem tak mało mówiący i nudny jak obecnie. Dawniej byłem inny, miewałem nawet chwile dowcipu z bożej łaski. Strasznie mię zgryzły choroby i... mężatki. Ze mnie, którego lubiono tak w Sandomierszczyźnie np., dziś może się wyśmiać pierwszy lepszy facet, byleby miał trochę dowcipu. No, niech tam!

Słyszę nagle przeciągłą mowę Natuchny i zamieniam się cały, ale tak nagle i bez powodu, że aż chorobliwie – w targany nerw. Zimno przebiega mię od stóp do głów, słucham, jak mówi, jak się śmieje wesoło, i myślę jednocześnie o tych słowach jej, które się wryły we mnie po prostu: bawię się nim... Cóż by innego być mogło, co by być mogło z jej strony? A przecież targa mną oburzenie i złość bezsilna. Zaczynam patrzeć na nią jakby z jakiejś wysokości, z jakiejś przyszłości dalekiej – i nie znajduję zupełnie żadnego uspokojenia. Pamiętam, że starałem się wówczas uspokoić myślą, nadzieją otrzymania jej fotografii – i nie tym nawet, tylko tym, że fotografowała się podczas mej nieobecności, tak jak sobie to wymyśliłem, uplanowałem, leżąc w wagonie w czasie podróży do Kielc. Oszukiwałem sam siebie, myśląc wczoraj, że zrobiła to dla mnie, choć tuż obok tej myśli stała inna, taka wielka jak wieża Eiffel: dla Ciebie i dla pana doktora W.[57]

Tymczasem panowie palili cygara i papierosy. W kłębach dymu widzę ich twarze pełne, wesołe, najedzone, z sąsiedniego pokoju słyszę rozmowę pań, również wesołą. Gdyby można wziąć kij i pójść na całą noc, uciec od siebie czy od swej głupoty. Pragnę nieraz – zmóc się, odbyć mocowanie się z własną duszą, wysiłkiem całej dumy zapomnieć nawet o istnieniu pani Natalii. Z pragnień jednak tego rodzaju najczęściej bywają szare nici, którymi sam się człowiek oplątuje coraz mocniej. Zobaczemy jednak...

Gdyśmy odjeżdżali, stałem na ganku obok pani Natalii. Posunęła się, może odruchowo, o jaką dziewiątą część kroku w moją stronę. Miała w ręku dwie śliczne sztamowe róże. Dałbym był za każdą z nich pozwolenie na wysypanie mi tylu batów, ile się może spodobać komu, a jednak gdy zaczęła mówić do mnie o ... pogodzie i ... zaćmieniu słońca, odpowiedziałem coś sucho i, ukłoniwszy się jej z daleka z elegancją mandryla, usiadłem, bokiem naturalnie do pani Anieli, i pojechałem. Zaraz za bramą opanowała mię taka złość na siebie, że o mało nie wytargałem się za uszy.

Wtedy właśnie musiałem odpowiadać na pytania „pani Davis”[58] w tym sensie formułowane:

– Czemu pan smutny, panie Stefanie?

Wydałem podczas podróży do Kielc rs. 36, teraz mam w kieszeni dziurę, a obiecałem pożyczyć Wackowi[59] przed końcem czerwca pięć rubli. Poczciwy ze mnie chłopiec

---

57 d l a p a n a d o k t o r a W. – Ludwika Wolberga, który był znajomym Michała Faÿtta i przyjeżdżał do Patkowa w odwiedziny; dr Wolberg stał się później prototypem Adama Wawelskiego, bohatera opowiadania Żeromskiego *Oko za oko.*

58 „p a n i D a v i s” postać z *Bez dogmatu* Sienkiewicza; tu określenie Anieli Rzążewskiej. Żeromski, który czytał nową powieść Sienkiewicza w odcinkach warszawskiego „Słowa”, niewątpliwie zapamiętał takie np. rozważania Leona Płoszowskiego o Laurze Davisowej (odc. 24 w „Słowie” z 4 I 1890 r.):

Nie lubię jej, bo jest jak wieża pizańska: wiecznie się pochyla, a nigdy nie upada. [...] Ja... nie wierzę w szczerość pani Davis. Zdaje mi się, że ta istotnie niepospolita jej inteligencja jest inteligencją mózgu, nie duszy, że naprawdę nic ją nie obchodzi, oprócz własnej piękności i własnych wygód.

Solidaryzując się z rozdwojonym hamletycznie i przygodnie uwikłanym w sieci „pani Davis” Płoszowskim, autor *Dzienników* widział w Natalii P.

Faÿttowej Anielkę Kromicką.

tak dalece, że zrobię mu zawód. Na co ja mogłem wydać 36 rubli? Kupiłem bowiem portmonetkę za 2 złote i nic więcej. Z Waciem hulaliśmy trochę: obiadki po rubelku, amfiteatrzyk pierwszego piętra, cukiereńki...

Idzie na... drugi kurs medycyny z drugiego przyrody. Tak mię to interesuje, czy się ta bestyja nie obleje, jakbym ja sam zdawał. Chciałbym, żeby został doktorem, raz dlatego, że byłby wówczas jeden porządny człowiek – doktór na świecie, a po wtóre – zdaje mi się, że druga, lepsza połowa mnie zostałaby doktorem.

Strasznie to do tego daleko!... Prawdopodobniejsza rzecz, że obaj my, o których tyle mówiono, tyle prorokowano – nie skończymy uniwersytetu i skończymy, jeśli nie w rynsztoku, to w Cytadeli co najmniej.

19 VI (czwartek).

Jakkolwiek nadzwyczajnie banalnym zjawiskiem jest zaślepienie się młodego wariata w pięknej mężatce, nie pozbawione ono jest (niby zjawisko) stron zaciekawiających z tego względu, że jeżeli tym wariatem ja jestem, to nie doznaję w ciągu całego przebiegu sprawy wrażeń dodatnich, lecz ujemnych samych. Wiecznie mi żal, smutno, źle...

Pamiętam, gdyśmy wyjeżdżali stąd do Kielc – był ładny poranek majowy. Od Niemojek[60] widać było w drzewach kominy dworu w P. Porwał mię wówczas taki żal, jak za domem rodzinnym. Rad bym był wynaleźć jakikolwiek pretekst, aby na dom ten z daleka popatrzeć jeszcze, nacieszyć się jego widokiem... A w domu tym... „piorun, który by we mnie za progiem wystrzelił" – nie wywołałby w nikim wrażenia smutku. Tak tedy rzeczy stoją – wracajmy do rzeczy.

Byłem dziś na obiedzie w P. z dziadzią[61]. Oprócz nas była pani Z.[62], taka ogromna jak szafa kredensowa, ale to zupełnie jak szafa kredensowa. Sama powozi końmi, kopie w swym ogrodzie, wychowuje dzieci – nie mam nic przeciwko niej, tym więcej że niewiele mówi. Po obiedzie doktór wyprowadził panią Z. do ogrodu, a mnie dał los na małą chwilkę panią doktorową. Zdołała mi powiedzieć, że nie będę jej widział na osob-

---

59 p o ż y c z y ć W a c k o w i – Jan Wacław Machajski (1866 – 1926), przyjaciel i kolega szkolny Żeromskiego, współlokator z lat studenckich; po ukończeniu gimnazjum kieleckiego w r. 1886 ze złotym medalem studiował na wydziale przyrodniczym Uniwersytetu Warszawskiego, po dwóch latach przeniósł się na medycynę, której nie ukończył, pochłonięty nielegalną działalnością w Związku Młodzieży Polskiej „Zet" oraz pracą korepetytorską; za przemyt „bibuły" został w 1891 r. zatrzymany w Galicji i po czteromiesięcznym areszcie w Krakowie – wydalony z granic Austrii; na emigracji w Zurychu, gdzie w 1892 r. spotkał się z Żeromskim, oddalił się zarówno od patriotycznego skrzydła socjalistów, jak i od ruchu narodowego, wiążąc się ze studencką organizacją partii Proletariat; w maju 1892 r. udał się nielegalnie do Królestwa z transportem odezwy własnego autorstwa; aresztowany na granicy pruskiej, był więziony przez trzy lata w Cytadeli warszawskiej i w petersburskich Kriestach, po czym zesłano go na pięć lat do Wilujska; tam stworzył własną doktrynę społeczną i zorganizował grupę „machajczyków". Żeromski kilkakrotnie przychodził mu z pomocą, napisał też w jego obronie list otwarty *W sprawie Machajskiego* (1911); w utworach literackich sportretował go w postaci Radka z *Syzyfowych prac* i Żłowskiego z *Nawracania Judasza,* a kontakty kieleckie opisał we wspomnieniu *Wybieg instynktu.*

60 N i e m o j k i – wieś w pow. konstantynowskim, posiadająca kościół murowany z XVIII w. (do parafii w Niemojkach należeli także mieszkańcy Łysowa.

61 z d z i a d z i ą – tj. z Jakubem Dobrzyńskim (1824 – 1897), ojcem Anieli Rzążewskiej i Natalii Faÿttowej.

62 p. a n i Z. – nie udało się ustalić,o jakiej damie z sąsiedztwa tu mowa.

ności z niewiadomych zresztą przyczyn... Mogłem tylko przez krótką chwilę całować usta i oczy, za którymi tak tęskniłem i dla których łamię wiele rzeczy. Czyż kobieta kłamie tak dalece bez żadnego celu, bez żadnej myśli, wiedząc w głębi siebie, że tego, dla kogo się naraża — nie lubi nawet?

Kto je tam wie... Wyszliśmy do ogrodu; cała uliczka, ta, po której chodziliśmy swojego czasu późną nocą w ulewny deszcz, wolną była, gdyż doktór z panią Z. znajdowali się aż na jej końcu. Znowu powtórzyła mi pani N., że w ogrodzie widywać się nie można...

– W Warszawie się zobaczemy... – mówiła – będzie pan w Warszawie?

– Nie – odpowiedziałem, myśląc jednocześnie, że gdybym był w Buenos Aires, przyleciałbym do Warszawy na oznaczoną przez panią moją godzinę.

Jedna taka rozmowa zdołała mię już wplątać w błędne koło odruchów... Dzieje się to samo, co swojego czasu działo się z Heleną: inaczej myślę, inaczej słońce świeci, świat spod nóg ucieka, pozostawiając po sobie jednę zagadkę, która jest rozwiązalną, ale nie dla mnie.

Gdybym był zdrów, rzuciłbym się do jakichś prac nadsilnych, które by mię uspokajały, jak to było dawniej; teraz jest ta myśl, że gdybym zdobył królestwo i chciał je dać za jeden, pocałunek – byłbym zawsze odrzuconym. Jest tylko jedna rzecz, która grałaby tu większą rolę niż sto królestw – miłość, ale tej nie ma, nie ma, nie ma!

– Zmienił się pan... – mówiła.

Ja się zmieniłem! Gdybym się mógł zmienić, zapomnieć, przechorować to uczucie, wykopać się z tego grobu... Zdaje mi się, że poza tym widnokręgiem, jaki obejmować mogę oczami, nie ma świata, jest burza, która mię rozszarpie, gdy stąd odejdę na zawsze. I wtedy, gdy odejdę, pani doktorowa akurat myśleć będzie o tym, ile dni pozostało do przyjazdu pana W. U licha! – nie ma w tym żadnej złośliwości ani przesady, tylko szczera, życiowa prawda, od której jednak dławi gardło widmo okrutne.

20 VI (piątek).

Czytałem w Kielcach tom nowel Ostoi[63] z przedmową dra Piotra Chmielowskiego. Co prawda doktór Piotr przesadził cokolwiek, nazywając genialnymi środki[64], z pomocą których Ostoja oddziaływa na czytelnika... Ostoja ma duży talent, ma właściwie takie artystyczne wyrobienie form, za użyciem swobodnym których może śmiało przejść i przechodzi tam, dokąd dążą z konieczności wszystkie podnioślejsze umysły artystyczne

63 t o m n o w e l O s t o i – Ostoja to pseudonim Józefy Sawickiej (1859 – 1920), nowelistki, powieściopisarki i tłumaczki, która przyjaźniła się z Elizą Orzeszkową; jej tom pt. *Nowele* wydany został nakładem księgarni Teodora Paprockiego i S – ki w Warszawie 1890 r., był więc wówczas nowością literacką.

64 n a z y w a j ą c g e n i a l n y m i ś r o d k i... – aluzja do następujących zdań z przedmowy Piotra Chmielowskiego (s. IV):

Dzisiejsi uczuciowi ludzie nie popadają w deklamacje sentymentalne ani podnoszą wykrzyków romantycznych; czują głęboko, ale rzadko swe uczucia wypowiadają, kryją się z nimi, by zimny powiew obojętności nie zwiększył jeszcze rozgoryczenia albo nie zatruł szczęścia. Uśmiech przez łzy jest dziś może częstszym niż kiedykolwiek, tylko że te łzy nie płyną po policzkach – są połykane. Takie stłumione w sobie, a nieraz do siły tragicznej wznoszące się uczucia umie Ostoja przedstawiać najlepiej, nieraz można powiedzieć: genialnie.

polskie – w symbolizm. Ostoja jest symbolistką najjaskrawiej ze wszystkich nowelistów naszych, jakich znam. Jest to uczennica Turgieniewa z pierwszej ręki – aż ostatniej, najwyższej, jeśli tak powiedzieć można, klasy. Nie wiedzieć nawet, co w utworach jej przykuwa, taka tam bowiem panuje bezpretensjonalność pomysłów, takie ubóstwo stylu, taka niejasność, małowypukłość postaci...

Zwyczajny czytelnik rzeczywiście, jak to zauważył Chmielowski, nie znajdzie czytając utwory Ostoi nic, znudzi się, trzeba bowiem nadzwyczaj bystro wpatrywać się w robotę tych opowiadań, ażeby pojąć, że kryje się pod tymi formami niespokojny, trawiony goryczą, rwący się jak koń niesiodłany duch autorki. Z winy panów cenzorów każdy u nas pisarz musi od zarania swej pracy ukrywać się, taić swe myśli, kryć myśli szlachetne w niewinne na pozór i niezrozumiałe dla czynowników symbole.

Czytasz np. taki utworek jak *Nowa łódka*[65], przeczytałeś – i nic nie wiesz... Jest to tak, jakbyś niespodziewanie w pustym dla ciebie, cudzym, cudzoziemskim mieście usłyszał parę akordów z marsza Chopina, które wydarły się spod palców czyichś, gwałtowną przemocą oderwanych od klawiszów, zadrgały w twych uszach, przeniosły się... Ale to właśnie niedopowiedzenie myśli głównej, a najgłówniejszej, palącej, ta przemoc położona na słowach, to napomknięcie i zamilczenie – na zawsze wbija ci się w pamięć, drażni cię, każe ci myśleć z zakrytą twarzą...

Ostoja jest jedyną po Orzeszkowej wierzącą w lud młodzieńczo. O krok jest od socjalizmu, a pogardza nim, kocha lud takim, jakim on jest, nie pragnie nic naprawiać, nie robi nawet nikomu wyrzutów, prowadzi nas tylko za rękę czasami po ruinach minionych lat, gdzie dziś siedzi [...] chłop, czasami wgląda w straszliwą pracę ze spokojem nie już obserwatorki, ale wspólniczki tej pracy.

Jeden obrazek z przeszłości wygląda na tle współczesności jak gobelin przechowywany w rodzinie. *Miłość babuni*[66] jest ślicznym obrazkiem, ciepłym, wonnym. Na tło naszych codziennych zdrad, przeniewierstw kobiecych rzuciła jakby bezmyślnie ten czysty oddech przeszłości. Jeżeli czym oddziałać można na kobietę spółczesną, to bez wątpienia nie zimnym kazaniem, lecz jedynie takim czysto obiektywnym przykładem.

W noweli *Zły duch* Ostoja staje na jednym stopniu z Sewerem *(Dla świętej ziemi)*[67] aż co do wyboru tematu i tożsamości bohaterów. Byłoby rzeczą ciekawą zestawienie tych dwu młodych chłopów, powracających z wojska. U Sewera młody chłopak wraca z wojska austriackiego, czepia się ziemi pazurami i żeni się z miłości. U Ostoi Franek przynosi ze sobą moskiewszczyznę, chełpi się, że *bohu i caru* służył [...]. Obadwa te typy malowane są świetnie, tylko że nad typem Ostoi wisi ponure tło wynarodowienia, u Sewera świeci słońce, rozkwita miłość...

Dziś rano po deszczu poszedłem do lasu. Słońce wypijało wodę wiszącą na kłosach żyta z nieśmiałą chciwością, cicho było, gdyż roboty w polach ustały i te płaskie [...] równiny, okryte całe zbożami, jakby w milczeniu czekały na jakiś straszliwy kataklizm. W lesie wrzawę czynią ptaki: kosy, drozdy, wilgi, kukułki, zięby. Poziomki po deszczu pachną i czerwienią się kokietujące spod liści. Paprocie rozrosły się, głusząc w cieniu

65 *N o w a ł ó d k a* – tytuł ostatniej noweli w zbiorze Ostoi brzmi: *Nowa łódź.*

66 *M i ł o ś ć b a b u n i* – opowieść staroszlachecka o platonicznym uczuciu zamężnej ziemianki do wędrownego malarza, ozdabiającego kaplicę, a zarazem uświadamiającego chłopów w jej wsi; była to pierwsza nowela w zbiorze Ostoi.

67 S e w e r a *D l a ś w i ę t e j z i e m i* – jedna z nowel Ignacego Maciejowskiego zawartych w tomie pt. *Świat ludowy* (Warszawa 1889, nakładem księgarni Teodora Paprockiego i S – ki); Żeromski czytał ten tom w Oleśnicy i wrażenia zanotował w *Dzienniku* 16 V 1889 r.

swym konwalie a storczyki; na skrajach lasu trawa w pas. Na moim ulubionym pniaku, obok którego siadała zwykle będąc na spacerze pani Natalia, znalazłem bukiet niezapominajek. Kto je zostawił i dla kogo?...

21 VI (sobota).

Pani Aniela, może dla dokuczenia mi, obwieściła przy obiedzie zebranym, że do P. przyjeżdża pan doktór W. dziś wieczorem. Nie wiem, o ile to jest prawdą, sądzę jednak z wielu rzeczy, że jest prawdą. Gdybym mógł pić, piłbym dziś choćby wódkę kuflami, beczkami, całymi piwnicami, gorzelniami. Ponieważ nie mogę, pisałem w ciągu całego prawie dnia szkic powieściowy pt. *Facet*. Napisałem niewiele, a ponieważ utwór ten ma pierwiastkowo przejść przez krytyczne łapy Bema, szlifuję więc każde zdanie po szczególe, obrabiam, wylizuję niczym (czemuż nie machnąć dobrego porównania?) – niczym Flaubert. Jeżeli ukończę ową ramotę, będzie w niej kropelka zemsty nad panią Natalią, ale zemsty bardzo szlachetnej. Nie wierząc zupełnie w kobiety, w ich dodatnie oddziaływanie na gatunek noszący surduty, w ich szlachetność – stawiam tam kobietę, jeżeli nie na wysokim, to przynajmniej na współczucie budzącym szczeblu. Niech mię wszyscy diabli wezmą, jeżeli ja mam pojęcie, jaką jest pani Natalia! Nic nie wiem – a czasami powiesić bym się rad, tak mi wesoło.

Nie myślmy o tym – myślmy o Cieszkowskim, przyjacielu moim z czasów warszawskiej biedy. Mieszkałem wówczas na czwartym piętrze (róg Chmielnej i Brackiej), gdy on odwiedzał mię często sam, częściej jednak w towarzystwie przyjaciółek, które Bóg raczy wiedzieć skąd wygrzebywał. Był wówczas na medycynie i obadwaj z „ojcem" Juliuszem[68] łotrowali się nieopisanie. Pamiętam tę noc obrzydliwą, gdy we trzech tańczyliśmy u mnie z dwiema kukułkami, ubranymi po cywilnemu absolutnie... Tłomaczyłem wówczas historią Sołowjowa[69] i pracowałem po caluteńkich dniach i nocach, tych nocach strasznych, przepędzanych o kawałku chleba w pracy tak żmudnej, jak przekładanie kronik i latopisów staroruskich. Wkrótce potem Cieszkowski zajął moje lekcje na Dobrej ulicy, na Grzybowskiej nr 17..., a ja pojechałem szaleć za panią Heleną. Nie zapomnę jego wyrazu twarzy, jego miny wiecznie wesołej, brawury i swobody człowieka, dla którego życie jest raz weselszą, to smutniejszą, ale zawsze komedią.

Podczas wakacyj został w Warszawie sam, sypiał gdzieś na jakimś poddaszu, przykrywając się na swym sienniku... storą wyjętą z okna jakiejś jego kuzynki. Wreszcie, jak mi to opowiadał za moją ostatnią bytnością w Warszawie „ojciec", przyszła na „wojewodę" bieda nieopisana. Żłopał wodę w Ogrodzie Saskim[70] i nic nie jadał. Postanowił odebrać sobie życie, pożyczył sobie rewolwera, ubrał się w mundur galowy i

68 „o j c i e c" J u l i u s z – zwany też „pater Julian", to Julian Widawski, kolega szkolny Żeromskiego i pensjonariusz na stancji macochy pisarza; zdał maturę w gimnazjum kieleckim w r. 1887, po czym studiował medycynę w Warszawie.

69 h i s t o r i a S o ł o w j o w a – mowa o *Istorii Rossii s driewniejszych wriemion* Sergiusza Sołowjowa (1820 – 1879), z której fragmenty IX tomu tłumaczył Żeromski dla historyka Adama Weryhy Darowskiego; por. zapisy w *Dzienniku,* z maja 1888 r.

70 ż ł o p a ł W o d ę w O g r o d z i e S a s k i m – niedaleko fontanny przy głównej alei istniała wówczas studnia słynna z wybornej wody, otoczona żelaznym ogrodzeniem; obsługą ręcznej pompy i podawaniem wody w kubkach zajmowali się delegowani specjalnie pensjonariusze Towarzystwa Dobroczynności za dobrowolną opłatą spragnionych (studenci z reguły nie płacili).

szpadę i poszedł ... do inżyniera Cieszkowskiego[71], który nie [był] jego żadnym kuzynem. Kazał się zaanonsować i, przywołany przed oblicze dyrektora drogi żelaznej Warszawsko – Wiedeńskiej, wszedł.

– Jestem Cieszkowski – wymówił głośno.

– Bardzo mi... Cóż stąd?

– Nazywam się Cieszkowski...

To mówiąc wyjął rewolwer i położył przed sobą.

– Jeżeli mi pan dyrektor nie da natychmiast jakiejś posady, ale natychmiast, bo ja nie mam co jeść, palę sobie tutaj z miejsca w łeb – *dixi*[72].

– Pan jesteś studentem?

– Studentem.

– Oberżnąłeś się pan?

– A naturalnie.

– Jakąż posadę pragniesz pan otrzymać?

– Tak sobie – jakąkolwiek – zawiadowcy stacji czy coś w tym guście...

– Zobaczemy, proszę zostawić swoje papiery i przyjść jutro.

Nazajutrz wręczył mu inżynier nominacją na pomocnika zawiadowcy stacji w Łodzi i 200 rubli zaliczki.

Dwieście rubli przehulał natychmiast z kobietami i pojechał na objęcie posady w pożyczonym mundurze i w pożyczonych butach. Siedział tam, w owej Łodzi, przez trzy czwarte roku, hulając podobno co się zmieści. Ponieważ jednak bez warszawianek wytrzymać nie mógł, wrócił na wiosnę do Warszawy i ... wstąpił do uniwersytetu – na prawo. Zapłacił sto rubli wpisu i wpadł znowu w biedę. Przyszły egzamina, a że się naturalnie nigdy do żadnych nauk prawnych nie zbliżał, szedł więc na egzamin do Blocka[73], nie mając najmniejszego pojęcia o przedmiocie.

Wyciągnął pytanie, stanął w groźnej postawie i zaczął pleść coś, co mu przyszło do głowy.

– *Czto wy eto goroditie, gospodin studient?*[74]

Wtedy „wojewoda" wpadł na genialny pomysł: naczytał się w książce Ochorowicza o poddawaniu myślowym i postanowił poddać Blocka magnetycznej sugestii. Zmarszczył brwi i jął powtarzać w duchu do profesora:

– Nie stawiaj mi dwójki, nie stawiaj dwójki, nie stawiaj dwójki!

---

71 d o i n ż y n i e r a C i e s z k o w s k i e g o – Hipolit Cieszkowski (1835 – 1907), inżynier komunikacji lądowej, był budowniczym kolei tzw. fabrycznej Warszawa – Łódź, a następnie prezesem zarządu i naczelnym dyrektorem tej kolei (nie zaś kolei Warszawsko – Wiedeńskiej, jak twierdzi autor *Dzienników);* ogłosił kilka prac fachowych w „Ekonomiście" oraz w „Inżynierii i Budownictwie".

72 w y r a z ł a c i ń s k i – rzekłem, powiedziałem (z domyślnym: i dotrzymam słowa).

73 n a e g z a m i n d o B l o c k a – tak konsekwentnie pisze to nazwisko Żeromski ze względu na niemieckie pochodzenie rodziny, chodzi tu o Aleksandra Lwowicza Błoka (1852 – 1909), ojca wybitnego poety rosyjskiego Aleksandra Błoka; po ukończeniu w 1875 r. wydziału prawa Uniwersytetu Petersburskiego został on powołany na docenta prawa państwowego w Uniwersytecie Warszawskim; po uzyskaniu stopnia magistra w 1880 r. w Petersburgu, A. L. Błok powrócił do Warszawy, gdzie był kolejno: profesorem nadzwyczajnym (od 1885 r.), sekretarzem wydziału prawa i członkiem sądu uniwersyteckiego (1893 – 1896), wreszcie dziekanem wydziału i rzeczywistym radcą stanu (1906 – 1909); zmarł w Warszawie i pochowany został na cmentarzu prawosławnym na Woli; w poglądach prof. Błoka nastąpiła znamienna ewolucja: od młodzieńczego liberalizmu, manifestowanego w kwestionowanej przez cenzurę pracy *Władza państwowa w społeczeństwie europejskim* (1880), do nacjonalizmu i monarchizmu. Apologetyczną biografię prof. Błoka ogłosił jego uczeń, Eugeniusz W. Spektorski, pt. *Aleksander Lwowicz Błok – gosudarstwowied i filosof* (Warszawa 1911).

74 t e k s t r o s y j s k i – Co to za bzdury pan plecie, panie studencie?

Gdy chce zrobić minę poważną, staje się tak komiczny, tak się mieni śmiechem ta twarz, jakby zlepiona z chodzących na zawiasach mięśni, tyle wesołości z niej tryska, że niepodobna mu zrobić cokolwiek złego. Nagle też Block go zapytał:

– Pan może nie czujesz się w możności zdawania dziś, panie Cieszkowski – może pan zdawać jutro.

Uradowany „wojewoda", z pomysłu i odwleczenia przynajmniej sprawy, wypadł na dziedziniec i opowiadał w tryumfie rezultaty pomysłu „ojcu".

– Jaki żeś ty głupi! – przerwał mu „ojciec" – nie trzebaż było magnetyzować Blocka takim rozkazem: – Postaw mi trójkę, postaw mi trójkę!...

Cieszkowski aż się za głowę wziął z rozpaczy.

– Prawda! co za genialny wynalazek! No, to jutro będę go magnetyzował w ten sposób...

Nazajutrz, pomimo straszliwych wysiłków sugestii umysłowej, zdał na najwyraźniejszą pałę. Cieszkowski nie zginie na świecie nigdy.

Drugim c i e k a w y m człowiekiem jest zawsze pan Leon W.[75], eks – prezes. Eks – prezes, ponieważ za czasów prezesowania chciał na gwałt urządzać awanturę, łączyć się z moskiewskimi studentami etc. – wyrzucono go więc z prezesostwa. Spotkałem się z nim na Brackiej. Chodzi zawsze w tużurku, Choć zdaje obecnie na piąty kurs medycyny, w swym oberwanym tużurku i czapce starej formy. Mówił mi z goryczą, że go oczerniono przed masą studentów, że patriotnicy go dławią. Zwymyślałem go, rzecz prosta, co przyjął ze zwykłym jadowitym uśmiechem i szliśmy dalej.

– Jak się ma żona pańska?

– Źle – małe będzie.

– Bagatelka! Powinieneś pan jechać na wieś. Jakże stosunki z ojcem?

– Wydziedziczył mię i wyrzekł się...

– Ślicznie. Piszesz pan w „Głosie"?

– Złamałem pióro od chwili, gdy „Głos" w patriotyzmy i antysemityzmy bawić się zaczął.

– Bardzo dobrze. Oczywista korzyść dla publicystyki ze złamania pańskiego pióra. Cóż pan robisz?

– Powieść piszę...

– Pan, powieść? Ależ pan nie masz wyobrażenia, co to jest powieść.

– Owszem, czytałem *Lalkę*. Pyszna rzecz.

– To pierwsza powieść, jaką pan czytałeś w swym życiu?

– Pierwsza, ale pyszna satyra. Ja taką napiszę.

– Bardzo dobrze. Ja sobie wyostrzę pióro na krytykę pańskiej powieści.

– Dobrze. Może pan pożyczysz 40 groszy?

– I kawy panu kupię.

– Patrzcie państwo! Może w kawiarni? – *Merci*, ja pijam tylko u Sztengla[76].

– Taki demokrat?

– Wszystko jedno, ale pijam tylko dobrą kawę.

Poszliśmy do Sztengla.

– Mój panie Stefanie, czy Wacek M. jest w uniwersytecie?

– No, a gdzież ma być?

– Podobno... przechodzi na prawosławie?

---

75 p a n L e o n W. – Leon Korczak Wasilkowski, student medycyny Uniwersytetu Warszawskiego, w latach 1886/87 i 1887/88 był delegatem kółka „nowokieleckiego" do Koła Delegatów; ulegał wpływom narodnickim; współpracował z „Głosem".

76 u S z t e n g l a – tak w autografie; cukiernia Stengla mieściła się na rogu ul. Marszałkowskiej i placu Zielonego (dziś: Dąbrowskiego); słynęła z doskonałej czekolady z kremem, biszkoptów i ciastek ponczowych.

Zaczynamy się śmiać obadwaj, ale aż mię coś bolało od tej jego złośliwości względem najszlachetniejszego z Polaków.

– Jakiś pan zły i jaka w panu nietolerancja!

– Ech, wy! „Nowa Reforma”[77], powstańczyki, idioci! Gadał mi jeszcze dużo o swych ideach fantastycznych, dzikich, szalonych. Poszedł wkrótce. We drzwiach spotkali się z Wackiem, z którym mieliśmy się zejść właśnie u Sztengla, aby pójść do teatru. Spojrzeli na siebie, przyjrzeli się sobie pogardliwie i, ukłoniwszy się ceremonialnie, rozstali wzruszając ramionami z widocznym wstrętem.

23 VI (poniedziałek).

Pestel żył tylko w przyszłości i ledwo by rzec nie można, że więcej go zajmowało to, co ma nastąpić po rewolucji, niżeli jej wykonanie. Inflanty, Estonia, Kurlandia, Nowogród, Twer miały stanowić prowincją „Kałmogorską”, zaś Archangielsk, Jarosław, Wołogda, Kostroma, Perm – prowincją północną (siewiernaja). Żydom polskim i moskiewskim oddzielna naznaczał posadę, potem w Azji chciał dla nich odnaleźć przytułek.

MOCHNACKI *Powst. nar. pol.* T. II, 244[78]

Krzyżanowski (w r. 1823) niełatwo dawał wiarę Bestużewowi, ofiarującemu Polsce imieniem związku rosyjskiego zupełną niepodległość polityczną. „Czas – mówił Bestużew – aby się Polacy i Moskale nienawidzieć przestali. Interes obudwu narodów jednaki.”

Str.245[79]

Przez wczoraj i dziś przeczytałem dwa tomy Mochnackiego. Pierwszy zawiera listy do matki, rzucając światło na pogmatwaną i posępną, a mało nam znaną historią emigracji, zawiera zresztą wiele rysów biograficznych samego Maurycego Mochnackiego, który jest postacią przykuwającą wzrok i godną badania na tle niezapomnianej epoki, a tak sympatyczną szczególnie...

Tom drugi (*Powstanie narodu 31 r.*) ma dla mnie jako książka źródłowa mniejszą niż Barzykowski[80] wartość. Ma on swe z tego względu zalety, że z całą młodzieńczą emfa-

77 „N o w a R e f o r m. a” – dziennik wychodzący w Krakowie od 1881 r., miał opinię organu demokratycznego i patriotycznego w przeciwieństwie do „Czasu”, który reprezentował kierunek konserwatywny i lojalistyczny.

78 c y t a t z M o c h n a c k i e g o – pochodzi z pierwszego tomu książki Powstanie *narodu polskiego w roku 1830 i 1831,* którą Żeromski poznał w zbiorowym wydaniu *Dziel* Maurycego Mochnackiego, t. II, Poznań 1863, nakładem księgarni J. K. Żupańskiego, s. 243; w porównaniu z tym źródłem tekst przytoczenia zawiera drobne zmiany („rzec nie można” zam. „rzec nie trzeba”, „Archangielsk” zam. „Archangel”, „odnaleźć przytułek” zam. „obmyślić przytułek”) oraz skróty (przed wyrazem „Inflanty” opuszczono zdanie: „Pełen myśli organicznych, rzucał na papier rysy obrazu, który jego imaginacją tak silnie zaprzątał.”).

79 d r u g i c y t a t z M o c h n a c k i e g o – pochodzi z wymienionego wyżej wydania *Dzieł,* t. II, s. 245; w miejscu wstawionej przez Żeromskiego w nawiasie daty znajduje się w tekście Mochnackiego zdanie o następującym brzmieniu: „Krzyżanowski, zwykle uprzedzający, porywczy, w tym jednak zdarzeniu był zbyt przezorny, zbyt podejrzliwy, może zbyt nieśmiały”. Ponadto autor *Dzienników* wprowadził drobne zmiany: „Polsce” zam. „Polszcze”, „zupełną niepodległość polityczną” zam. „dawną niepodległość”.

zą odtwarza stronnictwo młodych rewolucjonistów. Styl, werwa, uniesienie pisarzów tego okresu nosi na sobie cechy jeszcze polskiego żelaza, hartu, dumy, męstwa... Kąpie się w tym człowiek jak w zimnej wodzie, która płynie z czystego, górskiego, szlachetnego zdroju.

Oto jak pisze Maurycy M. w liście do Michała Hubego[81] (referendarza stanu), broniąc się od potwarczych zarzutów ostatniego[82] :

Polska potężna i niepodległa była jedynym romansem mojej młodości. Zaczynałem rok piętnasty mego życia, kiedym po raz pierwszy przysiągł przed zamaskowanymi mistrzami umrzeć dla tej prawdy. Nigdy mi nie wyszły z pamięci chwile, kiedym to ślubował w znak męki Zbawiciela wyrytej na szabli.

... Gdy Moskale wtargnęli, komitet i ci, którzy mię z nim razem obwołali wrogiem ojczyzny, nie odbywali kampanii z bronią w ręku, nie walczyli jak ja pod Okuniewem, Wawrem, Liwem, Długosiodłem, Prytyczą i Ostrołęką, nie wskażą ran i blizny, które ja w bojach odniosłem, znak krzyża polskiego ich piersi nie okrywa!

Tom I, str. 342[83]

Wczoraj odbyłem w towarzystwie p. „Jacusia"[84] wycieczkę do Drohiczyna. Ciągnęła mię tam tajemnicza a bolesna siła ciekawości zbadania własnymi oczami, co może zrobić Moskal na przemocy wsparty. Stąd do Buga jest wiorst dziesięć złej, piaszczystej, iście podlaskiej drogi. Jechałem przez Łysów, Hruszew, Rusków, Tokary. Z trwogą, z taką bojaźnią, jakiej nie zdoła wyrazić mowa, przyglądałem się wsiom tym, od których najmodniejszy, etnograficzny patriotyzm[85] umywa w mądrości ręce. Była niedziela, popołudnie, wszędzie więc przed chatami, wzdłuż płotów siedzieli chłopi w samodziałowych brunatnych spodniach, dziewczyny i kobiety w kaftanikach. O ile podchwycić

---

80 ...m n i e j s z ą n i ż B a r z y k o w s k i w a r t o ś ć – źródłowy pamiętnik członka Rządu Narodowego w czasie powstania 1831 r., Stanisława Barzykowskiego (1792 – 1872), wydany w 5 tomach pt. *Historia powstania listopadowego* (Poznań 1883), był przedmiotem studiów autora *Dzienników* podczas pobytu w Oleśnicy.

81 w l i ś c i e d o M i c h a ł a H u b e g o – Michał Hube (1779 – 1840), referendarz stanu Królestwa Polskiego, był członkiem Komitetu utworzonego po 29 listopada 1830 r. m.in. w celu zbadania papierów odnalezionych w archiwum Wielkiego Księcia Konstantego; po zapoznaniu się z aktami Komitet uznał Maurycego Mochnackiego za niezdolnego do sprawowania urzędów publicznych w Polsce.

82 b r o n i ą c s i ę o d p o t w a r c z y c h z a r z u t ó w – chodziło o obronę przed zarzutem zbyt szczerych zeznań, złożonych przez 18 – letniego Mochnackiego po aresztowaniu za udział w towarzystwie Wolnych Braci Polaków i osadzeniu w więzieniu u Karmelitów; nękany wielogodzinnymi przesłuchaniami przez komisję śledczą z udziałem Nowosilcowa, Stankiewicza, Hankiewicza, Falęckiego i innych, Mochnacki złożył na piśmie „projekt rządów despotycznych", który nikomu personalnie nie szkodząc otworzył mu bramy więzienia. Michał Hube wezwał go do oczyszczenia się z zarzutów w swojej książce, wydanej w r. 1832 pt. *Russisches Schreckensund Verfolgungs – System (s.* 226), na co Mochnacki odpowiedział listem *Do Michała Hubego, referendarza stanu,* datowanym w Paryżu, 18 sierpnia 1832 r.

83 p r z y t o c z e n i e z M o c h n a c k i e g o – są to drobne urywki z listu *Do Michała Hubego,* przedrukowanego w *Dziełach* Maurycego Mochnackiego, t. I: *Listy Maurycego Mochnackiego i brata jego Kamila, wyszłych z wojskiem polskim do Francji w roku 1831,* Poznań 1863, nakładem księgarni J. K. Żupańskiego, s. 328 – 343; trzy pierwsze zdania (z nie zaznaczoną opustką w środku) pochodzą ze s. 334, zdanie ostatnie (z drobnymi skrótami i zmianami) – ze s.342.

84 w t o w a r z y s t w i e p. „J a c u s i a" – nie wiadomo, dlaczego Żeromski umieścił to imię w cudzysłowie; najprawdopodobniej chodzi tu o żartobliwe przeinaczenie imienia Wacusia, czyli Wacława Dobrzyńskiego, najmłodszego brata Anieli Rzążewskiej, który był niedorozwinięty i miał wady wymowy.

85 n a j m o d n i e j s z y, e t n o g r a f i c z n y p a t r i o t y z m – aluzja do poglądów Mariana Bohusza (por. zapis w *Dziennikach* z dnia 20 I 1890 r.) i innych członków redakcji „Głosu".

zdołałem rozmów, gdy wózek wolno się wlókł, mówiono wszędzie po polsku. Znienawidziłem już narzecze rusińskie, dzięki któremu Moskale w obcy nas naród chcą zmienić...

Cerkiew (drugą po łysowskiej) dostrzegłem pod samym dopiero Drohiczynem, trzecią w samym tym miasteczku. Ziemia tu pusta, piaskowa, nieurodzajna na nadbużu, ani śladu ukochanych równin sandomierskich, nadwiślnych. „Laski, piaski"... Miło było jechać zbożami, nie skoszonymi jeszcze łąkami, błoniem niezmiernym nad Bugiem. Spotykałem po wsiach wszędzie chaty porządne o dużych w oknach szybach, ogrody, zabudowania porządne, bydło tłuste. W Tokarach przy jednej z chat naliczyłem do dziewiętnastu ulów Dzierżona[86], na skraju wiosek porządne kołowroty, dobre mosty.

Za ostatnimi wzgórzami, okrytymi szlacheckimi „zagonami", a zasianymi hreczką przeważnie, dał się widzieć nareszcie Bug, wytaczający się jak wąż niebieski z głębin leśnych. Drohiczyn z daleka robi wrażenie dużego miasta. Widać cztery kościoły, jakąś ogromną, dwupiętrową kamienicę na froncie... Przeprawiliśmy się promem pod miastem z końmi i bryczką. Razem z nami jechała gromada chłopów starych i młodych, kobiet i dzieci. Wszystko to mówiło taką czystą polszczyzną, ale taką nieskazitelną polszczyzną, że mało się nie udusiłem, ćmiąc z radości jednego papierosa za drugim.

Stary, wyżółkły, pomarszczony jak cytryna Żyd sam jeden pchał prom swą laską, wbijaną w dno rzeki. Kaszel astmatyczny go dusił, oczy wyłaziły mu na wierzch, gdy z całej mocy odpychał nas z piasku, na którym prom osiadł... Biedny, stary Żyd... I on mówił po polsku... Ten sto razy więcej mi wart niż rozmaici panowie Żydzi, rozmaici mędrcy doktorowie[87], którzy są pozytywni i swoją głęboką filozofią mają. Tamci nie potrzebują s z e bawić w polską sentymentalność, oni potrzebują mówić po rosyjsku, jak potrzebuje zawiać wiatr...

Wjechaliśmy do miasta pod stromą górę. Co za rozczarowanie! Najbiedniejsza mieścina, jaką wyobrazić sobie można, pełna oberwanego żydostwa... Ani jednego napisu polskiego. Co chwila bije cię w oczy napis: „Корчма", „Шинок", „Селськая аптека-"[88]... Ale w tych „korczmach" i „szinkach", dokąd chodziłem podsłuchiwać mowę chłopów już zza Buga, „braci zza Buga" – kipiała taka polszczyzna jędrna a gwarna, że coraz bardziej prostowałem plecy.

„Jeszcze nie zginęła!" – dopóki tak jest. [...]

Niegdyś można tu było śmiać się z Krasickim: „bram cztery ułomki, klasztorów dziewięć i gdzieniegdzie domki..."[89] – dziś łzami oczy zachodzą. [...]

Tuż nad brzegiem rzeki wiszą gliniaste urwiska, podziurawione przez lochy. Mają one kształt wałów czy nasypów. Głucha wieść niesie, że mają to być zabytki schronisk aż Jadźwingów[90], których Drohiczyn był stolicą. Z urwisk tych śliczny roztacza się wi-

---

86 u l e D z i e r ż o n a – mieszkający na Śląsku ksiądz Jan Dzierżon (1811 – 1906) uznany był za najwybitniejszego z pszczelarzy europejskich; odkrywca dzieworództwa pszczół, publicysta i autor cennych dzieł pszczelarskich ogłaszanych w języku niemieckim, był przede wszystkim wynalazcą nowoczesnej, ruchomej budowy wnętrza ula, pozwalającej na swobodne manipulowanie poszczególnymi plastrami bez niszczenia układu gniazda, jak to bywało przy tradycyjnej hodowli w kłodach; ule szafkowe skonstruowane ok. 1840 r. rozpowszechniły się szybko w całej Europie, a zasługi Dzierżona jako biologa i reformatora pasieki przyniosły mu wielką sławę oraz doktorat *honoris causa* uniwersytetu w Monachium (1872).

87 r o z m a i c i m ę d r c y d o k t o r o w i e – aluzja do doktora Ludwika Wolberga, znajomego dra Michała Faÿtta, którego Żeromski poznał w Patkowie.

88 w y r a z y r o s y j s k i e – w tłumaczeniu polskim: Karczma, Szynk, Wiejska apteka.

89 c y t a t z K r a s i c k i e g o – pochodzi z *Monachomachii,* pieśń I, w. 23 – 24.

90 z a b y t k i s c h r o n i s k J a d ź w i n g ó w – w Drohiczynie lackim na prawym, wysokim brzegu Bugu przechowały się resztki grodziska z dwiema pieczarami połączonymi lochami; na tym miejscu wznosił się dawniej zamek obronny, zniszczony w 1657 r. przez Szwedów.

dok na Bug, wijący się kręgiem pod ścianą wzgórz, na Korczew i dalekie leśne przestrzenie.

Oto on Bug, o którym śpiewa się w pieśniach niepodległych[91], oto łzawica, w którą spłynęło tyle łez cichych, niemych, nieznanych historii bohaterów, wielkich dusz świata a prostych chłopów z Pratulina, z Komicy, Szpaków... Cicho płynie w piaskach i niekochany mi za to, że tyle bólu na jego brzegach.

Moskale posiadają dwie tylko rzeczy dobre: herbatę i Turgieniewa. Mam pod ręką *Poezje prozą*[92] ostatniego, których dotąd nie znałem. Zapisuję tu arcydzieło:

ŻEBRAK

Szedłem wzdłuż ulicy. Zatrzymał mię żebrak, dziad sędziwy. Łzawe, zapalone oczy, zbielałe wargi, podarte łachmany, rany okropne – jakże strasznie los pokarał tę nędzną istotę. Wyciągnął ku mnie rękę spuchłą, brudną i sczerniałą. Jęczał prawie, żebrząc o pomoc. Począłem szukać po kieszeniach. Nie wziąłem z sobą jednak ani woreczka, ani zegarka; chustki nawet nie miałem przy sobie. Żebrak stał wciąż, czekając; drżał i trzymał wyciągniętą rękę. Zakłopotany i wzruszony ścisnąłem jego rękę, mówiąc:

– Nie bądź mi gniewny, bracie mój, lecz nie mam nic przy sobie. Żebrak spojrzał na mnie swymi czerwonymi od zapalenia oczami, blade jego wargi zadrgały uśmiechem i ścisnął moje palce.

– I za to dziękuję ci, bracie, bo i to jest jałmużna. Czułem i ja, że braterską otrzymałem jałmużnę.[93]

Oto jest piorun geniuszu. Takimi słowami przemawiają Grottger, Szekspir i ten Moskal. Nie jest to utwór sztuki, tylko jakiś pryzmat, przez który widzieć można przepaść nicości istnienia. Głowa opada na ręce w bezmyślnym chaosie duszących uczuć...

Ten wielki wyznawca wiary w postęp przy końcu życia umiał łkać tylko i takimi łzami nad nicością jestestwa. Jest on o tyle szczególny, że w beznadziejnej, a tak beznadziejnej i zdecydowanej jak u Leopardiego, rozpaczy miłował do ostatka nie rozwiązaną przez filozofią zagadkę: człowieka. Zda się, że humanitaryzm naszego wieku, on humanitaryzm, którego socjalizm jest gałęzią tylko, w Turgieniewie miał największego i najsumienniejszego przedstawiciela.

Najniespodziewaniej w świecie otrzymałem dziś list od panny Heleny P.[94] z żądaniem zwrotu jej listów. Jest to naturalnie pretekst tylko, za pomocą którego urocza wiochna pragnie mię wciągnąć na nowo do jarzma. Zarzuty, jakie mi robi, są mniej lub więcej nielogiczne, mniej lub więcej złym wypowiedziane narzeczem. Pisze między innymi wykrzyknikami:

---

91 Bug, o którym śp. iewa się w pieśniach niepodległych – aluzja do popularnej pieśni rewolucyjnej Gustawa Ehrenberga *O cześć wam, panowie magnaci* („Gdy naród do boju wystąpił z orężem").

92 *Poezje prozą* Turgieniewa – wyszły po polsku jako dodatek do „Tygodnika Ilustrowanego" 1890, nr 25 i 26 (Warszawa ,1890, s. 24) bez wymienienia nazwiska tłumacza.

93 *Żebrak* Turgieniewa – oryginał powstał w lutym 1878 r. Porównanie z wydaniem krytycznym Akademii Nauk ZSRR (I. S. Turgieniew; *Połnoje sobranije soczinienij i pisiem w 28 tomach,* t. XIII, Moskwa – Leningrad 1967, s. 151) wykazuje, że tekst został przełożony w całości z drobnymi skrótami w zakresie przymiotników.

94 list od panny Heleny P. – Pancerówny z Dmosic (ur. 1872), z którą autor *Dzienników* flirtował podczas wakacji 1888 r.

Pisząc do Pana, szłam ślepo za moją miłością i sercem, ufałam jako człowiekowi szlachetnemu, który wie, co znaczy honor kobiety. Pomyśl, co będzie, gdy listy moje dostaną się do rąk Twojej rodziny? Wiem, że Pan jest bardzo chory, pomimo że z rodziną Nekandów[95] zerwane...

(Jak gdybym ja nie mógł być chorym, gdyby stosunki między rodziną Nekandów a rodzicami Helenki nie były zerwane...) itd.

Otóż co jest: Helenka ma obecnie lat siedmnaście, podobała mi się, bałamuciłem ją, ma posag, kocha mnie może nawet – i odpisałem jej szorstko z takim odcieniem szorstkości, który jawnie mówi: nie pisuj do mnie, nie nudź mię... Robię to wszystko w takim celu, aby swobodnie kochać się w pani Natalii i patrzeć, jak ona bałamuci doktora, „pana doktora W."...

24 VI (wtorek).

Wczoraj nad wieczorem przyjechała była tutaj pani Natalia. Byłem w moim pokoju, a wiedząc, że w salonie siedzi pani Aniela, postanowiłem nie iść tam wcale. Moralnie lepiej mi jest, gdy długo nie widzę sowiookiej... Wszedłem tam na chwilkę tylko, aby oddać „Tygodnik", i odszedłem natychmiast, widząc, że p. Aniela prezyduje. Dziś ma być w P. obiad, na który „hr. Idalia"[96] jedzie z dziećmi. Ja postanowiłem nie jechać, choć jakoby miałem otrzymać zaproszenie. Czy mi z tym lepiej będzie – nie wiem. Nie mogę tylko myśleć przytomnie i doznaję, myśląc o Natuchnie, takich podłych wzruszeń, jakby mię chwytał paraliż. Prawdopodobnie pogniewa się na mnie i wszystko się skończy...

Aniela dokucza mi pośrednio niejako, opowiadając nieustannie całemu zgromadzeniu o afektach doktora W., rzucając takie bomby:

– Gdybym chciała, mogłabym opowiedzieć nie tylko takie zjawiska...

Milczę jak kamień, ale jestem jakby podminowany, jak napchany dynamitem.

Poeta rozmyślacz, mąż namiętny, liryk z daru i użyczenia nieba, filozof własnego serca..."[97], ten, z którego jesteśmy wszyscy, ten, który nas porwał na wzdętej fali swego natchnienia[98] – idzie nareszcie spać między królami[99]. Może dlatego, że na *Panu Tade-*

95 z r o d z i n ą N e k a n d ó w z e r w a n e – przydomek „Nekanda" nosiła rodzina Adolfa Trepki, męża ciotki Stefana Żeromskiego, gospodarująca w majątku Chobrzany w Sandomierskiem; rodziny Trepków i Pancerów były spowinowacone przez małżeństwo syna Adolfa, Józefa Trepki, ze starszą siostrą Heleny, Michaliną z Pancerów.

96 „h r. I d a l i a" – mowa o Anieli Rzążewskiej; porównanie do bohaterki *Fantazego* Juliusza Słowackiego nasunęło się autorowi *Dziennika* wskutek podobieństwa takich cech obu postaci, jak: przesadna romantyczna egzaltacja, melancholia porzuconej kochanki, patetyczna frazeologia itp.

97 „P o e t a r o z m y ś l a c z... f i l o z o f w ł a s n e g o s e r c a" – tych słów nie udało się odnaleźć w żadnym z licznych przemówień, wygłoszonych w Paryżu i w Krakowie z okazji sprowadzenia zwłok Adama Mickiewicza na Wawel, a drukowanych w pismach krakowskich oraz w osobnej książce pamiątkowej pt. *Złożenie zwłok Adama Mickiewicza na Wawelu, dnia 4 lipca 1890 roku* (Kraków 1890).

98 t e n, z k t ó r e g o j e s t e ś m y w s z y s c y... – Żeromski przytoczył tu słowa z listu Zygmunta Krasińskiego do Adama Sołtana, pisanego po zgonie Mickiewicza, dnia 8 XII 1855 r.:

uszu uczyła mię matka czytać[100], może dlatego, że on mię zrobił, czym jestem, uczciwym Polakiem, może dlatego, że utworami jego karmiłem duszę w najsmutniejszych chwilach życia – dzień, kiedy go do królewskiej wznoszą godności, będzie najpiękniejszym dniem mego życia. Kiedy myślę, że tę skrytą radość, która jakoby mnie się samemu należy, dzieli ze mną tyle tysięcy ludzi, którzy to samo czują, uczuwam, że wstępuje odwaga we mnie, że żyje naród. Ta jest wielka, nie dająca się nazwać po imieniu korzyść z oddania mu należnej czci. W takiej chwili zobaczyć można, że jest jeszcze tłum niepoliczony, któremu „zapał owiewa głowę"[101] dla wiekuistej idei.

Gdybym mógł tam być z tymi ludźmi, którzy jego tak samo kochają!...

Pan Adam już odszedł od nas – na tę wieść pękło mi serce. On był dla ludzi mego pokolenia i miodem, i mlekiem, i żółcią, i krwią duchową. – My z niego wszyscy. On nas był porwał na wzdętej fali natchnienia swego i rzucił w świat. (Z. Krasiński: *Listy do Adama Sołtana,* oprac, i wstępem poprzedził Zbigniew Sudolski, Warszawa 1970, s. 617).

99 i d z i e n a r e s z c i e s p a ć m i ę d z y k r ó l a m i – sprowadzenie zwłok Adama Mickiewicza do kraju poprzedziły długie starania specjalnego komitetu, uwieńczone zgodą kapituły katedralnej krakowskiej na urządzenie krypty obok kaplicy Maciejowskich w podziemiach kościoła na Wawelu wedle planów Sławomira Odrzywolskiego oraz urzędowym zezwoleniem władz wiedeńskich; jako reprezentanci kraju wyjechali do Paryża: dr Adam Asnyk, hr. Władysław Koziebrodzki i Stefan Grzybowski, prezes „Czytelni Akademickiej". Na cmentarzu Montmorency, po wydobyciu trumny z grobu w dniu 28 czerwca 1890 r., przemawiali: w imieniu Collège de France – Ernest Renan, w imieniu Association littéraire internationale – Juliusz Lerminy, w imieniu polskiego Towarzystwa Historyczno – Literackiego – ks. Władysław Czartoryski, w imieniu delegacji krajowej – hr. Władysław Koziebrodzki, w imieniu emigracji – Bolesław Limanowski, w imieniu niewiast polskich – pani Nabielakowa, w imieniu młodzieży akademickiej krakowskiej – studenci Grzybowski i Siedlecki, w imieniu paryskiej kolonii polskiej – Boufal i Barański, w imieniu Litwinów – Bogdanowicz, jako reprezentant Stowarzyszenia węgierskiego – Edmund Salamon, Stowarzyszenia czeskiego – p. Klepał. Kolejna uroczystość podczas przewożenia zwłok odbyła się w Zurychu, gdzie oprócz kolonii polskiej wzięło udział w manifestacji na cześć Mickiewicza wielu Szwajcarów, m.in. prezes Rady zarządzającej Politechniki, rektor i profesorowie Uniwersytetu; wygłoszono tu dziewięć mów w kilku językach. W Wiedniu, gdzie przekładano trumnę z wagonu francuskiego do wagonu austriackiego, stowarzyszenia polskie: „Biblioteka Polska", „Ognisko", „Zgoda" i „Przytulisko" miały złożyć wieńce, a ks. Jerzy Czartoryski miał przemawiać nad trumną, na co jednak dyrekcja policji nie udzieliła pozwolenia, a rekurs do namiestnictwa odrzucono. Uroczysty obchód w Krakowie dnia 4 lipca 1890 r. zgromadził nieprzebrane tłumy mieszkańców miasta i okolic, deputacje włościańskie z różnych stron kraju, młodzież akademicką, przedstawicieli licznych organizacji społecznych i zawodowych, duchowieństwo w liczbie przeszło 500 kapłanów z arcybiskupami Issakowiczem, Morawskim i kardynałem Dunajewskim, profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego i Lwowskiego w togach i z insygniami, posłów do Rady Państwa i Sejmu, dygnitarzy władz krajowych: marszałka hr. Jana Tarnowskiego, namiestnika hr. Kazimierza Badeniego, ks. Jerzego Czartoryskiego, ks. Eustachego Sanguszkę, ks. Adama Sapiehę w towarzystwie członków rodziny poety z Władysławem Mickiewiczem na czele. Przemówienia wygłosili: przed wyruszeniem orszaku Władysław Mickiewicz i marszałek krajowy hr. Jan Tarnowski, u stoków Wawelu student Włodzimierz Lewicki, przed wejściem do katedry dr Adam Asnyk i prof. Stanisław hr. Tarnowski, po nabożeństwie żałobnym w katedrze ks. prałat Władysław Chotkowski. Przejście olbrzymiego orszaku pogrzebowego z ulicy Szlak do katedry przez wspaniale udekorowane miasto trwało kilka godzin; w kilku miejscach przerywane było występami wokalnymi chóru opery lwowskiej i towarzystwa muzycznego w Krakowie (podczas nabożeństwa wykonano *Requiem.* Mozarta); ponadto przed wejściem do katedry powitał prochy Mickiewicza potężny głos dzwonu Zygmunta. Ostatnich ceremonii pogrzebowych dopełnił ks. kardynał Dunajewski, po czym trumnę zdjętą z katafalku poniesiono ku. krypcie, gdzie udali się tylko duchowni, rodzina poety, marszałek krajowy i prezydenci miast Lwowa i Krakowa. Trumna spoczęła w sarkofagu na piasku z rzeki Niemna i z Nowogródka.

O tych uroczystościach prasa Królestwa informowała bardzo skąpo, przeważnie w kilkuwierszowych notkach telegraficznych.

100 n a *P a n u T a d e u s z u* u c z y ł a m. i ę m a t k a c z y t a ć – pisał o tym obszerniej autor *Dzienników* dnia 3 lutego 1889 r.

101 „z a p a ł o w i e w a g ł o w ę" – jak świadczy *Słownik języka Adama Mickiewicza,* takiego zbiegu wyrazów nie ma nigdzie w tekstach poety; należy więc przyjąć, iż jest to bardzo swobodna parafraza w. 5 Ody do *młodości:* „Kędy zapał tworzy cudy".

W n o c y.

Na odwieczerz chodziłem do lasu, naczytawszy się przez cały dzień *Polski w czasie trzech rozbiorów* Kraszewskiego[102] (które to dzieło znałem z treści i notat w dziele Kariejewa przytoczonych[103]) oraz Mochnackiego *Powstania* tomu III[104].

Na pniaku znalazłem bukiet, składający się z trzech przepysznych róż sztamowych ledwo rozwiniętych. Zwiędły cokolwiek, sądzę jednakże, że dziś były zostawione. Nie umiem nazwać tej radości, z jaką przyciskałem je do ust. Przed chwilą p. Aniela wróciła... Cicha, cudna noc. Spać się nie chce, pragnęłoby się pójść dziś do furtki na największe niebezpieczeństwo – na próżno!

25 VI (środa).

Znalazłem dziś w lesie śliczny bukiecik z bławatków i trzech róż białych. Był świeży, zostawiony nie więcej zapewne niż na kwadrans przed moim przyjściem. Jest niewysłowiona dobroć, nienazwana łaska Natuchny w tym pamiętaniu o mnie! Nie widziałem jej tydzień prawie, od przyjazdu nie mówiłem z nią szczerze, mam tylko za pociechę całą te kwiatki, które mi zastępują pismo i mowę. Biegłem dziś do lasu co tchu, pragnąc zobaczyć, czy są kwiatki; zobaczyłem je z daleka... Jak wyżeł śledziłem zmiętą trawę, szukając śladu kochanych jej nóżek. Jest w tym dużo może sentymentalizmu – cóż jednak począć? Nie mogąc jej widzieć ani z nią mówić, muszę słuchać, co mówią kwiatki.

Czyż tylko kokietką jest ta dobra istota, która sprawia mi tyle i szczytnej tak radości? W ciągu całego dnia czekam, czy nie przybędzie, budzę się z myślą, że nad wieczorem dopiero zastać mogę kwiatki, zostawione jej ręką. Widziałem dziś jej fotografią: jest ładna, choć nie ma w niej tego, co jest cudem w Natusi – jej oczu podobnych do mgły, do mgły porannej ocienionej błękitem wschodu... Pani A. utopiłaby ją w łyżce wody, ach, cały ten światek znużonych nudami kujotów rozdarłby ją na ćwierci, gdyby wiedział wszystko...

Uczucie namiętne nie jest w stanie toczyć walki z porządkiem rzeczy; społeczeństwo zbyt jest silne. Miłość, której nie pochwali, zbyt jest gorzką. A więc biada kobiecie, jeśli podpory szukać będzie w uczuciu, na którego zdławienie wszystko się sprzymierza i przeciw któremu społeczeństwo, jeżeli nie uzna go za prawowite, uzbroi się we wszystko, co tylko może być w sercu ludzkim najgorszego, aby wszelką jej szlachetność – powalić o ziemię.

BENIAMIN CONSTANT[105]

---

102 k s i ą ż k a K r a s z e w s k i e g o – *Polska w czasie trzech rozbiorów 1772 – 1799. Studia do historii ducha i obyczaju przez...* T. I – III. Poznań 1873 – 1875.

103 d z i e ł o K a r i e j e w a – chodzi o książkę *„Padienije Polszi" w istoriczeskoj litieraturie* (Petersburg 1888), pióra Mikołaja Kariejewa, historyka, publicysty, profesora Uniwersytetu Warszawskiego; czytał ją Żeromskiemu Wacław Machajski, gdy autor *Dzienników* chorował w Warszawie na oczy (por. zapisy z 10 X i 18 X 1889 r.).

104 M o c h n a c k i e g o *P o w s t a n i a* t. III – *Powstanie narodu polskiego w roku 1830 i 1831* miało dwa tomy; tu chodzi o III t. *Dzieł* Maurycego Mochnackiego, który zawierał drugi tom *Powstania...* (Poznań 1863).

105 c y t a t z *A d o l f a* B e n i a m i n a C o n s t a n t a –pochodzi z I tomu *Głównych prądów literatury europejskiej XIX stulecia* Jerzego Brandesa (Warszawa 1882, s. 117); dzieło to studiował autor *Dzienników* jeszcze w VII klasie gimnazjum kieleckiego (por. zapisy z 6 i 7 V 1885 r.); porównanie z tekstem u Brandesa wykazuje redukcje i zmiany w przytoczeniu: „jest silne" zam. „jest silnym", po „nie pochwali" opuszczono „i nie uświęci, czyni ono gorzką", po „zbyt" dodano „jest", „zdławienie" zam. „zatrucie", „społeczeństwo" zam. „społeczność", „uzbroi" zam. „uzbraja", „może być" zam. „być może", „wszelką jej szlachetność" zam. „wszelkie dobre".

Pani Natalia nie potrzebuje i w rzeczy samej nie ma zamiaru „szukać podpory w uczuciu", bawi się – walka jednak sama przez się wynika. Obowiązek obrony polega na mandrylu, który zbiera kwiatki w lesie, a obrona może być tylko bierna. Czynną popsułoby się tylko sprawę... Zostaje do zniesienia czujne po kociemu baczenie na wszystko, na półsłowa, uśmiechy, gesta ludzi otaczających, przecenianie niebezpieczeństwa i pseudouprawnione pogardzanie nimi.

Dziś mam tyle już podłego w treści doświadczenia, że wojować ze światem, rzucać mu szlachetnie rękawicę w imię zasady Wiktora Hugo: *J'ai réclamé des droits pour la femme...*[106] byłoby nierozwagą, narażającą się z góry na przegraną. Świat można tylko oszukać i za cenę upodlenia duszy kupić szczęście. W uczuciu takim jak moje dla pięknej – może być tyle szlachetności, tyle zacnej cnoty, ile jej się nie znajdzie w setce mniemanych, przez świat uznanych przywiązań. Ze wszystkim tym jednak jak ze zbrodnią ukrywać się trzeba, gdyż o tyle ludzie zdolni są do tolerancji, o ile nic nie wiedzą.

Obowiązek, obowiązek! – woła pieniąc się pani A., która tak znakomicie rozkłada nóżki na każde żądanie... Do czegóż prowadzi ten obowiązek? Do tego, że życie zmienia się w cierpienie, które żadnej produkcyjnej siły dobra w sobie nie mieści.

Miłość zaś – to jedyne dobro nieskończone, wiecznie rodzajne jak ziemia. Żadne prawa etyczne ani, co większa, społeczne nic a nic na tym nie tracą, że pani N. panu S. pozwala się pocałować w rękę. Jeżeli zaś braną ma być w rachubę jednostka, jej szczęście, a o to ludzkość boryka się od stu lat, to pan S. ma, faktycznie ma „niepisane", greckie, ludzkie prawo pocałować panią N. – nie tylko w rękę...

Zresztą – piękne jak pani Natalia kobiety umieją trzymać duszę na lejcu wiecznego posłuszeństwa. Posiadają szczególny umysł, o którym przedziwnie mówi poeta:

... Vous êtes les grâces du jour et la nuit vous aime comme la rosée. Vous savez des paroles magiques qui endorment toutes les douleurls; vous êtes des fleurs mysterieuses qu'on trouve dans les lieux solitaires...[107]

Te właśnie tajemnicze słowa, które każdą boleść koją, zgadywanie duszy ludzkiej, przeczuwanie jej dążeń i słabości, wwiadywanie się mocą nieznanych środków w słabość charakteru i zaspokajanie wszystkich porywów duszy – wytrącają z ręki broń obowiązku najwaleczniejszym z mężczyzn i to sprawiają, że, jak mówi Hamlet, „ta nieczynność czyni nas tchórzami"[108]...

---

106 t e k s t f r a n c u s k i – „Domagałem się praw dla kobiety..."; jest to urywek wiersza Wiktora Hugo ze zbioru *Les Contemplations* (1856), który Żeromski poznał za pośrednictwem książki Jerzego Brandesa *Główne prądy literatury europejskiej XIX stulecia*, t. V, Warszawa 1885, s. 379.

107 t e k s t f r a n c u s k i – nie ustalonego autorstwa, był już przytoczony w *Dziennikach* dnia 30 VIII 1889 r., a następnie został wykorzystany w *Mogile* w opisie urody Marii Kłuckiej; tłumaczenie polskie brzmi następująco:

Jesteście powabem dnia i noc kocha was jak rosę. Znacie słowa magiczne, kojące wszystkie bóle; jesteście tajemniczymi kwiatami, które znajduje się w miejscach samotnych...

108 „t a n i e c z y n n o ś ć c z y n i n a s t c h ó r z a m i"... – cytat z monologu Hamleta w akcie III sc. 1 tragedii Shakespeare'a; w przekładzie Józefa Paszkowskiego: „tak to rozwaga czyni nas tchórzami".

26 (czwartek).

Dwa razy byłem dziś w lesie. Szalejesz, Stefusiu, lecisz łbem na dół i to w takim wzniosłym celu, aby sobie ów lecący na dół łeb roztłuc o byle kamień. Życie, prace zamierzone, pomyślnie urządzona przyszłość – wszystko to jak sznur rozrąbała siekiera jakaś... Małe, jedwabne rączki, usta, uśmiech których jest poezją, oczy niezapomniane, nieodegnane!...

Za pierwszą bytnością w lesie nie spotkałem nikogo i nie znalazłem nic. Szedłem tam w jakimś porywie tęsknoty, graniczącym z wariacją.

Za drugą bytnością – na pniaku znalazłem bukiet bławatków i usłyszałem w głębi lasu głos Natuchny. Spotkałem ją. Jest to śliczna kobieta, a gdy ją się widzi na tle lasu, tę cichutką panienkę z dobrymi oczami – boję się patrzeć na nią, gdyż czuję pod powiekami łzy i chaos w myślach.

Sądzi, że się zmieniłem, dlatego że nie byłem w P., że unikam salonu, gdy ona przyjeżdża... Unikam, bo męczarnią mi jest obecność „pani Davis". A zresztą – co to mówić? P. Natalia o tyle zwraca na mnie uwagę, o ile miłość moja może ją rozerwać. Wesołe zjawisko! Ponieważ pani A. za każdym widzeniem się wyrządza jej tysiączne i jadowite przykrości, nic więc dziwnego, że sympatia dla mnie w umyśle pani N. ulega wyczerpaniu, gdyż ja tu jestem pośrednią przyczyną niesnasek.

Prosiłem o fotografią, lecz otrzymałem przyrzeczenie dostania jej pod tym warunkiem, jeśli postępowanie moje z panią A. zmienię. Cóż ja tu zmienię? Zmienić – to znaczy stać się kochankiem „pani Davis", szalejąc za p. Natalią. *Circulus vitiosus*[109]. Dostałem na pierwszy lipca obietnicę spotkania, ale... w furtce ogrodowej, czyli znowu w ciągu pięciu minut. To, co stanowi marzenie moje, ten upragniony kwadrans sam na sam w lesie – przeraża ją grozą przyszłości[110]. Cóż jednak może być bezpieczniejszego nad ten śliczny wąwóz?... Potworzono mnóstwo gadanin jakichś, z których dochodzą mię półsłówka, nikt jednak, Natuchna nawet, nie chce mi powiedzieć szczerej prawdy. Tak mię to dręczy, że jestem chory prawie.

Odprowadziłem N. pod sam dwór i o zachodzie już prawie słońca wróciłem do domu. Wracając badałem się, czy zdołam nagle i niespodziewanie wyjechać stąd na mękę sobie straszną, ale dla wyrwania się z pęt wszelkich, przecierpienia i spokoju. Któż to wie? Dziś jest wysiłek woli, a jutro może być taka rozpacz, na jaką nie ma ratunku nigdzie, na całym szerokim świecie. Dokąd jechać? – A w świat, dokąd oczy niosą. Nigdy dotąd nie myślałem, dokąd jadę. Przed siebie...

W czasie herbaty pan L.[111], stary piernik, pełniący tu obowiązki czytacza gazet i sprzedający wódkę z „podwału"[112], kawał starego wygi i mędrca pacanowskiego, gdym zawiadamiał panią Anielę o widzeniu się z panią doktorową, zauważył, że dziwnym zbiegiem okoliczności ja się znalazłem w R.[113], gdy była tam pani doktorowa – „akurat", he – he – he... Piernikowi odciąłem się od lewicy, aż zmiękł od razu, a gdy wyszedł, najgrzeczniej w świecie powiedziałem pani Anieli – w kształcie stwierdzenia faktu – że zdążyła już uświadomić i pana L.

---

109 c *i r c u l u s v i t i o s u s* – (łac.) błędne koło.

110 p r z e r a ż a j ą g r o z ą p r z y s z ł o ś c i – w autografie omyłkowo; przeszłości.

111 p a n L. – Władysław Lewiński, który był rezydentem w Łysowie.

112 z „p o d w a ł u" – tzn. z kradzieży (gorzelnie były wówczas prywatne).

113 j a s i ę z n a l a z ł e m w R. – w lesie Rogaczu.

Pani literatowa machnęła się, rzecz naturalna, w elokwencją, zamierzała zaraz oto „klękać przed krucyfiksem" i składać przysięgę, że jest niewinną jak nowo narodzone jaje. Zabrałem się i poszedłem, poprzedziwszy wyjście ukłonem *à la* lord major. Gdym jednak w męce nieopisanej okręcał sobie głowę poduszką w moim pokoju, strzeliła mi do głowy myśl uprzednia: „wezmę" i pojadę do wszystkich milionów fur beczek batalionów diabłów! Po co mam się tu dusić i drzeć pazurami własne serce.

Poszedłem do pani Anieli i oświadczyłem jej zupełnie dobrym stylem, że dnia pierwszego lipca wyjeżdżam z Ł., proszę ją o obliczenie, ile należy się za wypity tran, kefir, kreozot i kąpiele (dajmy na to, że wypite również dla ciągłości i żywości opowiadania). Nie będzie pani Natalia „bawić się" mną, nie będą mię drażnić stare piernikarze i śledzić stare kobiety – raz kozie śmierć. I pojadę. Będę wiózł swego trupa, ale pojadę.

Pani Aniela załamała białe dłonie, uderzyła w płacz i narzekanie, wykonała kilka ryzykownych przysiąg, przyrzekała, że nigdy, literalnie nigdy nie zrobi przykrości pani doktorowej, że naprawi stosunki, że jestem zaślepiony, że pani N. jest kokietką, przewrotną, nikczemną, że łudzi mię, że mówiła na mnie przed nią, panią Anielą, wiele rzeczy nieopisanie złych, że jest to sam fałsz, obłuda, plotkarstwo, złość, bezlitość, nizota[114] moralna, że wie wreszcie, dlaczego wyjeżdżam: oto pierwszego lipca ma jechać i pani Natalia – schadzkę więc w Warszawie ukartowaliśmy sobie. Blada, z żarem buchającym z nozdrzy, w pozie Adriany[115], straszna rzucała na mnie góry przekleństw, wyrzutów, skarg. Powiedziałem jej, również z żarem buchającym przez nozdrza i przy 42 stopniach gorączki, że z tym wszystkim jej – „pani Davis" – nienawidzę, panią doktorową zaś czczę, kocham, uwielbiam, że wyjadę dlatego, aby ukarać potwarz aby obronić Natuchny niewinność, aby zamknąć złe usta wszystkie jednym zamachem, aby wymierzyć karę mocą wyrzutu sumienia na tych, co rozmowę z mężatką karzą obmową, plotką, oszczerstwem, gotowi są do najplugawszej szczekaniny, ślinią się ze złości i opluwają sobie, pragnąc znieważyć niewinnych, własne brody.

Skąd się we mnie bierze tyle grubiaństwa? Co mię dręczy? Czemu sam robię kurz i dziwię się, że mi on oczy zaślepia[116]? Nie miałem najmniejszego prawa mówić tego wszystkiego pani Anieli, która jest dla mnie dobrą, która zrobiła mi wiele dobrego, nieopisane wyświadczyła mi łaski. Jestem chory, rozdrażniony i gdyby mi kto strzelił w łeb, dałbym mu testament mój w spuściźnie, składający się ze skarbów nad skarby – z zaschniętych bukietów bławatków...

Ach, jakże biedną, małą, robaczywą w swych uczuciach nawet szlachetnych istotą jest takie jak ja bydlę!

---

114 n i z o t a – (z ros. *nizost')* podłość; wyraz utworzony analogicznie do słowa „nędzota", którego użył Żeromski w *Dziennikach* 17 IV 1888 r., „nagota" – 17 VIII 1888 r., czy „podłota" – 22 I 1889 r. „Nizota" pojawia się w tym tomiku jeszcze kilkakrotnie w zapisach z dnia 4 VIII, 16 VIII, 28 VIII 1890 r.

115 w p o z i e A d r i a n y – Adrianna Lecouvreur (1692 – 1730) była największą aktorką tragiczną Francji w owej epoce; jej losy poznał Żeromski ze słynnego dramatu E. Scribe'a i E. Legouvégo Adrianna *Lecouvreur* (1849), który w drugiej połowie XIX w. znajdował się w stałym repertuarze warszawskiego teatru Rozmaitości.

116 s a m r o b i ę k u r z i d z i w i ę s i ę, ż e m i on o c z y z a ś l e p i a – zmieniony cytat z angielskiego filozofa George Berkeleya (1685 – 1753), który Żeromski poznał za pośrednictwem książki Henryka Tomasza Buckle'a *Historia cywilizacji w Anglii,* czytanej w VII klasie gimnazjum kieleckiego w przekładzie rosyjskim K. N. Bestużewa – Riumina i N. Tiblena (Petersburg 1864, t. I, s. 88); por. zapis w *Dziennikach* z dnia 5 III 1885 r.

27 VI (piątek).

Z rozmowy dzisiejszej z p. Anielą dowiedziałem się, że, według wyrażenia pani doktorowej, „gdybym widział wiele rzeczy z jej stosunku z p. doktorem W. – umarłbym chyba z zazdrości...”

Ὁποία χρήζει – ρηγνύτω!...[117]

Nie ma ratunku na to wszystko, gdyż małe, niegodne miłości, pospolite mamy kobiety. Ptak ładniej upierzony zawsze dłużej bawi oko samek niż z piór oskubany. Pan doktór ma stanowisko, może się podobać, ja jestem zero. Nawet pseudoplatonicznego romansu nie można prowadzić z naszymi paniami, nie mając pełnej sakwy. Miał też rację słuszną A. Świętochowski w liście pisanym swojego czasu do mnie utrzymując, że kobiety „podszewkują wzniosłym frazesem płaszcz swych poświęceń dla dostatku[118].

„*Des paroles magiques qui endorment toutes les douleurs”, w* które wierzymy sercem łatwowiernym, rozkołysanym w chwili złudzenia, zostają na pamiątkę chwil drogocennych w zmienionej jednak treści. Są to jakoby krople soli, gdy piekące promienie wyssały czarę złudzenia. Ach, Boże!

Nie zmienia to stanu rzeczy: w chwili, gdy to piszę, gdy rozumuję najcudaczniejszym pesymizmem, gotów byłbym tego samego pana doktora W., któremu z ochotą wypruwałbym żydowskie kiszki, bawić uprzejmą rozmową w ciągu czterech godzin, gdybym wiedział, że za to Natuchna uśmiechnie się do mnie tajemnie dla oczu ludzkich.

W sercu naszym nosimy ideał kobiety szlachetnej, której marę goniemy po ziemi...

Z całym spokojem przewiduję, że po moim wyjeździe, udręczony chorobami, uznojony pracą, dam się w ciągu długich tygodni i miesięcy dławić tęsknocie zupełnie beznadziejnej, z samowiedzą matematycznie pewną, że pani Natalia nie pomyśli ani jednego razu o mnie z sympatią. Nigdy jej więcej nie zobaczę, gdyż nie wierzę w obietnice widywania się w Warszawie.

Wówczas kiedy przyjechała do Ł., aby mię zabrać i zamaskować swe „flirty” z doktorem, tego samego dnia, kiedy całowała, mówiła: „muszę jechać do Falatycz[119], a wcale nie mam ochoty” – wówczas to właśnie odbywały się te miłosne misterie[120] między nią a panem W., „na widok których miałem umrzeć z zazdrości”. Jest to nadzwyczajnie śmieszne dla tych, dla których nie jest bolesne. Wiem również, że przed panem W. ośmieszała mię tylko dla wyratowania siebie z podejrzenia...

Po wszystkie czasy kobieta w treści swej istoty była zalotnicą, kokietką, istotą dwulicową. Aby nie cierpieć z tego powodu, aby zwyciężyć wszystkie zabiegi i zdobyć spokój a twardy grunt, budzić strach w tej istocie pięknej – jest jeden środek tak pewny i prosty... Wiem o tym od dawna...

---

117 t e k s t g r e c k i – jest to cytat z *Króla Edypa* Sofoklesa, z zakończenia epejsodionu III (w. 1076); w przekładzie polskim: „Cokolwiek się zdarzy, niech uderza we mnie” (tak przełożył to miejsce sam Żeromski, nadając te słowa jako tytuł jednemu z późniejszych opowiadań).

118 c y t a t z A l e k s a n d r a Ś w i ę t o c h o w s k i e g o – pochodzi z listu do autora *Dzienników,* zanotowanego w całości dnia 11 I 1887 r.

119 m u s z ę j e c h a ć d o F a l a t y c z – właścicielami majątku Falatycze byli Wiktor i Adela z Dobrzyńskich Kowalscy.

120 m i ł o s n e m i s t e r i e – tak w autografie; prawdopodobnie kryje się w tym intencja ironiczna.

Pani Natalia tedy, według słów jej siostry, kochała się w doktorze P.[121]; nie miała wzajemności i następujące robiła przed tąż siostrą zwierzenia: „Gdyby chciał, zrobiłabym dla niego wszystko, puściłabym się, jak tyle innych kobiet. Gdyby tylko chciał..."

Od doktora W. przyjmowała podarunki (kwiaty?), pozwalała mu ściskać swe ręce, z nim tylko rozmawiała w Falatyczach i kokietowała go tak dalece, że zwracał na to uwagę aż mąż.

O mnie mówiła wielokrotnie, że nigdy nie byłaby zdolną kochać mię, że nie jest tak mało estetyczną, aby gustować w takich jak ja. Gdyby mię lubiła, to pozwoliłaby na wszystko – nikt by nie zabronił. Słuchałem, słuchałem, a teraz jestem w swoim pokoju sam jeden. Cicho i pusto jak w grobie. Zdaje mi się, że mię ktoś znieważył słowami wygrzebanymi z rynsztoka. Nie mam nic na obronę siebie ani na obronę pani Natalii. Wyczerpały się wszystkie argumenty.

„Przeżyłem mój zenit, a teraz zstępuję w pustkę, w dół, skąd wieje wilgoć i mrok."[122] Zdawało mi się, że te zeznania wyrzucone jednym tchem biły mię po twarzy jak garście błota, raniły mi oczy, raziły słuch. Nie mam zasady nie wierzyć, są zarzuty te tak nieodparte, że nie można nimi pogardzić, nigdy nikt nie będzie w stanie wymazać ich z mej pamięci. Oto co nazywamy miłością. Quinet tyle był naiwnym w swej nieśmiertelnej książce, że wierzył tylko w „kłamstwo albo wskutek ludzkich umów, albo w imię nieśmiertelnej miłości"[123]. Są jeszcze inne, niewinne, towarzyskie, łagodne, przebaczane przez najsurowszych księży – katechetów, takie jednak, że wykrzywiają mi usta w jakiś plugawy znak zapytania.

Poczekam jeszcze. Bawił się będę sam sobą, postawię na jedne kartę wszystko, a potem niech rządzi przypadek. Czekał nań będę z założonymi rękami.

28 VI (sobota).

Wczoraj nad samym wieczorem już poszedłem do lasu. Wychodząc zza żyta, na skraju lasu dostrzegłem pąsowy stanik Natuchny. Na ten widok doznałem takiego strachu, jakiego doznaje [się] przed operacją stanowiącą o życiu. Trzeba przecierpieć, a pragnie się być jeszcze przez chwilę sobą. Boję się pani Natalii, drżę z obawy, aby nie zobaczyć w niej własnymi oczyma tego, co mi uprzejmie wskazuje pani Aniela. Poszedłem więc prosto drogą, nie mając zamiaru spotykać się z nią, poszedłem do mojego pniaka, mając nadzieję znalezienia tam kwiatów. Taką jest logika uczuć.

Za chwilę na leśnej ścieżce ukazała się pani Natalia. Zaczęliśmy rozmawiać o sprawach bieżących. Opowiedziała mi tedy, że wówczas kiedy ja nie przyjechałem do P., pani Aniela zadawała doktorowi takie pytania: co by zrobił, gdyby go żona zdradzała? Że następnie rzuciła się krwiożerczo na dowodzenia, że taka „łajdaczka, nikczemnica"

121 k o c h a ł a s i ę w d o k t o r z e P. – nie udało się ustalić, o kogo tu chodzi.

122 „P r z e ż y ł e m m ó j z e n i t..." – cytat nie ustalonego autorstwa.

123 c y t a t z Q u i n e t a – fragmenty z książki Edgara Quineta Nowy duch w przekładzie Antoniego Gustawa Bema i Daniela Zglińskiego (J. Freudensohna), wydanej w Warszawie 1881 r., przytaczał Żeromski wcześniej, 10 i 16 czerwca 1887 r.; tu cytuje z pamięci, niedokładnie; właściwy tekst: „Jest to zbrodnia spełniona w imię ludzkich umów lub w imię nieśmiertelnej miłości" (s. 32).

niewarta nic więcej, jak wypędzenia z domu. Radziła pono doktorowi, aby, gdy wyjedzie do Warszawy, żonę ze sobą zabrał.

Jeżeli to prawda, to zaryzykowała ogromnie ta pani Aniela...

Szliśmy daleko w las aż do tamtej ślicznej drogi. Słońce zachodziło prawie. Pod nogami słały się poziomki, pachniały kwiaty, leżała między drzewami wielka, kojąca duszę cisza. Ludzie tylko na tym tle kłamali, rzucając fałszywe słowa.

– Czy pani kochała kiedykolwiek w życiu?

– Ma mię pan za taką istotę bez serca?

– Czy doktór W. jest równie dla pani niebezpieczny jak doktór P.?

– Czyż to P. był niebezpieczny?

– Sama pani wyznawała...

– Ach!...

– Doktór W., o którego szczęściu gdybym ja wiedział wszystko, „to umarłbym z zazdrości”...

– Ach, przynajmniej tym obrzydliwym Żydem niech mię pan nie prześladuje. Wierzy pan wszystkiemu...

– Czemuż nie mam wierzyć? Ja, w którym estetyka pani nie znajdowała nic godnego uwagi. Baczę na szczęście innych, gdyż sam bardzo, pomimo wszystkiego, najbardziej w życiu moim kocham panią.

– A więc ja jestem w oczach pana kokietką tylko i nazwie mię pan kiedyś tak jak panią Ułaszyn?

– Nie. Kto i dla kogo zostawiał tu kwiatki?

– Kto? Wyrzuci je pan pewno.

– Zostawię w testamencie wzmiankę, aby mi je włożyć pod głowę do trumny. Pożegnałem ją.

– Czemu pan zawsze wita mię tutaj i żegna tak po angielsku?

– Boję się...

– Czyta pan *Bez dogmatu*[124]*?*

– Czytam.

– Cóż pan sądzi o Anielce?

– Nic. Wszystko mi jedno.

– Według mnie, to ona dobrze robi bardzo, karząc go w ten sposób za to, co przez niego wycierpiała. Powinna jednak wziąć rozwód...

Społeczeństwo facetów i facetek... Poszedłem.

Siła, jaką naród zewnętrznego nieprzyjaciela pokonać zdoła, zostaje w ścisłym, bezpośrednim stosunku z siłą jego materialną i moralną, wewnętrzną.

M. MOCHNACKI *Być albo nie być*[125]

124 c z y t a p a n *B e z d o g m a t u*? – powieść Sienkiewicza wychodziła w odcinkach warszawskiego „Słowa” od nr 271 z 2 XII 1889 r. do nr 229 z 11 X 1890 r. (z przerwami), równocześnie była drukowana w krakowskim „Czasie” i w „Dzienniku Poznańskim”; autor Trylogii znajdował się wówczas u szczytu powodzenia, a jego nowa powieść była powszechnie czytana i zawzięcie dyskutowana.

125 *B y ć a l b o n i e b y ć* – cytat z zakończenia artykułu pod powyższym tytułem, ogłoszonego w „Nowej Polsce” nr 29 z 2 II 1831 r.; przedruk w *Dziełach* Maurycego Mochnackiego, t. IV: *Pisma rozmaite. Oddział porewolucyjny*, Poznań 1863, nakładem księgarni J. K. Żupańskiego, s. 28.

30 czerwca (poniedziałek).

Ażeby zrozumieć dobrze kobietę, którą się kocha, trzeba być prowadzonym przez nią po drodze, która prowadzi do szaleństwa, i samemu dobrowolnie stanąć na tej ostatniej granicy. Do tego doszedłem wczoraj i tu stoję dziś. Mam jeden jeszcze przed samobójstwem ratunek – wyjechać i to dziś, najdalej jutro.

Przepędziłem noc straszliwie. Po prostu boję się samego wspomnienia tej nocy bezsennej, straszliwie długiej, jak konanie znoszącej cierpienia.

Wszystko to dla niczego. Pani Natalia była dla mnie wczoraj bardzo dobrą. Po południu p. Aniela pojechała do P., aby, jak mi przyrzekła, naprawić wszelkie nieporozumienia, przeprosić itd., gdyż pod tym warunkiem miałem zostać przez miesiąc. Czekałem na jej powrót, miałem bowiem nadzieję, że przyjedzie i N.; nie mogąc się zaś doczekać, poszedłem ku lasowi. Deszcz ulewny był przeszedł, zaświeciło cudnie słońce zza zdyszanych chmur. Rzeczywiście spotkałem obiedwie te panie, jadące do Ł. Pani Natalia zaprosiła mię na herbatę do P., mogłem z nią po przyjeździe do Ł. rozmawiać w ciągu sekund kilku. Prosiła mię, abym nie wyjeżdżał.

Na wieczór pojechałem do P. Czterej panowie grali w winta, panie bawił pan Adolf. Chodziliśmy po ogrodzie. Wtedy zaczęło się to wszystko. N. rozmawiała ze mną nadzwyczajnie uprzejmie, z całą jej właściwą dystynkcją omówień. Po kolacji wyszliśmy na podwórze i chodzili dokoła gazonu. Rozmawiałem z nią trochę. Z tej rozmowy właśnie pozostały mi strzępy wspomnień. Gdyby mię kto zabił, nie zdołałbym powtórzyć treści rozmowy. Może to i lepiej, gdyż strasznie mię boli serce. Wyrazy, myśli, zdania całe mogą się czasami zbić w taką jednę masę, która dławi piersi. Zrozumiałem tylko z tej uprzejmej, dowcipnej, wesołej masy słów, że mógłbym sobie strzelić w łeb z zupełną pewnością, z niewątpliwą myślą o tym, że ta właśnie, za którą umarłbym, nie doznałaby najmniejszego żalu po mnie.

Tylko kobieta wznosi się do najwyższych granic bezlitości. Trzebaż, aby to była właśnie ta, Natalia... Nic już nie poradzę, mógłbym tylko ukarać ją – moją śmiercią. Pragnąłbym przerazić ją ogromem uczucia, które podsycała skwapliwie po to tylko, abym się spalił sam.

Nie mam już żadnej nadziei, wszystko już przepadło. Teraz mogłoby być tylko kłamstwo.

Wróciłem do domu i na pół rozebrany przesiedziałem do godziny piątej. Wichry biły we mnie, szalałem. Było ze mną tak, jakby mię miano rozstrzelać w obcym kraju, podejrzanego o zbrodnię, której nie popełniłem. Zdawało mi się, że idę między tłumami ludzi, nie dostrzegając na żadnej twarzy uśmiechu współczucia. Myślałem o moich utworach, o tych, które stworzyłem w ciągu lat czterech studiów[126] społecznych – i których już teraz nie jestem w stanie napisać. Spoglądałem przez szczelinę w tę otchłań, jaka się otwiera pod moimi stopami. Widziałem, żem zbłaźniał bezmiernie, jeśli świat cały zastąpić mi zdołała jedna kobieta, która się mną bawi i która mię odrzuca jak dziurawą rękawiczkę.

I nie ma na to lekarstwa. Straszny, nerwowy, jakiego nie doświadczyłem nigdy, płacz dziś rano o dziewiątej – trochę mię uspokoił, jak wymioty żółciowe. Paroksyzm

126 s t u d i ó w – w autografie omyłkowo: studiach.

cierpienia, które nas rzuca, rwie, bije, które pluje nam w oczy – rozpłynął się w smutek, „który jest jak wielki pan", najmocniejszy na ziemi.

Na próżno czytam:

Przeznaczeniem naturalnym człowieka, tak jak i zwierzęcia każdego, jest być zabitym lub umrzeć z głodu. Nie nieszczęście, ale szczęście jest naturze przeciwne. Trzeba cierpieć takie przeznaczenie – czyż chcesz żądać od wielkich sił natury, aby ci przerobiły serce i nerwy i żebyś nie cierpiał? Zabijają cię, zjadają – to takie proste! Jeśli chcesz zrozumieć życie – zapamiętaj sobie ten początek i koniec wszelkich żyjątek...

H. TAINE *Pamiętniki*[127]

O zwykłej porze poszedłem na spacer do lasu. Dzień przeczysty, upalny. Ku wieczorowi było w lesie tak jakoś nieskończenie dobrze... W zaroślach tylko krzyczała na gwałt kukułka, a zresztą cisza. Pod lasem na łące grabiono siano. Szedł stamtąd zapach ten znany ci, jeśliś był kiedy na wsi i rozumiesz przyrodę... Szedłem zdyszany, z palącą mię w skroniach krwią. Na pniaku zastałem bukiecik z róż pąsowych i bławatków. Po drugiej stronie ścieżki tej leśnej znajduje się ów pniak zestarzały, spróchniały, pełen dziur i wydrążeń na łokieć głębokich. W nich to zostawiałem dawniej listy do Natusi. Smutny podszedłem ku niemu, jakby na skargę. Nagle oczy moje uderzył widok radosny: jeden z otworów zatkany był kawałkiem kory. Gdym go oderwał, znalazłem karteczkę z tymi słowami:

W ś...(rodę) o $10^1/_2$ u f...(urtki); do l...(asu) nie mam odwagi przyjść i nie mogę na tak długo z domu się oddalać.

Gdybym mógł z miłości tej wyssać szczęście, to jest tę złotą, prostą linijkę, jaką miłość daje i dać może, ale tym tylko, którzy szukają tam jedynie szczęścia... Gdybym nie miał manii dopatrywania w kobietach ujemnych przymiotów – byłbym szczęśliwy. Pani Natalia robi dla mnie nadzwyczaj wiele i nadzwyczaj wiele zniosła. Brakuje tu jednej jedynej rzeczy... Swoją drogą byłem dziś, znalazłszy ów skrypcik, tak szczęśliwy, że o mały włos nie powiesiłem się za nogę na suchej sośnie. Ach, ty jasnooka...

Teraz zachodzi słońce. Przed oknem moim tyle kwiatów. Cicha noc zstępuje na pola zasłane zbożami. Z pobliskich łąk nadchodzi zapach skoszonego siana, ptaki milkną, żadne drzewo nie porusza się, nie porusza się ani jedną gałązką.

Gdybym cię mógł w tej chwili przycisnąć do serca!

l lipca (środa).[128]

Śniło mi się, iż całe towarzystwo, złożone z dwudziestu kilku osób, siedziało w dużym pokoju, którego okna były otwarte. Kobiety, dzieci i starcy się tam znajdowali... rozmowa toczyła się o sprawach codziennych życia, była gwarna i ożywiona.

127 c y t a t z H i p o l i t a T a i n e' a– pochodzi z książki *Życie i spostrzeżenia o nim pana Graindorge,* wydanej nakładem „Przeglądu Tygodniowego" w Warszawie 1886 r., s. 168; Żeromski kilkakrotnie przytaczał ten fragment, po raz pierwszy dnia 27 IX 1887 r.

128 l i p c a (ś r o d a) – pomyłka autora *Dziennika:* l lipca był wtorek.

Nagle wefrunął duży owad do pokoju z ostrym szelestem, zakreślił kilka kręgów i usiadł na ścianie. Podobny był do muchy lub do osy. Kark miał ciemnobrunatny, tegoż koloru były płaskie skrzydła, głowa duża i szeroka jak u libelli. A głowa i oczy były czerwone, jak gdyby krwawe. Rzadki ten owad tupał nóżkami i obracał nieustannie głową w prawo i w lewo. Nagle zerwał się ze ściany, przefrunął przez pokój i usiadł znowu, a nie ruszając się z miejsca powrócił do swoich dawnych ruchów. Wzbudził w nas wstręt i strach jakiś niepojęty... nikt z nas nie widział nic podobnego; wszyscy wołali: „Wypędzić to szkaradzieństwo!" Wyjęli chustki, ale nikt nie śmiał się zbliżyć i gdy się owad poruszył, wszyscy poczęli się usuwać.

Tylko jeden z naszego towarzystwa, młody człowiek o jasnym spojrzeniu, patrzał na nas ze zdziwieniem. Wzruszał ramionami, śmiał się i pojąć nie mógł, dlaczego tak jesteśmy wzruszeni. On tylko nie widział owadu i nie słyszał szmeru jego skrzydeł.

Nagle owad począł mu się bacznie przyglądać, wpił się w jego czoło i ukłuł między oczyma.

Młodzieniec jęknął z cicha i padł martwy. Owad wyfrunął. Wówczas dopiero poznaliśmy gościa.

TURGIENIEW *Senilia, Owad*[129]

Ustawa 3 Maja jest jakby Testamentem Rzpitej, młodzieńczo może nierozważnym, ale młodzieńczo szlachetnym, wielkim i poszanowania godnym. Polska zapisała się nim w księdze dziejów godną swej przeszłości, z protestem przeciw panowaniu siły nad prawem, gwałtu nad duchem i – jeśli czym żyjemy dziś jeszcze, to spuścizną idei i uczuć czteroletniego sejmu, i tej świętej godziny szału, co stworzyła ustawę 3 Maja.

KRASZEWSKI *Polska w trzech rozb.* T. II, 444[130]

2 VII (środa).

Przyjechała wczoraj Natuchna o godzinie piątej po południu, wtedy właśnie, gdy ja rozpocząłem lekcje z Adasiem. W przeciągu półtorej godziny musiałem słuchać szmeru rozmowy dochodzącej mię z sali, nie mogąc złowić z niej ani jednego wyrazu wypieszczonego przez usteczka złotowłosej pani. Przedłużałem umyślnie mój wykład, aby pani Aniela nie miała powodu sądzić, że go skracam. Skończyłem nareszcie.

Gdym wyszedł, spotkało mię dobre wejrzenie, jedno z takich, po którym nie chce się wierzyć, aby na ziemi troski i gorycze istniały... Żadna twarz, żadne rysy nie mają tyle

129 *O w a d* T u r g i e n i e w a – oryginał powstał w maju 1878 r. Porównanie z wydaniem krytycznym Akademii Nauk ZSRR (I. S. Turgieniew: *Połnoje sobranije soczinienij i pisiem w 28 tomach, t.* XIII, Moskwa – Leningrad 1967, s. 173) wykazuje, że tekst został przełożony w całości z licznymi, niewielkimi skrótami w poszczególnych zdaniach.

130 c y t a t z K r a s z e w s k i e g o – pochodzi z pierwszego wydania książki *Polska w czasie trzech rozbiorów 1772 – 1799. Studia do historii ducha i obyczaju,* t. I – III, Poznań 1873 – 1875 (tom II wyszedł w 1874 r.); w tekście drukowanym zam. „Rzpltej" jest: „rzeczypospolitej polskiej".

harmonii, tyle muzyki – jak mówił Byron[131] – i to muzyki czarującej, wyrywającej z serca kolce smutku, łagodnej, cichej, kojącej. Jest w uśmiechu pani Natalii jakaś melancholia czy smutek zamarły, wokoło warg jej leży linia nieznanego jakiegoś żalu. Tym i oczami, tajemniczymi jak święte księgi Buddy[132] – pociąga. Mógłbym godziny całe patrzeć skądś na nią, gdy mówi lub się zamyśli, i wiecznie zgadywać treść jaj duszy...

Siedzieliśmy na balkonie w ciągu godzin kilku. Nie pamiętam dnia milszego – ten tylko równym był chyba wczorajszemu, gdym pierwszy raz w zimie za wygrane pudełko cukierków dziękował... dotykając ustami jej białego jak śnieg poranny czoła. Pani Aniela, pomimo danego mi słowa, że złe stosunki naprawi, że wszystko odbuduje, mroziła wszystkich swą przerażającą sztywnością, strzegła mię, abym na sekundę sam z N. nie został, uśmiechała się sarkastycznie, wreszcie ścinała głowę każdemu objawowi mej wesołości. A wesoły byłem jak cielę w deszcz.

Zdawało mi się, że pierwszy raz widzę Natuchnę, i gdy zwracała ku mnie swe zamglone, nieznane, jak zamknięta książka niewiadome oczy i gdy darowywała mi swoje uśmiechy bezcenne, dobre i łaskawe słowa – czułem jedno, że mało mi brakuje do tego, aby wysuwająca się „piąta klepka" wysunęła się całkowicie. Bukietu bratków, którym bawiła się podczas kolacji, nie mogłem otrzymać, gdyż nie było takiej sekundy szczęśliwej, aby mi go mogła podać. Co za męka! Przy pożegnaniu moja dobra, moja łaskawa podawała mi kilka razy rękę, abym mógł przez sekundę ją całować, tę kochaną rękę o długich, białych, delikatnych paluszkach. Znikła w mroku wieczornym. Jak pijany przyglądałem się długo powozowi niknącemu w alei lipowej...

A dziś w nocy – schadzka. Magnetyzuje mię to słodkie niebezpieczeństwo jak oczy grzechotnika, jak urok przepaści. Chodziłem dziś rano do lasu, aby ze wzgórza robić obserwacje topograficzne. Przez rzeczkę w bród przejść żadną miarą nie można, trzeba iść drogą wiodącą do dworu aż do mostku, potem łąkami na przełaj. Szczęściem, że zebrano siano z tej części łąki, przez którą iść będę. Po drugiej stronie strumienia suszono je dziś jeszcze, sądzę jednak, że do wieczora zebrane zostanie. Gdyby go nie zebrano, mógłby go ktoś pilnować – musiałbym więc przede wszystkim bitwę walną toczyć. Do wieczora godzin jeszcze kilka. Liczę je, liczę minuty, sekundy... Coś mię rozciąga, rozsadza nerwy niecierpliwość, oczekiwanie, tęsknota do tych ust, bez których niepodobna żyć! Ach, czy cię zobaczę, czy cię zobaczę?

3 lipca (czwartek).

O dziesiątej wieczorem wczoraj wyszedłem z domu. Zaraz za gazonem dojrzałem panią Anielę wracającą ze spaceru, skręciłem więc na bok do ogrodu. Poszła za mną, śledząc, co dalej ze sobą zrobię. Manewrowałem tak, że nie widziała, kiedym z ogrodu wyszedł. Puściłem się wtedy co tchu w aleję, gdyż było już późno i na przejście trzech wiorst[133] do furtki zostawało mi jakie dwadzieścia minut czasu. Na nieszczęście akurat

131 j a k m ó w i ł B y r o n – o tej „muzyce twarzy" pisał już autor *Dziennika* dnia 5 VII 1886 r., określając w ten sposób harmonię rysów Heleny z Zeitheimów Radziszewskiej.

132 j a k ś w i ę t e k s i ę g i B u d d y – twórca buddyzmu nie zostawił ksiąg pisanych; jego nauki ustalali po śmierci uczniowie i późniejsi wyznawcy na podstawie tradycji ustnej.

133 n a p r z e j ś c i e t r z e c h w i o r s t – wiorsta rosyjska liczyła 1067 metrów.

wtedy, gdym na czystą drogę wyszedł, zaczął wznosić się zza lasu księżyc tak olbrzymi i tak rozwidniający drogę, że o wiorstę widać było wszystko, widać by było nawet doktora W., choćby się w owies schował. Ale mnie tam było zupełnie wszystko jedno! Odwaga taka – i basta.

Przeszedłem szybko przez las, gdzie mówiąc nawiasem było W tym świetle białym bosko, i wyszedłem na wzgórze, aby zobaczyć, czy siano zebrane. Klasnąłem w ręce! Na całym obszarze równych łąk nie było ani jednego pokosa. Leżała tam tylko dziwnie melancholijna białość księżycowa tu i owdzie poplamiona cieniami, padającymi nań od grup olszyn. Na ten mglisty, śliczny obrus wyszedłem, mostek minąwszy.

Było mi wesoło. Przypomniałem sobie Leona W., z którym chodziłem do Grochowa na pola sławetne[134], i aforyzm jego, gdyśmy zabłądziwszy wyszli w cudze żyta. Utrzymywał wtedy, że „teraz to już nam stanowczo w mordę dadzą!" Tak i ja wczoraj w wesołości i bacznym skupieniu ducha przygotowywałem się idąc na to, że albo mnie, albo, co oczywistsza, każdego, kogo napotkam, to samo spotka. Minąłem olszyny i brzegiem rzeki wyszedłem na pastwiska. Ścieżkami okrążyłem łan owsa i wyszedłem na drogę, skąd całe podwórze dworskie widać było. Księżyc wylazł wysoko i było niemiłosiernie widno. Przekrzywiłem czapkę studencką na ucho i skręciłem na lewo, pod ostrokół otaczający ogród. Szedłem teraz między tyczkami grochu czy chmielu, których tam nastawiano las od ostatniej mojej bytności przy furtce. Dotarłem wreszcie do tej ukochanej, marzonej furteczki, ukrytej w zaroślach malin, żywopłotów i zielsk. Była zamknięta.

Zaledwie jednak skonstatowałem ten fakt, dały się słyszeć kroki i szelest sukni. Co za piorun radości! Podeszła do furtki moja przecudowna. Cóż się okazało? Klucz od zamka oddała Natuś mnie dawno już temu, przy pierwszej schadzce, drugi zabrał ogrodnik, ponieważ zaś ja mojego nie przyniosłem – nie można więc było marzyć o ustach. Poszła tedy do domu, aby poszukać kluczów jakich, a ja czekałem. „Strach wielkooki obchodził mię wokoło"[135], bo miejsce było widne, gdyby stróż lub co gorsza psy się nawinęły, nie byłoby ratunku. Natuś za kilka minut wróciła, żaden jednak z kluczów nie nadawał się.

Piekło!

Między górnym krajem drzwiczek i poprzeczną nad nimi belką był otwór jaki taki, nie tyle jednak szeroki, aby przezeń przejść było można. Przesuwała mi tylko nim rączki swe, abym je mógł całować. Nie pozostawało nic innego, jak słuchać, gdzie się stróż obraca, usłyszawszy zaś, że świstawka jego oddaliła się w kierunku stodół, że jest cicho – brać się do dzieła. Rozsunąłem maliny i jakieś kolczaste, drapiące, kłujące grandifolia[136] i chlusnąłem przez płot na jakie pięć łokci wysoki. Znalazłem się obok Natuchny na oświetlonej ścieżce. Pociągnęła mię w kąt ogrodu, gdzie rosną małe wisienki. Była tam trocha cienia. Tameśmy się schronili przed przeklętym księżycem. Usiedliśmy na pysznej murawie...

Jak sen fantastyczny, który się rzadko śni, cudowny, niezapomniany leży w mej pamięci ta noc... Pieszczoty najsłodsze, jakie wymarzyć można, słowa bez związku i ładu, czarodziejstwo jej przymileń – wszystko to przeszło. Nie chciała „pozwolić", gdyż stróż ma prawo chodzić po ogrodzie, zresztą świstawka jego dawała się słyszeć tuż tuż... Obiecała wszystko w Warszawie. Ale za to jak całuje po oczach i ustach, jak umie

---

134 z którym chodziłem do Grochowa na pola sławetne – opis pieszej wyprawy do Olszynki Grochowskiej, podjętej wspólnie z Leonem Wasilkowskim, znajduje się w *Dzienniku* z dnia 23 V 1888 r.

135 „strach wielkooki obchodził m. ię wokoło" – podobnej przenośni użył później Żeromski w *Syzyfowych pracach:*

Z kątów izby, zasnutych mrokiem, wychylał się strach wielkooki [...] (Por. *Dzieła* II, l, Warszawa 1956, s. 17).

136 grandifolia – (z łac.) wielkie liście.

układać swą główkę na ramieniu twym, ręce zarzucać na szyję i nie bronić śmiałych pieszczot... Byłem tam z godzinę. Odchodziła i wracała znowu. Chowaliśmy się za grube drzewa, za krzaki. Pamiętam tylko, jak mówiła, że kocha bardzo, że nie lubi W., że nikt się jej tak nie podobał... Ach, jakież to wszystko było urocze! Jak do zaklętej księżniczki trzeba było zwalczyć, ominąć, podejść, oszukać tyle przeciwności, wyrachować, obliczyć, zestawić tyle prawdopodobieństw, ale za to jakaż nagroda sowita!

Gdy światło padało na głowę tej pani doktorowej – po prostu traciłem zmysły.

A jak wtedy umiała szeptać:

– Namiętnie mię tylko kochasz...

Dostałem fotografią, za którą dziękowałem z kwadrans, wróciliśmy znowu do naszego kącika. Wtem przelatujące nad ogrodem kuliki spłoszyły ją. Trzeba to było wziąć za ostrzeżenie. Odeszła.

Przeszedłem przez diabelski parkan, skoczyłem w tyczki, stamtąd na drogę. A choćby w łeb za noc wczorajszą strzelili – niech strzelają. To jedno jedyne jest bezgraniczne, upajające, prawdziwe szczęście. Przeszedłem szczęśliwie całą moją drogę. Było tak widno, że czytałem sobie po drodze drobniutki napis na fotografii:

Od N. panu Stefanowi.

W lesie odpoczywałem, na noc cudowną patrząc. Co za noc, co za noc! Od zenitu niebios do korzeni ziół leśnych wszystka otchłań przestrzeni napełniona mlekiem tego światła, które upaja. Ani jednej chmurki, gwiazdy mrugają i to mruganie jest jedynym ruchem. Wszystko inne w bezwładnym upojeniu spoczywa. Spod nóg zrywają się przepiórki i skowronki i padają o kilka kroków w łan żyta. A łan żyta pachnie jak bukiet. Nie powtórzą tego słowa, jak się bieli ten ogrom dojrzewającego zboża, oświetlony przez księżyc... Idę ścieżką między zbożami, sięgającymi mi do ramion. Daleko, daleko błyszczy we wsi światełko i derkacze krzyczą w łąkach.

Co za powietrze, co za noc, co za noc... Drugiej takiej w życiu nie będzie, a tę zapamiętać trzeba na zawsze – szczęśliwą noc drugiego lipca...

Gdym wrócił, „Jacusia" nie było w domu, nikt więc nie wie, żem wychodził. Śmiałym fortuna pomaga[137]. Odemknąłem okno i długom przypominał wszystko, co było, zwrotki tej pieśni... Noc nie powie złym ludziom nic, nikt nie wie... Dobra, niezapomniana noc drugiego lipca.

4 lipca (piątek).

Idąc wczoraj na spacer spotkałem p. „Jacusia" pod Rogaczem. P. „Jacuś" zaproponował mi, aby z nim pójść do P. Poszliśmy. Miałem szczęście rozmawiać z Natuchną sam na sam, gdyśmy szli przez dziedziniec; mówiła mi, że niepotrzebnie odszedłem wówczas – wróciła była jeszcze...

137 ś m i a ł y m f o r t u n a p o m a g a – tłumaczenie łacińskiego cytatu z Wergiliusza (*Eneida* X, 284); *audaces fortuna iuvat.*

Weszliśmy: doktór, wróciwszy dopiero co z Warszawy, chorował na głowę zamknięty w swoim pokoju; pani D., pan K.[138], „Jacuś" i dzieci znajdowali się na werandzie. Natuś przymknęła drzwi od stołowego pokoju i pozwoliła pocałować oczy a usteczka. Niewymownie jest dla mnie dobrą... Gdym prosił o spotkanie, mówiła:

– Dobrze, ale nie będzie próśb wczorajszych...

– Nie będzie.

– Nigdy?

– Nigdy...

– Powiem, kiedy, napiszę może...

Niepodobna, aby próśb nie było, bo rozrywają one wszelkie moje myśli.

Myślę nieraz – co będzie ze mną, gdy się nadzieja widzenia jej wyczerpie, gdy mi nic nie zostanie... Nic nie wiem, nie rozumiem nic. Cokolwiek bądź będzie – będzie straszliwe. Tymczasem – nic nie wiem.

5 VII (sobota).

Codziennie w tym tygodniu widuję Natuchnę: czeka mię za to jakaś kara ogromna. Jestem chory, mam gorączkę, ból głowy i kości, nie mogę też zająć się pracami literackimi. Wczoraj była N. samym wieczorem na bardzo krótko. Zaledwie przy pożegnaniu mogłem dotknąć jej ręki. Nie uścisnęła mi palców – zagniewana może o co... Nie mówiliśmy nic szczerze – oczami jej poiłem się tylko w zmroku.

We wsi Dołhobrody, parafii położonej na granicy powiatów bialskiego i włodawskiego, pod dyrekcją naczelnika Gubaniewa trzy roty wojska dopuściły się tyranii. Włościanie na rozkaz dostawienia 60 wołów – przyprowadzili 69. Zapytani, dlaczego dają więcej – odpowiedzieli, że wszystko, co mają, oddadzą, lecz wiary łamać nie chcą. Wówczas ze wsi, liczącej przeszło półtorasta osad, naczelnik zebrał mężczyzn na pole i otoczonych wojskiem kazał wobec innych rozciągnąć obnażonych po kilkunastu na ziemi i, dodawszy do każdego po dwu kozaków, ćwiczył dotąd, póki nie wymógł podpisu na przyjęcie galicjanina[139]. Niektórym dostało się więcej niż po dwieście nahajek. Takie egzekucje praktykowały się w kilku miejscowościach. [...]

Dobrowolny powrót unitów[140]

138 p a n i D., p a n K. – Zofia z Bądzyńskich Dobrzyńska, żona Chwalisława, starszego brata Natalii Faÿttowej, oraz Adolf Kopeć.

139 n a p r z y j ę c i e g a l i c j a n i n a – tzn. popa – apostaty, pochodzącego z Galicji, który miał nawracać unitów na prawosławie.

140 *D o b r o w o l n y p o w r ó t u n i t ó w* – była to broszura nielegalna, nie rejestruje jej *Bibliografia polska* Estreichera; tę samą broszurę czytają potajemnie chłopi w *Mogile* (por. *Dzieła* I, l, Warszawa 1956,s.144 – 145).

6 VII (niedziela).

O g o d z. 5 r a n o.

Szczęśliwy, wyjątkowy tydzień! Codziennie widywałem moją piękną panią doktorową. W piątek, odjeżdżając, szepnęła nieznacznie:

– Czy był pan dziś na spacerze?

– Byłem – odpowiedziałem...

W nocy wczoraj przyszło mi na myśl, że może są tam dla mnie kwiatki, raniutko więc, zaledwie się rozwidniło, poszedłem do lasu – na próżno jednak: kwiatków nie było. Cały dzień wczoraj siedziałem w domu, czytając wiele książek: Vacherota – *Wiedza i sumienie*[141], *Historią wojny 1870 r.*[142], *Listy* Odyńca[143].

Nad samym dopiero wieczorem poszedłem na mój spacer, o godzinie siódmej. Nie znalazłem jednak w lesie ani śladu bytności Natusi. Wracałem smutny do domu. Na ślicznej mojej drodze, tonącej w zbożach i wysokich, ziołami porosłych brzegach – zatrzymałem się, szedł bowiem przyjaciel mój, Franciszek Król, ten, co mię pieszczotliwie „panulem" nazywa. Rozmawiałem z nim przez chwilę, a później, przeczuciem wiedziony, zatrzymałem się jeszcze na drodze wśród dojrzałego już żyta. Słońce zachodziło, a że łan żyta pochylił się ku ziemi kłosami obciążony, widziałem więc przezeń całą drogę ku P., oblaną słońcem. Patrzyłem na nią z tęsknotą... Prześliczna, ukochana droga.

Nagle na drodze tej zamigotała ciemnopąsowa plama, posuwająca się po złocistym tle. To Natuchna szła. Zaczekałem jeszcze chwilę na moim miejscu, a potem poszedłem do lasu, aby zabrać, jeśli będą, bławatki. Boczną ścieżką doszedłem do pniaka. Były, świeżo zerwane przez te miłosierne i kochane ręce. Nie chciałem spotykać N., bojąc się, aby nie zrobić jej przykrości natręctwem i nie narażać na obmowy. Kiedym się jednak wymknął z lasu i szedł ku domowi, zobaczyłem ją tam właśnie na drodze, wśród żyta. Główkę jej oblewało słońce zachodnie na wielkim tle schylonego zboża. Było cicho, cudownie cicho, na las zmrok się nachylał.

Spotkaliśmy się na brzegu zboża. Pozwoliła mi odprowadzić się przez las, szliśmy więc – co za szkoda, że nie sami (była Janinka[144]). Była smutna i czymś zmartwiona, czym jednak – nie chciała mi powiedzieć.

Humor jej wiecznie jest jednostajny, wykwintnie spokojny, dystyngowanie umie pokrywać uśmiechem wszelkie smutki, wczoraj jednak była niezwykle sztywną. Mówiła mi, że nie wierzy wcale w moje uczucia, pewną jest, że się nią bawię, wie, że wyraża-

---

141 V a c h e r o t a *W i e d z a i s u m i e n i e* – Étienne Vacherot (1809 – 1897), filozof francuski, był profesorem w Sorbonie od 1839 do 1852 r.; usunięty z katedry za odmowę złożenia przysięgi Napoleonowi III; za dzieło *La Démocratie* (1859) odbył karę trzymiesięcznego więzienia; jego książka *Science et conscience* (Paryż 1870) wyszła w przekładzie polskim Zofii Grabowskiej w Bibliotece „Przeglądu Tygodniowego" (Warszawa 1873).

142 *H i s t o r i a w o j n y 1 8 7 0 r.* – było to wydawnictwo zeszytowe pt. *Wojna francusko – niemiecka w roku 1870 z ilustracjami,* publikowane przez Józefa Kaufmanna w Warszawie w latach 1870 – 1873; łącznie ukazało się 19 zeszytów liczących 600 stron.

143 *L i s t y* O d y ń c a – *Listy z podróży* Antoniego Edwarda Odyńca (1804 – 1885), opisujące szczegółowo wojaż z Mickiewiczem po Niemczech, Włoszech i Szwajcarii w latach 1829 – 1830, drukowane były najpierw w „Kronice Rodzinnej" (od 1867 r.), a wkrótce potem w czterotomowym wydaniu książkowym (Warszawa 1875 – 1878, nakł. Gebethnera i Wolffa); Żeromski mógł korzystać także z drugiego wydania (Warszawa 1884).

144 b y ł a J a n i n k a – córka Michała i Natalii Faÿttów; po ukończeniu pensji p. Czarnockiej w Warszawie wyjechała do Krakowa, gdzie poznała oficera artylerii armii austriackiej, Egona Orosel, za którego potem wyszła za mąż i zamieszkała w Wiedniu; tam zmarła w 1947 r.

łem się o niej niekorzystnie w początkach naszej znajomości, że „później przyszło mi coś do głowy", zacząłem bałamucić. Nie odpowiadałem na to nic – rzekłem tylko następnie:

– Za co mi pani dokucza tak dzisiaj?

Podała mi rękę tajemnie i nie puściła mojej przez długą chwilę; szliśmy tak daleko w las. Rozmowa zeszła na panią Anielę. Natuchna prosiła mię, aby nie dokuczać złej i złośliwej pani Anieli. Zazwyczaj każda nasza rozmowa musi być z konieczności krótką, nie może być swobodną. Musiemy „cicho szeptać, bo nas strzegą..."

Słońce zaszło, cudowny mrok w lesie rozlewał się i rzucał cień na łąki. Doprowadziłem ją na drogę i powróciłem do domu. Że tu Aniela plotki rozsiewać będzie z zazdrości, ze złości, z wściekłości – nie wątpię. Mam nawet przekonanie, że zupka jakaś już się gotuje. Spróbujemy...

7 VII (poniedziałek).

Smutek, smutek!

Oto dzień, w ciągu którego wysuwają się myśli na kraj przepaści. Nie dlatego, że wczoraj Natuchna wyrządziła mi przykrość, ale dlatego, że odjęła na chwilę rękę od strun arfy, na jakiej gra w głębi mej duszy. Ogarnia mię zimno i mrok.

Dziwna rzecz, gdy czytam w „Kurierach" lub rozbieram z filistrami z poważnego punktu patrzenia sprawę zamordowania Wisnowskiej[145], wiem, co czuł Moskal, który ją zabił, ale wiem w sposób taki, że mógłbym opowiedzieć wszystkie jego uczucia, gdy jej rewolwer do piersi przyłożył, prosił, czekał, wściekał się, szamotał i wystrzelił. Ja to rozumiem – ta rozkosz zniszczenia widma, które kocham, a które mię łudzi, bawi się, nie ma pojęcia, co się ze mną dzieje, i zaledwie, zaledwie mię lubi.

Kiedyś tu głupi „Jacuś" przyniósł nabity rewolwer i przyłożył mi do czoła. Pamiętam aż do tej chwili lodowaty przestrach, straszny, nieopisany przestrach, jaki mię ogarnął. Krzyknąłem, aby poszedł sobie. Dlaczego to mię tak przeraziło, gdy jestem w ogóle bardzo odważny, prawie nieustraszony? To śmierć koło mnie przeszła: śmierć... rewolwer. I często koło mnie wije się bezcielesne marzenie, utopione w chaosie przestrachu. Nie czuć tego wszystkiego, wiedzieć kładąc się na wznak z sercem rozłupanym kulą, że jej raz nareszcie zatarga duszę żal, choćby przez chwilę, bo najgorsza kobieta niczego tak się nie boi jak krzywdy, której nie można już naprawić... Każda, dokuczając, złą będąc do gruntu, wie bezwiednie, że może wszystko naprawić... siebie oddając. A trup nie kocha. Noc, długa noc bezsenna!

Świt przynosi taką ulgę w cierpieniu z miłości, jak chinina na febrę. Cierpienie to jest bodajże czysto fizyczne. Pamiętam, że dzisiejszej nocy leżałem na łasce tej męki, nie mogąc w żaden sposób jej zwalczyć. Uspokoiłem się nieco, gdy weszło słońce.

Niczym nie dokuczyła mi N. Wyszedłem wczoraj za nią na balkon, gdy była tam sama. Zmarszczyła brwi, potem po długim wahaniu rzekła:

– Nie boi się pan nowych scen ze strony A.?

---

145 s p r a w a z a m o r d o w a n i a W i s n o w s k i e j –w dniu l lipca 1890 r. znana i popularna aktorka warszawskich teatrów rządowych, Maria Wisnowska (ur. 1860 r.), została zastrzelona przez kometa grodzieńskiego pułku huzarów lejb – gwardii, Aleksandra Barteniewa.

10 VII (czwartek).

W n o c y.

Cztery dnie upłynęły, przepadły...

W poniedziałek znalazłem na moim ukochanym pniaku bławatków bukiet. Zostawia tam Natuś tylko bławatki, ponieważ w jednej rozmowie ogólnej, mającej za przedmiot cesarza Wilhelma II, wspomniał ktoś, że cesarz ten nadzwyczaj lubił bławatki, a na co ja zauważyłem, że miał słuszne upodobanie...

We wtorek śledziłem tylko ślady pantofelków Natalki na rozmokłym piasku drogi: była przede mną, wychodziła aż na drogę do Ł. Ach, jak ją kocham! Za co? – Za te dziwne łaski, za odgadywanie mię, za to, że wszystko poświęca, aby mi zrobić przyjemność... O mało wówczas nie padałem na twarz, aby całować wyraźne, świeże, mocno odciśnięte ślady maleńkie ostro zakończonych pantofelków, na których, ja to wiem, są czarne pompony jedwabne...

We środę chodziłem z panią Anielą do P. Na połowie drogi, przy jarząbku, spotkaliśmy Natuchnę. Odpoczywaliśmy w lesie, na wzgórzu, tam, gdzie tyle już razy rwała mię tęsknota oczekiwania na nią. Taki mam teraz ciągłym gwałtem uczuć wyostrzony język, robię tyle złośliwych uwag, udaje mi się tak nieraz machnąć językiem, że ten i ów ostrożnie ze mną mówi. Najczęściej ironią moją tępię na Natusi właśnie i tworzą się wówczas śliczne, nie dające się powtórzyć wyznania miłosne; jest to tajemnicza, niezrozumiała dla nikogo mowa: kocham cię, kocham cię...

Umie i ona mówić tak samo, ach – jak umie! Jesteśmy coraz bliżsi; te przeszkody, prześladowania, szpiegowanie, obmowy, ta konieczność wiecznej baczności, wiecznego mówienia do siebie szeptem, znakami, symbolami, kwiatkami, czasami tylko ruchami oczu, czasami tajemniczymi zwrotami ogólnych rozmów – popycha nas ku sobie, brata, jednoczy dla obrony wspólnej.

W P. byłem serdecznie przyjęty przez doktora. Ach, ci mężowie, ci safandulscy mężowie! Sto razy wolałbym wywołać pana męża do przyległego pokoju, rozpiąć kamizelkę i zawołać: – Uderzaj! kocham twoją połowicę..., niż ściskać się z mężem, a z żoną jeszcze serdeczniej. Cóż jednak począć? Stary nasz świat o wiele podlejszy jest od świata lisów, zajęcy i wilków. Oto gdyśmy wyjeżdżali i stałem już na ganku, a doktor sadowił do powozu panią Anielę – Natuś zbliżyła się do mnie, podała mi szybko rękę. Zaszeleściała karteczka tej treści:

10 VII – 10 ½

Treść przeczytałem naturalnie po przyjeździe dopiero do domu, wówczas jednak z radości wsunąłem w łapę lokajowi wszystkie pieniądze, jakie miałem w kieszeni (coś około 140 groszy). Tymczasem dziś godzina 10 1/2 minęła, a ja jestem smutny... w moim pokoju. Przyjechała dziś do Ł. gromada różnych pań, która to gromada mnie nieszczęśnika emabluje i stara się w sobie rozkochać. Była i Natuś, choć być nie chciała, a ja tylko jeden wiedziałem, dlaczego być nie chciała... Zabrały ją ze spaceru kwoczki i przywiozły tutaj, musiała więc zostać na herbacie aż do godziny jedenastej...

Gdy wysiadała, mówiła do mnie tak cicho, że tylko ucho zakochanego usłyszeć mogło:

– Co za szkoda! – nie można dziś, jutro – dobrze, dobrze? Proszę się nie gniewać...

Przy herbacie umyślnie ułożyła tak rozkład miejsc, że krzesełko jej wypadło obok mojego. Mówiliśmy długo, ciągle, bez przerwy, mówiliśmy o takich rzeczach nudnych, jakie do wycia skłonić by mogły, aby słuchający budowali się banalnością tematu, a my mogli, dzięki prawu rozmowy, zwracać się do siebie oczami i poić się, patrzeć, całować, pieścić oczami.

Z panią Anielą prawie że się naprawiły stosunki, gdyby nie głupstwo, jakie zrobiłem, a za co złoszczę się na siebie jak pies. Pani Aniela jeździła parę dni temu z panem Adolfem do D.[146] we dwoje tarantasem. Wróciła późno w nocy. Napisałem tedy balladę, którą pani A. czytała i nie gniewała się o żart. Gdy po herbacie zaczęła dokuczać Natalce doktorem W. i mnie przez to brać na szpilki, chciałem w odwecie przeczytać Natusi ową balladę. Aniela wpadła w patos[147] i obecnie źle jest znowu. Ballada jest taka:

Na tarantasie troje ich było,
Okrytych nocy cieniami:
Woźnica w kielni, on ze swą miłą
W przednim siedzeniu – ach, sami!

Mkną, niby duchów ciemna gromada,
Przez dzielne rwani rumaki,
Młodzian prawicą lejcami włada,
W lewicy, w worku – ma... raki.

Nagle mu łono objęły żary...
– „Luba! – wyrzecze – o, luba!
Kiedyż pić będę ze szczęścia czary,
Uczuć mych skończyż się próba?!”

– „O, obowiązek!...” – ona zawoła,
Spłonione lica odwróci...
Zefir odgania loczki z jej czoła,
Z krajem jej szaty się kłóci...

Młodzian uczuwa w łonie stan błogi,
Lejce wypuszcza z prawicy,
Rumaki stają, skręcają z drogi,
Po cudzej brodzą pszenicy.

Woźnica zasnął, zwisnął z siedzenia,
Chrapie bezczelnie w ton wściekły,
Raki wypełzły z swego więzienia,
W pszenicę cudzą uciekły...

Księżyc wypłynął z chmurzysk rozzuty,
Ziemię oświecił wspaniale,
I widział – wąsów młodziana druty
W jej ust wciśnięte korale...

146 *z p a n e m A d o l f e m d o D.* – z Adolfem Kopciem do Duplewic w pow. konstantynowskim, których właścicielem był starszy brat Anieli Rzążewskiej, Chwalisław Dobrzyński i jego żona Zofia z Bądzyńskich.

147 *w p a d ł a w p a t o s* – wyraz użyty w pierwotnym znaczeniu źródłosłowu greckiego: cierpienie.

11 lipca (piątek).

2 W n o c y.

Przed chwilą wróciłem ze schadzki, zrobiłem więc sześć wiorst drogi. Jestem zmęczony, wyciągam się wesoło – i cały świat bym udusił w uścisku!

Jakim sposobem nie łapią mię na tych schadzkach – nie rozumiem. Prawdopodobnie złapią mię kiedyś, nacieszą się moi wrogowie, ale niech im się dobrze powodzi w wincie tymczasem. Wszystko mi jedno.

Czuję jeszcze na ramionach ciężar tych rąk białych w szerokich rękawach pąsowego stanika, na ustach ciepło pocałunków długich, nieprzerwanych, gorących, zapach tego ciała ślicznej kobiety, który pozbawia przytomności umysłu. Do stu diabłów! Co z tego będzie, co będzie, gdy się to skończy, czy godzi się robić to wszystko, czy na nic się w danym wypadku nie przyda rozum, czy warto szarpać sobie serce, wiedząc, że na dnie tego stosunku leży rozpacz i jej rezultat – zapomnienie, czy rozsądną wreszcie jest rzeczą lecieć łbem na dół?...

Nic a nic z tego wszystkiego nie wiem, rzetelnie – nie wiem i nic mię to nie obchodzi. Jestem dziś nadspodziewanie głupi, ale szczęśliwy. Głupi, ale szczęśliwy – i basta. Żadnych filozofij! Mam być mądry, gdy mi zarzuci ręce na szyję i mówi mi, cicho szepcąc: „mój najdroższy...” Tam w naszym kąciku ogrodu, pod strachem hańby i wstydu, wtedy, gdy mąż za chwilę może nadejść, gdy mnie mogą złapać, gdy jutro może latać po okolicy wieść: złapano ją z kochankiem... Z kochankiem... – prawda, Natuchno?... Pamiętasz ostatni pocałunek, gdy furtkę już zamknęłaś i mnieś oddała klucz, gdyś stanęła na wzniesieniu, przechyliła się przez sztachety i żywopłot i gdyś mi ust na długo dała?... A niebezpieczeństwo straszne! Tylko z odwagą żyjemy, mileńka moja...[148]

Gdyby nie to, że spać mi się chce piekielnie, pisałbym poemat sekstynami[149] – wielkie szczęście dla literatury, że spać iść muszę i spać bym chciał aż do końca świata.

Pamiętam jeszcze, drży we mnie ten sam śmiech nieutulonej radości, jakim wybuchliśmy po otwarciu furtki, tuląc się do siebie. Niepodobna już pisać, chce mi się myśleć, myśleć, myśleć... Niebieski świt rozchodzi się po drzewach, zagląda do mojego okna, chłód poranny wieje, gwiazdy gasną. Boska, uroczysta chwila! Taki świt może ostatni raz w życiu rozwidnia się na krótką miareczkę czasu w mym sercu. Jedno radosne westchnienie – nic więcej – takie jednak silne, że od niego rozwidnia się w duszy. A co potem będzie? – Nie wiem, nic nie wiem...

Ta chwila, ot, ta chwila, która teraz biegnie, to może ostatni moment mojej młodości, tej, którą wielki poeta nazywał „górną a chmurną”...[150] Jest ogromna rozkosz w stawianiu wszystkiego na jedną kartę, w odwadze.

---

148 m i l e ń k a m o j a – po tych słowach w autografie jedna kartka wycięta: na jej stronie *recto* pozostały przy grzbiecie szczątki ołówkowego rysunku przedstawiającego drzewo.

149 p o e m a t s e k s t y n a m i – tj. strofami złożonymi z 6 wersów 11 – zgłoskowych o układzie rymów *ababcc;* wprowadzone do poezji polskiej przez J. Kochanowskiego, były później stosowane powszechnie, m.in. przez A. Mickiewicza (Arcymistrz) i J. Słowackiego (Grób Agamemnona).

150 p o e t a n a z y w a ł „g ó r n ą a c h m u r n ą”... –Mickiewicz w liryku lozańskim *Polały się łzy me...* (nowsze wydania krytyczne, np. Wyd. Narodowe z 1948 roku, drukują ten wers w innej postaci: „Na moją młodość górną i durną”).

12 VII (sobota).

Ze smutkiem wracam do wspomnień o dniu wczorajszym, który przeszedł jak dumny a bujny poryw młodości.

Po południu poszedłem do lasu, a podróż moja była nawet usankcjonowaną przez „babcię" D.[151], prosiła mię bowiem, abym, jeżeli spotkam „panią doktorową", list jej jakiś oddał. Z rozkoszą tej roli listonosza się podjąłem. Czekałem na moim pniaku, dojrzawszy od żyta, że idzie doktorowa. Towarzysz mój, Bukiet, pobiegł, machając z radością ogonem, na jej spotkanie. Za chwilę suknia jej migać zaczęła przez drzewa i krzaki. Spotkaliśmy się. Była z Manią[152]. Poszliśmy w las, między piaszczyste wzgórza, śliczną drogą leśną – tą nieznaną, na której pierwszy raz w życiu całowaliśmy się w usta na pierwszej schadzce. Odpoczywaliśmy na wzgórzu, mówiąc, mówiąc bez końca...

Później poszliśmy do wąwozów, które ja tak zawsze pod niebiosa wychwalam. Rzeczywiście są śliczne: zacienione całkowicie leszczyną i sosnami, wysłane na dnie, gdzie mrok panuje, kwiatami a liśćmi poziomek, wilgotną, wysoką, pachnącą trawą. Tameśmy zbierali poziomki. Mogłem ją sprowadzać ze spadzistych jak ściany brzegów, podprowadzać na wzgórza, szeptać cichutko słodkie słowa i w słodkie oczy patrzeć bezkarnie. Czasami suknia zaczepiała o tarninę i głogi – trzeba było odplątywać i można było cieszyć się rumieńcem podobnym do zorzy porannej, wytaczającej się na blade niebo.

Chodziliśmy później po całym lesie, wracaliśmy do kamieni, do pniaka, znowu na wzgórze, ku drodze. Słońce zaszło było. Na wysokich sosnach cichutko, na sen rozkoszny pogwizdywały zięby. Po upale dziennym nastał chłód, leśny chłód, zdrowy. Gdyśmy stali na wzgórzu, roztaczał się krajobraz cichy, monotonny, a jednak tak piękny! Łąka, zboża, zboża i zboża dojrzałe, nachylone ku ziemi, białe, obciążone kłosami. Za łąką P. – ogród, wielkie topole, dom jej.

– Jak tu ładnie! – wymówiła swym spokojnym akcentem, który ma w sobie coś z muzyki. Oczy jej spoczywały na tym krajobrazie z dziwnym wyrazem radości. Jaka wtedy była ładna! A na pola nasuwały się łagodne, niedostrzegalne cienie... Tuż pod lasem żęto zboże. Robota się kończyła.

Pożegnaliśmy się cichym „do widzenia". Wracałem lasem, drożynką moją, tą wąską białą drożynką, nad którą zwiesza się z obudwu stron żyto lub porastają po brzegach jej kwiaty, pachnące zioła o liściach szerokich, na których leżała już rosa.

Myślałem idąc, że dwie są w życiu siły intelektualne, na równi stojące z głodem: patriotyzm i miłość. Czym zazdrość jest w prawdziwej miłości, tym samym jest nienawiść w patriotyzmie. Obiedwie wybiegają na jedne skalę, na ten ostatni takt, do jakiego dotłuc się może serce, a skąd widać otchłań nicości.

Co ja właściwie kocham w pani Natalii? Czyż tylko jej piękne oczy? – Nie. Cały obszar tej ziemi, ten zapadły kąt splótł się z nią, dopełnia ją. Kocham te miejsca zaciszne, las, drożynki moje, krajobraz, drzewa i kwiaty, ciszę leśną... W tej całości Natuchna jest

151 „b a b c i a" D. – Rozalia z Dzięciołowskich Dobrzyńska, matka Natalii Faÿttowej i Anieli Rzążewskiej.

152 z M a n i ą – tj.z najstarszą swoją córką, urodzoną w 1878 r.; po ukończeniu pensji p. Czarnockiej w Warszawie wyszła w 1900 r. za mąż za Saturnina Pieńkowskiego, właściciela majątku Dołobowo (pow. Bielsk Podlaski), a po rozwodzie z nim poślubiła w 1909 r. jego brata, Konstantego Pieńkowskiego, właściciela majątku Sutno (pow. Bielsk Podlaski), który zmarł w 1927 r. W 1929 r. wyszła za mąż po raz trzeci za Władysława Pędzińskiego, z którym miała syna, Zbigniewa Pędzińskiego, znanego krytyka i eseistę. Zmarła w 1945 r. w Poznaniu.

jak ostatni wyraz, jak treść wszystkiego. Przywykłem do pniaka i bławatków położonych na nim jej ręką tak dalece, że, jeśli żyć będę, nie zapomnę go nigdy – *ecoutez!*[153] – pniaka.

O dziesiątej wyszedłem z domu cichaczem, nie postrzeżony przez nikogo. Było dosyć ciemno, na zachodzie tylko płonął jeszcze odblask zorzy. Było ciepło z ziemi, bił ten ciepły oddech po dniu upalnym, jaki czuć się daje między zbożami w szczerym polu. Ani śladu wiatru – sen jest takim w noc lipcową. Jaka cisza w lesie! Na skraju jego, tam, gdzie staliśmy z Natusią przed dwiema godzinami, odpocząłem, a potem wskoczyłem w parów piaszczysty, do mostku doszedłem na palcach i – na łąki.

Na łąkach leżała bielusieńka mgła, którą rozcinałem szybko idąc. O krok, o dwa ode mnie, dokoła krzyczały derkacze – na gwałt, na trwogę. Wyprawy moje podobne są do spuszczania się pająka z sufitu na niewidzialnej nitce. Pająk liczy tylko na przypadek, na traf szczęśliwy, dzięki któremu nikt go nie zabije, nie zdmuchnie go wiatr pierwszy lepszy. Na środku łąki jest płot żerdziany, który przeskoczyć trzeba. Rzecz dziwna: ilekroć tam idę, przeskakując płot doznaję zupełnego spokoju, bezczelnej pewności siebie, ale tam dopiero, ponieważ od tej mety zaczyna się najgrubsze niebezpieczeństwo. Stamtąd bowiem idę już pod wysokim brzegiem pola, wychodzę na dworską drogę. Nigdy drogi tej nie widziałem we dnie, a jednak znam każdy kamień, każdy rowek, wiem niemal, gdzie leży suchy jaki patyk, oberwany przez wiatr z wielkich topól, stojących obok drogi szeregiem.

Gdy się szereg ten kończy, zaczyna się parkanisko wysokie, stare, zgrzybiałe, tu i owdzie powyginane naprzód lub w tył, krzakami, zielskami, chwastami przeróżnymi obrosłe. Idę sobie śliczną ścieżką między dwoma rzędami fasoli, oplatającej wysokie, gęsto ustawione tyki. Tu i owdzie fasola przerzuca się przez moją ścieżynkę, tam muszę podnosić pochyłą tyczkę, gdzie indziej kij nadepnięty trzaśnie i sprawi takie wrażenie jak wystrzał armatni – ale nareszcie moja furteczka, moja miła, stała przyjaciółka, szara, wąziutka, w zielskach schowana, z czarnych desek zbita. Czekam zdjąwszy czapkę, gdzie się stróż obraca, nasłuchując. Sześć razy wpuściła mię już furteczka na pocałunki z Natusią. Znamy się od dawna...

Nie biorąc nigdy ze sobą żadnego kija, aby go nie zapomnieć wśród pocałunków w ogrodzie, mam do obrony pięść tylko. Pluję tedy w pięść i czekam. Minuty trwają wówczas najmniej po sześćdziesiąt parę lat.

Deklamuję sobie po cichu jakiś wiersz dla zabicia czasu i słucham... Oto daje się daleko słyszeć monotonny szelest, ale tak daleko... Zwiększa się, zwiększa, zbliża – ja go znam, ach, jak ja go znam! To szelest sukni. Gdy jest na zakręcie białej uliczki ogrodowej, słychać już i stąpanie. Nareszcie zjawia się przed furtką mileńka.

– Czemu tak późno? Trzy kwadranse na jedenastą... Męża nie ma, pojechał do Ruskowa[154], za chwilę pewno wróci. Trzeba słuchać pilnie...

– Proszę otworzyć.

– A klucz?

Podaję jej klucz i za chwilę jestem – na ziemi, zdaje się, prawdopodobnie na ziemi, choć uchyla się niebo radości i śmiechu. Biegniemy, objąwszy się, do naszej skrytki w rogu ogrodu. Tam jest ciemno, spokojnie.

Słuchamy, czy nie nadjeżdża ten mąż przeklęty, bo gdyby nie to, że słuchać trzeba... Co to za nóżki! Co to za usta, oczy, które się do pocałunków podsuwa. Układaliśmy projekta na przyszłość. Ja pisać będę *poste restante* do Siedlec, a w Warszawie... w Warszawie...

153 w y r a z f r a n c u s k i – słuchajcie!

154 d o R u s k o w a – w Ruskowie gospodarowali państwo Humniccy.

– Nie zakochasz się w pannie L.?

– Zakocham.

Panna L. – to nauczycielka, cud piękności, jaki jutro ma na stałe przyjechać do P.

– Proszę sobie iść. Ja wiem, że tak będzie.

– Trzeba mnie kupić.

– Nie, nie, nie można teraz, w Warszawie. Mąż mój coś się domyśla. Nic nie wie, ale trzeba się nadzwyczajnie pilnować.

Krótkie są chwile rozkoszy. Lecą, jak wiatr szybki. Odprowadziła mię do furtki, klucz mi oddała. Mówiliśmy jeszcze długo. Wspięła się na parkan, przechyliła ku mnie. Gdybym był choć malarzem, żeby powtórzyć to, co tak pamiętam, tę główkę śliczną, przechyloną.

– Rusałka!

Jeszcze jeden pocałunek i uciekamy od siebie, spłoszeni jakimś szmerem.

Wracając, musiałem być nadzwyczaj bacznym, gdyż doktór z Ruskowa wracać miał tą właśnie drogą, po której ja szedłem. Gdyby mię spotkał – byłaby fasola! Biegłem więc w miejscach takich, gdzie było pusto przy drodze, co tchu. Pod Ł. ciągnie się na dalekiej przestrzeni pole owsa, wysokiego po pas. Tam bym był musiał paść na pysk, gdyby jechał, i leżeć w zbożu taką mając nadzieję, że mię jego Marcin dostrzeże, zlezie z kozła i biczyskiem szturchać zacznie. Ale gdzie! Doszedłem do domu jak anioł, nikt nie jechał, nikt mię nie widział dla tej prostej przyczyny, że miłość – to tuman, mgła, czapka niewidymka, w jakiej chodzi szczęśliwiec, na którego ona spłynie.

Prawda, pani doktorowo?

14 VII (poniedziałek).

Wczoraj jeździliśmy do Falatycz – Natuś, pani Aniela i ja. Dzień zeszedł wesoło. Zobaczyłem kawał kraju w stronę Biały, kraju unickiego już całkowicie niemal. Widziałem, przejeżdżając, Woźniki, majątek niegdyś Franciszka Katerli, dziada mojego stryjecznego po matce, pułkownika wojsk polskich, dalej Czuchleby, wieś prawosławną. [...][155]

Pan Wiktor Wierusz K.[156] jest człowiekiem wykształconym, dzielnym, marsowe ma zwyczaje, szlachecki syn, wnuk pancernych – cóż się jednak okaże, gdy go w serce chcesz uderzyć. To, *risum teneatis*[157], to stańczyk aż tu, na Podlasiu.

Jest w Falatyczach ładny bardzo ogród i dziki, zapuszczony, prawdziwie piękny zwierzyniec, w którym chowa się stado sarn, kozłów, leporydy[158], bażanty. Chodziliśmy tam. Szedłem obok Natusi, mówiąc bez miary. Czasami dzieliliśmy się na grupy, wtedy

155 o p i s r y s u n k u – w tym miejscu w autografie jedna karta wycięta; na jej stronie *recto* pozostały przy grzbiecie szczątki rysunku piórkiem, wyobrażającego drzewo.

156 W i k t o r W i e r u s z K. – Kowalski, mąż Adeli z Dobrzyńskich, młodszej siostry Anieli Rzążewskiej i Natalii Faÿttowej.

157 *r i s u m t e n e a t i s* – (łac.) „czy moglibyście wstrzymać się od śmiechu"; cytat z *Listu do Pizonów* Horacego (*De arte poëtica*, w. 5) w przekładzie Tadeusza Sinki.

158 l e p o r y d y – (z łac.) mieszańce zajęcy i królików.

zostawałem z nią sam, pomagałem przechodzić przez spróchniałe mostki, brodziliśmy po wysokiej trawie, bawiąc się, zanosząc od śmiechu.

W salonie znalazłem reprodukcje *Lituanii* i *Wojny* Grottgera – i straciłem humor. Ogarnęła mię ta mroczna przepaść geniuszu. Spotkałem się z Grottgerem jak z wyrzutem bolesnym, że jestem między panami, bawię się, kocham w arystokratycznych mężatkach, jem lody i doznaję bólu brzucha, podczas kiedy powinienem być w siermięgę przybrany, chodzić od chaty do chaty i miesić chleb chłopskiego żywota krwawym potem, łzami a klątwą.[159]

Wracaliśmy późno w nocy. Ponieważ zaczął padać deszcz ulewny, nie jechałem więc z p. „Jacusiem" bryczką, lecz wsiadłem do powozu. Było w budzie zasłoniętej szczelnie tak ciemno, że o cal przed nosem nic nie widziałeś. Czasami i taka ciemność przydać się na coś może... Natuś swoje nóżki cudne, obute w greckie ciżmy sznurowane w taki sposób, jakim kokietowały Antygona i Ismena – pozwalała rozsuwać i pieścić swe kolana.

Aby uśpić podejrzenia pani Anieli, musiałem, ale literalnie musiałem to samo robić z nią, tylko naturalnie na sposób grubszy. Gdyby komu przyszedł do głowy pomysł zapalenia wówczas zapałki, ujrzałby szczególniejsze widowisko...

Obiedwie siostry rozmawiały ze sobą o rzeczach obojętnych dla uśpienia podejrzeń, a ja dusiłem się od śmiechu.

Wreszcie bystry Natuś z nadzwyczajnej wesołości Anieli domyśliła się mego fortelu i zaczęła śmiać się. Tym sposobem nasza z Natuchną tajemnica ukryła się, a Aniela na gwałt wypierać się zaczęła styczności moich nóg z jej łydkami. Na dowód posadziła między mną i sobą Adasia. Oddalony zostałem od N. Wówczas podawała mi *Glaukopis* swe rączki, które całowałem po kwadransie o cal przed nosem Anieli. Deszcz lał jak z cewki.[160]

17 VII (czwartek).

Wstępuję z twardej konieczności w świat naturalizmu... W ciągu trzech dni ostatnich, historii których nie notowałem w tym dzienniku, przeżyłem jedną straszną burzę, ogrom wzruszeń, które mię z nóg zwaliły, zmordowały jak walka z wrogiem.

Przedstawienie tych rzeczy tak, jak były, sprawia mi ulgę i ulgę jedyną.

W poniedziałek poszedłem nad samym wieczorem do lasu. Zaraz za żytem, które żąć już tego dnia zaczęto, dostrzegłem na skraju lasu parasolki, staniki różnobarwne, główki, kapelusze. Udałem więc, że tego całego babstwa nie widzę, i poszedłem drogą prosto do lasu. Okrążyłem las dokoła i zmierzałem do pniaka, pragnąc zobaczyć, czy są dla mnie kwiatki. Nie było...

Zaledwie zdążyłem skonstatować ten fakt, gdy na drożynce ukazał się cały tłum, którego spotykać nie miałem zamiaru:

---

159 m i e s i ć c h l e b c h ł o p s k i e g o ż y w o t a k r w a w y m p o t e m, ł z a m i a k l ą t w ą – zdanie to zawiera reminiscencje stylistyczne z ody Tarasa Szewczenki pt. *Kaukaz,* którą Żeromski przytaczał w wyjątkach w t. XVII *Dzienników,* dnia l marca 1888 r.

160 d e s z c z l a ł j a k z c e w k i – po tych słowach w autografie jedna karta wycięta, ale z tekstu raczej nic nie brakuje.

Natusia, Mania, Janinka, Irena – i panna L.[161] Zostałem tej ostatniej przedstawiony przez Natusię – zły znak – przy naszym pniaku. Zdziwiłem się, jest to bowiem rzeczywiście piękność. Bardzo podobna do Vetsery[162]. Czarne jak krucze pióra włosy i szafirowe, ciemnoszafirowe oczy, ocienione łukami brwi tak dużymi, jak tego ogrom oczu wymaga. Brwi te łączą się ze sobą jakąś małą smugą. Szczególniej jednak piękne ma czoło. Nie widziałem takiego, jak żyję. Pochyla się ono z lekka ku oczom i jest tak białe przy czarnych niezwykle brwiach, że niepodobna całości tej twarzy przyglądać się bez pewnego rodzaju łechtania w diafragmie[163]. Przy tym – dwadzieścia lat, talia bogini, biodra – „piersio Chrystusa czerwona!”...

Byłem niezwykle przyjemny w rozmowie, gdym towarzyszył tym paniom przez las na wzgórza – tyle tematów miałem do mówienia i to ni z tego, ni z owego... Co prawda – panna L. ma w obejściu, w spojrzeniu, w sposobie mówienia nie pewność, ale spokój osób niezwykle pięknych. Znaczy to: mogę ja mówić źle, być niezgrabną nawet, ale gdy się mi w oczy popatrzysz, uczujesz, żeś ty sam nigdy w życiu głupszym nie był, jak w owej chwili...

Byłem tedy niewymownie przyjemnym, tak dalece, że N. przyglądała mi się czas od czasu bacznie. Niepotrzebnie się trwożyła; jej nie odbiorę mojego serca... Usiedliśmy na górze w cieniu sosen i siedzieliśmy tam aż do dziewiątej.

Co to za śliczne wieczory, gdy w lesie po skwarze dziennym rozlewa się z niewidzialnych naczyń woń wilgotnego chłodu, gdy stada leciuchnych chmurek fioletowych leżą na płomieniu zorzy zachodniej, przesłonionej przez wierzchołki drzew...

Odprowadziłem te panie do mostku i, pomimo obustronnych zaproszeń na herbatę do P., wróciłem do domu. Tu spotkała mię piekielna mina pani Anieli. Nazajutrz przy obiedzie mówiłem, że panna L. i pani doktorowa proponowały, abym jechał z nimi któregoś dnia do Patkowa pana Adolfa[164]. P. Aniela zerwała się od stołu i zaczęła z piorunami w oczach wołać wobec wszystkich:

– Nie powinien pan tego robić, aby pozwalać wabić się w ten sposób. Jest to ze strony Natalki nieuczciwie, nikczemnie. Jest mężatką, powinna pamiętać itd.

Nie odzywałem się nic, ścisnąwszy zęby, po obiedzie jednak, gdy zaczęła mi dowodzić, że domyśla się tajemnych spotkań moich z N., że ona o tym doktorowi powie – prosiłem, na zasadzie umowy z nią mojej niemięszania się w moje sprawy, o konie do Siedlec na czwartek. Wpadła w patos, zaczęła malować mi przeszłość N. w takich barwach, że zaczęła mię trząść febra, opowiadała mi brednie i kłamstwa, wreszcie nazwała ją „wszetecznicą”. Coś mię zdławiło za gardło, na cztery bowiem dnie przedtem ta sama prorokini moralności przyszła do mnie do łazienki i rozebrana do naga obłapiała się ze mną w pokoju gospodyni.

Powiedziałem jej parę słów przykrych tej treści, że taka jak ona dama nie ma najmniejszego prawa rzucać błotem na N., której niewarta w nogę pocałować. Zaczął się płacz i spazmy.

Co do mnie – prosiłem o obliczenie się ze mną, o strącenie należności za ług, kefir, tran, kreozot itd. i uskuteczniwszy to wszystko, zacząłem pakować moje rzeczy. Pani Aniela szalała i dochodziła do tego, że po prostu stawała się ulicznicą – ona, członkini *high – Iife'u,* paryżanka, żona znakomitości literackiej, flirtantka wód europejskich,

---

161 p a n n a L. – Stanisława L...SSON, warszawianka, nowo zaangażowana nauczycielka trzech córek Natalii Faÿttowej w Patkowie Ruskim: Marii, Janiny i Ireny.

162 p o d o b n a d o V e t s e r y – Mary Vetsera (1871 – 1889), kochanka następcy tronu austriackiego, arcyksięcia Rudolfa Habsburga, popełniła razem z nim samobójstwo na zamku Mayerling.

163 d i a f r a g m a – termin anatomiczny: przepona.

164 d o P a t k o w a p a n a A d o l f a – t j. do Patkowa Pruskiego, którego właścicielem był wówczas Adolf Kopeć.

wielka, dystyngowana, zachwycająca pani Aniela. Blada, z białymi wargami, drżąc, z pianą w ustach rzucała się na sławę Natalki. Jeszcze i jeszcze wołała, że się pomści na niej, że opowie wszystkim, co wie...

Poszedłem do mego pokoju i długom leżał bez ruchu. Trzeba jechać od tej Natuchny i dokąd jechać? Wtedy znowu nadeszło widmo śmierci...

Nie żal N. wprowadza mię na tę mroczną drogę rozmyślania o nicości, ale ogólna moja ruina moralna. Każde słowo Anieli sprawia mi ból niemal fizyczny. Czuję zimno w palcach i ciężar w nogach. Pamiętam, że rozmyślając u siebie o wszystkim – wściekałem się, że praczka nie odnosi mi bielizny, abym się w nią mógł niezwłocznie przebrać. Dlaczego? – Ach, dlaczego...

Dlatego, że na dnie mojej istoty leży ślamazarna dobroć, dzięki której największą sprawia mi przykrość każde sprawienie komuś zmartwienia. Największy wróg mój, p. Aniela, której tysiąc razy powiedziałem, że nigdy jej kochać nie będę – za jedyną karę chciałbym, ażeby miała krzywdę moją. Obliczyłem się z nią z moją stratą, policzyłem nawet mięso na befsztyki...

Ludzie są obłudni, obłudni przemierźle. Ci, którzy mną się zachwycali, stawiali za wzór, proch zmiatać chcieli sprzede mnie – okazali się tak niskimi, że zapominam o nich i nie wymienię nawet ich imion. Sprawiało mi to wszystko gorzką mękę.

Aż oto p. Aniela wpadła w drugą ekstazę, w błagania, abym został. Obiecywała znowu pokorę, naprawę stosunków, przyznawała się do kłamstwa, płakała, błagała, zaklinała.

Tak stały rzeczy, gdy wczoraj usilnie zaczęła mię prosić, aby z nią jechać do P. Zgodziłem się, ponieważ pragnąłem choć raz jeszcze zobaczyć Natalkę.

Na połowie drogi, pod lasem spotkaliśmy Natuchnę, jadącą właśnie do Ł. Zawróciliśmy wszyscy do domu Natusi. Doktór był w polu, panna L. w ogrodzie. Zaledwie porozmawialiśmy kilka minut wspólnie, pani Aniela przeprosiła mię uprzejmie, że musi porozmawiać z N., i wyprosiła ją do gabinetu doktora. Ja przeszedłem do stołowego pokoju i patrzyłem bezmyślnie na huśtającą się pannę L. Domyślałem się czegoś z tej konferencji złego.

Po upływie długich kilkunastu minut N. wyszła stamtąd i przeszła szybko obok mnie... Była blada bardzo, z półotwartymi ustami, zmieniona... Gdy wracała i znowu przejść chciała, nie spojrzawszy na mnie, prosiłem, ażeby mi powiedziała, co mówiła Aniela.

– Nic, nic... – odpowiedziała spokojnie. – Mówiłyśmy o interesach pieniężnych. Niech pan będzie łaskaw przejść do sali...

Nadeszła panna L., której pani Aniela zaczęła natychmiast opowiadać o Meranie, Paryżu, Szczawnicy, Wenecji, Rzymie, Nałęczowie, Wiedniu, Berlinie, Karlsbadzie, o „jej przyjacielu" – Zyblikiewiczu[165], o „jej znajomym" Z. Kaczkowskim[166], Tarnowskim[167],

165 Z y b l i k i e w i c z – Mikołaj Zyblikiewicz (1823 – 1887) był od 1861 r. posłem do sejmu galicyjskiego, następnie deputowanym do Rady Państwa i prezesem Koła Polskiego w Wiedniu; od 1874 r. jako prezydent miasta Krakowa położył duże zasługi dla jego rozwoju; w 1880 r. został marszałkiem kraju w Galicji.

166 Z. K a c z k o w s k i – Zygmunt Kaczkowski (1825 – 1896), powieściopisarz i działacz polityczny, od 1863 r. przebywał w Wiedniu, od 1873 r. do śmierci – w Paryżu; w okresie wydawania i kolportowania pamfletu na stańczyków pt. *Teka Nieczui* (Paryż 1883) współpracował z nim Adam Rzążewski (Aër), wtedy też poznała Kaczkowskiego Aniela Rzążewska, mieszkająca z mężem od 1880 r. w Paryżu; listy Kaczkowskiego do Aëra charakteryzuje i częściowo przytacza Żeromski w t. XX *Dzienników*, dnia 19 XII 1889 r.

167 T a r n o w s k i – hr. Stanisław Tarnowski (1837 – 1917), historyk literatury i krytyk, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, prezes Akademii Umiejętności, był jednym z przywódców konserwatywnego obozu stańczyków i współautorem słynnego pamfletu politycznego *Teka Stańczyka* (1869).

Sarneckim[168], Cegielskim[169], biskupie Dunajewskim[170] itd., o wszystkim, co nikogo nie obchodzi.

– Czy zajedziesz, Natalko, do Ł. – zwraca się wreszcie do niemej i skubiącej listki róży.

– Nie.

– Dlaczegóż taka zmiana postanowień?

– Ach, czyż nie można zmieniać postanowień?

– Ależ jedź!

– Nie, nie pojadę.

– Dlaczego?

– Nie mam chęci jechać dziś – powiedziała spokojnie, śmiejąc się swym na poły bolesnym i smutnym uśmiechem.

Zrozumiałem na koniec. Zatargała mną złość piekielna, drżałem cały. Wyszliśmy na ganek, konie podjechały.

– Jedź, Natalko – rzekła znowu z szyderską słodyczą Aniela. – Dlaczegóż zmieniasz plan?

– Czyż nie mogę go zmienić? – śmiejąc się gorzko odpowiedziała znowu.

Wreszcie zgodziła się. Konie podeszły.

– Może razem pojedziemy, będzie przyjemniej – z całą ironią zaśmiała się Aniela.

– Nie, pojadę sama.

Pojąłem i to. P. Aniela domyśliła się, że całowałem ręce Natusi wówczas w powozie, nie widziała, ale domyśliła się...

Gdyśmy wyjechali z P., poprzedzeni przez Natuchnę, zapytałem Anieli:

– Co pani powiedziała pani F.?

– Powiedziałam, co powinnam była powiedzieć, widząc, że siostra moja zdąża do nierządu, upewniam pana jednak, że mówiłam to w sposób jak najgrzeczniejszy.

– I pani miała prawo to mówić?

– Miałam, ponieważ ona jest mężatką, a ja, jakkolwiek źle postępuję, jestem wolną – odpowiedziała mi po francusku.

Nie przypuszczałem, że można wyrokować w kwestiach moralności i stać rzeczywiście, stać na piedestale – na zasadach tego rodzaju indukcji.

Czułem zresztą, że jestem zupełnie bezsilnym, że wyrządzam krzywdę p. Natalii, krzywdę straszną, pozwalając, aby ta bezczelnie ją poniewierała, wiedziałem zresztą, że nie znajdę ratunku i wtedy, gdy tajemnie doniesie doktorowi, gdy tamten nie rozprawi się ze mną szlachetnie, ale, aby żony, która go utrzymuje swym posagiem, nie stracić, w ciszy przede mną nawet męczyć ją będzie brutalnie. Wiedziałem, że zlatuję w przepaść, bo Natuchna przez dumę samą odwróci się ode mnie, jak to zrobiła dziś, czułem, że gi-

168 S a r n e c k i – Zygmunt Sarnecki (1837 – 1922), dramaturg, nowelista i dziennikarz, był podówczas redaktorem dwutygodnika ilustrowanego „Świat", wychodzącego w Krakowie.

169 C e g i e l s k i – chodzi tu o Stefana Cegielskiego (1852 – 1921), syna sławnego Hipolita; był on także przemysłowcem, właścicielem fabryki maszyn rolniczych w Poznaniu, którą kierował od 1880 r.; w r. 1884 został posłem do parlamentu pruskiego, gdzie często zabierał głos w sprawie poprawy losu robotników, zajmując jednocześnie stanowisko ugodowe wobec władz pruskich.

170 D u n a j e w s k i – Albin Dunajewski (1817 – 1894), kardynał, działacz polityczny i kościelny; w młodości członek Stowarzyszenia Ludu Polskiego i innych organizacji konspiracyjnych w Galicji od 1834 do 1841 r., został aresztowany i skazany przez władze austriackie na karę śmierci, zamienioną na 8 lat twierdzy w Spielbergu; po śmierci swej narzeczonej wstąpił do seminarium duchownego w Krakowie, w 1861 r. otrzymał święcenia kapłańskie; w 1879 r. mianowany został biskupem krakowskim, w 1890 r. – kardynałem; gdy biskupstwo krakowskie w r. 1889 podniesiono ponownie do godności księstwa, został z urzędu dożywotnim członkiem austriackiej Izby Panów.

nę, że tonę, że to ostatnia godzina – coś się zerwało we mnie, coś, co długo wisiało na nici pajęczej...

Kazałem stanąć furmanowi i wyskoczyłem z powozu. Musiałem być sam, aby zebrać zmysły i nie popełnić jakiegoś szaleństwa. Poszedłem nazad bez celu...

Im dłużej szedłem, tym straszniej dziczały moje myśli. Byłem bliski szaleństwa. Usłyszałem za sobą turkot: p. Aniela jechała za mną co koń wyskoczy, wołając, abym wrócił. Nie odwróciwszy się, poszedłem dalej. Wówczas to – przyszła mi myśl o śmierci nieodrocznej, natychmiast. O, jakże blisko jest od rozpaczy do śmieszności!

Nie odebrałem sobie życia na tym polu dlatego, że przyszło mi na myśl, że przez to nie uratuję Natalii od hańby, jaką jej gotuje Aniela. Cóż to znaczyć będzie, że ja się zabiję? Co ona z tego faktu zrobi, ta bez czoła kobieta?

Postanowiłem, śmieszna rzecz, powiedzieć jeszcze Natusi, jak ma się bronić, i spalić moje dzienniki, listy, które skompromitować by mogły moje dawne kochanki – Helenę, Helenkę[171], Natusię samą...

Wróciłem do domu w nocy i zabrałem się gorączkowo do wyszukiwania listów, nagle zawołano mię – i zapragnąłem jak obłąkany spojrzeć raz jeszcze w te kochane, umęczone oczy. Wszedłem do stołowego pokoju: pani Aniela była tam sama, krzątała się koło herbaty.

– Przecenia pan małe rzeczy i robi przez to nieprzyjemności sobie i mnie... – rzekła z sardonicznym uśmieszkiem, krając bułeczkę.

– Ja panią zmiażdżę, ja panią wydam przed światem, który pani chce oszukać zwalając swe brutalne winy na tych, kogo pani niewarta w ręce całować. Rozumie pani! Przed Bogiem nie odpokutujesz nigdy za krzywdy, za takie krzywdy, które mnie popychają do śmierci. Niech moja krew na panią spadnie, cnotliwa wieżo z kości słoniowej. Ja mam prawie obłęd z tego wszystkiego, ale nim umrę, ukarzę panią całą moją pogardą dla hipokryzji, dla obłudy, dla namiętności zwierzęcej, która pani starczy za prawo moralne!...

Byłem prawie nieprzytomny. Nigdy w życiu nic podobnego ze mną nie było, gdybym miał w ręce rewolwer – byłbym bez wątpienia strzelił do niej wówczas. Wybiegła i za chwilę wróciła z Natusią, prowadząc [ją] za rękę.

– My jesteśmy ze sobą w najlepszej zgodzie**,** panie Stefanie, co panu? – mówiła, obejmując za szyję biedną N.

– Pani w zgodzie z „wszetecznicą", bo tak nazywa panią jej siostra – mówiłem, dławiąc się własnymi słowami, do obydwu.

Zbladła jak trup. Natalka pochyliła się na krzesło i zakryła oczy. Ani jednego słowa nie wyrzekła, raz tylko z niemym uśmiechem podniosła oczy na Anielę.

– Niech się pan nie unosi – rzekła do mnie – Aniela jest rozdrażnioną...

– Niewątpliwie, i wtedy jest rozdrażnioną, gdy mi opowiada, że pani pierwsza, panną i narzeczoną będąc, rzucała się na szyję panu R.[172] Czy to prawda?

I znowu ani słowa, znowu tylko spojrzała w oczy Anieli na poły dumnie, na poły z uśmiechem.

– Więc tak. Niech pani sumienie dopowie reszty za mnie. Ja już nie będę mówił więcej. Życzę tyle szczęścia, ile go pani mnie zgotowała.

Dały się słyszeć kroki gości nadchodzących. Ja wyszedłem. Przyszedłszy do swego pokoju, upadłem na łóżko nic prawie nie czując. Nogi i powieki ciężały mi bezmiernie i w gardle ściskał ból, jakby mię kto dusił. Nie mogłem się ruszyć z miejsca, choć przecież miałem coś zrobić ze sobą...

---

171 H e l e n ę, H e l e n k ę – z Zeitheimów Radziszewską, Pancerównę.

172 p a n u R. – nie wiadomo, o kogo tu chodzi.

Nagle – okno było otwarte – krzewiny zaszeleściały, ktoś przechylił się do mojego pokoju.

– Stefanie! – zawołała... Natalia...

– Pani... – mówiłem przypadłszy do jej rąk – moja święta...

– Ja cię kocham, mój miły, mój najdroższy... Proszę się uspokoić, proszę. Czyż mię nie kochasz? Zapomnij, daruj. Jutro się zobaczemy przy furtce – dobrze? dobrze?

– Nie, nie przyjdę.

– No, dlaczego? dlaczegóż? Cóż ja winna. Przyjdzie pan? O pół do jedenastej...

– Nie, po cóż mam panią hańbić?

– Czyż ty hańbisz? – Mój miły...

I nagle szybko pochyliła się i przycisnęła moją rękę do ust.

Wyrwałem ją i odskoczyłem w głąb pokoju. Przywołała mię znowu do siebie i, przechylając się, szukała w ciemności moich ust.

Ktoś szedł – usunęła się więc szybko. Znowu upadłem na łóżko. Byłem zmęczony i teraz nic już nie wiedziałem. Po upływie kilkunastu minut stanęła znowu w moim oknie. Wyciągnęła do mnie ręce.

– Ani nie odjeżdżaj, ani nie rób nic złego. Ja cię kocham, mój drogi.

– Przyjmie pani ode mnie, w zamian za kwiaty, jakie otrzymałem, za moje kwiateczki z pniaka – kilka kwiatów na pamiątkę?

– Wszystko przyjmę...

– Ale nie pogniewa się pani, nie?

– Nie, tylko proszę się uspokoić.

Wówczas przyniosłem i podałem jej *Kwiaty i pieśni* Konopnickiej[173], które z niezmiernymi trudnościami w sekrecie sprowadziłem sobie z Warszawy. Schowała tę książeczkę bez wahania, a tak zgrabnie, że przechadzająca się Aniela nie dojrzała manewru.

– Co pani mówiła Aniela w P.?

– Nic, nic – co tam... Przyjdzie pan jutro? Ja proszę, bardzo – no?

Wspinała się na palce dzięki temu, że było już ciemno zupełnie i pozwalała całować swe usta.

Odeszła znowu, zostawiając mię na pastwę smutku i zmęczenia.

Gdy odjeżdżała, wyszedłem. Wówczas znowu przypomniała mi w zręcznie nastrojonej rozmowie „pół do jedenastej". Tajemnie podała mi rękę i przesełała znak pożegnania, gdy wolant jej ruszył...

Noc bezsenna, straszna noc...

18 lipca (piątek).

Wczoraj poszedłem na schadzkę o jedenastej prawie, gdyż nie mogłem wyrwać się wcześniej. Przeszedłem szczęśliwie całą moją drogę dzięki temu, że było dosyć ciemno. Po skwarze dziennym (30°) – droga ta była aż nadto przyjemną. W lesie było tak ciemno, że nic o krok widać nie było. Na łąkach nawet mgły nie było, polne koniki i derka-

173 *K w i a t y i p i e ś n i* K o n o p n i c k i e j – nie było to oryginalne dzieło Marii Konopnickiej, lecz antologia poetycka przez nią ułożona: *Kwiaty* i *pieśni.* Piękne album kwiatowe z 68 chromolitografiami, Warszawa 1890, nakład M. Arcta (cena w ozdobnej okładce rb. 2, oprawne w płótno rb. 2,50, oprawne w plusz rb. 3).

cze odzywały się tylko dokoła. Gdym przeskoczył przez płot, wyszedł na drogę, świstawka stróża jak na zawołanie odezwała się daleko, z drugiej strony folwarku, za zabudowaniami. Fasola w ciągu tygodnia podrosła, szedłem niby korytarzem tajemnym. I co za miła niespodzianka: gdym dotarł do ścieżki prowadzącej do furtki, usłyszałem delikatne stukanie. Natuchna czekała już przy furtce. Natychmiast podałem jej klucz, otwarła...

– Kochasz mię? – było pierwsze słowo, gdyśmy uciekali co tchu do naszej skrytki.

Upadłem przy niej na ziemię, płacząc prawie – z radości. Miałem ją znowu, tak niepodzielnie moją, przytuloną namiętnie, z rękami oplecionymi o moją szyję. Leżeliśmy, pieszcząc się szalenie. Ona już zlatuje dla mnie w przepaść. Widzę to, mam dowody tak słodkie... Powstrzymuje nas coś jeszcze, jakiś wzgląd, jakaś maleńka linijka i to wtedy nawet, gdy jest bezsilną, gdy tuli się do mnie z całym poddaniem się. Dlaczego np. wczoraj nie skorzystałem? Wszak zgadzała się już i tylko leniwo, błagalnie, jakby sennie powtarzała swoje:

– Nie, nie, mój drogi – w Warszawie...

Wspomniałem na poprzednim spotkaniu przelotnie, że to i owo w ubraniu jest zbyteczne. Wczoraj już zbytecznych rzeczy nie było. Mileńka moja!...

Rozpalona, gorąca ziemia zdaje się podniecać nas oddechem skwarnym i gdy splatają się w pieszczocie nasze ciała, brakuje tylko silnej, natarczywej prośby, aby mi się oddała; ale wtedy nawet, gdy mogę to uczynić, nie chcę, gdyż tylko jej wola, sama jej miłość jest mi drogą. Gdy się zgodzi bez oporu – wówczas tylko.

Co za noc! Mrok spływa na oczy, mąż jej był w domu, ogrodnik ma obowiązek chodzić po ogrodzie w nocy, stróż może nadejść, słychać było turkot powozu, którym powracała z P. panna L. – a my słyszeliśmy tylko, jak biją serca... Byłem tam więcej niż godzinę. Morze zapomnienia, odmęt szału...

Gdy powóz zajeżdżał przed dwór, musiała iść. Poprowadziła mię do furtki na ostatnią pieszczotę.

– Czy wiesz, co mi wczoraj mówiła Aniela tam, w gabinecie?

– Cóż takiego?

– Że powie memu mężowi...

Oddała mi klucz, zamknąwszy za mną furtkę. Przez żywopłoty i parkan przechylała się jeszcze, aby na dobranoc usteczek mi dać. Obiecała jeszcze spotkanie *si fata velint*...[174]

Wróciłem szczęśliwie do domu. Noc była już ciemna, tylko mleczna droga na niebie i biała drożynka moja na ziemi bieliły się w ciemności. Gdym wyszedł już pod Ł., dostrzegłem na dalekim horyzoncie światełko. Co się to świeci, gdzie?

Ach, to lampka w kapliczce na cmentarzu niegdyś unickim – dziś prawosławnym. To samo, co z Grottgerem...

Wśród żywopłotów ukryta,
Szara, maleńka, nieznana,
Niezgrabnie z deszczek dwu zbita
Furteczka moja kochana...

Zawsze, na jawie i we śnie
Biedne ją serce pamięta,
A żal je dławi boleśnie,
Gdy ma być długo zamknięta.

174 *s i f a t a v e l i n t – (łac.)* jeśli losy pozwolą.

Przeżyłem przy niej otchłanie
Tęsknot, przeniosłem ból bólów,
Ale mi drogą zostanie,
Bom bywał przy niej – król królów...

Tajemną idę doń drogą,
Lasem a polem – pustkowiem,
Lecz po co idę, do kogo –
Za nic na ziemi nie powiem...[175]

19 VII (sobota).

Od dni trzech, pragnąc uwolnić p. N. od podejrzeń, jakoby umyślnie spotykała się ze mną w lesie, nie wychodzę z domu zupełnie. Czytam wiele, uczę się francuskiego po godzin parę, wertuję bibliotekę od Kremera do Buckle'a[176]. Na samym dnie szafy, pośród starych trzewików, połamanych szczypców i starożytnych skorup, wynalazłem cały stos rękopisów Aëra, jego notatki, kajeta, zaczęte i nie pokończone fragmenty robót literackich, lecz – co daleko ważniejsze i co Wacek ssałby dzień i noc – pakę gazet i pism rewolucyjnych z roku 31. Ukompletowałem i pozlepiałem „Kuriera Polskiego"[177] od lipca do 23 listopada 1830 r. Niestety! – na trzystu jakich stronicach tego półurzędowego piśmidełka nie masz nic ciekawego. Nominacje, nadawanie orderów, bale i obiady dworskie, widowiska i ogłoszenia. Czytałem jednak cały ten zbiór z ciekawością, występują bowiem przed oczy rozmaite postacie drogie i wstrętne, które jasno widać na tle jakby żywcem stamtąd przyniesionej epoki. Prawdopodobnie na dniu 29 listopada wydawnictwo to przerwane zostało,

175 i l u s t r a c j a d o w i e r s z a Ż e r o m s k i e g o – z lewej strony dwu początkowych strofek tego wiersza, w rogu karty autografu widnieje rysunek piórkiem, przedstawiający drewniany parkan z ostro zakończonymi sztachetami, obrośniętymi żywopłotem i dzikim zielskiem; pośrodku parkanu znajduje się nieduża furtka z dwóch desek na podwójnych zawiasach, zamykana na klucz; pomiędzy furtką a górną belką poprzeczną jest wolna przestrzeń.

176 o d K r e m e r a d o B u c k l e' a – tj.od pisarzy romantycznych do pozytywistycznych; *Listy z Krakowa* Józefa Kremera czytał autor *Dzienników* dnia 19 i 21 X 1884 r.; obszerne wyciągi z *Historii* cy*wilizacji w Anglii* Henry'ego Thomasa Buckle'a zawiera t. V *Dzienników* od dnia 5 II 1885 r.

177 „K u r i e r P o l s k i" – dziennik wychodzący w Warszawie (drukarnia Gałęzowskiego) od 10 XII 1829 r., założony przez grupę secesjonistów z „Gazety Polskiej"; do tej grupy należeli: Ksawery Bronikowski, Adolf Cichowski, Józef i Romuald Hube, Maurycy Mochnacki, Wincenty Majewski i Jan Ludwik Żukowski, którzy też na zmianę podpisywali „Kurier" jako redaktorzy odpowiedzialni; po wybuchu powstania listopadowego dziennik reprezentował tzw. umiarkowane centrum; wbrew sugestii autora *Dzienników* pismo nie przestało wychodzić w dniu 29 XI 1830 r., lecz wydawane było aż do kapitulacji Warszawy (w roku 1830 nry 30 – 377, w roku 1831 nry 378 – 617); oprócz wymienionych do składu redakcji należeli wówczas spiskowcy wojskowi i cywilni; Joachim Lelewel, Jan Nepomucen Janowski, Piotr Wysocki, Kamil Mochnacki, Ludwik Nabielak oraz ks. Aleksander Kazimierz Pułaski.

Niezrównanie za to ciekawym jest „P o l a k S u m i e n n y”[178], dziennik rewolucyjny, którego komplet posiadam od dnia 2 grudnia 30 r. do l kwietnia 1831. Jest to dziennik Rady Administracyjnej, patriotyczny, ale ślepy, bałwochwalczo bijący czołem wszystkiemu, co Rząd Tymczasowy czyni. Są tu nieocenione spory z „Nową Polską”[179], polemiki z Mochnackim, wszystkie mowy, proklamacje, odezwy, rozporządzenia wodzów, wieści z placu boju, niepewne pogłoski, wiary, nadzieje, uniesienia – cały chaos rewolucyjny, tak jak był, całe uniesienia, cała boleść. Dzień po dniu śledzisz wielolice życie za dni tych bezpowrotnych, masz wyliczone ofiary, czyny ciche i rozgłośne z prostotą niespokojnej wieści rzucone na te karty dla tłumu, który łaknie.

Dziennik ten dlatego właśnie, że ma za ideę przewodnią zwyczajny za owych czasów patriotyzm, że podaje bezkrytycznie masę faktów – tym jest ciekawszy. Przebiegu czynów wojennych tu się nie znajdzie, ale jest za to całe życie Warszawy, jakbyś je widział. Tu drukowano pierwszy utwór Słowackiego *Bogarodzicę*[180]. W dziełach Mochnackiego czytałem wszystkie jego artykuły zamieszczone w „Nowej Polsce” – tu, w „Polaku Sumiennym”, są odpowiedzi i komentarze do tych artykułów.

Redaktorem dziennika tego był Feliks Saniewski, który następnie porzucił pióro i poszedł się bić pod Dwernickim. W „Polaku Sumiennym”, który tchnie taką nienawiścią do M. Mochnackiego, są jednak jego usprawiedliwienia się z zarzutów i zaszczytne wzmianki w raporcie gen. Żymirskiego. Ostatecznie uwierzyłem w prawość Mochnackiego. Znać, jak wolność druku podsyca pisarza, jak gada i deklamuje każdy, kto może, czasami za wiele, nieraz nudnie, ale co za moc nieprzeliczona faktów!

178 „P o l a k S u m i e n n y” – dziennik wychodzący w Warszawie (drukarnia Banku Polskiego) od 2 XII 1830 r. do kapitulacji stolicy (w roku 1830 nry l – 24, w roku 1831 nry l – 252); wydawcą odpowiedzialnym był Antoni Cyprysiński, a redaktorem – Feliks Saniewski, ponadto do redakcji należeli; Konstanty Świdziński, Gustaw Małachowski i Bruno Kiciński; pismo reprezentowało poglądy stronnictwa zachowawczego, którego przywódcą był minister książę Franciszek Ksawery Lubecki, przewidywany na negocjanta z carem; sfery ziemiańsko – arystokratyczne wierzyły przede wszystkim w zabiegi dyplomatyczne, w interwencję obcą, mniej natomiast stawiały na akcję zbrojną; kiedy jednak Lubecki ustąpił z Rady Administracyjnej i wyjechał z kraju, pismo wyrażało swe poglądy w sposób niezdecydowany i chwiejny; po bitwie pod Olszynką Grochowską, w numerze 65 z 1 III 1831 r., redakcja ogłosiła następujący komunikat:

Kilku redaktorów „Polaka Sumiennego” udało się już do wojska, a pozostali gotowi są na wszelkie wezwanie do Straży i obrony stolicy; redakcja widzi się więc zmuszona ścieśnić prawie do połowy obręb swojego pisma.

179 „N o w a P o l s k a” – dziennik polityczny i naukowy wychodzący w Warszawie (drukarnia przy ul. Aleksandria) od 5 I 1831 r. do upadku powstania (nry l – 240); głównym redaktorem był Jan Ludwik Żukowski, ale na czele numeru wymieniony był cały skład redakcji: Joachim Lelewel, Piotr Wysocki, Kazimierz Brodziński, Bazyli Mochnacki, Józefat Bolesław Ostrowski, Walery Zwierkowski, Adam Gurowski, Maurycy Mochnacki, Józef Bohdan Zaleski, Ludwik Nabielak, Aleksander Pułaski, Kamil Mochnacki, Wojciech Kazimierski, Jan Nepomucen Krzymuski; pismo reprezentowało ideologię lewicy radykalnej, było w pierwszym okresie nieoficjalnym organem Towarzystwa Patriotycznego, chociaż ze względów taktycznych wypierało się jakichkolwiek z nim związków; po odejściu dziesięciu współpracowników pisma do wojska na czele pozostałych i kilku dokooptowanych znalazł się warchoł i intrygant J. B. Ostrowski, który napaściami personalnymi na prawo i na lewo skompromitował siebie i dziennik, tracąc stopniowo wpływ na opinię publiczną.

180 t u d r u k o w a n o... S ł o w a c k i e g o *B o g a r o d z i c ę* – pierwszy, ogłoszony bezimiennie druk *Hymnu* Słowackiego ukazał się w „Polaku Sumiennym”, nr 3 z 4 XII 1830 r.; utwór zyskał od razu ogromną popularność i był przedrukowywany do 17 I 1831 r. kilkanaście razy W różnych dziennikach, wyszedł też osobno 12 XII 1830 r. wraz z *Odą do wolności* w broszurze wydanej własnym kosztem poety w Drukarni Stereotypowej; w Krakowie ukazał się 28 III 1831 r. pt. *Bogarodzica, Hymn do śpiewu* z muzyką Amalii Fritsche.

20 VII (niedziela).

Jen. Dwernicki, dobrawszy naprędce ludzi do dział zabranych, uformował sobie natychmiast drugą baterią o sześciu armatach. [...]

„Polak Sumienny" z 18 lut. 31 r., 8 rano.

Włościanie pod Seroczynem wpadli na tylną straż nieprzyjaciela i wysadzili w powietrze jeden jaszczyk z amunicją.

„Polak Sum." 19 lutego o 8 rano.

... Wielu okryło się nieśmiertelną chwalą. Żołnierze pierwszego pułku strzelców: Żażkiewicz Jakub, Maciosek Antoni i Rodny Józef pod najgęstszym ogniem karabinowym zdobyli nieprzyjacielską chorągiew. Z tegoż pułku podoficer Brański Walery zarąbał sam kilkunastu Moskali. Ochotnicy zaś, Mochnacki Maurycy i Gurowski Adam, pierwsi wpadli do kolumny nieprzyjacielskiej.

Raport gen. Szembeka 24 lut. o bitwie z 19 lutego[181]

PRZYPOWIEŚĆ O PNIAKU SOSNOWYM

W posępnej leśnej głębinie,
W cień otulony grobowy,
Stoi przy głuchej drożynie
Pniak zestarzały, sosnowy...

Spał pod sióstr – sosen osłoną
Ten starzec lasu zgrzybiały,
Gdy ciepłą, miękką oponą
Śniegi mu plecy zasłały.

Spał, gdy wiosenne szły burze,
Gdy pieśń słowicza mu łkała,
Gdy nad nim w bladym lazurze
Poranna zorza wstawała...

Aż raz, gdy z sosen na zioła
Wieczorne cienie schodziły,
Na pniaku ręce anioła
Bukiet bławatków złożyły.

Odtąd zgrzybiały pniak stary
Zbudził się, młode ma lice:

181 przytoczenia z „Polaka Sumiennego" – pochodzą z nr 55, 56 i 60 r. 1831 tego dziennika, który w niedziele nie wychodził; Żeromski wprowadził do tekstów drobne zmiany: w trzecim cytacie zamiast „żołnierze pierwszego pułku" jest „żołnierze z pierwszego pułku", zamiast „Brański Walery" jest „Brański Walerian", zamiast „Moskali" jest „przeciwników", zamiast „pierwsi wpadli" jest „jedni z pierwszych wpadli", zamiast „gen. Szembeka" jest „jen. Szembeka".

Zmienił się w ołtarz ofiary,
W miłości mojej kaplicę.

Odtąd codziennie, zdyszany,
A w bujną młodość bogaty,
W radości dzikiej, pijanej
Do niego chodzę – kraść kwiaty...

Lecz przeszła szczęścia kruszyna
I dzień niedoli już dnieje,
Uderzy pomsty godzina,
Kończąca złudzeń mych dzieje.

Gdy pójdę konać po stratach,
Błądzić po pustym mi świecie –
Z tęsknoty po nas, po kwiatach
Pniak stary w proch się rozmiecie.[182]

19 VII

21 VII (poniedziałek).

O 4 r a n o.

Dola moja przepadła. Ginę już chyba. Onegdaj p. Aniela oświadczyła mi, że pomimo względów na mnie zmuszoną się czuje powiedzieć doktorowi o moich schadzkach z N., jakie miały miejsce w kwietniu, o bałamuceniu mię przez nią...[183]

Nie przeczyłem jej wcale, prosiłem tylko, aby zechciała wyznanie to uczynić w mojej obecności – i nie mówię z nią więcej. Któż wie, czy to nie będzie dane? Ach, ale to błahostka!

Wczoraj, jakkolwiek N. podczas spotkania mówiła mi, że w niedzielę tu będzie, namówiłem p. „Jacusia", aby pójść pieszo do p. Adolfa. Jest stąd do P. wiorst pięć. Wyszliśmy po południu i na czwartą tam stanęli. Zmęczyłem się, gdyż był upał niezmierny i byłem znudzony przez panią Lucynę[184], gdy zaś przyjechała pani Chwalisławowa[185] – byłem znudzony podwójnie.

Najniespodziewaniej przyjechał z panem Ż. doktór[186] i oświadczył, że ma przyjechać również i „żona". Pamiętam te minuty, gdym siedział tam na ganku z kimś o czymś

182 i l u s t r a c j a d o w i e r s z a Ż e r o m s k i e g o –z lewej strony dwu początkowych strofek tego wiersza, w górnym rogu karty autografu znajduje się rysunek piórkiem, przedstawiający odziomek dwu sosen, zrośniętych przy ziemi pniami; jeden z nich wyrósł wysoko, drugi był ścięty i został tylko pień na pierwszym planie.

183 o b a ł a m u c e n i u m i ę p r z e z n i ą... – po tych słowach w autografie dwie karty wycięte, ale z tekstu raczej nic nie brakuje.

184 p a n i L u c y n a – Żółkowska z Kopciów (1853 – 1927), przyjechała z Kielc do swego starszego brata, Adolfa, na wakacje w Patkowie Pruskim.

185 p a n i C h w a l i s ł a w o w a – Jadwiga z Modrzewskich Kopeć (1869 – 1931), żona młodszego brata Adolfa Kopcia, Chwalisława, bratowa Lucyny Żółkowskiej.

.186 p r z y j e c h a ł z p a n e m Ż. d o k t ó r – z Kazimierzem Żółkowskim doktor Michał Faÿtt.

mówiąc i gdym słuchał, słuchał dalekiego turkotu powozu... Oto żwir rozpryskuje się pod kopytami koni i wysiada N. z panną Stanisławą.

Po wargach *Glaukopis* przeszedł się uśmiech tajemniczy, gdy mię witała oczami z radością.

– Nie spodziewałam się, że pan tu będzie.

– Niemiła niespodzianka...

Tyle było osób, że nie mogłem zamienić z nią ani jednego słowa więcej.

Zgubiłem moje szczęście przez błahe wyrachowanie. W pannie Stanisławie kocha się pan Adolf, który znowu bywa powiernikiem Anieli, sądziłem więc, że jeśli w nieobecności Anieli pannę Stanisławę emablować będę, pan Adolf nie omieszka tego mojej jędzy wyjawić, na czym sprawa nasza z Natusią zyskałaby ze dwa spotkania.

W czasie spaceru po ogrodzie przyłączyłem się do panny Stanisławy i pani Chwalisławowej, podczas gdy N. chodziła z panią Lucyną. Słowa wiązgły mi w gardle, gadałem jednak, gadałem! Gdyśmy się czas od czasu na uliczkach spotykali, pani Natalia zajętą była rozmową i nie zwracała uwagi, że przechodzę.

Trzeba nieszczęścia, że przy kolacji posadzono mię obok panny Stanisławy. Bawiłem ją – tym więcej ją bawiłem, że zauważyłem przymusowy śmiech u N. i na złość mi kokietowanie aż... Kazia. Mówiłem głośno komplementy wykwintne, bawiłem, bawiłem – aż do pomieszania zmysłów. Śliczna ta istota już mię polubiła, umawialiśmy się o lekcje deklamacji w lesie, o grę w szachy, mówiłem jej słodkie rzeczy tak, aby N. słyszała. Później już, widząc nawet, że ginę, mówić musiałem, obywatele bowiem podlascy po kilku kieliszkach wina zaczęli wpadać w rozmowy drastyczne, od których mężatki zanosiły się od śmiechu, panna S. zaś – była w przykrym położeniu. Wiedziałem, że wyrywam ją z niego, mówiąc o rzeczach obojętnych.

Gdyśmy wstali od kolacji i gdy panna S. podała mi rękę ze słodkim „za miłe towarzystwo" – spojrzałem w oczy N. i zadrżałem, zadrżałem od stóp do głów. Było w tym wzroku coś, co mi powiedziało, że przegrałem straszną grę. Za chwilę te panie odjeżdżały. Znalazłem minutę, w ciągu której mogłem zbliżyć się do N. Zapytałem jej:

– Czy nie zobaczę pani teraz?

– Po co?

Te dwie sylaby będą bodaj ostatnim znakiem, zamykającym księgę mojego żywota. Zimno skinąwszy mi głową – odjechała. Wróciłem do domu o dwunastej, nic nie spawszy wstałem o czwartej.

22 VII (wtorek).

List od Wacka:

W Krakowie – niestety – nie byłem, bo ani grosza w kieszeni po przyjeździe do Pińczowa nie miałem. W tych dniach dostałem gazety krakowskie z opisem pogrzebu. Nadesłano więcej nad 300 wieńców: mnóstwo wieńców od ludu polskiego rozmaitych okolic, kilka z okolic Nowogródka i Zaosia oraz innych stron Litwy, kilka od Żydów, dwa od Rusinów, sześć od Czechów [...]. Od nas zawieziono wielki srebrny wieniec z

laurowych liści, opleciony łańcuchami żelaznymi, z tarczą pośrodku, na której napis: „Mickiewiczowi – urodzona w niewoli, okuta w powiciu[187] młodzież warszawska"; na szarfach: „Od studentów uniwersytetu". Na wieńcach od innych zakładów naukowych napisy stanowiły przeważnie wyjątki z *Ody do młodości.* Z Kongresówki, oprócz wieńców od pism warszawskich, oprócz mnóstwa „od kobiet polskich z Warszawy" – były od gimnazjów warszawskich i z prowincji jeden tylko, z Radomia.

Przy wyniesieniu zwłok z wagonu powiedział Wł. Mickiewicz:

„Oddaję w ręce twe, dostojny panie Marszałku, przedstawicielu jedynego dziś urzędu polskiego, mój skarb najdroższy. Próżno bym się silił na słowa, na wyrażenia mych uczuć. Ponad wszystkimi góruje głęboka wdzięczność dla narodu, który w tak podniosły sposób czci pamięć swego poety. Podziękowanie ode mnie i, jak mniemam, od wszystkich Polaków należy się szlachetnej młodzieży, która zapoczątkowała sprawę przeniesienia zwłok mego ojca na Wawel." Następują podziękowania Wydziałowi Krajowemu, Monarsze itd.

Marszałek, przyjmując zwłoki, przemówił, jak na urzędnika polsko – austriackiego przystało, spokojnie i poważnie, bez szczególnych uniesień. Ulice, przez które orszak przechodził, wiesz z gazet, jak przybrane były, a z okien i balkonów, przed którymi orszak przechodził, spadały bezustannie kwiaty na trumnę. Przy wejściu na Wawel – zabrzmiał „Zygmunt".

Przy wejściu do kościoła mówił Asnyk:

„Po utracie niepodległości, kiedy nie stało hetmanów i wodzów oręża, powstał wódz ducha. Wódz ten podniósł padający sztandar pokonanego narodu i uniósł go z zamętu przegranych walk, z pogromu, i rozwinął w błękitach na takich wyżynach, na jakich już go dosięgnąć nie mogły żadne nieprzyjazne moce. Przeniósł go z ziemi łez, na której zaciążyła noga zwycięzcy, w nieśmiertelną krainę ducha, gdzie górować musi

nad fizyczną przemocą, zmiennością doli, nad męką ciał, a nawet nad chwilowym zwątpieniem upadających pod ciężkim brzemieniem pokoleń. Jemu zawdzięcza Polska, że ją uzbroił na wszystkie ciosy, zahartował na wszelkie męczarnie i dał jej w pieśni nieśmiertelne życie, zanim ją sąd ostateczny dziejów w nowe przybierze ciało.

Wielka, promieniejąca na świat cały miłość, jaką ukochał swój nieszczęśliwy naród, miłość ogarniająca wszystkie wieki i pokolenia, umarłych, żywych i żyć dopiero mających, miłość zstępująca po namaszczenie wiary do kurhanów i pamiątek przeszłości, a po nadzieję do chat wieśniaczych, jako do kolebki przyszłości, nadała geniuszowi jego w szeregu twórczych duchów świata odrębne a wyraziste piętno.

Do Panteonu ogólnoludzkiej poezji wtargnął wieszcz narodowy i wniósł do niego przemienione na brylanty łzy swoich współbraci. Ukazał ludzkości nieznane ziemie najsroższych męczarni. Jak Wirgiliusz prowadził Dantego, tak on prowadził ludzkość przez te potępione okręgi, odsłonił wnętrze więzień, mroźne Sybiru łono, czarne pieczary kopalń, bielejące kości ofiar, daremne wysilenia ofiar i całą tragedią bezpłodnych męczarni bez chwały i odkupienia.(Co za rewolucjonizm w panu pośle! To się nazywa przywódca postępu c.k. galicyjskiego.)

W ślad za mistrzem zaczęły się zwracać wszystkie serca, na wzór dany przez niego urabiać i cała myśląca i czująca Polska przedzierzgnęła się w poważnego i surowego Konrada, oddanego jednej myśli, jednemu uczuciu. Pieśń mistrza przeszła w krew, stała się ciałem, czynem ofiarnym, dogmatem wiary, podporą w dniach klęski i proroctwem lepszej przyszłości. Żyje ona w naszych instynktach, myślach, dążeniach bądź świadomie, bądź nawet nieświadomie, stała się bowiem częścią naszej duszy, częścią składową moralnego organizmu. Jej zawdzięczamy, żeśmy nie skarleli i nie znikczemnieli do

187 „u r o d z o n a w n i e w o l i, o k u t a w p o w i c i u" – parafraza słów z Pana *Tadeusza* (ks. XI, w. 77).

szczętu, jej zawdzięczamy resztę cnót naszych, które nas bronią przed ostatecznym upadkiem. Ten, co kochał i cierpiał za miliony, ma do rozporządzenia miliony serc zjednoczonych.

Powróciły te popioły po wielu latach z obcej ziemi, by raz jeszcze z wnętrza grobu przemówić do całego ludu i zakląć go, ażeby niedostępny wszelkim pokusom lub zwątpieniom nie zbaczał z twardej drogi... obowiązku. Ta trumna, te popioły mają wymowę, na jaką nie stać dziś żadnego z żywych. Niech więc mówią o niezłomnej wierze w sprawiedliwość Bożą, o nieśmiertelnej nadziei, której nam się wyrzec nie wolno, i o miłości, jaka serca nasze rozpalać powinna. Niech uzbroją w męstwo upadających pod ciężarem nieszczęść i niech odsłonią tajemnicę życia, śmierci i zmartwychwstania. Niech głos ich głosem proroczym rozbiegnie się po całej ziemi od pałaców do chat wieśniaczych zwiastować lepsza dolę i możność odkupienia win przez c n o t ę i p r a c ę.(I Bobrzyński nie powiedziałby nic lepszego. Och, dość tej letniej wody, „cichych zasług", „cnót" domowych, wytrwałości... To się mówi u trumny Mickiewicza.)

Niech duch światła i miłości, który ożywiał niegdyś te popioły, prowadzi nas dalej w przyszłość, jak ów słup płomienisty, prowadzący niegdyś w ciemnościach lud Izraela, ażebyśmy następcom naszym przekazać mogli przynajmniej c i c h e z a s ł u g i, w y t r w a ł o ś ć w p r z e c i w n o ś c i a c h i ostatni skarb nasz: nieskalaną godność narodową".

A my, kochany Stefanie, w prostocie ducha sądziliśmy, że przywódca galicyjskiego stronnictwa postępowego na jakąś odrobinę rewolucjonizmu wobec zwłok Mickiewicza się zdobędzie. Na mnie robi ta mowa takie wrażenie, jakby Asnyk gwałtem chciał utrzymać powagę dojrzałego męża.

Lepiej już wyzyskał sposobność St. Tarnowski, przynajmniej w swoim duchu, bo przypominając silną u Mickiewicza wiarę w Boga, nawoływał do niej społeczeństwo. Ta myśl jest dominującą w mowie galicyjskiego hrabi; pomimo tego są tam ustępy piękne. Mówi między innymi:

„Prym w tej pieśni trzyma zawsze on! *Dziady*!– w nich są spod prasy naszych boleści wyciśnięte wszystkie łzy naszego serca. *Wallenrod!*– w nim jest cała moc naszej miłości i nienawiści. *Tadeusz*! – w nim jest nasze życie, nasz obyczaj, nasza ziemia i cała nasza dusza! Mickiewicz jest szczyt, on zenit, w nim i przez niego słońce to stanęło o samym południu, a to południe schyłku i zachodu nie ma. Na tej wysokości, na której poezją naszą postawił, już ona musi stać na zawsze i nic jej stamtąd nie ruszy.

Król – bo jeden z wielkich na świecie duchów. Bohater – bo siebie i nas okrył chwałą. Zdobywca – bo podbił nowe państwa myśli i natchnienia. Odnowiciel – bo nam siły życia odnowił i słowo do nowej mocy obudził. Męczennik – bo miłość swoją widział przebitą, konającą i męki tysiąców wcieliły się w jedno serce jego...

Niech Cię tu przyjmie i powita duch Łokietka, jedności państwa odnowiciela, Ciebie, coś jedność ducha utwierdzał; duch Kazimierza, co urządzał i oświecał. Ciebie, coś jaśniał nie widzianą przedtem u nas światłością i smugę jej po sobie zostawił. Niech Cię, Litwina, przyjmie pierwszy nasz Litwin – Jagiełło i jego Jadwiga, Ciebie, coś jest znakiem, dowodem, stwierdzeniem i utwierdzeniem świętego Litwy z Koroną małżeństwa. Pięć wieków minęło, jak tu, na tym samym miejscu, polała się woda chrztu na czoło Litwina, a na ręku jego zabłysła ślubna złota obrączka. Tych znamion sakramentalnych nie zmazać, tej wody chrztu nie zetrzeć, tej obrączki nie zdjąć – tak najgodniej, najwierniej, najlepiej oddamy hołd temu, który teraz idzie spocząć pośród naszych największych, najlepszych, najdroższych..."(Nie można zaprzeczyć, że Tarnowski mówił jak prawy Polak i godnie czcił Mickiewicza.)

W czasie przemówień młodzież trzymała trumnę na ramionach, nie dając jej złożyć na katafalku. Złożono ją wreszcie na sarkofagu, w którym posypano ziemią z rodzinnych stron Mickiewicza.[188]

Chciałem kilka słów do ciebie napisać w kwestii zarzutu, jaki mi czynisz, o kompromisy itd., lecz byłoby to rzeczą trochę niebezpieczną. Z twojej propozycji wyjazdu na Podlasie skorzystałbym, gdyby pieniądze... Mógłbym się obrazić o podejrzenia co do mej medycyny, bo, bratku, przeszedłem i tylko 50 rubli płacić będę. *Rachunki, Rachunki, Rachunki!*[189] – błagam, przywieź, niechże przeczytam.

23 VII (wtorek).[190]

Co to są przeczucia? Przypadek, powiadają, naprowadza nas na przypuszczenie istnienia przeczuć. Być może bardzo, ale przypadek ten dziwaczne czasami ma formy. Ja zawsze wiem naprzód, kiedy zobaczę N.

W poniedziałek byłem ogromnie smutny. Padał ulewny deszcz w ciągu całego prawie dnia, nad wieczorem dopiero wyjaśniło się niebo. Wówczas opanowała mię nieodparta chęć pójścia moją drogą. Było już późno, droga rozmiękła, deszcz drobny zacinał, doszedłem jednak do żyta pod las – niejasno, niewyraźnie, tajemniczo pewnym będąc, że zobaczę N., choć nie było po temu żadnego, najmniejszego prawdopodobieństwa. Kiedym stanął na zakręcie drogi, pamiętam jak dziś, myślałem przez chwilę, widziałem to oczami – jak to mówią – duszy, że wyjeżdża z bramy P. powóz, i wyobrażałem sobie, jak toczy się podobny do czarnej plamy po pochyłości wzgórza. Czekałem przez chwilę wytężając wzrok, posunąłem się o parę kroków naprzód, wspiąłem na palce – i oto wyjeżdża z bramy powóz, toczy się po pochyłości wzgórza podobny do czarnej plamy... Stałem oniemiały, przerażony prawie.

Za kilkanaście minut dopędził mię powracającego do domu.

Natuchna jechała do Ł. Nie miała być tego dnia w Ł. wcale, wypadł nagły interes jakiś pieniężny. Wypadek naturalnie, zbieg marzeń moich jednoczesnych z wyjazdem p. Natalii. Kto by tam zresztą to pojął? Żartowała sobie ze mnie N., śmiała się sarkastycznym śmiechem z mojego emablowania panny Stanisławy...

Zazdrość tym jest dla miłości, czym nienawiść dla patriotyzmu – miarą, probierzem... Ach, gdyby tak było! Gdyby nie to, że Natuś jest dumny jak grand hiszpański, że usunęłaby się w milczeniu – mógłbym ją męczyć emablując pannę S.

W Ł. po kolacji, gdy na sekundę byliśmy sami, pani Natalia pokazywała mi jakieś mody paryskie i nachylając się zapytała:

–Która z tych sukien najlepiej się panu podoba?

---

188 z r o d z i n n y c h s t r o n M i c k i e w i c z a – porównanie tekstów z pierwodrukami w prasie krakowskiej wskazuje, że przytoczone w liście Machajskiego przemówienia Adama Asnyka i Stanisława Tarnowskiego uległy znacznym skrótom i drobnym zmianom stylistycznym (nie naruszającym sensu wypowiedzi); tak np. z drugiego przemówienia zacytowane zostały tylko dwa fragmenty końcowe.

189 R a c h u n k i... p r z y w i e ź – chodzi o dzieło J. I. Kraszewskiego, wydane pod pseudonimem B. Bolesławity, nakładem J. K. Żupańskiego w Poznaniu: *Z roku 1866 rachunki* (1867), *Z roku 1867 rachunki,* rok drugi, cz. l – 2 (1868), *Z roku 1868 rachunki,* rok trzeci (1869), *Z roku 1869 rachunki,* rok czwarty (1870); *Rachunki* były sprawozdaniem z życia politycznego i kulturalnego Polaków pod trzema zaborami i na emigracji, nie pozbawionym ostrych akcentów polemicznych wobec tendencji ugodowych.

190 2 3 V I I (w t o r e k) – pomyłka autora *Dziennika:* 23 lipca była środa.

– Najlepiej mi się podoba ta... pąsowa...

Uśmiechnęła [się] tym uśmieszkiem przelotnym, tym nachyleniem nad oczami powiek, które idą mi na zdrowie. Później nachyliła się jeszcze bliżej i szepnęła:

– Jutro panna Stanisława jedzie do K.[191] o piątej po południu.

Nadeszła pani Aniela, której zjawienie się robi na mnie takie wrażenie, jakby mi na ciemieniu głowy kładziono kamień młyński. Zaczyna się poważna dyskusja o jakichś owocach – Meran, Szczawnica, Paryż.

Wczoraj, skończywszy lekcje, poszedłem na mój spacer, na moją drogę miłą. Z daleka, z alei lipowej dostrzegłem, że Natuś jest i jest na środku drogi, aż pod jarząbkiem. Poszedłem co tchu. Pod lasem ją spotkałem. Czekała na mnie już od godziny. Poszliśmy do lasu, siedzieliśmy przy naszym pniaku, później drogą aż na przeciwny kraniec lasowy, tam znowu usiadła i mnie pozwoliła usiąść obok siebie na tajemne przed Irenką[192] pieszczoty rąk. Nie wierzy mi i nienawidzi już p. Stanisławy. Czy to zazdrość? Ta właśnie trzeźwość nieprzełamana, stanowiąca przycieś duchowej budowy N., zaczyna się łamać. Widzę obłąkanymi z radości oczami migotanie gwałtownych uczuć w oczach N. Jeżeli to dla mnie! Jeżeli to o mnie ta zazdrość – to mam chęć tarzać się po ziemi z radości!

Naznaczyła mi spotkanie na piątek, lecz nie przy furtce, gdyż tam jest niebezpiecznie: na rogu ogrodu, obok korytarza z żywopłotu. Co więcej – naznaczyła spotkanie na 30 sierpnia w Siedlcach, w Hotelu Angielskim.

– Co ja robię, co ja robię – mówiła, zakrywając twarz rękami. – Czeka mię i dożyję pewno wielkiego jakiegoś nieszczęścia... Wszystko dla pana...

– A pozwolenie?

– Nie, niech Pan o tym nie mówi. Czyż nie ma pan żadnych względów na prawa moralne? Nie lubię pana wtedy, gdy się stajesz cynikiem. Czyż nie wystarcza idealna miłość?

– Jakże może wystarczyć człowiekowi do szczęścia to, co jest złudzeniem?

– Nie jest wcale złudzeniem. Tak dobrze było dotąd...

– Dla pani...

– A więc o to panu tylko idzie, a później zapomni się o mnie, jak o innych, i mówić będzie z sarkastycznym uśmieszkiem o łatwowiernej mężatce.

– Niech i tak będzie!

– Ma pan dziwne szczęście do kobiet. Panna Stanisława zanudza mię wynurzeniami swej sympatii i to po jednorazowym widzeniu pana. Strofowałam ją napomnieniami, że ma przecież narzeczonego, którego niby kocha...

– Jeżeli pani rozkaże, nie będę widział więcej na oczy tej panny Stanisławy. Dobrze?

– Nie, owszem, niech ją pan kokietuje najjaskrawiej w obecności Anieli, bylebym ja nie widziała.

Odpiąłem jej od piersi różę i czasami w zaroślach mogłem przelotnie dotykać ustami jej szyi białej jak sewrska porcelana. Po zachodzie już słońca rozstaliśmy się.

– Znowu po angielsku podaje rękę, obrzydliwy. Ot, tak trzeba podawać...

– Kocha pani kogo na świecie?

– Nie. Nie bałamucić mi panny Stanisławy! Nie będzie pan bałamucił?... Nie?

Musiałem zabrać ze sobą Bukieta, psa, który zawsze ze mną chodzi i który bardziej niż mnie kocha Natusię, gdyż z Nią wędruje później zazwyczaj do P., zdradzając tym sposobem nasze spotkania. Prowadziłem go przez las na zaimprowizowanej z podartej

---

191 j e d z i e d o K. – prawdopodobnie do Konstantynowa, najbliższego miasta powiatowego.

192 p r z e d I r e n k ą – tj. przed córką, z którą Natalia Faÿttowa wychodziła na spacery; najmłodsza córka Michała i Natalii Faÿttów wyszła za mąż w r. 1905 za dr Euzebiusza Turkiewicza; mieszkali w Warszawie; zmarła ok. 1964 r.

chustki obroży. Przy końcu lasu wyrwał mi się z rąk, pogryzłszy mi ręce poprzednio, i z obrożą razem uciekł do P. Jeżeli go spotka w tym ubraniu doktór – może być niedobrze.

Gdym wrócił do domu, zastałem już pannę L., która wracając z K. wstąpiła tutaj na herbatę. Jezu! – jak mię ta panna kokietuje! Kochają się już w niej wszyscy, cała okolica: pan Adolf, doktór F.[193] (wzór cnoty), pan „Jacuś", Kaaazio, nawet siedemdziesięcioletni pan D.[194], nawet piętnastoletni Jaś G.[195]

Wszyscy na mnie patrzą jak na wilka, a ja chadzam w tryumfie, bo wiem, dlaczego chadzam. Głupi wy, kiełbie! Śliczności jest, prawda, nieopisanej ta panna Stanisława. Oczy takie miała niegdyś Helena... Gdy odjeżdżała, a ja, udając przed p. Anielą rozszalałego z miłości dla pięknej nauczycielki, wyprowadzałem ją do wolanta – szepnęła:

– Nie odprowadzi nas pan do lasu chociaż, mogą zbójcy; napaść...

– Ach, a czy mnie nie napadłby później jakiś uzbrojony! w lancet doktór?...

– Broniłby się pan...

– I miałbym prawo obrony, sankcją?...

– Ja mam decydować? Ciekawość – to pierwszy stopień...

– Do odwagi.

Śmiałem się serdecznie, gdy, pewna zwycięstwa, przesłała mi pożegnanie spod kapelusika. Piekielnie ładna, ale ona to laufer, którym ja chcę zabić – królowę...

W n o c y.

Poszedłem po południu na schadzkę, jaką mi wczoraj naznaczyła Natuchna. Dął zimny, przejmujący wiatr. Przy moim pniaku zastałem Natusię i... pannę Stanisławę. Ta ostatnia miała jechać do P. – tymczasem, na smutek i utrapienie moje, tam się znalazła. Bystra to wiewiórka – przeczuła, że ja zazdrosny jestem o doktora W., bo zaledwiem się ukazał w lesie, zaczęła opowiadać, że doktór ten ma przyjechać, że pani Natalia cieszy się z tego niewymownie, że wczoraj o tym tylko w ciągu kilku godzin aż do godziny trzeciej mówiły. Zaraz we mnie zaczęły się miotać jakieś bałwany morskie, chlustać mi pianą w oczy, drażnić mi nerwy aż do stanu wściekłości.

Natusia siedziała na ziemi i wpatrywała mi się w oczy bojaźliwie, smutnie, uparcie. Postanowiłem pójść sobie zaraz nazad – do domu. Czekałem tylko chwili sposobnej, aby się pożegnać. Ponieważ panna Stanisława w zapędzie kokietowania udawała, że wstać nie może z ziemi, i z kocim grymasem prosiła, ażebyśmy odeszli na chwilkę, Natuś skorzystała z tego i odprowadziła mię na moją zacienioną dróżkę leśną.

– Wierzy pan znowu tej baśni?

– Dlaczegóż bym nie miał wierzyć?

– No tak, mówiłam z nią o W., ale to umyślnie, aby pana ukarać za niedzielę. Wam wolno emablować piękne panny Stanisławy, a mnie nie wolno mówić o doktorze W.? Ale ja już nie będę mówić nigdy, daję słowo, nigdy w życiu, ani jednego razu! No, proszę się rozchmurzyć, prędko się rozchmurzyć...

Była jednak zmieszaną i zaniepokojoną, toteż rozlał się we mnie smutek, który jest nawet w śmiechu. Nadeszła panna Stanisława i zaczęła się ta pusta, wesoła niby, czcza rozmowa. Poszliśmy jak zwykle w głąb lasu, na wzgórze i przesiedzieli tam do godziny ósmej.

193 d o k t ó r F. – nie Tomasz Faÿtt, kawaler, lecz Michał Faÿtt, mąż Natalii.

194 s i e d e m d z i e s i ę c i o l e t n i p a n D. – ojciec Anieli i Natalii, Jakub Dobrzyński, urodził się w 1824 r., miał więc wówczas 66 lat.

195 p i ę t n a s t o l e t n i J a ś G. – Grodzicki, syn właściciela Patkowa Francuskiego.

Z wesołej rozmowa nasza zeszła aż na filozoficzną nizinę, na epikureizm. Byłem zły i smutny i zacząłem rozwijać z zaciekłością, przy 40 stopniach gorączki, teorią zadowolenia – *hedone*[196]. Natusia oponowała, przykazaniami boskimi się broniąc.

Trwało to długo przy akompaniamencie spojrzeń. Zaproszony zostałem na herbatę i poszedłem; gdyśmy już poszli w stronę P., wybiegł z lasu Tyran... Pani Aniela była w lesie – cud prawdziwy, że jej nie spotkaliśmy.

Szliśmy tedy naszym wąwozem po głębokim piasku, z czego ja taką odnosiłem korzyść, żem mógł pantofelki oglądać. Gdyśmy przyszli, zajechał właśnie doktór. Był niewymownie uprzejmy dla mnie, co mię dręczy jak kaszel... Kocha się i on, nieborak, w pannie Stasi. Panna Stasia wyszła do swego pokoju, a ja „uhopyłem"[197] w salonie minutkę taką, gdy Natuchna tamtędy przechodziła. Był zmrok zupełny, toteż co za słodkie były pocałunki! Szczęśliwie się tak złożyło, że nigdzie w całym domu nie słychać było najmniejszego szmeru. Co za rozkosz niewysłowiona oddychać szepcąc zakochane słowa – na tym sercu...

– Pamiętaj, w piątek o pół do jedenastej na rogu parkanu.Tam czekać będę...

Gdzieś jakieś drzwi skrzypnęły – i znikła. Za chwilę stała obok mnie panna Stanisława, zapraszając, aby jej towarzyszyć do ogrodu. Poszliśmy we dwoje.

Opowiedziała mi swoje dzieje, które z plotek znam już jak stary szeląg. Oto doktór N.[198] po czterech latach przypomina ją sobie, leci za nią do Radomia, do Kielc, szaleje i, ujrzawszy ją ledwie, oświadcza się. No i jest jej narzeczonym... Tymczasem zaś leczy się na nerwy w Nowym Mieście[199].

– Długim wydawać się pani musi czas?

– O**,** nie. Wcale się nie spieszę.

– Jak to? Czyż nie kocha pani narzeczonego?

– Nie, naprawdę nie. Zresztą rodzina nie pozwoli mi nigdy wyjść za niego, choć poszłabym tak sobie...

– To „tak sobie" właśnie jest fatalne.

– Dla kogo fatalne?

– Dla Podlasia...

Itd. najrozmaitsze głupstwa, komplementy i znowu głupstwa. Chodziliśmy po uliczce... od furtki, po mojej dobrej znajomej.

Furteczka wydawała mi się jeszcze mniejszą... Gdyby wiedziała „osóbka", o czym ja myślałem, zawracając jej gitarkę – uciekłaby ode mnie. Byliśmy zakryci zupełnie, zanurzeni w zieloność drzewek wiśniowych, tych drzewek wiśniowych...

Wracaliśmy nareszcie: Natuś stała na werandzie, uśmiechając się. Ja wiedziałem dlaczego. Natusia była wesołą przy herbacie, śmiała się. Pamiętam jedno jej wyrażenie, rzucone jako odpowiedź doktorowi, gdy ten zapewniał, że raz tylko w życiu kochał się szalenie – w swej żonie.

– Niewątpliwie – odpowiedziała – z takiej miłości ożeniłeś się ze mną, że dopiero w drugim tygodniu po ślubie wystosowałeś siarczysty list do teścia o wypłatę posagu...

Piękny doktór, Apollo, spłonął jak panienka. Gdyśmy kończyli kolacją, nagle gdzieś za dworem dał się słyszeć przeciągły, długi, smutny świst piszczałki stróża. Podniosłem

196 h e d o n e – (grec.) rozkosz, przyjemność; rozważania autora *Dzienników* nad „teorią *hedone*" zawiera tekst z dnia 13 XII 1884 r.

197 u h o p y ł e m – (z ukr.) ukradłem, zwędziłem.

198 d o k t ó r N. – nic bliższego o nim nie wiadomo.

199 l e c z y s i ę n a n e r w y w N o w y m M i e ś c i e – Nowe Miasto nad Pilicą (pow. rawski) słynęło wówczas z założonego w 1874 r. zakładu wodoleczniczego.

oczy i widziałem, jak śliczna moja zaciska wargi, potem wolniutko, nadzwyczaj wolno podnosi powieki, aby przelotnie ze śmiechem spojrzeć mi w oczy... Ach, ta świstawka!...

Doktór odesłał mię do domu maleńką bryczulką i jednym koniem w hołobli[200].

24 VII (czwartek).

Panna Stanisława przysłała mi dziś przez posłańca trzy tomy Asnyka[201].

Oto cudowny przekład cudownego oryginału; tu jest cała miłość, wszystko, co w niej jest, jej szalony ból, który sam przez się jest marzeniem, ciemność, żałość, rozpacz:

Najsłodsza ma! gdy zejdziesz w grób,
Gdy w ciemnym legniesz już grobie,
Ja wtedy zstąpię do twych stóp,
Sam się przytulę przy tobie.

Całuję, w objęcia przyciskam cię swe,
Ty cicha, ty zimna, ty biała!
To płaczę z rozkoszy, to z bólu znów drżę,
Aż martwe zostaną dwa ciała**.**

Umarli powstają; już północ ich zwie
I tańczą powietrznym swym rojem;
My dwoje zostajem w grobowym swym śnie,
Ja leżę na sercu, na twojem.

Umarli powstają na straszny ów sąd:
Do niebios, lub w morze płomieni...
My na nic nie bacząc nie ruszym się stąd,
Wieczystym uściskiem złączeni...

HEINE *Lyrisches Intermezzo* XXXII[202]

200 j e d n y m k o n i e m w h o ł o b l i – hołobla (z ukr.) to dyszel poboczny w jednokonnym zaprzęgu, połączony rzemieniami z chomątem.

201 t r z y t o m y A s n y k a – chodzi tu o wydanie *Poezyj* przez El...y, nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie, 1880 – 1881 r. (poszczególne tomy tego wydania były wznawiane tamże w latach: 1884, 1886 i 1888).

202 c y t a t z H e i n e g o – 32 wiersz Heinego z cyklu *Intermezzo liryczne*, rozpoczynający się od słów *Mein süsses Lieb...*, przytoczył Żeromski w całości w przekładzie Adama Asnyka z II tomu wymienionej wyżej edycji *Poezyj* El...y'ego.

26 VII (sobota).

Wczoraj w lesie nie zastałem nikogo, znalazłem tylko na pniaku bławatki zeschłe, bo onegdaj jeszcze zostawione. Wróciłem do domu. Gdym czytał w salonie gazety, dał się słyszeć turkot: Natuchna przyjechała z mężem złożyć życzenia panu D.[203], którego imieniny wczoraj przypadały. Była bardzo krótko i była dla mnie bardzo obojętną. Przy kolacji, podczas rozmowy o doktorze Tomaszu, zapytałem:

– C z y b ę d z i e p a n i p i s a ć do pana Tomasza?

– B ę d ę... – odpowiedziała.

Przechodząc później przez salon, szepnęła znowu: „będę, będę..."

Poszedłem więc na schadzkę o godzinie dziesiątej. Księżyc przeklęty świecił znowu, ale doszedłem szczęśliwie do płotu na łące, okrążyłem klomb owsa i wszedłem w korytarz. Miała być na rogu ogrodzenia. Czekałem godzinę – nie przyszła. Chodziłem daleko, do furtki, na drugą stronę ogrodu – nie było jej nigdzie. Księżyc się skrył za drzewa, później za kraj horyzontu, nastała ciemność i wraz z żalem i smutkiem uderzyło mię w serce przeczucie czegoś, czegoś bez nazwy, tego nieszczęścia, które jest nikłe i blade. Pamiętam te wszystkie sekundy nasłuchiwania znajomego szelestu jej sukni, odgłosu kroków; pamiętam podniebny huk idący po wielkim szeregu topól, w którym trzęsły się z trwogi, z płaczu, z zimna – myśli moje.

Słyszałem na bruku przed dworem turkot bryczki: musieli być goście i dlatego wyjść nie mogła.

Ale to nie ta przyczyna. Przyczyna jest ta, że po prostu zaczną się walić teraz na mnie góry nieszczęść; stracę wszystko, nie wiem, jakim sposobem, ale stracę jej serce i chory beznadziejnie za 18 dni będę wyjeżdżał stąd... Dokąd ja pojadę? Co dalej ze sobą zrobię, mając 25 rubli w kieszeni?

Dziś rano dostrzegłem na bliźnie mej rany na ręce – kroplę granulacji[204], dobywających się z ranki maleńkiej jak ukłucie od igły. To znaczy, że cała kuracja, kąpiele, kefiry, trany, kreozoty, powietrze, jody, befsztyki – wszystko na nic. Szybkim krokiem idę, idę... Zaczyna się znowu plugawe, nędzne życie, zaczyna się coś gorszego niż sama śmierć...

Kładą już na mnie całun trumienny
Tajemne ręce...
Żegnam się z ziemią z żałości senny
W bólu i w męce –

W bólu i w męce, bo mi zwątpienie
Wiarę zabrało
W pozagrobowe ducha istnienie
Przez wieczność całą.

Przez wieczność całą, za świata miedzą
Być jak uczucie,
Jak bezcielesne serce, być wiedzą,
Czekać w pokucie.

203 ż y c z e n i a p a n u D. – tj. swemu ojcu, Jakubowi Dobrzyńskiemu, który obchodził imieniny 25 lipca.

204 g r a n u l a c j a – (z łac.) ziarnko, grudka; w medycynie; tzw. ziarnina, wytwarzająca się w ranach lub wrzodach; tu chodzi raczej o kroplę ropy.

Czekać w pokucie, póki ty z ziemi
Nie wrócisz czarnej
I nie odemkniesz dłońmi czystemi
Drzwi ciemni karnej,

I nie okryjesz skrzydeł piórami
Na sen bez końca,
I nie otoczysz mię ramionami,
W otchłani słońca.

W otchłani słońca, gdzie będziesz spała
Na zórz kobiercu –
Ja bym jak serce, jak duch bez ciała
Spał na twym sercu...

Lecz, gdy mię stroją w całun trumienny
Tajemne ręce,
Konam, nie wierząc w ów kraj promienny,
W bólu i w męce...

28 VII (poniedziałek).

Wiele, tłumacząc fakta na język naszych facetów i facetek, wrażeń przeżyłem szczególniej wczoraj. Ten dzień wczorajszy podobny jest do wesołego allegra, które drgnęło w mej duszy, zakołysało się i zniknęło w pustce i wichrze.

W sobotę w lesie spotkałem je obie. P. Stanisława siedziała na moim pniaku, Natuchna – na ziemi. Czekają tylko na mnie. Gdy przyjdę, idziemy zaraz w głąb lasu na drogę, tam usiadamy i mówiemy wesoło aż do zachodu słońca. Kraski przelatują nad głową, w łagodnym wietrze kołyszą się korony sosen. Cudne, ciche wieczory! Panna Stanisława oddala się czasami, aby zbierać dziką stokroć i obrywać swoje: „kocha, lubi, szanuje...” Wówczas można wyszeptać słów kilka, cichych, tajemnych, tym słodszych...

– Dlaczego pani nie była wczoraj?

– Byłam, ale późno bardzo...

Nadchodzi panna S., paląc mię swymi oczami, domagając się, abym na jutrzejszym zebraniu ją tylko bawił, nudząc mię i denerwując do wszystkich diabłów.

Słońce zaszło – poszliśmy. Odprowadziłem te śliczne dwie istotki na brzeg lasu. Tam, na wzgórzu, usiadły znowu – w kąciku zacisznym, otoczonym przez chojaki. Księżyc wielki znad ziemi wypłynął, lekkie mgły słały się po łąkach, daleko skrzypiały wozy, wiozące do stodół zboże. Czy kiedy w życiu będzie znów wieczór taki? Gdy się podniosły, aby powrócić do domu, znalazłem na ziemi maleńką karteczkę z tymi słowy:

Chcąc przekonać, trzeba zmienić postępowanie z panną L. Czemu p. nie był wczoraj?...

Czytałem ją, idąc drogą do domu, przy blasku zorzy i księżyca.

Cudną piosenkę na twoją chwałę
We śnie tej nocy wyśniłem,
Lecz się rozprysły rymy nietrwałe,
Cudną piosenkę zgubiłem.

Bo gdym się zbudził, wspomniałem sobie
I w smutku płaczę, płaczę,
Że mam dzień cały przeżyć w żałobie,
Że cię aż jutro zobaczę...

Wczoraj – były imieniny Natuchny. Na dzień ten czekałem jak na święto jedyne. Pojechałem do kościoła, ponieważ poprzedniego dnia N. pytała mię, czy będę. W maleńkiej zakrystii biednego kościółka czekałem przytulony za drzwiami. W połowie nabożeństwa stary jak świat posługacz otworzył drzwi – weszła Natusia i panna Stanisława, która zaraz wielkie swoje oczy obracać zaczęła na wsze strony, szukając mię. Znalazła i darowała mi ukłonik subtelny, za który jednak miałem zamiar uszczypnąć ją w pulchną polędwiczkę, gdyż Natuchna go dostrzegła i uśmiechnęła się złośliwie. Przy tym jest na nabożeństwie szlachta podlaska w komplecie, jakieś panny przywiezione tutaj chyba z kraju Syngalezów – taką straszą brzydotą. Mniejsza jednak o to.

Po nabożeństwie Natuchna prosiła nas wszystkich, tj. Wacusia, Lucia[205], Jasia i mnie do P. – na chwilkę. Pojechaliśmy – złożyć życzenia. Złożyliśmy życzenia... Ja – wobec doktora – zdobyłem się tylko na jakiś wyraz „wszystkiego dobrego..."

Uśmiechnęła się Natuchna. Później musiałem wraz z całym gronem zjeść talerzyk konfitur, których nienawidzę, i bawiłem damy. Był pan Adolf, pan Gr.[206], doktór – wszyscy jeden w drugiego kochają się skrycie w pannie Stanisławie, a ona we mnie, jak mówi. Ni z tego, ni z owego wyskoczyła do ogrodu i przysłała stamtąd po mnie Manię.

– Panna Stanisława pana prosi do ogrodu...

– Piekło i szatani – szepnął mi do ucha doktór – na śmierć rozkochałeś pan pannę.

– I to w tak krótkim czasie – dorzuciła Natuchna z zimnym swoim, spokojnym uśmiechem.

Młodzież odjeżdżała. Nagle doktór wpadł w ekstazę czułości, zaczął mię ściskać i *par force* zaprosił, zatrzymał na obiad. Wyobrażałem sobie, jaki z tego powodu długi będzie nos pani Anieli, ponieważ jednak Natuchna dodała słowo zaproszenia – zostałem. Kiełbie odjechały, doktór poszedł do swych pacjentów, a ja z Natuchną wyszedłem do ogrodu. Dwa razy przeszliśmy przez uliczkę. Mówiliśmy szybko, radośnie, wesoło. Naznaczyła mi randeiksik przy furtce na wtorek.

– Kocha się pan w pannie Stanisławie?

– Ach, pani, pani Natalio!

– Proszę przyjść do samej furtki i tu zaczekać, ale nie pokazywać się, ponieważ ogrodnik pilnuje ogrodu w nocy.

– Dlaczego pani prześladuje mię tą panną Stanisławą?

– Ona bez przerwy o panu mówi, o panu tylko.

– Bo chce mi zawrócić głowę.

– A pan?

– Pani wie dobrze, co ja...

---

205 L u c i a – tj. Ludwika Lutasa, młodzieńca, który po ukończeniu IV klasy gimnazjum przebywał na wakacjach w sąsiednim majątku; pisze o nim autor *Dziennika* obszerniej dnia 7 sierpnia 1890 r.

206 p a n G r. – sędzia Grodzicki, sąsiad z Patkowa Francuskiego.

Słońce paliło rozkoszne i, sam nie wiem czemu, rozkoszne słońce...

Panna S. ukazała się na balkonie, sfrunęła ku nam i zaczęło się znowu bawidamstwo, rozmowa niewarta pieczonej wszy, rozmowa dla ciągłego mówienia – o poezji, o Asnyku, Szekspirze, maku, hydropatii, demokratyzmie, fasoli, rezedzie, Żydach... Ach, o Żydach! Na imieniny napisałem Natusi taki barani wiersz:

Chciałem w końcówki zakląć życzenia
I w niebywałe rymy,
Chciałem naprężyć parę natchnienia,
By słać kadzideł dymy,
Lecz roztrwoniłem natchnienia parę
I rym z niej lichy szydzi,
Kiedym przypomniał, że mą ofiarę
Czytać by mogli... Żydzi...
Zamiast więc robić rymy zuchwałe –
Wszystkę łez moich rosę
Zamykam w sercu i serce całe
Pod stopy Pani niosę.

Trochę się Natuchna o Żydów gniewała, a chcąc mię ukarać, odeszła do domu. Zostałem sam z panną Stasią i zaczęliśmy chodzić po uliczce obok furtki. Kokietuje mię, kokietuje na „umor"! Uliczka zacieniona jest drzewami, mógłbym ją tam aż całować, gdybym chciał. Przyszła znowu Natusia i usiedliśmy na otomance z suchego siana, tam, gdzie to jedenastego lipca... Śmiała się, gdym się przychylał do tego miejsca wyżłobionego. Spojrzałem na parkan i zaśmieliśmy się obydwoje, wspomniawszy, jak to skakałem przez ten szary powyginany parkanisko...

Gdyśmy wracali, szepnęła mi N. cicho:

– Dla wszystkich ma pan jednakowe spojrzenia; dobrze, niech tak będzie...

Po obiedzie wyprowadziliśmy się na spacer do lasu. Po drodze gadałem, gadałem, gadałem. N. była coraz w gorszym humorze. Zbierałem z jej sukni „dziady", maleńkie kulki, czepiające się jak pijawki. Biła mię parasolką za dotykanie, niewidzialne dla panny S., pantofelka z żółtej skórki. A w lesie! Upał wielki, ale „las niedaleko zielony", gdzie delikatnymi rękami rzuca na cię sen niewidzialny. Cisza, senność, drzewa nieruchome... Jak paź leżałem u nóg tych dwu prześlicznych kobiet na zielonej murawie, pośród jałowców w wielkich sosen cieniu.

„Osóbka" sennym głosem deklamowała W *cichej przystani* Asnyka[207].

Co ty wyrabiasz, stary błaźnie?...

Natusia nagle zaczęła być zła. „Osóbka" szła zbierać kwiaty.

– Pan pójdzie z panną Stanisławą?

– Pójdę – odpowiedziałem ścinając zęby.

I poszedłem, poszedłem z tą diabelską, z tą prześliczną panną Stanisławą ze dwie wiorsty w głuchy las. Szliśmy po jakichś wertepach, górach, dolinach, przepaściach. Byłem zły za to właśnie, że mi zaglądała w oczy, dawała i odbierała kwiatki... Gdyśmy wrócili na dawne miejsce, N. nie było. Poszła.

Znaleźliśmy ją aż przy pniaku. Była zmieniona, smutna. Skąd się tam wówczas wzięła kwestia żydowska – nie mogę wiedzieć. Zaczęliśmy się kłócić, spierać, docinać.

207 *W c i c h e j p r z y s t a n i* A s n y k a – wiersz zaczynający się od słów „Kiedy już umrę, każ mi, matko miła, Włożyć do trumny białe ślubne szaty"; pierwodruk w „Tygodniku Wielkopolskim" 1871, nr 48; przedruk w II tomie *Poezyj* przez El...y, Lwów 1881.

Wiedziałem, że broni Żydów, aby mi dokuczyć, ale mię diabli brali. Chciałem pójść sobie do domu – żegnać się zacząłem. Wówczas znowu oczy jej zmiękły, prosiła ... O siódmej wróciliśmy do P., a o pół do ósmej ja z doktorem, a te panie powozem – odjechaliśmy do Ł.

Było tu kilkadziesiąt osób. Imieniny w wielkim stylu.

Ciągle z panną Stanisławą chodziłem po alei grabowej w ogrodzie, z nią mówiłem w salonie, przy niej siedziałem podczas kolacji. Mówiłem już jej, że ją kocham, ona mnie, że mię kocha, piastowałem jej rękawiczki, gadałem głupstwa i zbierałem pioruny wejrzeń zazdrosnych od mężów podlaskich. Z Natusią czasami zamieniałem spojrzenia. Zła była, kokietowała studenta z Odessy, pana B., pana L., pana K. – wreszcie wyjechała wcześniej niż zwykle. Czasami, gdy Aniela znikała szczęśliwie, zbliżałem się do niej, aby powiedzieć podczas chwilki rozmowy, że ją kocham – i mówiłem prawdę: ją jedyną kocham, pomimo że „osóbka" wyznała, że boi mi się. Natusiu – za nic ciebie nie zdradzę.

W n o c y.

Cudowna noc, majestatyczna, o nieskończonym ogromie trwałej poezji! W każdej minucie zachwycenie twoje musi być tak wysokie, jak w pierwszej chwili usłyszenia wielkiego akordu, który znasz, kochasz, który jest wyrazem pewnego stanu twej duszy. Stałem długo na tarasie, patrząc w tę półmglistą dalekość płaskiego krajobrazu, który jednak ma w sobie przez swą posępną właśnie długość jakiś urok, jakiś urok nieskończoności. W dole chaty, pobielone ściany których pod cieniem drzewin oblewa światło księżyca. Dziwne, czarodziejskie piękno!

Widać, jak łąki okryte mgłą wbiegają w lasy i cofają się podobne do szerokich wód leżących twarzą u stóp brzegów wysokich. Wierzchołki zbitej masy drzew w ogrodzie oświeca księżyc – dołem ciemność leży. Tu i owdzie gromady liści przesiały na murawę blady, bieluśki promień...

Świerki się czernią. Na szczycie topoli, jednej tylko topoli szemrzą liście. Otwierają się ramiona do czegoś, do kogoś, nalatuje młodość, która nie ma granic! Jak kwiat portulaki otwiera mały swój kieliszek na przyjęcie słońca, tak mózg w noc taką otwiera się na przyjęcie jakiegoś wielkiego wyobrażenia, jednego choćby wyrazu, formy, którą by mógł ochrzcić tę wielką całość, która go zakuwa w niemoc i podziw. Jak chłop, jak gwebr[208] – nie znajduje nazwy innej, tylko tę najwyższą i najprostszą: ojczyzna.

Byłem o zwykłej godzinie w lesie – spotkałem śliczne panie, a przyniosłem ze sobą smutek do domu. Pani Natalia nie wierzy mi i mówiła kilka rzeczy bolesnych. Prawie ani jednego słowa z panną Stanisławą nie mówiłem, toteż z naiwną i bardzo ładną ciekawością a zdziwieniem przypatrywała mi się. Nie będę już tam chodził, aby nie spotykać panny Stanisławy, choć stracę możność widywania pani Natalii.

Chodziliśmy po lesie – tu i owdzie, siedzieliśmy przy pniaku. Między mną a Natuchną wytworzyło się coś dziwnego, co mam chęć drapać paznokciami.

– Czy to prawda, że pan chory jest znowu? – pyta pani Natalia.

– Tak, jestem chory.

– Wiecznie pan choruje...

– Pani Natalia – wtrąca „osóbka" – utrzymywała wczoraj, że nie żałowałaby pana, gdyby pan umarł... zupełnie. Nieprawdaż – mówiła pani?

– Za to pani płakałaby bardzo... Utrzymywała pani wczoraj – nieprawdaż?

– Ależ ja jeszcze nie mam zamiaru umierać...

208 g w e b r – (z persk.) nazwa niewiernego u mahometan; tu w znaczeniu: człowiek pierwotny.

– Tak, ale osieroci nas pan... ach, za dwa tygodnie. Co to będzie za płacz i narzekanie na Podlasiu – mówi pani Natalia.

– Pocieszam się tym, że smutek ten zniszczy przyjazd weselszych ode mnie gości.

– To tylko na czas pewien... Panna Stanisława będzie niepocieszoną ... itd.

Głupi jest ze mnie młodzieniec. Idzie młodzieniec z zawiązanymi oczyma, idzie nie myśląc o jutrze, a gdy przyjdzie ostatni z czternastu dni, gdy nadejdzie taki dzień, że nazajutrz trzeba będzie iść nie wiadomo dokąd – iść w świat i bić się znowu z ludźmi o szklankę herbaty, z chorobą, z wysileniem... Nie mam siły... Młodość!

Na sercu leżą umarłe sny,
A żal je wskrzesza w każdej godzinie;
Tęsknota myśli skropliła w łzy,
A echo skarg – na darmo płynie...
Los zliczył liczbę radosnych dni
I płomyk szczęścia dogasa w dymie...
Jedna się sercu pociecha śni:
Anielskie twoje powtarzać imię...

29 VII (wtorek).

Piękność – jest to gość zawsze pożądany...

... Ten, kto widzi piękność, nie może już być niczym złym owiany, czuje się bowiem w harmonii z sobą samym i światem całym.

GOETHE *Powin[owactwa] z wyboru*[209]

Wzywałem ciemności: niech wstanie
I niech mię pogrąży w noc ciemną!
Wzywałem milczące otchłanie,
By łona zawarły nade mną.

Wzywałem strasznego anioła:
Niech ślad mój zagładzi na ziemi,
Niech wszystkie dnie moje odwoła,
Niepamięć rozpostrze nad niemi!

Lecz próżno wzywałem litości,
Jak inni przede mną wzywali...
Głos tylko mię doszedł z ciemności,
Co wołał: „Idź dalej, idź dalej!"

ASNYK *Idź dalej*![210]

209 c y t a t z G o e t h e g o – Żeromski korzystał z wydania; *Powinowactwa z wyboru.* Romans. Przełożony z niemieckiego [przez Marię Ilnicką]. Cz. I – II. Warszawa 1866. W drukarni „Gazety Polskiej". Przytoczone zdania pochodzą ze s. 64 i 67 części I; w drugim zdaniu tekst przekładu brzmi: „Ten, kto ją widzi, nie może..." itd.

210 A s n y k a *I d ź d a l e j!* – wiersz przytoczony w całości; pierwodruk w „Bluszczu" 1872, nr 11; przedruk w I tomie *Poezyj* przez El...y, Lwów 1881.

Chcąc przekonać Natalkę o mojej obojętności dla panny Stasi, nie poszedłem dziś na zwykły spacer, gdzie mogłem i ją zobaczyć. Nudziłem się i męczyłem, chodząc z kąta w kąt po ogrodzie i domu. Dziś – spotkanie o godzinie pół do jedenastej. Obecnie jest ósma. Na moje nieszczęście świeci dziś w pełni księżyc, wróg mej miłości. Na moją pociechę z zachodu wypływa granatowa, olbrzymia chmura. Idzie nieznośnie wolno, cal po calu, posuwa się jak żółw, choć dodaję jej odwagi, proszę się jej, aby na dziesiątą zakryła księżyc... Opanowywa mię gorączka przygotowania się na tę grożącą hańbą i śmiercią wyprawę. Ogrodnik, księżyc, stróż – setki przeciwności, które trzeba zawczasu przewidzieć i odgadnąć, wyliczyć czas... Kto wie, czy przyjdzie? – wczoraj była zagniewana i zła... Ha – pal diabli!

30 VII (środa).

Chmura, na którą tak liczyłem, rozproszyła się na oddzielne szmatki, rozeszła po niebie... O dziesiątej zajaśniał w całej pełni księżyc olbrzymi na bezchmurnym niebie. Noc była po dniu skwarnym ciepła, parna. Zaledwie wyminąwszy stróżów nocnych, bocznymi ścieżkami poza gazonem wymknąłem się w aleję – ze wschodu podniosła się olbrzymia chmura, migająca błyskawicami. Pociągał od niej zimny, przejmujący wiatr, chłód, jakim oddycha burza. Gdym wyszedł z alei na moją drogę, księżyc utonął w tej chmurze, nastała ciemność, przerywana błyskawicami. Burza ciągnęła ku mnie, szła szybko równocześnie ze mną. Było parno, duszno. Nie zatrzymując się w lesie, zeszedłem w parów i na paluszkach po grobli doszedłem do mostku. Ściemniało się coraz bardziej. Wesoło skręciłem na łąki i biegłem co tchu, pragnąc skończyć tę drogę, zanim księżyc zza chmury wypłynie. Jak na znak czarodziejski, gdym minął olszynkę i płot, wiatr się obrócił i zatrzymał chmurę nad księżycem, jak gdyby miłość moja kierowała nią.

Czarna, poczciwa chmura! Pod jej osłoną doszedłem do alei i w cieniu drzew cichutko podsuwałem się pod parkan. Gdym stanął na jego rogu, słyszałem ledwo dający się ująć uchem daleki szelest sukni na uliczce ogrodowej. Co tchu skoczyłem w korytarz tyczkowego grochu, który o głowę mię przerasta, i dobiegłem do furteczki. Ledwiem ją odnalazł, tak dalece żywopłoty ją zacieniły. Przy tym groch tyczkowy przerzuca się przez nią, przez parkan. Stworzyły się tam przepyszne skrytki, korytarze tajemne, lochy pod osłoną liści i zwojów roślin. Czekałem chwileczkę, bo zaraz na ścieżce ukazał się cień kochany...

– Bałamut, bałamut! – szeptała, nie chcąc otworzyć drzwiczek.

Podałem jej klucz. Gdy się pochyliła nad zamkiem, z tyłu za nią, o kilkanaście kroków na ścieżce zabłysło światełko – i zgasło. Ktoś zapalał papierosa. Szepnąłem jej, aby odeszła, gdyż ktoś idzie. Za chwilę ukryty w zaroślach słuchałem jej rozmowy z ogrodnikiem. O ogrodzie, jabłkach, gruszkach, agreście, wreszcie rozkaz, aby sobie poszedł spać...

– Słucham, Wielmożna Pani...

I ja słuchałem uważnie, jak kroki jego oddalały się, cichły, skrzypnęła gdzieś jakaś furtka... Wtedy Natuchna przybiegła szybko, otwarła drzwiczki i wyszła z ogrodu – w moje ramiona. Skryliśmy się w jeden z tych podziemnych korytarzy, w taką grotę,

utworzoną przez wielkie rośliny. Znalazła się tam wiązka czy kopka skoszonej trawy, zapomniana widać – usiedliśmy,

– Panna Stanisława mówiła mi, że ją pan zapewniał o swych dla niej uczuciach, mówił pan, że niepodobna przypuścić, aby ona kiedykolwiek umarła, tyle jest piękną, całował ją pan w rękę obok portretów...

– Nie, nie całowałem jej w żadną rękę i jeżeli mówiłem jej androny rozmaite, to ma to skutek taki, że dziś wszyscy wierzą i gadają, że w niej się kocham.

– A to prawda?

– A to nieprawda, bo ja kocham tylko ciebie... Na długo zamykają się usta w niemocy i rozkoszy pocałunków. Prośby o „wszystko" odwraca za pomocą długich wywodów, dowodzeń, rozumowań, a to – według Turgieniewa – najlepszy znak słabości i bezwoli.

– W... Siedlcach...

– Słowo?

– Słowo. Niech pan stanie po przyjeździe nie w Hotelu Angielskim, lecz w „Victoria".

– Dlaczego?

– Tak lepiej, ale, co ja mówię – jak bym ja mogła pójść do hotelu... Boże, Boże!

– A tu zobaczemy się jeszcze?

– Jak tylko będzie można. Napiszę. Zahuczał i upadł z łoskotem grzmot i gdy długo złączone były nasze usta – oświeciła pocałunek ten błyskawica. Zaśmiała się cicho.

– Znalazł pan dziś karteczkę moją w pniaku?

– Nie byłem w lesie zupełnie, chcąc przekonać, że mię nie obchodzi panna S.

– Ale jutro proszę przyjść. Już wierzę. Pozwala na pieszczoty, te pieszczoty, od których... żar z nozdrzy ananasowi bucha.

Wstała na chwilę, aby zobaczyć, czy nie ma nikogo, weszła do ogrodu. Za kilka minut wróciła znowu – i diabli wiedzą, jak długo byliśmy tam razem. Wreszcie nadciągająca burza z częstymi błyskawicami doradziła nam rozejść się.

– Jak ty pójdziesz, mój milutki, deszcz będzie? Proszę myśleć o mnie...

– „Zawsze i wszędzie, i o każdej dobie"...[211]

Zamknęła furtkę i oddała mi klucz. Jeszcze raz przesunęła rękę nad drzwiami – poszedłem. Napada mię taka odwaga, że mam chęć pójść i dać stróżowi byka w nos na środku podwórza... W chmurze huczało, rzężało, migotały błyskawice. Nastała duszna, ciężka ciemność. Szedłem wolno, nie myśląc o niebezpieczeństwie, tuż prawie obok budowli dworskich, o jakie czterdzieści kroków od stróża, który pogwizdywał na swej świstawce. Gdym doszedł do lasu, skręciłem z mojej piaszczystej drogi i poszedłem leśnym korytarzem w głąb, do pniaka. Po ciemku odnalazłem z pamięci otwór założony korą sosnową, wsunąłem rękę i znalazłem w próchnie białą karteczkę. Nie mogłem jej odczytać, gdyż było nadzwyczaj ciemno.

Odpoczywałem w lesie na pniaku, na kamieniach. Byłem zmęczony, pijany swoją uciechą miłosną, zatopiony w myślach, które są niby tonami, niby akordami jakiejś pieśni. Zza chmury przedzierały się promyczki księżycowe i ślizgały się po zwieszonych gałęziach moich drogich sosen. Głąb lasu była ciemna, chłód parą nasycony z niej bił na rozgorzałą moją twarz. Daleko, w sąsiednim lesie chyba, odzywał się posępnie pusz-

211 „Z a w s z e i w s z ę d z i e..." – parafraza cytatu z ostatniej strofy wiersza Adama Mickiewicza *Do M ****;

Tak w każdym miejscu i o każdej dobie,

Gdziem z tobą płakał, gdziem się z tobą bawił,

Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie,

Bom wszędzie cząstkę mej duszy zostawił.

czyk. Wlokłem się wolno do domu po mojej drodze. Burza się oddaliła, mruczała tylko głucho. Gdym wrócił, czytałem skrypt:

Może dziś – o $10^1/_2$ u furtki? ... Uwierzyłam, że z pana skończony bałamut.

Aha – to to!

31 lipca (czwartek).

Otrzymałem wczoraj list od Jasia S.[212] w kwestii mojego nowego zajęcia – w Nałęczowie. Staram się o nie wszelkimi siłami z tego względu, że mógłbym przez rok cały mieszkać w Nałęczowie właśnie. Czy to jednak przyjdzie do skutku – nie wiem. Już 20 sierpnia mógłbym miejsce to zająć. Ach, gdybyż ozdrowieć i oddać się pracy !

Tymczasem spragnionymi ustami piję moje szczęście. Wczoraj pani Aniela pojechała do Falatycz, a ja o szóstej po południu poszedłem, poleciałem na skrzydłach do Rogacza. Przy pniaku – w „świątyni oczekiwania" były moje panie i witały mię takimi uśmiechami, że – Jezu! Usiadam na pniaku tak, aby mię od panny Stanisławy przegradzały wysokie jałowce i abym tym sposobem mógł sobie bez miary patrzeć w oczy mileńkiej.

– Czemu się pan chowa z oczami przede mną? – woła „osóbka" cudownie rozparta w cieniu młodych sosenek.

– Zaraz, obmyślam sposób przecięcia alei między mną i panią.

– Ale kiedyż to nastąpi? – Trzeba by wieki czekać...

– Panno Stanisławo, niechże pani da do oceny krytycznej wczorajszy utwór...

– Niech pani nie mówi! Po co pani powiedziała? Ach, Boże – umrę, ospy dostanę ze wstydu!

– Cóż to za utwór?

– Wierszyk o młodzieńcu – mówi Natuś – o wieczorach letnich, o marzeniach dziewiczych, o lesie i zachodzie słońca...

– Oj, co tam dobrych rzeczy! Proszę pokazać, panno Stanisławo...

– Za nic w świecie, dam panu wtedy dopiero, gdy się będziemy żegnać.

– No, to ja żegnam się natychmiast...

– Nie, nie.

Idziemy na spacer w las, na naszą górę. Cudownie cicho, cudownie świetlisto w lesie. Wysmukłe sosny stoją nieruchomo.

Natuchna wyrywa z ręki „osóbki" ów wierszyk i podaje mi skrycie. Panna S. spostrzega to i rzuca się, aby mi go odebrać, opiera się na moich piersiach, chwyta za ręce; czuję na twarzy gorąco jej oddechu, wydzierając rękę mogę przycisnąć jej kibić, uciekam. Słowem, olimpijskie igrzysko! Wpadamy wszyscy troje w taki humor, że siadamy na ziemi i zanosiemy się od śmiechu. Musiałem wiersz oddać, bo zaczęły mię obiedwie prosić o to. Poszliśmy dalej w las na zielone pagórki, do starożytnych kurhanów podob-

212 l i s t o d J a s i a S. – Strożeckiego, który miał rekomendować Żeromskiego na kondycję u Michałostwa Górskich w Nałęczowie jako dawniejszy guwerner w ich domu.

ne. Siadam u pantofelków i mówiemy o miłości, o szczęściu, o miłości, o szczęściu i znowu o miłości...

Jak wielki ejkonostas[213] w greckiej świątyni stoi las ozłocony przez zachód słońca. Serce wstrzymuje się w piersiach z cichej jakiejś zadumy szczęśliwej. Po drugiej stronie lasu wstaje miedziany księżyc i nowy pożar rozpala. Zapada zmrok.

Panna Stanisława pokazuje mi znowu wierszyk, rzucamy się doń z Natuchną. Zaczyna się znowu scena odbierania. Jest taka chwila, że obiedwie spoczywają na moich rękach. Mam przed ustami policzki, szyje, głowy; pochylam tylko głowę i nie bacząc, co robię, całuję ręce, szyje, głowy. Zrywają się obiedwie zagniewane i wypędzają mię do domu. Panna S. gniewa się i w gniewie drze karteczkę na kilkaset kawałeczków, które rozrzuca po lesie na cztery wiatry. Wkrótce jednak daje się przeprosić. Siada pod drzewem i oświadcza, że nie pójdzie do domu, my więc z N. odchodziemy na żart, aby jednak wcale nie żartem przytulić do siebie usta w gęstwinie i mroku.

– Kiedy cię zobaczę u furteczki?

– W przyszłym tygodniu...

– Co znowu?

– Nie można teraz, zresztą zobaczę.

Ściemniło się zupełnie, była blisko dziewiąta. Idziemy przez las, a ja tak prowadzę, aby wyjść jeszcze do pniaka i kamieni druidycznych[214]. Idziemy i chichoczemy się, licho wie z czego. Cielęcy taki zachwyt! Postanawiamy nie rozchodzić się, lecz siedzieć w lesie przez całą noc.

– Ej, dostanie pan kapelusz od p. Anieli – mówi „osóbka”...

– A my od mego męża, będzie mruczał.

– To nic. Panie zwalą winę na mnie.

– Dobra rada! Ależ my przysięgamy zawsze, żeśmy pana nie widziały na oczy... Jutro – przyjdzie pan? Przyniosę sztambuch, będziemy pisać wiersze...

– Jakie? Erotyczne?

– Jakie pan chce... Ależ niech pan sobie już idzie, bo nam doktór głowy pourywa, będzie mruczał cały wieczór. Wyszliśmy na brzeg lasu, na moje obserwatorium. Była już noc zupełna. Żegnamy się kilkanaście razy, całuję po rękach, ściskam łapki lilipucie.

– Jak ja tu będę płakał w tym lesie 14 sierpnia.

– Po kim? – pyta zjadając mię oczami S.

– „Za nic na ziemi nie powiem...”[215]

Po ustach Natusi przepływa taki uśmiech, który jest niczym innym – tylko uczuciem. Poszły, lecz że ja nie odchodziłem jeszcze, patrząc, jak znikają w ciemności, wróciły z drogi i jeszcze mówiliśmy przez kilka minutek. Jeszcze pożegnania...

– Niech panie przyjdą tu wieczorem...

– Na „randeiks”? – pyta warszawianka.

– To nie będzie „randka”... To tak sobie.

– Jeśli pan będzie grzeczny – szepce Natuś.

– Chodźmy, na miłość bożą...

---

213 e j k o n o s t a s – (grec.) ikonostas, w cerkwi: ozdobiona ikonami trójdrzwiowa przegroda, oddzielająca część ołtarzową od nawy.

214 k a m i e n i e d r u i d y c z n e – druidami nazywano kapłanów i wróżbitów u ludów celtyckich w starożytnej Galii, Brytanii i Irlandii.

215 „Z a n i c n a z i e m i n i e p o w i e m...” – jest to ostatni wers z utworu autora *Dziennika,* zapisanego 18 lipca 1890 r.i utwór ten znała pani Natalia, nie znała go zaś panna Stanisława.

Poszły i za chwilę znikły w ciemności. Patrzałem jeszcze chwilę, a gdy znikły, powlokłem się do domu... senny, z jakimś śmiechem w piersiach.

Piaszczysta moja droga!

Jednę podobną kocham w życiu – tę, po której chodziłem z matką i ojcem. Tamtej już nie zobaczę, choć łzy mi w oczach stają, gdy ją wspomnę. Ta druga, taka miła, taka znajoma, taka kochanka – droga. Ilem ja tu, chodząc po niej, smutków i nieskończonych radości przeżył...

O, Natuchno, Natuchno...

Myśmy wyssali z mlekiem już matek
Mądrość bojaźni plugawą,
Mądrość, jak płacić dumą podatek,
Pięście ściskając kurczawo...

Nas nauczyli życia prawideł
Mędrcy wszechwiedzą wyniośli,
Rwali troskliwie pióra ze skrzydeł,
Byśmy na orłów nie rośli.

Okrzyk nasz młody – wrzawą przerażeń,
Klątwą potępień witano,
I każdy poryw szlachetnych marzeń
W powróz służalstwa związano.

Okaleczono dalekość wzroków,
Rwących się w świtu hejnały,
Kazano ślepnąć w otchłani mroków,
By tylko podłość widziały. [...]

Dziś panie moje przyszły do lasu dopiero po godzinie siódmej. Czekałem na nie na skraju leśnym, leżąc na murawie. Sądziłem nawet, że już nie przyjdą. Nareszcie po niecierpliwym oczekiwaniu dostrzegłem je na drodze. Natuś po przywitaniu się ze mną była chłodna i sztywna. Gdyśmy się na chwilę odłączyli od sroczki, mówiła mi:

– Całował pan wczoraj w tajemnicy przede mną pannę L. po rączkach?

– Tak. Pocałowałem ją raz.

– Po cóż zapewniać mnie o swych uczuciach, grać komedie?

– Nie gram komedii, bo kocham panią.

– Aż do całowania po rękach panny L.

– Cóż zrobić? – Żegnam panią...

– Niech pan nie odchodzi, proszę nas odprowadzić przez las. Proszę się wytłomaczyć...

– To niepotrzebne...

– Będę dziś wieczorem w ogrodzie przy furtce, przyjdzie pan?...

– Nie, nudzę już panią.

– No, po cóż te spory? Rozchmurzcie się...

Poszliśmy w las i zabawili do dziewiątej znowu. Nie było wczorajszej wesołości, gdyż ja byłem zły na pannę S., która mi sprawia tyle przykrości swym kokietowaniem.

1 sierpnia (piątek).

Odpisałem Jankowi S., lecz nie mogłem wysłać dziś listu, ponieważ posłaniec na pocztę pojechał zbyt wcześnie. A że list musiał być wysłany koniecznie, panna zaś Stanisława miała jechać dziś do Łosic po odbiór jakiejś posyłki, wpadłem więc na genialny skądinąd pomysł uproszenia jej o zabranie mego listu. Ubrałem się w sztylpy i pojechałem konno do P. Przeleciałem w skok tę przestrzeń – było rano, godzina siódma, mżył deszczyk kapuśniaczek. W P. oddałem konia stajennemu i cicho wszedłem przez ganek do dworu. Nie było w stołowym pokoju żywego ducha, z sali tylko dobiegały gamy i etiudy, wyduszane przez Manię. Czekałem dosyć długo, póki nie nadeszła Natuchna – śliczna ze snu, w mojej milutkiej pąsowej sukni. Przeprosiłem ją uroczyście za tak ranną wizytę i mój strój sztylpowy.

– Wie pan, przeraziłam się zobaczywszy pana, zdawało mi się, nie wiem czemu, że stało się jakieś nieszczęście.

– Stało się, bo gniewa się pani...

– Nie, już nie. Nie mówmy o tym. Kocha pan i kogo?

– Nie powiem. Zresztą nie wierzy mi pani. Zobaczemy się w Siedlcach?

– 28 sierpnia.

– I ...?

– I nic. Ani jednego słowa.

– A słowo?

– Żadnego słowa nie było... Wie pan, co mi mówiła panna Stanisława? Oto założyła się ze mną, że pana zbałamuci do dnia 13 sierpnia. Mówiła, że gdyby była mężatką, dziś by już pan klęczał przed nią.

– Aha... Kiedy panią zobaczę przy furtce?

– We wtorek.

– Dlaczego tak późno?

– Nie można. Ile ja mam kłopotu, chcąc wyjść wieczorem: drzwi na balkon zamknięte, z kredensu lokaj i kucharz patrzą, obok głównego wejścia gabinet męża...

Prosiłem o jedno pocałowanie. Wstała i cichutko podeszła. Oparła mi rękę na czole i cichutko szeptała:

– Mój... niewierny... kochany...

Była dziś niewymownie dobrą. Jakieś łagodne skrzydła aniołów osłaniały jej oczy i uśmiech. Tajemniczy smutek, za jaki ją kocham, ocieniał jej czoło.

– Odjeżdżam, naprawiwszy prawie stosunki z p. Anielą. Wszyscy są pewni, że kocham się w pannie Stanisławie.

– Co plotek o niedzieli, o panu i pannie Stanisławie! Zaśmiewam się nieraz...

Zaturkotało przed gankiem: przyjechał z pola zmoczony doktór. Witał mię serdecznie i... ja jego.

– Cieszę się, lepiej pan wyglądasz.

– Miłość tak mię tuczy.

– Aha! przyznajesz się pan... Widziałem, widziałem, odbijasz pan narzeczoną. Plotki już nawet robią baby. Szczęściem – wie pan – moja żona za jeden grosz nie ma w sobie plotkarstwa. Co prawda, to prawda!

– O, tak – pani doktorowa...

(Czy był w owej chwili podlejszy, nędzniejszy łajdak na kuli ziemskiej ode mnie?)

Doktór zaczyna mi się zwierzać ze swych kłopotów i utrapień, przypuszcza do tajemnic, przyjacielsko spowiada się z różnych nadziei swoich.

Gdy wychodzi na chwilę, aby przynieść pudełko z papierosami, Natuchna mówi cicho jak szmer wiatru:

– We wtorek, we wtorek coś powiem...

Oddałem mój list, list, który stanowi o mej dalszej doli, do rąk Natuchny i pożegnałem się spiesznie. Doktór przeprowadził mię aż do stajni, strzemienia o mało nie podawał... Fu – co za podły człowiek ze mnie!

Poleciałem co koń skoczy – pić wiatr i uciszać podłe myśli. Objechałem kawał drogi lasem. Wróciwszy do domu, zastałem świeżo z poczty przywiezione „Słowo" i trzeci tom *Bez dogmatu.*

Otwieram – czytam:

Miłość do cudzej żony, jeżeli jest pozorną – jest podłością, jeśli jest rzeczywistą – jest jednym z największych nieszczęść, jakie człowieka spotkać może... Teraz dopiero widzę, że oprócz wielkich bólów składają się na to nieszczęście i małe upokorzenia, i poczucie własnej nikczemności i własnej śmieszności, i konieczność kłamstwa, i potrzeba spełniania tysiąca nędznych uczynków, zachowywania tysiąca niegodnych człowieka ostrożności – co za bukiet! Doprawdy, od zapachu tych kwiatów można się udusić!

Bóg widzi, z jaką rozkoszą wziąłbym Kromickiego za gardło, przycisnął go do ściany i powiedział mu w same białka: „Kocham twoją żonę!" – a zamiast tego muszę się starać, by nawet nie przyszło mu do głowy, że ona mi się podoba... To właśnie jeden kwiatek z tego bukietu.[216]

Czemuż od tylu wieków i do skończenia ich powtarzać się będzie ta hańba i ta męka? Nie miłość tu trza z serca wyrywać, bo tej nie wyrwać – ale co innego... Nie miłość obrzydzać i dogmat pod niebo wynosić, ale dogmat osłabić, bo wiecznie, z jednaką bezlitością powtarzać się będzie bezprawie i upodlenie szlachetnego ducha ludzkiego w kajdanach dogmatu. Wszystkie te nauki, te męczarnie wskazywane jako zła rezultat będą duszę ludzką podniecać. W granicach tylko wolności może się ziścić prawo moralne, bo tylko zmniejszenie zapór uspakaja namiętne dusze, osłabia ich energią.

Dziwne, niesłychanie dziwne zjawisko: list od... pani Heleny. Po dwu latach milczenia i pogardy list na różowym papierze z niezapominajkami. Taki:

Drogi mój Stefanie! Nie wiem, czy jako „księżna na sześciu pokojach" potrafię rozmawiać z Tobą, spróbować jednak nie zawadzi, tym więcej, że współczuję Twojej niedoli, spowodowanej brakiem zdrowia. Nie sądzę, aby moja korespondencja sprawiła Ci przyjemność... Nie wiem, czemu doznajemy wprost przeciwnych uczuć, myśląc o sobie: Ty bez niechęci nie potrafisz mówić o mnie, a co myślisz – Bogu wiadomo. Ja nigdy rozmyślnie przykrości nie chciałabym Ci sprawić. Temu, co zaszło między nami, oboje jesteśmy winni: wprawdzie ja byłam starszą od Ciebie, ale doprawdy, mniej miałam praktyki życia niż Ty. Otóż – nie kłóćmy się, nie miej żalu do mnie, miłuj jak dawniej i wierz mi, że zawsze jestem i będę niezmienną Twoją przyjaciółką. Itd. itd.

Nie... Już nie wrócę, pani Heleno, ani po przyjaźń, ani po „miłowanie". Skończone!

---

216 *cytat z Bez dogmatu* – pochodzi ze „Słowa" nr 169 z dnia 30 VII 1890 r.; po miesięcznej przerwie w numerze tym zamieszczono pierwszy odcinek III tomu powieści Sienkiewicza; Żeromski przytoczył tekst z drobnymi zmianami, nie naruszającymi sensu (najznaczniejsza z tych zmian: zamiast „oprócz wielkich bólów składają się na to nieszczęście" jest w oryginale „prócz wielkich bólów składają się na nie"); w miejscach oznaczonych trzema kropkami autor *Dzienników* opuścił po dwa zdania.

Dziś na spacerze Natuchna była niezwykle smutną. Rozmawialiśmy o rzeczach stosunkowo dosyć obojętnych, o tym, że mężczyzna, który chwali się ze swych tryumfów miłosnych przed osobami obcymi, jest nikczemnym – gdy nagle, podniósłszy na N. oczy, dojrzałem w jej źrenicach dwie duże łzy. Nagle przestała mówić, przestała patrzeć mi w oczy, unikała mych spojrzeń. Nie mogłem i nie mogę pojąć do tej chwili, co jej jest.

Czy znowu ta panna S., której zaczynam nienawidzieć, powiedziała jej co. Panna S. przywlekła i darowała mi jakiś tam wiersz, przepisany dla mnie z albumu jakiegoś tam. Czy może o to szło mojej najmilszej? Smutek mię dławi, gdy myślę, że za 12 dni... i tych wszelkich dziecinnych obaw, przykrości i goryczy miłosnych wyrzec się trzeba będzie... na wieczne czasy.

Chodziliśmy po lesie na usilne prośby panny Stanisławy, która widząc, że obojętnieję dla niej z każdą chwilą, z niecierpliwości aż się mieni. Zimno i smutno pożegnałem się z N.

2 sierpnia (sobota).

Rozczytawszy się w wierszu, ofiarowanym mi przez pannę Stanisławę, odkryłem, zdaje się, przyczynę wczorajszego smutku Natusi.

Wyrósł tak późno – jakby na psotę
Samemu sobie, gdy słońce złote
Już nie dla niego na niebie świeci,
Gdy każde ptaszę w kraj ciepły leci!
Gdy każde ptaszę w kraj ciepły leci,
Gdy słońce blaskiem ostatnim świeci,
On wyrósł cichy, w rosie skąpany,
Jakby przeczuciem śmierci owiany.

Po coś ty zakwitł, kwiatku jesienny?
Los twój tak smutny i tak niezmienny.
Nie patrz za słonkiem, nie twoje ono!...
Z fatalistyczną, nieuniknioną
Milczącą siłą zbliża się zima;
Pochodu czasu nic już nie wstrzyma,
A czas ten tobie, kwiatku jesienny,
Dał ledwo szczęścia promyczek senny.

A. D. l VIII 90

Domyślam się, że wiersz ten panna S. ułożyła sama, choć starała się dowieść, że to utwór jakiejś mężatki zakochanej w młodym chłopcu. A że ja, nie zwróciwszy uwagi na treść, prosiłem o darowanie mi go – Natusi sprawiło to przykrość. Jeżeli tak jest, to mam chęć skakać i śpiewać... Cieszy mię to, samą głąb mojej duszy cieszy. Dlaczego?

W szlachetnym nawet człowieku jest jednak taka odrobinka zwierzęcia, która rozbudza do kolosalnych rozmiarów ciekawość zobaczenia łez w oczach istoty najbardziej kochanej i kochającej. Jak dojrzana krew rozbudza apetyt w wilku, tak łzy dostrzeżone rozbudzają i potęgują taką samą jak głód funkcję żywota – miłość.

Opuszczam cię, drogi ludu podlaski. Nie będę już się zatrzymywał po drogach, aby porozmawiać z każdym przechodzącym, a przekonywać się, że po polsku mówi, że będę wsłuchiwał się w tę mowę śpiewną, badał jej cichaczem, po kryjomu... Pójdę znowu między cywilizacją, która nuży, dusi, męczy, bo jest wiecznie jednaka.

Dziś były dożynki. Jak na całym obszarze kraju śpiewają i tutaj te same pieśni humorystyczne. Niech Moskali główka nie boli: lud się ostoi. Zachowa zwyczaj – choćby dla wypicia kieliszka wódki – mniejsza o to, ale zachowa i ta sama pieśń, którą słyszałem w Krakowskiem, pod Mławą, w Sandomierskiem, Świętokrzyskiem, i tu dźwięczy wesoło i wesoło prawdziwie, bo polska jest i „arka przymierza”... [217]

Wysłuchawszy pieśni dożynkowych, którym przysłuchiwał się także i Moskal – pisarz gminny, wróciłem do salonu, gdzie była Natuchna, panna Stanisława, pani Aniela, i zacząłem mówić o ludzie.

– Nie można tego słuchać, bo wstrętne – mówi pani Aniela o pieśniach.

– „O, wieści gminna, ty arko przymierza”...

– Tak, być może, że lud innych okolic zasługuje na uznanie i współczucie, ale tutejszy... Gdyby pan wiedział, jak oni są niemoralni, źli, złodzieje...

– Tak i na prawosławie przeszli...

– Ależ idealizuje ich pan, synowie ich będą już Moskalami, przekona się pan...

– Nie będę długo żył, pani więc pewniej ode mnie doczeka się spełnienia swej tezy...

Imieniny dziś znowu pani Anieli – stąd wizyta dzisiejsza pani Natalii i panny Stanisławy. Idąc na spacer, spotkałem śliczny, maleńki powozik, wiozący te panie do Ł. Byłem aż niegrzecznym, odmawiając mego miłego towarzystwa tym paniom i udając się na zwykły spacer do lasu. Po powrocie rozmawiałem chwileczkę z Natalką. Była smutna jak zwykle.

– Gdy pan wczoraj żegnał się z nami w takim smutku, byłabym poszła za panem, byłabym przeprosiła za moje przykrości... Poszedł, nie obejrzał się...

Bawiłem później pannę Stanisławę, aż mię coś kłuło w gardle...

W alei grabowej chodziłem sam na sam z nimi, sam na sam, bo nie było pani Anieli.

– Nie wierzy pani w szczęście?

– Czyż ono istnieje na ziemi?

– Tylko rękę wyciągnąć, tylko się pochylić z wyżyn, z marnych wyżyn konwenansu.

– Wiem, wiem, a później to samo, co z panem Płoszowskim?

– A cóż z panem Płoszowskim?

– Nieszczęściem jest miłość wzbroniona. Różę, o którą prosiłem, podarła na drobne strzępeczki, listek po listku... Odjechała nie uścisnąwszy mi ręki.

217 „a r k a p r z y m i e r z a” – „między dawnymi i młodszymi laty”: cytat z Mickiewiczowskiego *Konrada Wallenroda,* pieśń IV, w. 177.

3 VIII (niedziela).

Byłem w kościele. Była tylko panna Stanisława. Bardziej niż ta panna zajmowało mię zjawisko, że gdy pilny w odprawianiu modłów za cesarza ksiądz K. zaczyna śpiewać swoje „Módlmy się za itd.", prawie wszyscy chłopi a zupełnie wszystka szlachta zagonowa opuszczają kościół ostentacyjnie.

Po kościele, dusząc się jak śledzie w wielkiej, średniowiecznej landarze, zajechaliśmy do P. Natuś powiedziała mi parę słów przykrych, takie przynajmniej zostało mi wrażenie z tych słów kilku. Doktór był dla mnie z przekraczającym wszelkie granice wylaniem. Biedny doktór! Puszczał się w komplementa dla dam.

– Panie same jesteście kwiatami! Pani Aniela – to lilia, panna Stanisława – to róża biała, moja żona... to co? – to fiołek.

– Czymże panowie będziecie w tym bukiecie?

– Wacuś – to słonecznik, Adolf – narcyz, ja...

– Pan – to... heliotrop, a pan Stefan...

– Ja jestem szpagat do owiązania bukietu.

– Czemuż pan obierasz sobie tak skromną rolę? – pyta doktór.

– Czyż to zła dola, panie doktorze, ściskać kwiaty w bukiecie?

– O kolce róży szpagat może się podrzeć – mówi panna S.

– Toteż róża może się obejść bez pomocy szpagatu, wpijając swe kolce w mięsisty korzonek... słonecznika.

Natusia przygryzła wargi.

Zaproszeni jesteśmy na herbatę do P., ma być dużo gości, dla mnie dużo będzie tylko smutku... Mamy pójść spacerem, ja z panią Anielą. Wesoło!

Dobrem może się nazywać tylko to, co od nas wymaga wysiłku, co nas kosztuje, co nam przychodzi z trudnością. Jałmużna wdowy była dobrym uczynkiem. Milionowy skąpiec dający grosz ubogiemu ma zasługę, bo mógłby i ten grosz w kieszeni zatrzymać. Nie jestem biedny jak wdowa, nie kocham złota jak skąpiec. Dając nie ujmuję sobie ani dobrego obiadu, ani artystycznych zachcianek, nic! Mam dużo; to, co mi zbywa, rozdaję, bo mi jest niepotrzebne jak niedopalony koniuszek cygara. W dodatku dogadzam przede wszystkim własnym nerwom, nie znoszącym jęku i płaczu. Jest to uczucie zwierzęcej samoochrony. Sięgam instynktowo do kieszeni, jak instynktowo chory pies gryzie trawę, nie czuję nawet potrzeby chwalenia się z tym, co jedni nazywają dobrym uczynkiem, a drudzy ubezpieczeniem od ognia piekielnego. Więc ja nic nie mogę zapisać na białej karcie pod rubryką dobrego?...

...Ale za to zaczynam widzieć, że jest na świecie jedna rzecz wieczna, która się nie zgubi, nie przepadnie, której ukraść, spalić, zniszczyć nie można; to dobry uczynek.

A. MAŃKOWSKI *Hr. August*[218]

218 c y t a t z A. M a ń k o w s k i e g o – pochodzi z książki Aleksandra Mańkowskiego pt. *Hrabia August. Notatki i wrażenia* (Warszawa 1890, nakł. Gebethnera i Wolffa, s. 191 – 192 i 193); ten sam fragment przytoczył Żeromski w swojej recenzji *Hrabiego Augusta*, którą opublikował w nrze 37 „Głosu" z 13 IX 1890 r.; w przytoczeniu *Dziennika* są drobne niezgodności z oryginałem: „mógłby i ten grosz w kieszeni zatrzymać" zam. „wolałby... zachować"; „nerwom, nie znoszącym jęku" zam. „nerwom, które nie znoszą jęku"; „potrzeby chwalenia się" zam. „potrzeby pochwalenia się"; dotyczy to również odmiennej czasami interpunkcji. Aleksander Mańkowski (1855 – 1924) – to zapomniany dziś komediopisarz i prozaik, autor komedii *Niedobrana para* (1879), *Minowski* (1886), *Dziwak* (1887) oraz powieści *Pan Wojciech* (1889), *Hrabia August* (1890), Moja *Helenka* (1897), w których zawarte

Oto jak nawet tacy panowie jak Mańkowski cichutko, wolniutko, delikatnie, a co główna – bezwiednie zstępują, zstępują... Cóż to jest takie gadanie? Takie gadanie ma tłomaczenie i rozwiązanie tylko jedno. Po tej elipsie nie można inaczej iść, chyba z niej zejść i iść samopas jak wieprz.

4 VIII (poniedziałek).

Poszedłem wczoraj sam do P., ponieważ pani Aniela umyślnie zwlekała z wyjściem aż do siódmej. Zaszedłem do P., gdy słońce zachodziło. Gdym wszedł na uliczkę zacienioną przez bzy, Natuchna wyszła drzwiami od kredensu i nie dostrzegłszy mnie, biegła ku stajniom.

– Marcinie! – wołała na foszmana.

Myślałem, że się stało co złego. Obejrzała się i dostrzegłszy mię zaśmiała się wesoło.

– Złapał mię pan na gorącym uczynku: Aniela powiedziała, że pan nie przyjdzie, biegłam posłać konno po pana. Dokuczyłam panu dziś i w gniewie pan od nas odjechał, ale miałam powody.

– Jakie?

– Prosił pan wczoraj panny Stanisławy, aby mi nie powtarzała wszystkiego, czy to prawda?

– Nie, to kłamstwo. Daję na to słowo...

– Nie, ja wierzę, ja nie wierzyłam, gdy mi mówiła, intryguje panienka... Ale było mi przykro. Nie gniewa się pan?

– Ja? Czyż ja się gniewam kiedy?

– Będziesz we wtorek?

– Ba...

Po kolacji z panią Lucyną, Anielą, panną Stanisławą i Natuchną chodziliśmy po ogrodzie. Zgrabnie N. i S. odłączyły się od tamtych pań, mnie ze sobą zabrały i zaczęliśmy chodzić po alei obok furtki. Po upale dochodzącym trzydziestu stopni i noc była skwarna. Nad ziemią wisiała warstwa wessanego gorąca. Spomiędzy pni topól zaczął wyłaniać się księżyc czerwony z odkrajanym bokiem, przysłonięty chmureczką czarną. Od topól padały cienie bez ostrych załamań, łagodne, podobne do fal. Gdy szedłem obok Natalki, łapeczka jej spoczywała w mych ręku – a nigdy nie pusta: po przejściu uliczki dostałem zawsze różę, aster, goździk, gałązkę rezedy...

– Nigdy jeszcze nie miałam nudniejszego towarzystwa przy kolacji nad dzisiejsze – mówi panna S. (Ja siedziałem obok niej).

– Składałem dziś najwyższy dla pani zachwyt, zachwyt, dla którego słów już nie ma, który manifestuje się milczeniem.

– Widocznie często obecnie bywa pan w stanie zachwytu. Itd. Usiedliśmy na naszej ławeczce, podobnej do piramidy. Ja siedziałem na ziemi u nóg obudwu. Panna S. zaczęła deklamować bardzo ładnie jakiś wiersz z piekła rodem miłosny, a ja ściskałem łapki Natusi.

---

są realistyczne, często satyryczne obserwacje z życia szlachty podolskiej; drobniejsze swoje utwory zamieszczał pod pseudonimem Tadeusz Zaremba w pismach poznańskich.

Księżyc wypłynął wysoko nad tkwiące nieruchomo w błękicie topole. Cisza. Koniki polne krzyczą zapamiętale, ciepło rozkoszne, cudowna noc. Ale dają się słyszeć kroki i monologi pani Anieli, ona sama wyłania się na uliczkę.

– Panie Stefanie, czy pan pojedzie do domu, czy tu zostanie...

– Niech pan zostanie... – szepcą mi do uszu obiedwie.

Pojechałem.

W n o c y.

Żadne cierpienie moralne nie jest tak nieznośne, jak żałowanie, że się upadło nie obmyślawszy upadku, nie powstrzymawszy się od spełnienia gorączką namiętności wywołanego plugastwa.

Ach, co za męka, co za nizota, co za poniżenie, co za błoto! Wróciłem z ogrodu, gdzie pani A. oddawała mi swe wdzięki... Nie myślałem, że kiedykolwiek będę zdolny tak się już unurzać całym ryjem w błocie. Nienawidzę ją[219] za to, że wiedząc o mej niechęci wabi mię, szuka sposobu roznamiętnienia mię. Bez miłości, bez uczuć – po prostu dlatego, że trzeba czasami oddać dług naturze – mieć schadzkę z panią A.! Ach, jakżem niemiłosiernie nikczemny! Nie pocałowałem jej, nie powiedziałem jednego słowa czulszego, po prostu – na trawie pod kasztanami... Potem – „dobranoc pani", a jutro – na schadzkę z Natusią.

Takimi jesteśmy my, co się mienimy na ziemi czymś wyższym. Za tydzień jadę od N. – kocham ją i postępuję w ten sposób.

Rad bym wyrwać sobie wszystkie włosy z głowy, napluć sobie w oczy!

6 VIII (środa).

Miałem mnóstwo ambarasów z panem wójtem gminy Ł.[220] Wójt ten jest zaprzedańcem moskiewskim i pomimo że sam jest katolikiem, pilnuje w niedzielę w Niemojkach[221] przy drzwiach kościelnych, czy czasami unici do kościoła nie idą. [...]

Idąc na spacer spotykałem się codziennie prawie z popem (przechrzczeńcem z unity). Mierzył mię zawsze piorunującym wzrokiem. Jest to szpieg i donosiciel. Kilka dni temu pod kościołem w N. spotkałem wójta i dwu żandarmów. Nazajutrz przysłano do mnie gorzelanego z żądaniem okazania paszportu. Zwlekałem umyślnie, nie chcąc szukać grzeczności u wójta. Wówczas przysłano Żyda z zagrożeniem, że sołtys mię odprowadzi do powiatu. Czekałem jeszcze. Nareszcie pan L. sam mi paszport z rąk wy-

219 n i e n a w i d z ę j ą – tak w autografie; widocznie już wtedy istniała w potocznym języku chwiejność w stosowaniu zasady, że czasowniki zaprzeczone rządzą dopełniaczem; por. np. „Bynajmniej ją to nie gniewało" (tekst z dnia 11 VIII 1890 r.) czy „do pogardzania... wszystkim, co się nie oblicza na ruble" (tekst z dnia 22 VIII 1890 r.).

220 m i a ł e m m n ó s t w o a m b a r a s ó w z w ó j t e m g m i n y Ł. – na udzielanie lekcyj prywatnych trzeba było specjalnego zezwolenia Apuchtina; Żeromski takiego zezwolenia nie miał i dlatego mógł przebywać w Łysowie tylko jako krewny lub praktykant gospodarczy; widocznie ktoś doniósł wójtowi, że naprawdę jest korepetytorem.

221 p i l n u j e w n i e d z i e l ę w N i e m o j k a c h – we wsi Niemojki (gm. Łysów) był kościół murowany z XVIII w.; do parafii w Niemojkach należeli katolicy z Patkowa Ruskiego, Pruskiego i Francuskiego, z Łysowa i okolicznych wsi.

rwał i do gminy odniósł. Chciałem zadrzeć umyślnie i coś wycierpieć od prześladowcy moich umiłowanych braci – unitów.

Ja go znajdę jeszcze, jeśli żyć będę, tego pana wójta – da Bóg.

W poniedziałek oczekiwałem na moje towarzyszki na brzegu leśnym, sądząc, że przyjdą drogą. Tymczasem, gdym wrócił do pniaka – zobaczyłem je, obiedwie w niebieskich sukniach do duchów podobne, idące od strony łąk. Opowiedziały mi, że przeszły przez mostek ukryty w zaroślach na rzece... Jakżem ja głupi! Tyle razy narażałem się, idąc pod same zabudowania, podczas gdy mogłem zupełnie bezpiecznie przekradać się przez łąki...

W poniedziałek bawiliśmy się wesoło ni mniej, ni więcej tylko do dziesiątej wieczorem. Słońce zaszło zupełnie, nocą, ku zgorszeniu całego Ł., wróciłem do domu.

Wczoraj o czwartej już po południu poszedłem do lasu. Skwar 30°. W lesie chłód, cień, rozkosz czysta leżeć na wznak, czytać, chodzić w dalekie doliny, uczyć się słów francuskich.

Widziałem, jak doktór wracał od jakiegoś chorego, jak później maleńką bryczką i jednym koniem pojechał na jeden ze swych folwarków, do Marylina[222]. Przyglądałem się, jak koń jego piął się pod górę, malał, znikał wraz z doktorskim kapeluszem... Wówczas postanowiłem zbadać, gdzie właściwie kryje się upragniony mostek. Wyszedłem z lasu i poza owsami i rokiciną doszedłem do rzeki. Znalazłem go... i aż mię furia na siebie ogarnęła. Mostek ten bowiem jest tam akurat, skąd ja skręcałem, poza płotem. Od niego do furtki jest kilkanaście kroków znakomitej drogi między olszynami. Nigdy tam nie byłem w dzień, nie mogłem go też widzieć nocą w rokicinach i chwastach.

Co za most! Zrobiony ze zrzynów, okrągłą powierzchnią kładzionych do góry. Gnie się pod nogami tak, że żadne stworzenie boskie – wyjąwszy kochanka doktorowej – nie jest w stanie przedostać się tamtędy. Otacza go ze wszech stron pastwisko, pustosz błotna okryta kożuchem, pod którym dudni torf. Idzie się w bród przez ogromne chwasty. Czasami tylko nogi trafiają w ścieżkę wyschniętą, wydeptaną przez bydło. Znakomita droga!

Dopiero o godzinie siódmej, gdym się już do syta naczytał własnych moich artykułów w „Głosie", nauczył słówek francuskich, nachodził po lesie, panieneczki moje ukazały się na drożynie. Poszliśmy w las, tam w samorodnej altanie wybudowanej ręką przyrody usiedliśmy na sjestę, na mówienie o literaturze, sztuce, naszych wspólnych warszawskich znajomych, na mówienie sobie komplementów i grzeczności.

– Według mnie *Bez dogmatu* jest powieścią niemoralną bardziej niż powieści Zoli i Bourgeta... – mówi Natuś.

– Jeżeli zechcemy każdy utwór sztuki mierzyć i przykrawać do łokcia katechizmu ks. Putiatyckiego[223]. Cóż bowiem może być niemoralnego w często z serca wynurzanych skargach człowieka kochającego głęboko? Jedyną zaletą właśnie tej powieści są „niemoralne" wynurzenia Płoszowskiego, bo powieść sama budowana jest na miarę umiłowań arystokracji, niektóre zaś zwierzenia bohatera, czerpane z głębi jego duszy bez osłon dogmatu – mają wagę i piękne są.

– Tak, uczą, podniecają młodych krytyków, jak się z „wagą i pięknem" zdradzać powinno cudze żony, cudze uczucia... mężów.

– Jakich znowu mężów?

---

222 d o M a r y l i n a – tak w autografie; *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego* wymienia tylko folwark Marysin.

223 k a t e c h i z m k s. P u t i a t y c k i e g o – Antoni Putiatycki (1787 – 1863), teolog i matematyk, był wykładowcą teologii moralnej, biblistyki i astronomii w zgromadzeniu księży misjonarzy w Warszawie; wydał m.in. *Mały katechizm* (Warszawa 1839, wielokrotnie przedrukowywany) oraz *Katechizm parafialny obszerniejszy* (Warszawa 1853).

– Mężów niewiernych żon. Przekona się pan, że Anielka ostoi się pokusom tego uwodziciela.

– Może nawet żywcem do nieba wstąpi w ostatnim rozdziale, a mimo to tylko gorzkie skargi Płoszowskiego mieć będą znaczenie i dadzą piętno artyzmu powieści.

– Widział pan *Skandal w hotelu*[224]? – pyta przechylając łepek panna Stanisława. – To także wspaniały ludzki dokument...

– I pani to widziała? Taki dokument?

Znowu noc nas wypędziła z lasu. Słońce zaszło, gdym odprowadził je na wzgórze. Gdyśmy się na nie wdrapywali po śliskich igłach sosnowych, Natuchna szepnęła cichuteńko:

– Będę.

Najsłodszy wieczór, najmilsza schadzka, niezapomniana noc! Natuchna moja, moja na wieki, wiem, że mię kocha...

Przed dziesiątą wyszedłem z domu. Było ciemno, gdyż księżyc wschodzi późno. W alei ktoś mię dopędził konno. Ukryłem się za grubą topól i nie mogłem być dojrzany, gdyż sam nie widziałem, kto jechał. Poszedłem szybko przez pole, bo już zboża pożęte. Doszedłszy do środka lasu, skręciłem w jego głąb i lasem na przełaj poszedłem. Wrony zrywały się z krzykiem, skrzydła jakichś ptaków spłoszonych przeze mnie łopotały po gałęziach sosen. Ciemno było diabelnie w lesie, nie mogłem utrzymać się z pamięci na drożynie, którą znam przecież lepiej od mej portmonetki. Gdym przeszedł cały las i stanął na jego skraju – zakląłem jak piwowar: księżyc wschodził.

Wschodził nieborak akurat na prost furtki i łąki, przez którą iść miałem. Na pocieszenie siebie wspomniałem Z nabożeństwem, że poprzedniej akurat nocy doktorowi skradziono ze stajni klacz cugową i młodego, dwurocznego źrebaka. Gdym tylko wyszedł na łąkę oświeconą przez półksiężyc, dosłyszałem z daleka, z daleka świstawkę stróża.

A – no! wezmą mię za wąsy, to wezmą! Szybko przeszedłem trzęsawiska, odnalazłem w rokicinach mostek, przeszedłem go i plunąwszy w pięść ruszyłem. Ominąłem zarośla i prosto przez liszki lnu – doskoczyłem do furtki. Księżyc wyszedł na prost mnie, świecił mi w same zęby.

Stróż gwizdał sobie gdzieś w bliskości, słyszałem odgłos kroków ogrodnika na uliczkach białych od księżycowego blasku.

Zaszeleściała suknia mojej najmilszej. Przechodząc szybko obok furtki szepnęła:

– Ogrodnik! Proszę poczekać.

Po upływie dopiero kilkunastu minut podeszła znowu z szeptem:

– Klucz...

Podałem go jej. Otwarła po cichu i znowu odeszła. Długo czekałem, aż nareszcie otworzyła się furteczka najmilsza. Wyszła. Skryliśmy się w zarośla na długie, nieme pieszczoty. Usiedliśmy w takim cieniu, że sam diabeł by nas nie odszukał. Zbytecznych rzeczy nie było, zaczęły się więc pieszczotki bezmierne, nienasycone. Otoczyła mi szyję ramionami i czułem, że już nie oprze się żadnej z mych próśb.

– Co pocznę, powiedz, ja nie żyję zupełnie z mężem... Czyż mogę? – puść...

Ale któż by zdołał oprzeć się słodyczy tych uścisków, od wspomnienia których drżę w tej chwili cały. Gdzieś zaczęła uciekać ziemia, zamgliło się, zasłało mgłą wszystko... Widzę jeszcze tę śliczną twarz z zamkniętymi powiekami, z rozchylonymi ustami, jak

224*S k a n d a l w h o t e l u* – obraz Henryka Piątkowskiego zatytułowany *Dramat w hotelu;* por. przypis do s. 46.

ją oświeca promień księżyca, który się wkradł między krzewy i zaszedł aż na ziemię. Nareszcie dowód, że mię kocha – bardzo, bezmiernie.

– Dla ciebie... coś ze mnie zrobił?...

Namiętne pieszczoty jej, szalone ofiarowanie wszystkiego, rozkosz i radość odebrały mi prawie zmysły. Leżałem po chwili obok niej, z głową bezwładnie leżącą na jej sercu. Śmierć nie byłaby mi straszną po wypiciu tego kielicha miłości. Chciała uciec...

– Ty, przeklęty, niegodny mej miłości. Jeśli mnie nie kochasz, jeśli łudzisz tylko...

– Zobaczemy się?...

– Jeszcze mało? Teraz był „dowód", a później będzie pasowanie na kochankę. Czy tak?

– Nie, nie! W Siedlcach?

– Nie wiem. W przyszły wtorek tutaj.

Nie chciała mię już pocałować, uciekła, rzuciwszy mi klucz.

Pijany szedłem sobie z powrotem, nie myśląc o tym, że mogą mię złapać, że widać w księżycowym świetle czarną sylwetkę idącego podwórzem stróża. Minąłem mostek, łąki, wszedłem w las i odpoczywałem znużony. Pot lał mi się z czoła, śmiech z serca, śmiech dzikiego uniesienia ze szczęścia. Oto – jestem kochany...

Na polach leżało srebro blasku. Suchy piasek drogi zmoczony przez rosę głucho jękał pod moimi ociężałymi nogami. Tuż zrywało się stado kuropatw, skowronki i padały ciężko w gorącą jeszcze rolę.

W domu spali wszyscy. Stróże nocni powyciągani na swych siennikach na środku podwórza chrapali po podlasku, psy pozwijały się w kłęby na ciepłym piasku. Wacusia nie było... Nikt nie widział.

7 VIII (czwartek).

Poszedłem wczoraj do lasu o siódmej, pragnąć koniecznie zobaczyć Natuchnę. Gdym wszedł w las i skręcił na moją ścieżkę, dostrzegłem między gałęziami sosen, w „świątyni oczekiwania" – stanik pąsowy, ale jeden. Co u licha? Podchodzę bliżej i, o dziwo, panna Stanisława sama na swym miejscu, rozparta jak Wenus, z nóżkami wyciągniętymi a widnymi spod sukni do kostek...

– Nie spodziewał się pan zastać mnie samej? Pani Natalia obrażona o coś na pana nie przyjdzie tu.

Patrzy na mnie tak, że rety!

– Wie pan, o co obrażona? Pomagał pan wczoraj wstać w tej altanie samorodnej i ujął pan cokolwiek za mocno jej rękę. Mówiła, że nie przyjdzie do Rogacza aż po 14 sierpnia. Dziwna obraza!

– Pani nie rządziłaby się takim konserwatyzmem. Nieprawdaż?

– Nie wiem. Mówił mi pan pewnego razu, że niczego się pan nie boi. Proszę próbować.

Bagatela! Wypadało wstać z ziemi i – próbować. Nie miałem jednak na tyle... bezczelności, aby w ciągu trzech dni zdobywać trzy po kolei porządne kobiety. Baby same nas znieprawiają. Pamiętam, że gdym zobaczył pierwszy raz tę prześliczną pannę Stanisławę, powiedziałem sobie: tej bym nie zdobył, choćbym na łbie stanął... Jakżeż – śliczna facetka, wysoko inteligentna, z dobrej rodziny, obracała się w świecie Sienkie-

wiczów, wykwintnej młodzieży warszawskiej, ma i kocha niby narzeczonego, pięknego doktora, młodego, mającego świetną przed sobą przyszłość, bo skończył przyrodę i medycynę, ostrzona jest na życiu warszawskim, bo w Warszawie skończyła pensją pani Jasińskiej, ta bystra, pewna siebie, dowcipna panna Stanisława...

Tymczasem – cóż się okazuje?

– Może przejdziemy się po lesie.

– Służę pani.

Poszliśmy w las, w najgłębszy las. Było mi głupio, widziałem bowiem, że chce mię rozmiłować w sobie. Mówiła mi, że nie kocha narzeczonego, że ziszczają się jej marzenia o miłości teraz dopiero, że przekonała się, jako można kochać szalenie tylko tego, kto o nas nie dba itd. Gdyśmy podziurawioną przez górskie potoki, poprzerywaną przez warkocze korzeni, zarosłą, dziką ścieżynką szli obok kurhanu, na którym kilka dni temu pocałowałem „osóbkę" przelotnie w ramię, spojrzała mi w oczy wyzywająco...

– Pamięta pan wierszyk?...

Byłem niedomyślny. Chodziliśmy tak po lesie z godzinę.

– Gdyby nas tak zobaczono, panie, co by było?

Skądże ja mogłem wiedzieć, co by było, gdyby nas zobaczono? Znowu tedy odpowiedziałem ni w pięć, ni w dziewięć. Jednym słowem – mogłem zrobić, co bym chciał, bo po cóż tam przyszła sama, dlaczego czekała na mnie przy pniaku i czemu później wyciągnęła mię w las? Nie posądzam o nic złego, ale miała zamiar odebrania mię Natuchnie.

– Pan – to feblik pani doktorowej, ja to wiem, domyślam się.

– Fałszywie, fałszywie...

Mówiłem dużo o najobojętniejszych rzeczach, o jej narzeczonym, o zamiarach i celach ich później, słowem – *risum teneatis amici*[225] – ja w skórze moralnego dżentelmena, ja nie korzystający z takiej gratki, z takiej prześlicznej panny, mającej 21 rok żywota i oczy a brwi, do jakich trudno by dobrać piękniejszą parę.

A – cóż robić! Jest tam gdzieś we mnie maleńka linijka taka, za którą iść wara.

Słońce zachodziło, gdyśmy wracali do pniaka. Wybiegł z zarośli Ajaks, pies Natuchny, ona sama stała o pniak oparta, bijąc parasolką niecierpliwie w ziemię. W oczach miała łzy, wargi zaciśnięte.

Nie podała mi ręki, nie spojrzała na mnie.

– Wraca pani do domu? – zapytała „osóbki".

– Idę w tej chwili.

– Dobranoc panu! – skinęła mi głową dumnie i zimno. Odeszły. Zostałem jeszcze na moim miejscu, słuchając z uśmiechem wewnętrznego głosu, który mówił:

– Kochasz mię teraz, zazdrościsz...

Po upływie kilkunastu minut ukazały się na ścieżce. Szły do mnie.

– Postanowiłyśmy zostać jeszcze do ósmej...

– Czy ja paniom nie przeszkodzę, jeśli tu pozostanę parę minut?

– Ja pójdę już do domu – rzekła N. Poszły znowu, nie żegnając się ze mną. Zabierałem się do powrotu, gdy znowu ukazała się sama Natalka.

– Chciałam panu powiedzieć, że tak się nie robi, aby...

Spojrzała mi w oczy ze smutkiem głębokim.

– Niech się pani uspokoi. Ja panią kocham i nie tylko nie zdradzam, ale szanuję jej smutek...

– Dlaczegóż pan tu został, widząc, że panna S. jest samą?

– Dlatego, że mówiła mi, że pani przyjdzie.

---

225 *r i s u m t e n e a t i s a m i c i* – (łac.) „czy moglibyście wstrzymać się od śmiechu, przyjaciele"; por. przypis do s. 97.

– Nie mówiła tego.

– Możemy jej zapytać samej.

Rozległ się tętent: pan Lutas jechał na koniu.

– Niech pan pójdzie do nas na herbatę, mam parę słów do powiedzenia.

Ludwik zsiadł z konia i szliśmy wszyscy do P. Po drodze panna Stanisława upadała umyślnie, aby ją podnosić – pensjonarska jeszcze kokieteryjka. Pod P. już Natalka szepnęła do mnie:

– Ach, gdybym miała jaką pigułkę, którą można by się pozbyć męczarni...

Swoją drogą, gdyśmy wchodzili do dworu, pozwoliła mi pocałować swe usta.

– Kiedy zobaczę?

– Ale nie tak jak wczoraj?

– Dlaczego?

– Nie chcę, nie... We wtorek.

Herbata była wesoła. Doktór blagował, dowcipkował, cieszył się – licho wie z czego...

Po kolacji, ponieważ ja poszedłem na herbatę do P. pod tym warunkiem, że nie będzie mię doktór odsyłał, wracaliśmy piechotą. Obiedwie panie odprowadzały nas aż do lasu. Ludwik prowadził swego konia za uzdę, ja szedłem obok Natalki. Noc była ciemna, ciepła. Szliśmy wszyscy po głębokim piasku drogi. Dokoła w trawach i ścierniskach wołały na gwałt koniki polne, koń chrapał, lękając się krzaków i słupów płotu.

Zza lasu czarną chmurą leżącego przed nami przeświecać zaczął księżyc. Słodkie i dobre uczucia napełniały mi serce. Ręki Natusi dotykałem czasami w ciemności.

Pożegnaliśmy się pod lasem.

Idąc z młodym, pełnym życia i młodości, szczęśliwym czwartoklasistą, myślałem, jak to po herbacie doktór przeglądał ostatni numer *Bez dogmatu,* gdzie Płoszowski mści się na Kromickim w swym dzienniku, i mówił:

– Co za nudna powieść...

Litość mię ogarniała – oszukuję go tak zgrabnie, z tak wyrafinowaną maestrią...

Jedenasta była, gdyśmy wrócili do domu.

Noc była cudna, pełna światła, ciepła jak dzień. W pokoju duszno. Usiadłem na progu ganku na pogadankę z Frankiem Królem. Psy śpią powyciągane na piasku, obok nich na sienniku Franek, ćmi ofiarowanego mu papierosa.

– Ono to co jest dziwne, jak to temu popowi nie ukradnie złodziej koni. Dawniej tu był pop dobry, on z człowiekiem po polsku mówił, nie ciągnął do tej cerkwi. A ten – ze sobą on, z żoną po rusku, z dziećmi po rusku... Jaki taki jak zrozumie – to jemu odpowie po polsku, a drugi, co nie pojmie – to stoi ta i patrzy. Cóż!

– Wyście tu byli w Ł., jak oni nawracali na tę ruską wiarę?

– Byłem. Ale tu oni to „zbrodniów" nie robili, te Kozaki. Przyszli, dzień pobyli, pohulali – poszli. [...] Ech, teraz to „ja – koś – ci" ucichło, pop nie ciąga.

Ja, panulu, myślę; wojna musi będzie. Jak jej nie będzie, wojny, to naród sam siebie, jeden drugiego człowiek będzie rżnął i jadł. A co? Takie gospodarstwo nieraz jest, 35 mórg – to się podrą, podzielą po skibce, po zagonku, po pół morga. Gdzie wyżyjesz? Kraść idzie taki „bełwan" jeden i drugi, a pod tym „urzędem" złodziejowi najlepiej, jemu paszport dadzą – świadka, powiada, masz, żem ukradł? Jakby wojna wydusiła tego narodu trochę, wyrżnęliby, wymordowaliby, nowy naród by narósł – byłoby lepiej. Dawniej złodzieja w kancelarii batem zerżnęli – on i się nauczył siedzieć. Teraz co? „Urząd" taki sam złodziejski.

A takiemu jak ja – bieda wieczna. Ja ani tej skibki ziemi – wiecznie służ, w tej biedzie rób, dzieci rosną jak wieprzki bez koszuli, bez niczego. Złodzieje powyrastają, oto co...

8 sierpnia (piątek).

„Nowa Reforma" w Krakowie zamieściła moją nowelę pt. *Niedobitek,* pisaną tu w zimie. Dziś odebrałem list od Mieczysława Pawlikowskiego[226], redaktora działu literackiego w „N. Reformie", wraz z honorarium. Honorarium wynosi aż 20 reńskich...

Pocałunek[227] – to ładne bzdurstewko, które tak chwaliła pani Natalia, zamieszczone nie będzie, gdyż „nie byłoby zrozumiałe dla publiczności krakowskiej", jak mówi p. Pawlikowski. Listy za mnie do Sarneckiego i „N. Reformy" pisywała pani Aniela, gdyż ja wówczas chorowałem na oczy, ją więc przez pomyłkę Pawlikowski tytułuje i zasypuje komplementami jako autorkę:

Łącząc najszczersze podziękowanie, mam zaszczyt przesłać Szanownej Pani 20 zł reń. wal. austr. jako należne honorarium za obrazek *Niedobitek,* którym Szanowna Pani raczyłaś łaskawie obdarzyć nasze pismo itd.

---

226 l i s t od M i e c z y s ł a w a P a w l i k o w s k i e g o – *Niedobitek* był drukowany w krakowskiej „Nowej Reformie", nr 160 – 162 z 15 – 17 VII 1890 r.; Mieczysław Pawlikowski (1834 – 1903) był literatem i postępowym działaczem politycznym (przyjaźnił się m.in. z Kornelem Ujejskim), w latach 1864 – 1865 był więziony w Ołomuńcu za działalność konspiracyjną; od 1868 r. mieszkał w Krakowie, gdzie był współorganizatorem Towarzystwa Przyjaciół Oświaty Ludowej i współpracownikiem redakcji „Kraju"; od 1882 r. prowadził dział literacki dziennika „Nowa Reforma", rozwijając żywą działalność publicystyczną; wydał m.in.; zbiór obrazków satyrycznych z życia społecznego Galicji *Pseudo – plotki i prawdy* (1871), *Ultramontanie i moderanci* (1872), wybór artykułów krytycznych *Z wystawy Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie* (1884), powieść *Baczmaha* (1898), pośmiertnie wyszedł zbiór *Obrazki i opowiadania,* t. 1 – 2 (1904). W zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej (rkps 6716 III k. 297) zachował się list Mieczysława Pawlikowskiego do Zygmunta Sarneckiego, dotyczący częściowo nowel Żeromskiego:

Kleparz, 19 sierpnia 1890.

Szanowny i kochany Zygmuncie!

[...] Pani Rzążewskiej posłałem honorarium za *Niedobitka* i doniosłem, że *Pocałunku* drukować nie mogę. Prosi mnie teraz, abym *Pocałunek* złożył w Twoje ręce i zawiadomił Cię, że się o ten rękopis kiedyś zgłosi.

Ściskam Cię najprzyjaźniej, łącząc wyrazy wysokiego szacunku. Twój

Miecz. Pawlikowski

P.S. Z *Elementarzem* postąpię, jak każesz [...], *Pocałunek* załączam.

Wynika z tego, że obydwie nowele Aniela Rzążewska wysłała do redakcji „Nowej Reformy", a nie do redakcji „Świata" – jak zanotował autor *Dziennika* dnia 6 marca 1890 r. Prawdopodobnie stało się tak dlatego, że „Świat" uchodził wtedy za najlepiej redagowane czasopismo literackie i dostać się debiutantowi na jego łamy było o wiele trudniej niż na łamy dziennika.

227 *P o c a ł u n e k* – nowela Żeromskiego, napisana w listopadzie 1889 r., przeznaczona była dla „Tygodnika Powszechnego" pod redakcją Wiktora Gomulickiego, gdzie jednak nie została wydrukowana (ogłosił ją dopiero syn redaktora „Tygodnika", Juliusz W. Gomulicki, w Warszawie dnia l sierpnia 1944 r., jako druk konspiracyjny, który uległ całkowitemu niemal zniszczeniu, a ponownie ukazała się w „Twórczości" 1945, zesz. 5, s. 55 – 75 z komentarzem wydawcy); wynika z tego, że do „Nowej Reformy" wysłał Żeromski inny autograf *Pocałunku,* prawdopodobnie zmieniony, gdyż pisząc pod pseudonimem w dzienniku krakowskim nie musiał się liczyć z wymogami cenzury w Królestwie.

Podpisany jestem na noweli pseudonimem „Stefan Omżerski". Ach, kiedyż się spełni jedyna myśl moja, aby tym pseudonimem podpisywać się w tej „N. Reformie" na moim *Upuście,* po wydaniu na świat którego będę mógł – choćby umrzeć!...

Wczoraj w lesie spotkałem moje panie późno już, bo po siódmej. Natuchna była dobrą dla mnie, obdarzała mię uśmiechami takiej dobroci, że nie mogłem się od niej oderwać oczami. Czasami umyślnie nie chciała patrzeć na mnie. Co za rozkosz dźwigać całą mocą wzroku jej powieki, zmuszać te oczy do uśmiechu i łez, które tak często teraz dostrzegam w nich. „Osóbka" zła jak osa.

– Czemu z pana taki bezczelny kłamca – mówi N. – powiedział pan wczoraj, że w poniedziałek jedzie pan na pewno z Ł.

– Tak sobie powiedziałem.

Oczy jej zamgliły się takim smutkiem prawdziwym. Sceptyk ja jestem i dużo napatrzyłem się na udawanie uczuć, ale teraz N. – kocha mię. Nawet nie kocha, tylko boi się smutku, gdy ją moje uczucia nie będą ścigały uparcie, wiernie, z zawsze silną tęsknotą.

Rozstaliśmy się późnym wieczorem.

9 VIII (sobota).

Sześć jeszcze dni – w przyszłą sobotę o tym czasie będę daleko. Co za cios, co za niedola obudzić się rano i przetarłszy oczy przekonać się, że szczęście na wieki wieków stracone...

Wczoraj znowu przyszły łąką, przez mostek tajemniczy. Panna S. siedziała pomiędzy swymi jałowcami, ja – naprzeciwko Natuchny. Lubi ona teraz moją rozmowę, słucha moich opowiadań z żywą uwagą, interesuje ją, co mnie dotyczy. Czasami w ciągu rozmowy piszę nieznacznie na piasku końcem laski znak zapytania.

Mileńka odrywa z gazety skrawek papieru, wyjmuje z włosów szpilkę i kłuje się w rękę tak, że może krwią pisać. Pisze dużymi, krwawymi literami wyraz:

Nigdy.

Smutkiem mię przejął ten wyraz – wyobrażam sobie bowiem, jak to za sześć dni będę się musiał tego krwią pisanego wyroku uczyć przez całą otchłań czasu...

Panna S., która straciła wiarę w możność zbałamucenia mię, wstała, aby się przejść. Zostaliśmy sami na chwilę.

– Czy naprawdę – nigdy?

– Gdyby pan wiedział, ile ja przecierpiałam, przemęczyłam się. Co się ze mną stało? Ja – upaść tak nisko?

– Gdyby miłość była dyktowała ten uczynek, nie cierpiałaby pani...

– Cóż dyktowało, przeklęty, zły duchu?...

Wstaliśmy i szli za panną S. Mogłem pieścić jej ręce miłe i patrzeć w oczy zamglone łzami. Dokazałem sztuki nie lada, zdoławszy załzawić miłością te oczy zimne, niewzruszone, posępnie spokojne. Biedny tryumf!

– W poniedziałek – powiedziała z uśmiechem przebijającym się przez smutek.

Spotkaliśmy pannę Stanisławę i zaczęła się rozmowa wesoła, w której ja prym trzymam jako bawidama. Panna S. zgubiła rączkę od wachlarza. Gdym go szukał[228] pochylony, N. pociągnęła mię za ucho. Nigdy by tego dawniej nie zrobiła, nigdy, za nic. Co robi z kobiety „bałwan", który ją bałamuci!...

Znowu nocą rozeszliśmy się na wzgórzu. Niedużo już takich spotkań, cztery najwyżej, a potem, potem, potem...

Obłoki, co z ziemi wstają
I płyną w słońca blask złoty,
Ach, one mi się być zdają
Skrzydłami mojej tęsknoty.

Te białe skrzydła powiewne
Często nad ziemią obwisną,
Łzy po nich spływają rzewne,
Czasem i tęczą zabłysną.

Gwiazdy, co błądzą w przestrzeniach
Po drogach nieskończoności,
Są one dla mnie w marzeniach
Oczami mojej miłości.

Patrzą się w ciemne odmęty
Te wielkie, ruchome słońca,
I ja miłością przejęty
Patrzę i tęsknię bez końca.

ASNYK *Tęsknota*[229]

Oto jeden z cudnych dźwięków miłości...

11 VIII (poniedziałek).

W sobotę pani Aniela namówiła mię na wizytę w Patkowie Pruskim. Zgadzałem się, ponieważ dnia poprzedniego Natalka – warunkowo wprawdzie – obiecała być tam. Zaledwie jednak zdążyłem się ubrać, Natuchna ukazała się tu w Ł. Byłem wściekły. Ona zaraz zaczęła mię przepraszać oczami, że pokrzyżowały się plany. Umyślnie przybyła tutaj, aby załagodzić mój smutek z tego powodu, że ona tam nie będzie i nasze spotkanie zwykłe w lesie przepadnie.

Pod chwilową nieobecność tej przebrzydłej skorupy, Anieli, mówiła mi:

– Czemu pan taki blady? Niech pan nie jedzie!

228 G d y m g o s z u k a ł – tak w autografie, zamiast: jej.

229 A s n y k a *T ę s k n o t a* – wiersz przytoczony w całości; pierwodruk w „Bluszczu" 1871, nr 41; przedruk w I tomie *Poezyj* przez El...y. Lwów 1881.

– A co powie?

– Jaka szkoda! Zły duch doradził panu zgodę na tę wizytę...

Pojechaliśmy. W lesie wysiadłem, aby odnaleźć i zabrać na Prusy pannę Stanisławę. Siedziała obok pniaka. Namowy moje nie skutkowały, pomimo ściskania za rączkę i czułych spojrzeń, pani Aniela musiała sama wysiąść i prosić. Wsiadła wreszcie. Wolant jest niezmiernie ciasny. Siedziałem w nogach na ławeczce z nogami przyciśniętymi do nóg panny Stasi. Bynajmniej ją to nie gniewało. Na Prusach, po przyjeździe naszym, podzieliliśmy się na pary: pani Aniela z panią Lucyną, ja z panną Stasią.

Poszliśmy do ogrodu. Zaczęła mi bajać niestworzone rzeczy i po prostu nakłaniać do śmiałości. Wiedziałem, że wszystkie moje operacje powtórzy Natalce, której sprawią one przykrość, lecz że „osóbka" dała mi do zrozumienia, że wie, dlaczego ja patrzę miłośnie w oczy N. – tj. dlatego, aby upozorować miłość dla niej, dla tej niby panny Stasi – gdy kilka razy źle się wyraziła o Natalce, postanowiłem ukarać ją za to w sposób odpowiedni. Wieczór zapadał, zacząłem tedy obcałowywać ją po rękach, a gdy noc zapadła i panie kwoki gdzieś znikły z ogrodu, objąłem ją wpół na bocznej uliczce i pocałowałem z dubeltówki. Nie bardzo nawet gniewała się o to. Usiedliśmy na ławce na samym dnie ogrodu i tam mogłem przyciskać śliczną talią i gorące piersi do siebie.

– To wszystko przy nim! – mówiła, wyjmując z kieszeni fotografią swego narzeczonego, doktora.

– Toteż niech pani ucieknie ze mną.

– Dokąd? Panie...

– O, tą furtką na pole, później do Siedlec, do Warszawy itd.

Noc zupełna zaszła nas na owej ławce, w oknach dworu na górze zabłysły światła, trzeba było wracać.

– Panie, co już o mnie i o panu mówić teraz będą?

– Niech mówią ... Co to pani szkodzi?

– Napisał pan dla mnie wierszyk?

– A sztambuch?

– Ja panu dam na pamiątkę w zamian za wierszyk coś prześlicznego...

– Fotografią?

– Fotografią przyślę panu, chce pan? Pan napisze, gdzie przysłać, chce pan?

– Ależ chcę ... chcę...

– Napisze pan adres? itd.

„Bez miłości całowałem jej usta"... Tak sobie. Wracamy o dwunastej w nocy. Obiecała okrywać mię od zimna swym płaszczem, okrywała też. Było ciemno jak w piekle. Podsuwam jedną rękę pod jej płaszczyk, drugą do pantofelków – co będzie, to będzie. Znalazłem i rękę, i pantofelki, i zaczynam ściskanie. Ręką odwzajemniała uściski, nogą nie – z tego względu zapewne, że nogą ściskać nie można. Tak przejechaliśmy całą drogę. Wyobrażam sobie, co się działo z Anielą. Gdyśmy odwożąc do domu pannę S. zajechali przed dwór w P., dostrzegłem, że okna w pokoju Natuchny są otwarte. Za chwilę usłyszałem, nim konie ruszyły, jak panna S. wbiegła tam wołając:

– Pani moja, cóż to za łotr!...

Wiedziałem dobrze, że ta sroka powtórzy wszystko Natuchnie, wczoraj więc pojechałem po południu konno do P. Natalka wyszła nierychło, była blada, smutna, podała mi końce palców i szybko cofnęła rękę. Doktór siedział jak przyśrubowany w salonie, a dowcipny był...

– Panie, bajki mi o panu napełniają uszy. Całe Podlasie tylko o pannie Stanisławie i panu mówi. Schadzki, mówią, miewacie...

– W powietrzu.

– Strzeż się pan! Szczęściem moja żona nie ma, słowo honoru, w plotkach tych udziału żadnego, wierz mi pan.

– Ależ czy to ja nie miałem czasu poznać pani doktorowej z tej właśnie szlachetnej strony...

Doktór kontent zaczyna coraz bardziej wychwalać swoją żonę... Ona przymyka oczy i patrzy na mnie przez długie rzęsy. Nudny jest już ze swą baranią nieświadomością ten doktór. Gdy się oddalił, Natuchna ze smutkiem mówiła:

– Okłamuje mię pan...

– Ja pani wszystko opowiem, wszystko od a do z.

– Dlaczegóż na osobności ją pan całował? – tego pan nie wytłomaczy. Biedna ja...

– Proszę posłuchać: mówiła mi, że rozumie mię, że ja dlatego emabluję panią, abym ją mógł widywać. Czyż to źle dla nas?

– To prawda?

– Prawda szczera. Czyż ja mógłbym?

Natuchna mię kocha – przebacza szybko. Wszedł doktór i zaczął mię mordować swymi zwierzeniami gospodarskimi:

450 kóp pszenicy, 200 fornalek grochu itd. Słucham, łowiąc jednocześnie uchem szmer sukni Natuchny, która wybierała się na wizytę do Ł. Mieliśmy jechać razem po kawie. Po kawie wyjeżdżamy. Natuchna zabiera pannę S. do lasu, gdyż ta ostatnia obrażona jest na Anielę za plotki.

Aniela miała sobie wyjechać z wizytą do *high – life'u* – do Ruskowa, jedziemy więc wesoło. Ja pędzę na koniu obok powozu w tumanach kurzu, zażywam konia, skaczę przez rowy jak czysta małpa. Gdy panna S. wysiadła, mogę podjeżdżać z boku i zaglądać w słodkie oczy, które już przestały się gniewać i patrzą na mnie z miłością; czasami, gdy pędzę co koń skoczy i podlatuję do drzwiczek ze zgrabnością chłopaka stajennego – patrzą z zachwytem. Ech, ty – Natuchno...

Po piasku w alei powozik jej wlókł się leniwo, ja jechałem przy drzwiczkach, mówiliśmy słodkie, cichutkie, miłe słowa, pochwały i komplementa, które z serca płyną.

Ale – o rozpaczy! – gdy wjeżdżamy na dziedziniec, dostrzegam na ganku panią Anielę: nie pojechała do Ruskowa. Obok niej jest druga skorupa, pani Chwalisławowa. Wszystko to podchodzi do mnie z szyderstwami.

– Co to znaczy panna na Podlasiu, młodzież konno, literaci konno!

Pani Chwalisławowa, która sądziła, że jestem *ferme, solide*[230] na wszelkie pokusy dziewicze, zarzucała mię przycinkami i taką ironią, jakbym był i jej niewiernym kochankiem... Dobrze! Nie mówiłem z Natusią na osobności ani słowa, tylko gdy mi na odjezdnym podawała rękę, szepnęła:

– Jutro...

12 VIII (wtorek).

Wczoraj towarzyszki moje zastałem już przy pniaku. Przyszły wcześniej, ponieważ doktór wyjechał do Janowa[231]. Panna S. zajęła się czytaniem listów, a ja, mając ze sobą

230 *f e r m e, s o l i d e* – (franc.) nieugięty, wytrzymały.

231 w y j e c h a ł d o J a n o w a – w Janowie Podlaskim (pow. konstantynowski) była słynna stadnina koni; być może, iż doktor Faÿtt wybrał się tam w celu nabycia nowych koni w miejsce skradzionych z jego stajni.

ołówek, prowadziłem korespondencyjkę z Natuchną moją. Pisała mi na skraweczkach szarego papieru:

Nie wierzę. Nie zobaczę do *10½*...

– Cóż tam porabiają, co mówią podlaskie arcyjęzyki? – pyta p. Stasia.

– Alboż ja wiem? Ja do nich nie należę. Może pani wie cokolwiek więcej ode mnie.

– Ja? Pan sądzi, że i ja mam arcyjęzyk?...

– Tak sądzę...

– Panie! Jeszcze tylko pięć dni i kłóci się pan ze mną... Mówię dużo z Natusią, bawię ją, zajmuję opowiadaniami. Tak dobrze sercu patrzeć na nią, mówić i być pewnym, że słowa moje pamiętać będzie. Panna S. opowiada o koncercie rosyjskim w R.[232], o tym, że się wesoło bawiła, że mnóstwo na nim było Polaków „z towarzystwa".

– Mnie to dziwi – mówi Natuś – że Polacy chodzili na ruskie koncerty. Ja bym za nic nie poszła.

– Ależ i Moskale chodzili na nasze teatra amatorskie!

– Oni są u nas, ale my nigdy nie powinniśmy zapominać o tym, że to nas do nich zbliża.

Jakże jej nie kochać za to dobre, szlachetne serce. Nie jest to w niej afektacją ani środkiem przypodobania mi się. Znam ją pod tym względem... Na parę minut panna S. poszła sobie w las. Wówczas mówiliśmy szybko, jak tylko można najszybciej, o naszych najbliższych sprawach.

– Nie gniewa się pani już na mnie?

– Jeszcze nie wierzę, musi mię pan przekonać dobitnie.

– Mogę...

– Przeklęty bałamut!

Poszliśmy przejść się po lesie, gdy słońce zachodziło. Cudne mroki słały się po niskich zaroślach, podczas gdy wierzchołki sosen stały jeszcze w słońcu. O ósmej pożegnałem je, pragnąc wcześniej wrócić do domu.

Trzynasta schadzka!

Wcześniej się teraz zaczynają wieczory, księżyca nie ma, noc ciemna choć oko wykol. Długo siedząc na progu rozprawiam z piernikiem[233] o socjalizmie i wolnomularstwie, termomikrofonach i astronomii, badając jednocześnie cichaczem, czy jest już trzy na dziesiątą. Gdy zegar wyszepleni tę sylabę, ziewam, udaję sennego, idę do mej nory, przebieram się i wymykam poza zaroślami. Doktór miał wracać z Janowa moją drogą, dwaj młodzi dżentelmeni, Lutas i Wacuś, pojechali do P. konno, mogli wracać o dziesiątej właśnie, mądra więc ostrożność kazała mi iść nie drogą, lecz szczerym polem. Pókim szedł ścierniskami, pięknie się szło, lecz minąwszy drogę i rwąc na przełaj ku lasowi wpadłem w świeżo pooraną rolę. Katorga istna walić wiorstę drogi po kolana w sypkiej roli. Z roli wlazłem w kartofle. Sucha nać skrzeczy pod nogami, kuropatwy zrywają się co chwila, bom całe ich stado rozbił... Nareszcie dochodzę do lasu i rozkoszuję się chłodem i bezpieczeństwem.

Gdym przerżnął las i wyszedł w miejsce widniejsze, słyszę, o kilkanaście kroków przede mną suche gałęzie trzeszczą, ktoś idzie i gwizda. Gwizda po podlasku jakiegoś zawijańca – chłop tedy. Widzieć go nie widzę, bo ciemno piekielne, majaczeje mi tylko

232 o koncercie rosyjskim w R. – zapewne w Radomiu, gdzie przebiegała wczesna faza romansu panny Stanisławy z jej narzeczonym, doktorem.

233 rozprawiam z piernikiem – tj. z Władysławem Lewińskim, rezydentem w Łysowie.

w oddali pod słabym brzaskiem gwiazd. Poszedł przez łąki, moją drogą, na mostek. Gdy się oddalił bardzo – ruszyłem *magna cum audacia*[234]. Nad rzeczką już, mostku nie dochodząc, usłyszałem gwizdawki stróżów – dwu ich chodzi obecnie. Jeden woła cieniutko, drugi grubiej. Obaj byli daleko.

Gdym stanął na mostku, słyszę nagle tętent galopem pędzących koni: Wacuś i Lutas wracali. Gdybym był szedł dawną drogą, wlazłbym im w same zęby.

Mosteczek – poczciwiec ugina się pode mną, gdy go cichym stąpaniem przemijam. Minąwszy, orientuję się pilnie, by według wskazówek rozsądku trafić nań w razie sromotnej rejterady. A zresztą – ruszam ścieżką, przeskakuję płot i idę przez zagony prosto do furtki. Co za diabelskie zarośla potworzyła fasola – opowiedzieć trudno. Odsuwam rękami przerzucające się przez moją drogę liany, podnoszę tyczki, posuwam się cal po calu. Nareszcie jestem przy furtce. Natuchna czekała już z główką o słup opartą.

– Nie otworzę – szepce – zdradzasz mię. Kocha pan pannę L.?

– Nad życie, ale proszę otworzyć.

Podaję klucz, otwiera cichuteńko, idzie potem na ogród zobaczyć, gdzie się obraca ogrodnik, podczas gdy ja stygnę po spacerku leżąc na ziemi. Cichutko skrzypnęła furtka – jest na mych piersiach mitenka.

Noc cicha i ciepła, gwiazdy migocą. Ciemno jest tak, że oczu nie widać, ustami ich doszukiwać się trzeba. Ach, nie wystarczają nam już dawne, świątobliwe pocałunki; zmysły się rozpętały. Natuchna naprawdę nie żyje z mężem, choć mieszkają pod jednym dachem. Jaka ona, jaka ona... płomienista, gdy omdleje w oporze! Pierwszy raz mam szczęście... być kochanym wszystkim, co jest w kobiecie. Oddała mi się wczoraj dla samej miłości, w jej imię, na nic nie bacząc. O, rozkoszy wspomnień o tej minucie szału bez miary i granic! Jak ona mię wtedy prosiła, aby jej nigdy nie zdradzić, nigdy nie zapomnieć, jak mi przysięgała wieczną miłość!

Złudzenie – nic nie trwa wiecznie, minuty przysiąg tylko za wieczność starczą. „Tam się zaczyna miłość, gdzie się kończy skromność..." To prawda. Kobieta wtedy dopiero szalenie kocha, gdy zniżyła się, oddała, gdy straciła rozum i żyje, myśli, oddycha tęsknotą a uczuciem. Natuś by mię zapomniała inaczej – dziś nie zapomni. Więcej jej kalać nie będę, kochanki z niej mieć nie chcę, choć żadna na świecie kobieta nie umie tak porwać i zachwycić pieszczotą jak ona, namiętna.

– Jak tylko stąd wyjedziesz, ja mężowi mojemu o wszystkim powiem.

– Dlaczego?

– Dlatego, że nie znoszę hipokryzji. Zechce rozłączyć się ze mną – bardzo dobrze; nie – to mieszkać będziemy pod jednym dachem, ale zupełnie rozłączeni. Mamże być jedną z wielu pań, świętoszek, czcigodnych dam?...

– Ciekawym tych zwierzeń...

– Ale my nie zobaczemy się więcej.

Stróż nadchodził, słyszałem jego kroki na ścieżce, szybko też wbiegła przez furtkę, zamknęła i oddawszy mi klucz zniknęła w ciemności.

Wyplątywałem się z kwadrans z zarośli fasoli, nimem na czyste pole wyszedł. Noc piękna. Szedłem leniwo, w lesie odpoczywałem. Rozkosz patrzeć z ciemności leśnej w głębinę nieba usianą gwiazdami, które zdają się dotykać koron sosnowych. Radzę jednak obserwować to zjawisko powracając ze schadzki z cudzą śliczną, młodą żoną. O 12 wróciłem do domu.

234 *magna cum audacia* – (łac.) z wielką śmiałością.

13 VIII (środa).

Nigdy chyba spotkanie nasze nie było tak wesołe jak wczoraj w lesie. Natuchna była wesoła. Przed moim pójściem była straszna burza, ulewa nieopisana, wicher połamał drzewa, porozmiatał na pół wiorsty zboże pożęte. Drogą moją szedł strumień wody, powymywał w niej wyrwy, powyrzucał kamienie. Boska burza!

Gdym się zbliżał do lasu, usłyszałem głos panny Stanisławy, która czytała coś. Czytała z *Kwiatów i pieśni,* ofiarowanych przeze mnie Natuchnie, śliczne piosenki Asnyka[235]. W lesie na każdej igle sosnowej wisiały ogromne czarne krople, było mokro. Panieneczki moje porozkładały szale i nie obawiając się wilgoci siedziały na ziemi. Próbowaliśmy chodzić, lecz nie można było dla wilgoci. Ostatnie dnie moje, prześliczne dnie. O czym mówiliśmy – nie pamiętam; dużo było śmiechu, radości, wesołości. Gdy się zbliżał wieczór, odprowadzały mię drogą na brzeg lasu. Wtedy usłyszeliśmy tętent: młodzież jechała.

– Uciekajmy! – woła panna S.

Zaczynamy wszyscy uciekać w las i kryjemy się w zaroślach. Ja kryję się obok Natuchny, abym mógł całować kryjomo jej rączki. Zabawna ta ucieczka. Wyszliśmy, gdy jeźdźcy znikli za wzgórzem.

Później rozmawialiśmy jeszcze, chodząc po umytym przez burzę piasku drogi, podczas gdy ja tłomaczyłem Natuchnie sztukę odczytywania na piasku hieroglifów, czyli śladów jej pantofelków.

Dała mi *Kwiaty i pieśni* dla wpisania na ostatniej stronicy kilku słów. Napisałem taki głupi wiersz:

W głębokiej szczęście moje
Mogile zakopane...
Na drogę łez mam zdroje
I ręce załamane.

Na drogę życie dało
Pielgrzymi kij żebraczy,
A serce piosnkę małą
Wychowało w rozpaczy.

A droga to daleka,
Obchodzi świat wokoło,
W niezmierną dal ucieka
I skwarem pali czoło.

Lecz barki mam ze skały
I siły niezdławione,
Obejdę świat ten cały
I wrócę w drogą stronę;

Powrócę do mogiły,

235 ś l i c z n e p i o s e n k i A s n y k a – w antologii *Kwiaty i pieśni* (Warszawa 1890) Maria Konopnicka zamieściła – przeważnie w wyjątkach – następujące wiersze Asnyka pod kryptonimem El–y: *Konwalijka, Zwiędły listek, Lilie wodne, Szkoda kwiatów, Na pamiątkę, Między nami nic nie było!, Fiołki, Ty czekaj mnie!, Róża, Posyłam kwiaty, Powój.*

Ostatkiem tchu powrócę
I szczęścia trup przegniły
Pocałunkiem ocucę...

14 VIII (czwartek).

– Dlaczego pan tak późno przychodzi, godzina szósta... – wita mię Natuchna, gdy zjawiam się na [tle] drzew obok naszego pniaka. Czekały na mnie od godziny piątej, ponieważ poprzedniego dnia mówiłem, że przyjdę wcześniej. Węzeł nasz zacisnął się, zbliżyliśmy się upodobaniami, tajemnicami, czymś nieokreślonym. Zaczynamy na gwałt układać projekt wycieczki do Drohiczyna na dziś, mamy jechać w kilka osób na Zabuże, aby Ł. ominąć. Wątpię jednak, aby projekt ten mógł się urzeczywistnić. Tajemnie przed panną S. podałem Natuchnie *Kwiaty i pieśni* – ona w zamian za wiersz odrywa z gazety strzępek papieru i szpilką pisze na nim:

P...(piątek) – 10.

Panna Stanisława zła jest ogromnie, zupełnie ją bowiem – według wyrażenia pani Anieli – „negliżuję". Powiedziała Natuchnie, że doprowadzi mię do tego, że przed wyjazdem oświadczę jej się (a ona mi da kosza naturalnie), tymczasem ja nie tylko oświadczać się, ale zajmować nią nie myślę. Lubię z nią rozmawiać, bo bardzo inteligentna, dowcipna, wiele ma wiadomości zazwyczaj niedostępnych dla kobiet, ale – szczególna rzecz – nie czuję tych diabelskich kurczów, jakie mię chwytają, gdy mówię z ładną kobietą.

Siedziemy wszyscy troje na ziemi, tylko „osóbka" skacze czasami ze swego „łoża" między jałowcami i usiada na pniaku. Z polanki naszej wychodzi aż na drogę wąski korytarz. Między właśnie ściany sosen korytarz ten tworzące zapada słońce, gdy zachodzi. Pod słońce to palą się igiełki sosen, szary płot otaczający pole czerwienieje i migoce daleka przestrzeń pól. Gdy się od zachodu tego odwraca oczy, spotykasz najdroższy na świecie skarb: spojrzenie zakochanej w tobie kobiety i dzięki uczuciu temu smutnej.

Chwile – perły uriańskie. Ale nanizanych mam jeszcze – dwie, reszta roztrwoniona w przeszłym czasie. Pacierz ten zmówiony i tylko karząca ręka nasuwa się, nasuwa, nasuwa... Panna Stanisława poszła przejść się, zostaliśmy sami na kwadrans.

– Panna S. prosiła mię na wszystko, aby pana z nią na chwilę zostawić, coś ma panu ważnego powiedzieć...

– Czy zobaczemy się w Siedlcach?

– Będzie pan?

– 28.?

– Tak. Stanie pan w hotelu „Victoria", a rano u numerowego z Hotelu Angielskiego zostawi bilecik do mnie.

– Cóż dalej?

– Nic. Spotkamy się w parku.

– Po to, aby całe Siedlce wiedziały, że pani chodzi z nieznajomym dandysem?

– No to jakże zrobić?

– Ja napiszę w owym bileciku mój numer w hotelu...

– Ależ za nic! Wolę pana nie widzieć. To hańba!

– Zawsze jedna piosenka! Gdyby był inny środek – na pewno nie narażałbym panią na tę przykrość. Ale trzebaż, aby mnie nikt nie widział. Prawda, cudo?

– Prawda, prawda, potworze... Niech pan przyjedzie na imieniny mojego męża. Przyszle pan wcześniej bilet, my poślemy zaproszenie. Mąż mój prosił już pana o odwiedzanie nas, prawda?

– Ach, prawda... Ten mąż...

– Biedny mąż! Co pan tu porobił... Kto mógł przypuścić, że z pana taki uwodziciel. Takie zdawało się trusiątko...

Panna S. śpiewała sobie miłosne piosenki, nie bez tego jednak, aby nas [nie] śledzić z oddali. Nadeszła – poszliśmy w las daleki, po wzgórzach, krętą drogą.

Słońce zgasło, szybko w lesie zapadła noc. Wcześnie, bo już o ósmej ciemno jest zupełnie. Odprowadzają mię jeszcze na brzeg lasu. Z daleka kłaniam się na pożegnanie pannie S., bo mię o to prosiła Natuchna, aby jej nie całować (niby tej panny) w rękę, jak to miało miejsce dni poprzednich. Z daleka jeszcze wołają:

– Jutro przyjść wcześniej!...

16 VIII (sobota).

Chyżo, na skrzydłach szczęścia, na nic nie bacząc, dobiegłem do tego dnia jak do brzegu przepaści. Tysiące wspomnień, pamiątek chwyta mię za ręce, za serce, gdy z idiotyczną starannością pakuję na drogę moje rzeczy, książki, moje pamiątki od Natuchny. Jutro o tej porze będę o kilkadziesiąt mil od niej i będzie to trwać zawsze, bez końca. Ach, Boże!

Wspomnienia moje złote!

We czwartek, ukończywszy wcześniej niż zwykle lekcje, poszedłem do P., mieliśmy bowiem jechać na wycieczkę do Drohiczyna.

Minąłem las i z jego skraju dostrzegłem Wacka, jadącego dokądś przez pole konno. Domyśliłem się, że z wycieczki nic nie będzie, postanowiłem jednak dowiedzieć się osobiście. Gdym wyszedł z lasu, spotkałem na drodze chłopaka Denisa, mojego przyjaciela: szedł z listem do mnie. List pisała panna Stanisława. Chłopak się obejrzał, jak miał rozkaz, na cztery strony świata i oddał mi liścik, zapraszający w imieniu N. do P., aby razem jechać na Prusy, ponieważ wycieczka odłożoną została do dnia następnego. Poszedłem szybko.

Na podwórzu spotkałem się z doktorem obok ogromnych stert ze zbożem. Podszedł ku mnie z niezwykłą galanterią, zapraszał do wzięcia udziału w jutrzejszej wyprawie i towarzyszenia paniom na Prusy. Pożegnałem go czule, tym czulej, że jechał sobie w pole, i poszedłem do dworu. Nie zastałem nikogo, minąłem wszystkie pokoje i zeszedłem do ogrodu. Tam spotkałem Natuchnę z Lutasem. Oczy jej świeciły takim cudnym blaskiem, gdy mię witała. Ostatnie promyki mojego szczęścia!...

Poszliśmy do salonu i, powyprawiawszy zgrabnie osoby zbyteczne, mogli pieścić się w cichości. Prosiła tylko, aby nie umizgać się do p. Stanisławy i nie robić jej (?)[236]tym przykrości. Co chwila oczy jej zachodzą łzami, szuka moich rąk...

236 j e j (?) – znak zapytania pochodzi od autora.

Przyszła panna S., musiałem ją bawić nizaniem na nitkę konwenansu paciorków bezmyślnie dowcipnej rozmowy. Robiła straszne oko do mnie, wyznawała prawie miłość aluzjami, których nie chciało mi się rozumieć. Zostawałem z nią sam, wówczas mogłem całować – i nie całowałem, mówiłem [o] talencie Sienkiewicza. Pewna jest, że się w niej kocham, chce mię gwałtem zmusić do padania na kolana – na próżno. Nie chce mi się już tych kłamstw, choć jest przecudną i choć mam zapewnione u niej łaski, jakich bym tylko zapragnął.

Robiła mi wymówki, że o „naszych" pocałunkach mówiłem Natuchnie – gęś!

O siódmej wyjeżdżaliśmy z P. Gdym pomagał wsiadać do powoziku moim paniom, przez podwórze przejechała, dążąc także na Prusy, pani Aniela. Zmierzyła mię strasznym wzrokiem i pojechała naprzód. Pamiętam tę wesołą drogę alejami, wsią unicką, lasem, te miłe słowa, te tajemne serdeczne słowa, które leżą kamieniem żalu na sercu. Po co to, po co? Człowiek sam sobie przysparza nieszczęścia, za szczęściem goniąc.

W P. wyjątkowo mogłem mówić na ganku z Natuchną. Chodziliśmy we troje po ogrodzie, siedzieliśmy na ławce, podczas gdy pani Aniela chodziła z panem Adolfom. Była straszna. Co chwila dokuczała podłymi przycinkami Natalce. Gotował się we mnie war wściekłości, ale milczałem ścisnąwszy zęby.

Przy kolacji mówiła z panną S. gardząc Natuchną. Każde słowo tej ostatniej starała się przekręcić i wyśmiać. Wreszcie wpadła w ferwor i miłość N. dla Irenki, sposób chowania tej dziewczynki poddała szyderstwu.

– Daleko lepiej chowała ją bona – mówiła. – Natalka chowa ją bez taktu żadnego. Pieści ją bezrozumnie...

– Wychowaniem Adasia przez panią zachwyciłby się Pestalozzi[237]...

– Tak, pan Adasia nie lubi, a że w jednych upatruje pan wszystko dobre, we mnie zaś i Adasiu – wszystko złe, wynika stąd, że Adaś jest źle chowany.

– Ja wziąłem na siebie obowiązek wychowania Adasia nie dlatego, abym go lubił lub nie lubił, ale dlatego, abym go na człowieka urabiał. Jeżeli oszukuje mię robiąc zadanie, to popełnia zbrodnię w zakresie jego działalności taką samą jak ktoś fałszujący weksle i za to powinien być ukarany. Dorosłych karze się kryminałem, dziecko przestrachem, a w ostatecznym razie rózgą. Wszyscy popełniamy czyny dobre pod strachem kary, tym więcej dziecko. Dowodzić, że karać chciałem Adasia, kiedy kilkanaście razy z rzędu oszukiwał mię, dlatego, że go nie lubię – znaczy dowodzić, że dwa razy dwa jest lampa[238].

Byłem podobno zielonkowaty, gdym to mówił przy całym gremium podlaskim. Gdyśmy wyjeżdżali, pani Aniela spytała mię ze zjadliwym uśmiechem.

– Pan pewno będzie towarzyszył paniom?

– Nie inaczej.

– A później?

– Później pójdę piechotą do Ł.

---

237 P e s t a l o z z i – Johann Heinrich Pestalozzi (1746 – 1827), znakomity pedagog szwajcarski, twórca teorii poglądowości nauczania, nazywany „ojcem szkoły ludowej"; sądził jak Rousseau, że zadaniem wychowania jest pomagać naturze ludzkiej w rozwoju, nie dzielił z nim jednak optymistycznej wiary w dobroć ludzkiej natury; dlatego wychowanie moralne powinno pomóc niedojrzałej jednostce w przechodzeniu od pierwotnego stanu naiwnego egoizmu poprzez stadium, w którym człowiek jest ograniczony potrzebami innych ludzi i prawami porządku społecznego, aż do stanu moralnej autonomii, wynikającej z samodzielnego poznania.

238 d w a r a z y d w a j e s t l a m p a – cytat z *Bez dogmatu* Henryka Sienkiewicza:

Ktoś powiedział, że jeśli się mężczyzna myli, to mówi, że dwa razy dwa jest pięć – i błąd może być sprostowany; kobieta zaś myląc się twierdzi, że dwa razy dwa jest lampa – i wtedy choć głową o mur bij *(Pisma, t.* VII, nakład redakcji „Tygodnika Ilustrowanego", Warszawa 1899, s. 47).

Gdy wsiadaliśmy, Natuchna szepnęła wskazując mi miejsce naprzeciwko siebie w powozie na ławeczce:

– Tu...

Noc ciemna, chmurna, burza szła. Ręce nasze spotkały się zaraz za bramą. W lesie ciemność nieprzejrzana, można było, dotykać nóżek osznurowanych wysoko aż do kolana. Jest już moją bezbronną kochanką i kocha namiętnie. Każda pieszczota jest mi dozwoloną.

– Ach, co mnie dziś mówiła pani Aniela – woła panna S. – co mówiła, krew się w żyłach ścina...

– Cóż takiego?

– Spotkała się na polu, jadąc do P., z panem doktorem i mówiła mu dziwne rzeczy, które mnie powtórzyła następnie. Nie mogę nawet wierzyć – to coś okropnego...

Ręka Natuchny ścisnęła moją z całej siły i trwał ten uścisk do końca naszej drogi. Pamiętać go będę do końca życia, bo szukała nim we mnie obrony, moralnie mi się oddała. Moja najbiedniejsza! Miałem chęć chwycić za gardło pannę S., przydusić kolanami, aby mi powiedziała wszystko, co jej mówiła ta podła, alem musiał grać komedią, śmiać się, być dowcipnym.

– Gdyby pan wiedział, jaką przysięgę musiałam złożyć przed panią Anielą...

– Jakąż?

– Badała mnie jak sędzia... w kim pan się kocha. Ja musiałam przysiąc, że nie we mnie.

– Krzywoprzysięstwo – to grzech ogromny.

– Czy tak?

– Pan jutro do nas przyjedzie na obiad, pojedziemy na wycieczkę do Drohiczyna – szepnęła Natalka, a schylając się, gdym wysiadał, dodała: – Co będzie, to będzie...

Konwulsyjnie przycisnąłem do ust jej rękę na pożegnanie.

Wolant pani Anieli stał przed gankiem w P. Latarnie świeciły jak ślepie potwora. Chaos rozpaczy mię dławił za gardło.

Musiałem być sam – koniecznie, dużo iść, zmęczyć się fizycznie.

– Proszę wsiadać, panie Stefanie – zawołała pani Aniela.

– Niech pani będzie łaskawa jechać, ja pójdę. Poszedłem szybko. Dopędziła mię przy bramie i znowu nalegać poczęła, bym wsiadał. Czułem w gardle zwierzęcą chęć do wrzasku i nie mogłem wsiąść, bo byłbym ją tam może wziął za gardło. Mruknąłem tylko coś złego i poszedłem po głębokim piasku. Jechała przede mną noga za nogą. Strasznie cierpiałem. Lutas jechał obok mnie na koniu, coś do mnie mówił, opowiadał...

Późno w nocy przyszedłem do domu i nie rozbierając się rzuciłem się na łóżko, aby leżeć i strasznie kląć na wszystko. Co za noc!

Wczoraj – dzień śmierci mojej matki, jedenasta rocznica jej śmierci. Wstałem ociężały, taki jakiś, jakim musi być człowiek idący na śmierć – ach, gdyby na śmierć! Lewiński, Lutas i ja pojechaliśmy do kościoła. Byłem w nim ostatni raz, w tej zakrystii, gdziem nieraz tęsknił [za] moją Natuchną, gdziem i wczoraj jej oczekiwał, cały zamieniwszy się w słuch. Nie przyjechała – zły znak...

Lud mój podlaski po raz ostatni w gromadzie widziałem. Chaos, chaos...

Po nabożeństwie, wesoło dowcipkując, pojechaliśmy do P. Niezły dowód odwagi, boć po wczorajszym doniesieniu doktorowi, które było licho wie jakie, mogłem być wyrzucony przezeń za drzwi. Śmieszna rzecz – podjeżdżając do P. myślałem o rodzaju zniewagi, jaką bym mógł mu odpłacić, aby się bić ze mną musiał... Zajechaliśmy przed ganek – nikt nie wyszedł. W salonie zjawił się lokaj z oświadczeniem, że pan doktór pojechał do Ł., a pani zajęta i prosi, aby poczekać chwileczkę. Rozkoszne czekanie i rozmowa o urodzajach i polityce z panami sąsiadami.

Nareszcie wyszła Natuchna: ona zawsze spokojna, nigdy nie wzruszona niczym. Badam ją wzrokiem jak sędzia śledczy, ale nic mi nie mówią te oczy. Z zapraszania mię jednak na obiad wywnioskowałem, że złego nic być nie może. Zostałem. Miał wrócić na obiad doktór po konferencji z panią Anielą. Nie mogę się chełpić, abym nie zadrżał, gdy zaturkotała jego bryczka przed gankiem. Wszedł blady, sztywny, zimny. Podszedł do mnie z wyciągniętą ręką, nie patrząc mi jednak w oczy.

Powiedziała mu tylko kilka domyślników lub on – tchórz... Jakaż otchłań nizoty leżała pod moimi nogami, gdym mu rękę podawał. Oto nienawidzi mię pewno, brzydzi się mną i ja nim, rad by mię pchnąć i nazwać plugawcem, jak ja jego, a zajmujemy fotele naprzeciwko siebie i udzielamy sobie wzajem wiadomości, które wyczytaliśmy w jednej i tej samej gazecie. Nigdy w życiu nie jadłem piekielniejszego obiadu jak wczorajszy. Co za męczarnia! Po obiedzie Natuchna przechodząc obok mnie powiedziała:

– Niech pan się postara być ze mną na wycieczce sam na sam, mam powiedzieć wiele rzeczy...

O czwartej wyjechaliśmy na ową wycieczkę. Wóz drabiniasty wypchano słomą, zaprzężono cztery konie i wsiadło nas nań dziesięć osób. Jechaliśmy na Niemojki i wieś, omijając dwór w Ł. O szóstej przyjechaliśmy na brzeg Buga. N. była ciągle smutna i ciągle, zakrywszy się parasolką lub wachlarzem, płakała. Usiadłem z tyłu na siedzeniu i czasami mogłem uścisnąć jej rękę. Konie zostały na tej stronie rzeki, my zaś przeprawiliśmy się promem. Wysiadłszy na brzeg litewski, podałem ramię Natusi i odłączyłem się tym sposobem od reszty towarzystwa. Szliśmy po grubym ziarnistym piasku brzegiem rzeki. Mówiła mi cicho:

– Aniela dała do zrozumienia mężowi mojemu, że pan prowadził ze mną romans, ale on temu nie uwierzył. Powiedziała mu, że wszystko, co wie, wszystkie swoje przypuszczenia powie mamie mojej, a ona, jeśli uzna za stosowne, jemu to powtórzy lub nie. Zdradziła nas, jednym słowem. Pannie Stanisławie powiedziała wszystko, badała ją, czy pan we mnie się kocha, i ta powiedziała, że tak. Co teraz ze mną będzie? Czy pan nie ma jakiego środka, ażeby powstrzymać Anielę od powiedzenia mojej matce?

– Mam jeden, ale bardzo podły...

– Ach, Boże!...

Starałem się ją pocieszyć biednymi argumentami, w które sam nie wierzę. Jutro jadę i zostawiam ją, najukochańszą, na pastwę nie już plotek, ale katuszy, bo będzie musiała tłomaczyć się przed swymi rodzicami i mężem. A mnie tu nie będzie, a ja nie będę mógł nikomu zamknąć ust, choćby najgłośniej, najzjadliwiej gadał. Ta nikczemna kobieta, która była moją kochanką, ta Aniela, gotowa na moje skinienie przyjść, gdziem kazał, dała mi słowo honoru, że tylko przy mnie powiedziałaby doktorowi – powiedziała tajemnie, powiedziała wtedy dopiero, gdy wyjeżdżam.

Jakie miała prawo po temu, czym usprawiedliwić zdoła tę nikczemność? Niczym – wolą swą, mocą, jaką posiada język ludzki. Powaleni jesteśmy oboje na ziemię z Natuchną, bo szukaliśmy prawa w uczuciu. Depcą nas ludzie plugawi, tajemne szczęście nasze zdradza łajdaczka – i mamy na obronę tylko jęk i rozpacz. I nikt z prawnych jej władców nie przyjdzie do mnie z żądaniem zdania rachunku, i nikomu ja mego rachunku wypisać nie mogę na czole – muszę milczeć i jeszcze dziś się kryć, kłamać, zdradzać i w tej zdradzie ją na wieki wieczne opuścić.

Przyciskała do serca moją rękę, gdyśmy szli pod stromą górę miasteczka. Podejmowałem całe towarzystwo w restauracji i zamiast miodu rad bym był pić cyjankali. Zwiedzaliśmy klasztory. Pamiętam, żem stanął z Natuchną na brzegu przepaści, na grzebieniu urwiska. Na jakie sto łokci pod tym starym okopem Jadźwingów toczył się [w] otchłani głęboki Bug. Sina łuska marszczyła się na fali, mamiąca... Daleko płynęły

czółna. Prostopadła, z gliny zsuniętej w przepaść ściana kończyła się o dwa cale od naszych nóg.

Oto moje życie: minuta szczęścia, gdy mogę stać obok niej, patrzeć w te oczy takie niebieskie jak ten Bug, a jutro – trzeba iść i po takich przepaściach nocować[239]. Gdym sprowadził obiedwie panie wąską szczeliną na brzeg rzeki, szedłem znowu z Natuchną pod rękę po piasku, wylizanym przez odeszłe fale. Zbieraliśmy muszelki śliczne ślimaków. Czasami, gdy się ta wiecznie kokietująca mię i ściskająca za ręce panna Stanisława oddaliła, zamieniałem z *Glaukopis* krótkie frazesy, w których była cała moja dusza.

Przeprawialiśmy się z powrotem dużą łodzią, w której pomieściło się całe nasze gremium. Cicho szemrał tajemniczy nurt męczeńskiej rzeki. Zmrok zapadał. Zatoczyliśmy kilka po rzece kręgów. Siedziałem obok Natuchny, patrząc w jej oczy, w każdej minucie, z upływem każdej tracąc je, tracąc, tracąc, jak płyn kosztowny, jak balsam życiodajny. Ciemno było, gdyśmy wysiedli na brzeg i wsiadali na nasz wóz. Furman się podciął[240], rwał więc z kopyta. Siedziałem na tym samym miejscu, obok Natuchny. Mogłem na krótkie sekundy ściskać jej rękę, odczuwać ramieniem przytulające się do mnie ręce.

Zaczęły śpiewać. Słowa piosenki utkwiły mi w pamięci. Nimi myślę, czuję, żyję, cierpię:

...W oczach mi ciemno,
A w sercu łzy...

O dziesiątej byliśmy w Ł. Chciałem wysiąść, ale Natusia prosiła, aby je jeszcze odwieźć do P. Pojechałem. W ciemnej nocy tuliła moje ręce, pieściła je. Kocha mię.

Doktór nie spał jeszcze. Dziwny filister. Z czułością zaprosił mię na herbatę, bawił anegdotkami ze swego życia, był nadzwyczaj miły... Z Natuchną nie mówiłem już ani słowa. Panna Stanisława obrażona, nie obiecywałem bowiem nawet dać jej mojej fotografii, nie wpisałem wiersza do sztambucha, „negliżowałem" ją zupełnie. O godzinie jedenastej z Lutasem i G. wróciłem piechotą do domu, nie chcąc narażać doktora na odsyłanie nas.

A teraz... Koniec. Godzina trzecia po południu. Przez dwie godziny widział jeszcze będę Natuchnę i to może ostatni raz w życiu. Przyjedzie tu na pół godziny na konferencją z Anielą.

...W oczach mi ciemno,
A w sercu łzy...[241]

---

239 p o t a k i c h p r z e p a ś c i a c h n o c o w a ć – reminiscencja z drugiej strofy wiersza Asnyka *Prośba* (1869);

I po przepaściach muszę nocować,
Więc ty mnie prowadź.

Wiersz ten należał do ulubionych i wielokrotnie w *Dziennikach* przytaczanych utworów Asnyka; po raz pierwszy 7 VI 1886 r., w całości 24 XI 1886 r.

240 f u r m a n s i ę p o d c i ą ł – tzn. podpił sobie.

241 „W o c z a c h m i c i e m n o..." – niedokładny cytat z popularnej wówczas pieśni Jana Chęcińskiego (1826 – 1874), autora librett do oper Moniuszki *Paria, Verbum nobile* i *Straszny dwór,* zatytułowanej *Mój świat, gdzie ty!;* tekst ostatniej strofki tej pieśni według *Śpiewnika polskiego,* t. IV, wyd. Biblioteki „Mrówki" (Lwów 1886, s. 256) brzmi następująco:

Gdy ciebie widzę i dzień radością,

W n o c y.

Ostatnie kilka godzin na ziemi podlaskiej. W skroniach mych pulsuje jeszcze krew: Natuchna tu była. Już... przepadła na wieki! Serce dusi się z żalu, z boleści, która się nie przerywa.

O szóstej, zrobiwszy ostatnią lekcją, poszedłem do Rogacza.

Aniela dokądś wyszła, Natuchna nie przyjeżdżała – zaczynałem się trząść ze strachu, że jej już mogę nie zobaczyć. Doleciałem do lasu jak wściekły. Obok pniaka dostrzegłem niebieską suknię... panny Stanisławy. Usiadłem na sekundę na pniaku.

– Pani F. z panią Anielą konferują tu gdzieś w lesie, nie mogłam ich odnaleźć... Co pan taki zmieniony?

– Nic. Ja pójdę odszukać te panie.

Poszedłem, zacząłem szukać – i dobrze, żem nie znalazł tam tej Anieli. Diabli mię szarpali. Gdym wracał, chcąc iść w przeciwną stronę, usłyszałem głos Natusieczka przy pniaku. Pobiegłem tam. Była zmęczona, ceglaste rumieńce wystąpiły na jej policzki. Wpiłem się w nią oczami, chcąc wyczytać tajemnicę. Uśmiechała się, a mnie łzy dławiły. Na kraju tygodnika, jaki trzymała w ręce, nakreśliła szpilką:

28 w S.

Później zaczęła się zabierać do domu, gdyż wyszła o czwartej. Zaproponowała mi, aby ją odprowadzić. Poszliśmy na koniec. Zimno, z daleka powiedziałem „do widzenia" pannie Stanisławie.

– Co mówiła pani Aniela?

– Ach, cóż plotek o mnie zrobiono, nie ma pan pojęcia... Wszystko to przeważnie p. Stanisława z zazdrości o pana. Pojednałam się z Anielą, pozornie, rzecz prosta. Mąż mój robił mi wymówki, ale on nie wierzy Anieli, ani jednemu słowu nie wierzy – szlachetny zaślepieniec. Czy wie pan, że miałam zamiar nie pożegnać się z panem dziś, nie przyjść. Za wiele kłamstwa padło na moją duszę...

– A!

– No, spojrzeć w oczy! Cóż pocznę, biedna?... Raz jeszcze w Siedlcach zobaczemy się.

– A dziś?

– Boję się bardzo, zresztą nie mogę. Jestem zmęczona, smutna, rozdrażniona...

– Taki mój ostatni dzień?

– No nie, ja kocham, kocham, czyż jeszcze mało dowodów? Poszliśmy drogą leśną do wąwozów. Co kilka kroków całowałem te oczy, niezapomniane gwiazdy. Zeszliśmy w wąwóz, na samo dno, między leszczyny. Drżała jak liść z obawy, aby kto nie zobaczył. Nareszcie marzenie moje ziściło się, marzenie od tylu miesięcy karmione, przeżuwane ziściło się w ostatniej godzinie: miałem sam na sam w wąwozie... Pieściłem ją ostatni raz może w życiu, bo niewiadomą jest przyszłość. Siedziałem jeszcze na ziemi, a ona wstawała już, szła i wracała znowu, aby się schylać nade mną, całować mię w oczy i usta.

I Bóg miłością jaśnieje mi,

Lecz gdyś daleko, już noc przede mną

I w duszy ciemno, i w sercu łzy.

Powiedz mi, powiedz, dlaczego tylko

Tam mój świat, gdzie ty!

– Proszę nie chodzić do tej Stanisławy, gdy ja stąd odejdę. Przyjadę do Ł. na wieczór. Zaczeka pan na drodze?

– Kocha pani?

– Ach, gdyby można zapomnieć, ale zbyt głębokie litery umie pan ryć w pamięci – kocham. Wierzy pan przynajmniej, że pan jest pierwszym i ostatnim?

– Czym?

– Bez nazwy – zmorą.

Ostatni pocałunek i – poszła. Poszła prosto przez łąki, jak ja chodziłem na schadzki, tą samą drogą, przez mostek. Szła długo, zgrabnie, bardzo szybko... Schyliła się przy mostku, za nim obejrzała, raz, drugi, potem zaczęła maleć, maleć... Stała się plamką niebieską, gdy mijała topole, które nade mną tyle razy w ciemne noce szumiały, posuwała się wzdłuż parkana, silniej zajaśniała na tle sterty zboża, a potem rozwiała się, znikła. Znów dostrzegłem jej głowę nad krawędzią pola, a potem – ze strasznym szlochaniem runąłem na ziemię.

Oto przyszłość. Tak pójdzie ode mnie, tak znikać będzie, tak wiecznie widział będę dwór, pole, miejsca kochane i nie będę miał prawa pójść tam, aby ją zobaczyć. Las nade mną stał jak matka. Długom tam leżał bezsilny. Słońce zaszło. Zacząłem iść drogą ostatni raz, tą drogą naszych spacerów. Lesie, lesie!

Tu pierwsze spotkanie, tu mój skarb i serce moje[242], tu widać drogę i wrota. Stamtąd wychodziła do mnie, tuśmy się żegnali zawsze. Pniak!... Nie dotknąłem go ręką na pożegnanie, bo tam siedziała panna S.

Wyszedłem z lasu na drogę. Co za straszna wrzawa, co za krzyk rozpaczy. Nigdy! Oto mój dom – ten las, oto moja siedziba, szczęście moje. Stał niemy – każdym drzewem ryły się w pamięci, każdą gałązką wołał.

Zmrok się nachylił, szedłem drogą gorzko żałując jej, tej tajemnej drogi do obiecanej ziemi mego życia. Wróciłem na zakręt drożyny, zasłoniłem oczy i błogosławiłem te miejsca święte wszystką duszą moją. Wszystko przeminie, a nie przeminie ta serdeczna miłość dla zakątka mojej złotej doby życia. Tum życie szczęścia przeżył.[243]

Pod jarząbkiem na kamieniu czekałem. Zaszczekały psy i daleko turkot nadchodził. Maleńką bryczulką jechała Natuchna. Już nie będę uczył słuchu zgadywać turkot jej wózka, już nie będę, nie będę.

Co za szał!

Nadjechała – wsiadłem z nią do lip. Furman powoził, mogliśmy mówić tylko obojętnie. Oczami żegnaliśmy szczęście. W Ł. i to wzbronione zostało. Szaleństwo do mnie przystąpiło. Gdy Aniela powiedziała coś o rozdartym sercu moim, zacząłem nagle pluć wyrazy straszne, sam nie wierzę mej pamięci. Mówiłem o tym, że nie miała prawa szkalować Natalki, że sama jest niewarta tych łask, jakimi ją obdarzałem. Oto jest zgniła karm duszy, oto niedola miłości, której świat uznać nie chce. Natuchna prosiła mię oczami, błagała, wzięła za ręce. Obłęd mię chwytał, drżałem na tę nikczemną Anielę patrząc. Niedługo potem wyjechała Natusia.

– Przyjdź do furtki – mówiła w sieni...

– Nie. Nie mogę już...

– Mój miły... Żegnaj.

Ostatni raz dotknąłem jej ręki. Wózek ruszył, znikł.

Ach, Boże!

---

242 t u m ó j s k a r b i s e r c e m o j e – parafraza słów: „Gdzie skarb twój, tam i serce twoje” (z Nowego Testamentu, Mat. VI, 21), wyrytych na płycie z sercem Chopina w kościele Św. Krzyża w Warszawie; przytaczał je autor w epigrafach t. XII *Dzienników* oraz dnia 17 VII 1887 r.

243 t u m ż y c i e s z c z ę ś c i a p r z e ż y ł – tak w autografie.

17 sierpnia (niedziela)

O p i ą t e j r a n o.

Doznaję tego właśnie, czego obawiałem się najbardziej: zimna i dławienia w gardle. Zanosi się nie już na tęsknotę, ale na długą moralną chorobę.

Moje okno otwarte, wiatr zimny poranny przejmuje mię dreszczem. „Powiedz jej, wietrzyku poranny..."

Zamknięta księga miłości. Dała mi ta miłość straszny dzień dzisiejszy. Zdaje mi się, że trup mój noszę ze sobą, powiozę go, szedł za mną będzie.

Natalka jest w tej chwili ode mnie o dwie wiorsty – czy podobna? Zdaje mi się, że mi już umarła. Przerachowałem się, myślałem, że się zmogę. Zabawna rzecz – dałbym dwa lata życia, żeby jechać na P., czyli zboczyć pół wiorsty z drogi, byłaby to rzecz zupełnie naturalna – i nie można za żadną cenę. Furman by się nie zgodził i pani Aniela. Jadę dziś, w takim dniu z panią Anielą. Co za szyderstwo!

Żegnaj, wiosko, i ty, cerkwi moskiewska pośrodku wsi polskiej, i ty, przeklęte Podlasie. Strasznie mię coś ściska.

Za godzinę pojadę, moje rzeczy już wysłane, konie już stoją. Dziś tu będzie Natalka. Ach, co mnie jest!...

Jak mi strasznie zimno. Onegdaj jeszcze nie rozumiałem strasznego znaczenia słów, które Natuchna śpiewała: „W oczach mi ciemno, a w sercu łzy" – dopiero dziś. Oto jechać będzie drogą moją Natusia tutaj o czwartej po południu, minie las, jarząbek, lipy, a ja, a ja! Jest jeszcze jeden środek, ale już za późno. Co za zimno! Ach, dosyć.

19 VIII (wtorek).

W K i e l c a c h.

Bardzo mi źle. Dużo mam pisać, ale nie mogę, nie chcę. Co to warto? Nie powtórzę żadną miarą tego, com przeżył i wycierpiał. Chory jestem na jakąś nieokreśloną chorobę, jedynym na nią lekarstwem byłaby śmierć.

Przeklęte miasto te Kielce. Ach, gdyby to dziś Wacek przyjechał, gdybym z nim dużo mówił o ojczyźnie, ale z nim tylko, byłoby mi na chwilę lepiej.

Kazałem zamknąć okiennice, lubię, gdy jest ciemno. Dolatują mię jakieś tony muzyczne. Kto co gra, nie wiem, tylko same te tony ochładzają mi gorący mózg. Nie mogę znosić przyrody samej, wielkości drzew, ich szumu, dalekich krajobrazów, szczególniej zaś szelestu, jaki sprawiają koniki polne. To wszystko mi przypomina... Gdybym mógł zamknąć się w jakiejś piwnicy, więzieniu, w ciemnym jakim korytarzu – leżałbym na ziemi i czekał, aż wypłynie ze mnie ta boleść, która jest i od której tak zależę jak koło młyńskie od spadającej na nie wody. Wczoraj pisałem do panny Stanisławy w nadziei, że N. odpowie mi, jak obiecała. Gdybym mógł zapomnieć i wrócić do życia... Ale nie zapomnę.

Nigdy w życiu, nawet po Helenie, tak nie cierpiałem, choć byłem młodszy. Ale byłem zdrowy moralnie. Teraz jestem chory, ach, jak chory!

21 VIII (czwartek).

Ból we mnie zasnął już z cicha,
Jak dziecię krzykiem zmęczone...
Łzy na dno duszy kielicha
Spływają niepostrzeżone...[244]

O tyle jest mi lepiej, że mogę bardzo rzewnie tęsknić, wspominać, mogę zresztą być sam. Nieznośnie mi było. Cierpiałem nie pięknymi frazesami jak teraz, ale krzykiem, który musiałem dławić wewnątrz przekleństwami, tym milczeniem, które zabija, paraliżem duszy. Sto razy na godzinę rzucałem się dokądś, naprzód, szukałem jej obok siebie, wołałem jej po imieniu. Ręce skakały do skroni, aby je ściskać, zataczałem się z bólu. To była rozpacz. Teraz przyszła nirwana, nieprzerwalna tęsknota, ciągła pamięć, bezmierna żałość, rzewna melodia, która nie zasypia, siedzi nad człowiekiem jak posąg alegoryczny nad grobem. „Łzy na dno duszy kielicha spływają niepostrzeżone..."

Wracam jeszcze raz do wspomnień, aby z tego świetlistego dnia, który noc wieczna zepchnęła w przepaść, ostatni blask ukraść, ostatni kwiat przynieść, zerwany o zachodzie. Ostatni na wieczne czasy!...

W niedzielę o ósmej wyjechaliśmy z Łysowa. Pożegnany czule, wsiadłem jak bryła soli do powozu obok pani Anieli. Zaczynała mię dusić boleść. Czułem, że nie zdołam ominąć Niemojek, drogi do P.

Nagle zacząłem prosić pani Anieli, aby zechciała jechać na P., że ja pojadę do Siedlec z doktorem. Musiało być coś przekonywującego w mym wzroku, bo zgodziła się natychmiast – ona! – na to. Mijaliśmy Rogacz, wąwóz, tę rolę pod lasem, tę bruzdę, którędy chodziłem na schadzki, mostek – ach, mój Boże!...

Wjechaliśmy na dziedziniec, bryczki doktora nie było widać – pojechał!

– Pojechał... – mówi furman.

Nagle dostrzegam bryczkę w cieniu między drzewami. Wyskoczyłem. Uśmiech losu... Doktór otworzył mi drzwi.

– Jedź pan ze mną, weselej nam będzie.

– Dobrze, w powozie ogromnie duszno, jeżeli panu doktorowi... – mówię dziwnym głosem i czuję, że blady jestem, że się boję, abym jej nie miał zobaczyć.

Wszedłem do stołowego pokoju. Natalki nie było. Doktór był już wybrany, kończył pić herbatę. Bałem się, aby nie dostrzegł, że dygocę jak w febrze. Nie było...

Doktór wyszedł do przyległego pokoju, aby mi przynieść list pana Tomasza[245]. Wtedy wyszła bledziutka jak papier. Jakże mam zapomnieć to spojrzenie ostatnie?

– Czemu pan nie był u furtki wczoraj?

– Nie mogłem.

– Mój Boże!...

Ręce jej się trzęsły, gdy nalewała herbatę. Wrócił doktór i rozmawialiśmy... wesoło.

– Szkoda, że nie jedziesz, Natalko – mówił – pan Ż. jedzie do Kielc, jechalibyśmy razem aż do Bzina[246].

– O, pan Ż. jest dla mnie i tak niebezpieczny człowiek.

– Wiem ja to, wiem...

---

244 „B ó l w e m n i e z a s n ą ł j u ż z c i c h a..." – cytat nie ustalonego autorstwa.

245 p a n a T o m a s z a – Faÿtta, brata Michała, również doktora medycyny.

246 d o B z i n a – Bzin to ówczesna nazwa Skarżyska nad rzeką Kamienną; była tam stacja węzłowa kolei Iwangrodzko – Dąbrowskiej w odległości 44 km od Kielc.

Poszedł znowu wydać jakieś rozkazy. Byliśmy minutę sami, ale nie dłużej nad minutę. Wyciągnęła do mnie rękę, ale nim dotknęła mojej, już ją cofnęła – wszedł lokaj. Usta miała półotwarte i przymknięte oczy. Widziałem, widziałem, że jestem kochany. Wrócił doktór i zaczęliśmy się żegnać. Podszedł do niej, objął wpół i całował w usta. Stałem wtedy z boku i chyba nigdy w życiu nie cierpiałem bardziej. Zwierzę ludzkie ryczało we mnie z wściekłości w ciągu tych dwu pocałunków. Nie podniosła już na mnie oczu, gdym podszedł i pocałował ją w rękę zimno. Miała głowę w tył odchyloną dziwnie i ten zagadkowy uśmiech boleści, dla którego głównie oszalałem.

Wyszliśmy. Wsiadłem na wózek pierwszy. Gdy doktór wsiadał, spojrzałem na nią stojącą na ganku. Miała pełne oczy łez, nie patrzyła już na nikogo, cofała się do drzwi, wiedziałem, że za chwilę rzuci się na fotel i łkać będzie. Konie ruszyły nagle, obiegły gazon. Nie mogłem, żadną miarą nie mogłem, nie miałem możności, prawa – obejrzenia się. Nie obejrzałem się. Zaczęło mi być zimno, byłem spokojny, zacząłem mówić o urodzajach, anegdotki wesołe przyszły. Szybko jechaliśmy. Niemojki, droga, cztery mile – bolesny sen.

W Łukowie, dokąd odprowadził nas z miłości dla pani Anieli pan Adolf (doktór jechał z nami), byłem u pp. Leonów[247]. Było liczne towarzystwo: dwu studentów ze swymi narzeczonymi, pp. Łaguna. Pieścili się spojrzeniami i wprawiali mię w stan nieokreślonego cierpienia. Miarą, jak mi jest drogą Natalia, jest to, że najobojętniej, ze śmiechem przypatrywałem się pani Helenie. Wydawała mi się niemądrą, gdy starała się „robić do mnie oko", usprawiedliwiała się z tego, że nie pisywała do mnie, robiła mi wyrzuty ośmielające, że rzadko u nich bywam, i była pewną, że w niej się kocham. Co może się stać z miłością tak szaloną jak moja dla niej! A jednak ani mi wówczas przyszło na myśl, że to samo może się stać z miłością dla Natalii.

Z najwyższą niecierpliwością wyczekiwałem chwili odjazdu, który się odwlekał z powodu przejazdu jenerał – gubernatora Hurki[248]. Ściskała mi ręce pani Helena, a ja nie obdarzyłem jej ani jednym spojrzeniem. Zimno bardzo zasypywałem ją komplimentami. Macocha moja została jeszcze w Łukowie.

W Iwangrodzie bawiłem doktora, kłamiąc do ostatka. Głowa mię bolała bardzo, byłem pono blady jak płótno. Piłem wodę sodową i paliłem papierosy. Nie uczucia, ale odruchy bolesne, małpie, zwierzęce namiętności, przerośnięte najczystszymi, najszczytniejszymi marzeniami miotały mną. Przylatywały i odchodziły pociągi, tłumy osób potrącały mię, zabierały ze sobą, popychały. Nieraz przychodziła myśl rzucenia się pod pociąg nie z miłości, ale dla uniknienia udręczających duszę niesprawiedliwych sądów.

Potem jadę znowu w trzeciej klasie. Gadają, wrzeszczą, palą papierosy, konduktorowie trzaskają drzwiami, ostre przeciągi nasycone dymem i sadzą z węgla dokuczają mi i duszą oddech; białe, do płatów waty podobne, przelatują po ziemi dymy, jak moje myśli szarpie je wiatr. Duszno nieznośnie, boli serce, strasznie, niewypowiedzianie boli. Oto nadlatuje z oddali las. Las, w którym można by odpocząć i płakać. Nie trzeba wieźć własnego trupa do dusznych miast, w tłumie ludzi nieznośnym, obojętnym mi. Wtuliłem się w głąb ławki i zostałem już jak drewno, z otwartymi bezmyślnie oczami liczyłem stacje, przystanki.

W Bzinie pożegnałem uprzejmie doktora i czule pożegnany przezeń puściłem się w dalszą drogę. Wiozłem trupa własnego w świat, coraz dalej, dalej, dalej. Nareszcie przyszła mi chęć kupić bilet do granicy i tam, nieznanym będąc nikomu, w nocy rzucić

247 b y ł e m u p p. L e o n ó w – tj. u Leona i Heleny z Zeitheimów Radziszewskich.

248 p r z e j a z d j e n e r a ł – g u b e r n a t o r a H u r k i – Iosif Hurko (1828 – 1901) był generał – gubernatorem warszawskim w latach 1883 – 1894 i zasłynął jako zaciekły rusyfikator; podczas jego podróży podejmowano specjalne środki ochrony.

się pod pociąg. W bolesnej męce zasnąłem na chwilę. Kielce! – woła targając mię konduktor. A, to Kielce miłe...

Pojechałem na noc do Hotelu Europejskiego. Musiałem załatwiać się z odbiorem rzeczy pani Anieli – mojej przyjaciółki...

Od wczoraj mam ogromną febrę i gorączkę. To mi bardzo pomaga do uspokojenia się. Jaś S. nie odpisał mi[249] i żaden z kolegów z uniwersytetu, którzy tu konsystują czasowo, nic o nim nie wie. To także mię uspokaja. Wacek nie przyjechał – wszystko mi dobrze idzie.

22 VIII (piątek).

Moja miłość urodziła się i wykołysała na piersiach przyrody, na łonie zbóż, lasów, ogromnych przestrzeni, wielkiego powietrza – dlatego dziś nie mogę patrzeć na tę wiecznie obojętną matkę bez najwznioślejszego dla mnie jej płodu. W nocy, gdy w gorączce nie mogę zasnąć, do drugiej, trzeciej wspominam, widzę las mój, mój krajobraz i otacza mię złudzenie, że mi rzeźwi czoło tameczny wiatr, że czekam na nią, leżąc na ziemi.

Wczoraj, wracając do domu późno w nocy, dostrzegłem srebrny półksiężyc: wróg to mój dawny. Jak to ja w późne noce chodziłem przy jego blasku przez puste pola, przez czarne lasy, przez błota i wertepy po pocałunek. Już mi on na nic! Przepadło wszystko na zawsze!

A ten dzień, gdy czekała na mnie na drodze między dwoma łanami dojrzałego żyta, które jej biły pokłony, a słońce zlewało na jej jasną głowę potoki piękności, a nieskończony szereg innych dni – zawsze tam, w tych miejscach nieśmiertelnych...

Trzeba się zgodzić, że zenit mój przeszedłem, zenit mojej młodości, życie mi dało przepiękną wiosnę i lato – teraz trzeba zejść wolno po stopniach męczeństw z zakrytą twarzą, wolno zejść... do grobu.

W i e c z ó r.

Utrzymuje pani Aniela, niezmienna w swej nienawiści dla N., że jestem zaślepiony, że widzę same doskonałości, bezsprzeczne cnoty, dobre uczynki, wielką duszę tam, gdzie jest wyrafinowana hipokryzja. Tak nie jest – bezwzględnie. Jestem zaślepiony, bo miłość nie umie być nie tylko surowym, ale nawet sprawiedliwym sędzią. Miłość – to entuzjazm, ale ja umiem wwiadywać się, badać, śledzić i wszystko – zarówno dobre, jak złe – wiem. Tylko nie wydam innego wyroku – nad kocham.

Dziś dopiero, gdy wszystka przeszłość staje jak żywa we wspomnieniu, można mi sądzić charakter Natalii. Gdybym miał nazwać zasadniczą cechę jej duszy, to trzeba by mi wskazać przede wszystkim na skrytość i sceptyzm. Pamiętam, że rzadko zdarzały się jej takie wylewy uczuć, aby nie żartowała ironicznie z własnych wybuchów, z pocałunków, pieszczot, słów najczulszych. Jeżeli mi się oddała, to dlatego głównie, że przesze-

249 J a ś S. n i e o d p i s a ł m i – Strożecki miał zarekomendować Żeromskiego na kondycję u Michałostwa Górskich w Nałęczowie, co zresztą uczynił listem pisanym w Tworkowicach dnia 12 VIII 1890 r.; Strożecki przebywał latem na Litwie i nie zdążył jeszcze powrócić do Kielc – stąd pesymistyczne prognozy w *Dzienniku*.

dłem wszelkie granice znanych jej wyznań, że prawie szalałem, żem ją przerażał gwałtownością uczucia. Dlatego tylko mi uwierzyła.

Życie, filister mąż, towarzystwo żołądków lub karierowiczów, proza bez przerwy, wielki stosunkowo majątek jej własny – przyuczyły ją do pewnego rodzaju zewnętrznego cynizmu, do pogardzania w słowach poezją, głębszą myślą, wszystkim, co się nie oblicza na ruble. A ja drwiłem właśnie z całej tej skorupy, nie kłaniałem się uznanym bożyszczom, śmiałem się otwarcie z serwilizmu dla pieniędzy. I to znalazło oddźwięk. Ona w głębi swej duszy taką była szlachetną, jak ja w słowach to wyrażałem. Dlatego jej się podobałem.

Był czas, że szła za mną jak lunatyczka. Wspólnie wyśmiewaliśmy nieraz sposób wypowiadania uczuć wierszami, a moje liche chowała jak skarb, uczyła się na pamięć i kochała mię za to, że ją sobie stroję w szatę poezji. Później przyszła namiętność i namiętnie mię pokochała. Z utęsknieniem oboje wyczekiwaliśmy schadzek, choć utrzymywała nieraz, że robi to dla zaspokojenia mnie. To natura dziwna – porwać ją można tylko gwałtownością. Całowała mi ręce, ale wtedy tylko, gdym był straszny...

Jutro jeszcze pisać o niej będę. Dziś chory jestem.

24 VIII (niedziela).

Tak, daleki jestem od stwarzania sobie ideału w Natalii. Kocham ją bezwiednie, uczucie to istnieje poza ogromem świadomości, analizującej jej charakter, za murem niejako. Jest to pusta szczelina, w której żyje, łka, rozpacza, szaleje widmo pozbawione tak zwanego rozsądku, prostej logiki, najelementarniejszej świadomości siebie. Cóż począć? Sama surowość Natalki mi się podoba, choć bym się do tego nie przyznawał, sama jej skrytość. Ja wiem, że w duszy jej istnieje kobieca, przeczuła rzewność, poezja, marzycielstwo, i wiem, że ona się do niej nie przyzna za nic. Śmieszyłyby ją serdeczne słowa, choćby się jak woda ze źródła wyrywały z jej serca.

Na owej schadzce z panią Anielą mówiła N., że musi ze mną zerwać, gdyż dzięki stosunkowi temu wychudła, zmizerniała, czuje się chorą. Jest to prawda. Ostatniego dnia czekała na mnie w ogrodzie do późna, choć nie przyszedłem, i tego płakała, gdym wyjeżdżał, że nie pożegnaliśmy się prawie.

Wczoraj późno w nocy wróciłem od pani Anieli do domu. Macocha przyjechała była o czwartej po południu. Gdym wszedł do mojego pokoju i zapalił świecę, zobaczyłem na stole list. Porwałem go do ust! Wszystkiego $3^1/_8$ wiersza...

28. będę, ale nie sama; wybierze się ze mną panna ...sson. Chce się unieśmiertelnić, aby panu jak najprędzej przesłać swoją fotografię. Nie zapomnę nigdy, nigdy! Czy 28. odbiorę odpowiedź?

20 VIII

Co za szczytny lakonizm!

27 VIII (środa).

Wiele wody upłynęło, wiele uczuć i myśli złych strawił niszczyciel czas.

Smutno strasznie...

Oto ów wyśniony 28 jutro, a ja nie jadę do Siedlec, siedzę tu w parszywych Kielcach i romansuję z panią Anielą. Z gorączką w nerwach czekałem na ten dzień, pożegnałem się ze wszystkimi i wczoraj w nocy jechać miałem o godzinie 2, gdyż tak nikczemnie rozłożone są pociągi, że jedzie się blisko dwa dni. Tymczasem...

Tymczasem mieszkanie pani Anieli nadzwyczaj jest romantyczne. Znajduje się pod murem zamku. Bluszcze i dziki winograd zwieszają się z zakratowanych okien... Pani Aniela umiała zostawać ze mną sam na sam, gdym przychodził na lekcje z Adasiem. Przy tym p. Aniela ma szezlong aksamitny, na którym znakomicie rysują się jej nagie, kształtne nogi. Szczególna kobieta – nie robi jej żadnego skrupułu rozebranie się do naga. Łajdaczyłem się, nie czując do niej ani odrobiny sympatii i odczuwając tylko wstręt po wykonaniu ofiary Wenerze.

Wracałem tedy w nocy wczoraj i przyszło mi na myśl, że musiałbym kłamać podle, plugawo, nikczemnie, gdyby N. zapytała, czy jej nie zdradzałem. W jednej minucie postanowiłem zadać sobie katuszę: nie jechać. Przyszedłem do domu i słuchałem, zgrzytając zębami, jak biła na wieży godzina mojego odjazdu, potem zaświstał sygnał odchodzącego pociągu...

Głupstwo zrobiłem: dziś jest mi nieznośnie źle; męczę się, dokucza mi myśl, że ja jej samochcąc, jej, którą kocham, nie zobaczę tam, na wolności...

Nie napisałem nawet [na] *poste restante* – nic**.** Zerwałem z nią na zawsze.

Czym oszalał?

Wczoraj otrzymałem list od panny Stanisławy. Pisze mi:

Tysiące domysłów najfałszywszych, jak utrzymywałam wobec ciekawych mieszkańców Podlasia, ściągnął na mnie list Pana, a raczej koperta listu. Obietnicę z miłą chęcią bym spełniła, ale jeszcze nie mogę, później – owszem; Panu jednak w tym razie należy się pierwszeństwo.

Pniak stoi jak dawniej, ale taki chłód i tęsknota wieją od niego, że „unikamy" zbliżenia... Spędzając jednak obok niego parę godzin w niedzielę, dostrzegłam napis w górze: „Jakże dziwnymi są wyroki przeznaczenia, które niekiedy zbliżają serca mogące się zrozumieć – na chwilę, by je potem rozłączyć i pogrążyć w tęsknocie". Czyżby to pan był autorem tej myśli?... Zniszczyłam ten napis wraz z literą „S". pod nim będącą.

dn. 21 VIII

Zabawna mistyfikacja! List ów pisałem pod adresem panny Stanisławy – do Natuchny. Obiedwie go zrozumiały. Był to mój majstersztyk w sztuce obłudy.

W przejeździe z wypoczynku letniego u Stefana T. w Jaksicach[250] zatrzymał się w Kielcach przez dwa dni Zygmunt W.[251] Ożywiłem się przy nim. Zebrał materiały do drugiego tomu studiów etnograficznych[252]... w przeciągu sześciotygodniowego pobytu na wsi.

250 u S t e f a n a T. w J a k s i c a c h – Jaksice to wieś i folwark nad Wisłą w pow. pińczowskim, starodawna osada handlowa, należąca przez setki lat do dóbr biskupich; po 1827 r. stała się własnością skarbu państwa, a następnie donacją rządową, wypuszczaną w dzierżawę; dzierżawcą tego 500 – morgowego majątku był wówczas Stefan Tomaszewski, kolega szkolny Żeromskiego, absolwent gimnazjum kieleckiego z r. 1884, potem student prawa na Uniwersytecie Warszawskim i delegat kółka starokieleckiego, a następnie adwokat przysięgły w Kielcach.

W zimie napisał do spółki z Antkiem Potockim *Kwestionariusz w sprawie czytelnictwa ludowego*[253]. Wyszło to w osobnej broszurze, o której z szerokimi pochwałami pisał w „Prawdzie" Zygmunt Atanazy[254]. Pisał życiorys Kolberga w „Głosie"[255], prowadził tamże rubrykę korespondencji, której ja przyjąć swojego czasu nie chciałem, w „Wiśle" pisał[256], układał alfabet w Muzeum Etnograficznym itd. Żył, jednym słowem. Ma zamiar przenieść się do Kielc na posadę zastępcy sędziego śledczego i mnie proponował założenie w Kielcach nowego dziennika, w którym mógłbym być współredaktorem od części literackiej. Myśl arcypiękna, brakuje tylko pieniędzy i zezwolenia rządu na dziennik z polityką.

Zygmunt trochę ostrugał swe zapędy. Wszyscy oni, o ile rozczytałem się w „Głosie", zniżają loty i wracają na drogę jedyną – na służbę krajowi. W tym znakomitym zwrocie niemałą są przeszkodą zasrańcy uniwersyteccy z Dorpatu, Petersburga, Kijowa, Moskwy itd., którzy zasypują redakcją adresami potępiającymi i zapowiedziami przerwania

---

251 Z y g m u n t W. – Wasilewski (1865 – 1948), kolega szkolny Żeromskiego, maturę zdał razem z Tomaszewskim w Kielcach w r. 1884, po czym również studiował prawo na Uniwersytecie Warszawskim (dyplom uzyskał w Kijowie w r. 1888); w latach 1889 – 1891 był członkiem redakcji „Głosu" i redakcji „Wisły" Jana Karłowicza; od 1892 do 1894 r. kolegował z Żeromskim jako bibliotekarz Muzeum Polskiego w Raperswilu; po powrocie do kraju był w latach 1895 – 1899 redaktorem i wydawcą wznowionego „Głosu"; w latach późniejszych został jednym z przywódców Narodowej Demokracji.

252 z e b r a ł m a t e r i a ł y d o d r u g i e g o t o m u s t u d i ó w e t n o g r a f i c z n y c h – Zygmunt Wasilewski był już wtedy autorem książki pt. *Jagodne, wieś w pow. łukowskim. Zarys etnograficzny* (Warszawa 1889); widocznie zamierzał analogiczną monografię opracować o Jaksicach, ale nie doszło do jej publikacji.

253 *K w e s t i o n a r i u s z w s p r a w i e c z y t e l n i c t w a l u d o w e g o* – projekt ankiety Zygmunta Wasilewskiego i Antoniego Potockiego pt. *W sprawie czytelnictwa ludowego* drukowany był najpierw w „Głosie" 1890, nr 18, a następnie wyszedł w osobnej odbitce; zawierał on 104 pytania ankietowe, podzielone na grupy.

254 p i s a ł w „P r a w d z i e" Z y g m u n t A t a n a z y – Zygmunt Atanazy to pseudonim Zygmunta Pietkiewicza (1859 – 1934), publicysty i literata, współpracownika „Przeglądu Tygodniowego", „Prawdy", „Głosu" i „Ateneum", a później także „Ogniwa", „Głosu Kijowskiego", „Kultury" i „Sfinksa"; oprócz wielu nowel rozproszonych po czasopismach ogłosił powieści *Samodręczyciel* (1905) i *Na łukach słońca* (1911); utrzymywał stosunki przyjacielskie z członkami II Proletariatu i Związku Robotników Polskich, jednakże po ślubie z siostrą Edwarda Abramowskiego, Marią, przeszedł do Zjednoczenia Robotniczego i stał się bezkrytycznym wyznawcą idei Abramowskiego; o projekcie ankiety A. Potockiego i Z. Wasilewskiego pisał pt. *W sprawie czytelnictwa ludowego* w rubryce „Życie społeczne" „Prawdy" nr 34 z 23 VIII 1890 r., co następuje;

Jest to niewątpliwie pierwsza u nas próba wyrwania piśmiennictwa ludowego z otchłani bezładu – a przynajmniej pierwszy krok ku temu – próba postawienia sprawy oddziaływania na ciemne masy za pomocą książki w warunkach, które by umożliwiały bardziej celową jej produkcję. [...]

Autorowie kwestionariusza W *sprawie czytelnictwa ludowego* postarali się o szersze uzasadnienie swych dążeń, grupy pytań współzawodnika na tej samej niwie pracy społecznej [M. Brzezińskiego] rozbili na szereg pojedynczych, opatrzonych numerami, rozklasyfikowali je umiejętniej i nadali przez to pracy swej pozór większej systematyczności. Polecając swój program badań czytelnictwa ludowego, słuszne robią autorowie zastrzeżenie, iż im nie idzie o zebranie opinij inteligencji w tej sprawie, lecz o dane przedmiotowe – o poglądy samego ludu.

255 ż y c i o r y s K o l b e r g a w „G ł o s i e" – w związku ze śmiercią Oskara Kolberga w dniu 3 VI 1890 r. tygodnik „Głos" opublikował najpierw krótkie *Wspomnienie pośmiertne* bez podpisu (nr 24), a potem obszerny artykuł Zygmunta Wasilewskiego pt. *Oskar Kolberg* (nr 25).

256 w „W i ś l e" p i s a ł – Z. Wasilewski ogłosił w „Wiśle" rozdział swej monografii pt. *Stosunki społeczne, sąsiedzkie i towarzyskie we wsi Jagodne* (1889, z. l) i artykuł *Wieśniaczka z okolic Łukowa* (1889, z. 2); ponadto jako kustosz Muzeum Etnograficznego w każdym zeszycie kwartalnika „Wisła" z 1890 r. zamieszczał spis i omówienie nadesłanych do Muzeum darów.

prenumeraty. Taki Zygmunt zupełnie inaczej gadał ze mną, a inaczej z Pawełkiem Z.[257], który skończył chemią w Dorpacie i który zgłupiał do maksimum.

Rozmawialiśmy na banhofie, gdy Zygmunt odjeżdżał.

– Pewna grupka ludzi – mówił Pawełek – wysłała z Dorpatu protest do „Głosu" w sprawie raz – antysemityzmu, a po wtóre – patriotyzmu.

– Cóżeście chcieli od antysemityzmu – mówi Zygmunt – robią dobrze zupełnie, a że chcą wykazać, że „Głos" nie jest rusofilski, to dlatego, że trzebaż właśnie dowieść, że ma racją bytu, że nie jest zapożyczoną tendencja, ale z ziemi wyrosła. Po trosze – to sztuczka wydawnicza, nie macie się czego obawiać, w Warszawie patriotyzm jest dosyć drogi...

– Nie zdaje mi się. Gdyby z Moskwy, Kijowa, Petersburga przybyło więcej ludzi, sprawa by poszła w kierunku nie to rusofilskim, ale ludzkim przynajmniej. Warszawa się trzeźwi z szowinizmu. Ale macie w „Głosie" takie rzeczy, jak „narodowościowe" ujadanie na Niemców, na ich *Vereiny*[258] łódzkie. Do czego to? A nuż założą... (zniża głos Pawełek i szepce Zygmuntowi na ucho tajemniczy wyraz...).

Odsunąłem się – tym więcej, że sprawiało mi przyjemność niesłuchanie mowy tych dwu młodych Polaków, tej młodzieży!

Wyseławszy z Zygmuntem model chaty chłopskiej, zbudowany przez chłopa z Kij, a przez księdza Siarkowskiego[259] ofiarowany do Muzeum Etnograficznego. Dużo było kłopotu z opakowaniem subtelnego arcydzieła i dużo w Kielcach opowiadania o przejeżdżających facetach z... panoramą.

W poniedziałek byliśmy na generalnej próbie „Lutni" kieleckiej w teatrze Ludwika. Kilkunastu kolegów moich, prawników przeważnie, bierze w niej udział. Jest to jedyne dodatnie, naśladowane rzecz prosta, zjawisko w Kielcach.

---

257 P a w e ł e k Z. – Paweł Zaorski, kolega szkolny Żeromskiego, absolwent gimnazjum kieleckiego z roku 1885, studiował na wydziale przyrodniczym uniwersytetu w Dorpacie, gdzie w latach 1888 – 1889 należał wraz ze Stanisławem Stempowskim do kółka marksistowskiego, założonego przez Maksymiliana Leśnika; po ukończeniu studiów pracował jako chemik w hucie cynku w Zagórzu pod Sosnowcem, gdzie prowadził propagandę socjaldemokratyczną wśród robotników; w lecie 1892 r. został aresztowany, a podczas rewizji wykryto u niego skład nielegalnej literatury i hektograf; później był więziony w Cytadeli warszawskiej.

258 „n a r o d o w o ś c i o w e" u j a d a n i e n a... V e r e i n y ł ó d z k i e – mowa tu o korespondencji z Łodzi w rubryce „Przegląd społeczny" „Głosu", nr 8 z 22 II 1890 r., w której korespondent, podpisany: Pracownik, informował m.in.:

Z zabaw i balów wypada mi zaznaczyć bal oficjalistów fabryki p. Poznańskiego i Männer – Gesang – Verein. Ten ostatni zasługuje na uwagę głównie z tego powodu, iż grono amatorów odegrało współcześnie jednoaktówkę w języku niemieckim. Jest to świeża próba amatorskiego teatru niemieckiego, podczas gdy stały teatr polski upada i p. Kościelecki sprowadził nam operetkę francuską oraz zabawia nas gościnnymi występami artystów warszawskich. Ci ostatni przedstawiają wprawdzie siły pierwszorzędne, ale pozostają w anterpryzie restauratora tutejszego, p. Langego, Niemca; a z drugiej strony, jeśli tylko tym się teatr utrzymuje, to znaczy, że stały teatr polski nie może się przyjąć na naszym, gruncie.

259 k s i ą d z S i a r k o w s k i – ks. Władysław Siarkowski (1840 – 1900), wikary w Kielcach, zajmował się zbieraniem przedmiotów zabytkowych i etnografią miejscową; w latach 1881 – 82 odbył podróż naukową po Niemczech i Włoszech; oprócz rozpraw w czasopismach ogłosił m.in.: *Wesele włościan z okolic Sobkowa i Chmielnika* (1871), *Groby kościoła N. Marii Panny w Kielcach* (1872), *Podania i legendy o zwierzętach i roślinach* (1883), *Materiały do etnografii z okolic Pińczowa* (1885), *Wiadomość o zabytkach przedhistorycznych w okolicach Kielc* (1887); za główne jego dzieło uznawana jest trzyczęściowa praca pt. *Materiały do etnografii ludu polskiego z okolic Kielc,* opublikowana w t. II – IV „Zbioru Wiadomości do Antropologii Krajowej", wydawanego przez Akademię Umiejętności (Kraków 1878 – 1880); na zestawiony w tej pracy słowniczek gwary świętokrzyskiej powoła się w wiele lat później Żeromski, przeciwstawiając bogactwo nieskażonej mowy ludu – ubóstwu i snobistycznym neologizmom żargonu dziennikarskiego *(Snobizm i postęp,* Warszawa 1923, s. 175 – 177).

Śpiewają dosyć jeszcze nierówno. Najlepiej udało się *Pożegnanie lasu* Mendelssohna[260]. Pieśń ta przesmutna, zanucona przez 40 silnych głosów, jak skarga wbiła się w podłe moje serce. Dla nikogo ta pieśń nie będzie mieć i nie miała tak bolesnego uroku jak dla mnie. Tak niedawno ja żegnałem mój las stokroć gorszą pieśnią. Dziś na jednę minutę wszystkie przecierpiane uczucia, żale, boleści, łzy straszne zbiegły się do serca, aby mu oddać znajomy uścisk.

28 VIII (czwartek).

Teraz jest godzina piąta po południu. Natuchna i panna Stanisława są w Siedlcach. N. jest smutna i ma gorzki do mnie żal. Pojadą na powrót przez znane mi wsie podlaskie, na zawsze mnie zapomni...

Jestem chory, smutny.

Dziś byłem znowu w gimnazjum, ocierałem się o spodlałych profesorów, przyglądałem się tej nizocie. [...] Na każdej z tych jasnych główek chciałoby się położyć rękę, aby ją zakląć tą niewidzialną mocą, którą żyjemy i oddychamy, która nas trzyma na skrzydłach nad otchłanią zginienia.

Byłem u p. Lwowskiego, który przeszedł „z przekonania" na prawosławie. [...] Powiadają rozumni i doświadczeni ludzie, że przeceniam zjawiska i widzę świat zbyt czarno. Ja bym i tych optymistów poobwieszał na suchej gałęzi. Dobrze Franek Król mówił: „trza by połowę tego narodu wydusić, nowy naród by narósł..."

31 VIII (niedziela).

Na północ idzie piosnka ma,
W daleką idzie drogę,
Jak ptak wędrowny drogę zna –
Zawrócić jej nie mogę.

Przez czarne lasy, głębie rzek,
Bez tchu dniem idzie, nocą,
Nocą, co długo trwa jak wiek...
Złe wichry nią szamocą...

260 *P o ż e g n a n i e l a s u* M e n d e l s s o h n a – jedna z popularnych pieśni chóralnych Feliksa Mendelssohna – Bartholdy'ego (1809 – 1847), niemieckiego kompozytora okresu romantyzmu; w Królestwie upowszechniona przez Piotra Maszyńskiego, dyrektora chóru „Lutni" w Warszawie; w druku wyszła w pierwszym zeszycie wydawnictwa pt. „Lutnia". *Pierwszy wybór kwartetów męskich polskich i obcych kompozytorów* (Warszawa 1890).

Gdy znajdzie wreszcie drogi dom
O wschodzie rannej zorzy,
Gdy da świadectwo moim łzom,
Na progu głowę złoży...

2 września (wtorek).

Daleki jestem od śmiesznego zarozumialstwa, jakie mi czasami ironicznie przypisują, wyobrażającego sobie, że mógłbym wytworzyć partyjkę dążącą do pewnego obmyślonego z góry celu. Kierunek umysłowo – społeczny taki, w jaki ja wierzę, do pewnego stopnia, z pewnymi zastrzeżeniami reprezentuje obecnie „Głos". Tygodnik ten od chwili wystąpienia z redakcji Krzywickiego i Pietkiewicza[261], od czasu polemik z pierwszym z tych Ajaksów[262] Więckowskiego[263] i wyświetlenia, wywnętrzenia się jego

261 w y s t ą p i e n i e z r e d a k c j i K r z y w i c k i e g o i P i e t k i e w i c z a – różnice między poglądami ludowcowymi a klasowo – robotniczymi zarysowały się już wcześniej: w lutym i marcu 1889 r. Ludwik Krzywicki drukował w „Prawdzie" nr 6 – 9, 11, 12 cykl artykułów pt. *Złudzenia demokratyczne,* które wywołały niezadowolenie w „Głosie", do otwartego zerwania stosunków jednak wtedy nie doszło, a nawet Krzywicki drukował na łamach „Głosu" w październiku i listopadzie 1889 r. serię artykułów; dopiero jego *Tymczasowy obrachunek,* publikowany w „Prawdzie" 1890, nr 11, 13, 16, spotkał się z polemiką Aleksandra Więckowskiego w imieniu całej grupy redakcyjnej „Głosu" i stał się powodem definitywnego zerwania; Zygmunt Pietkiewicz, który pisywał rzadziej, jeszcze w nr 7 „Głosu" z 1890 r. ogłosił recenzję książki W. Załęskiego *Zasady ekonomiki,* a już w nr 24 „Głosu" z tegoż roku stał się obiektem polemicznych uwag Jana Ludwika Popławskiego w rubryce „Z kraju"; na decyzję wystąpienia z redakcji obydwu socjalistycznych publicystów wpłynął ostatecznie artykuł wstępny J. L. Popławskiego *Rozwiana chmura* z okazji manifestacji pierwszomajowej w 1890 r. („Głos" nr 19), w którym autor niedwuznacznie odżegnywał się od dawnego radykalizmu:

Jako próba solidarności międzynarodowej partii robotniczych – pisał – manifestacja w dniu l maja nie powiodła się zupełnie. Fakt ten posiada znaczenie doniosłe dla wszelkiego rodzaju rzeczników międzynarodowości, nie przekona jednak tych, którzy nie chcą być przekonani.

262 p i e r w s z y z t y c h A j a k s ó w – Ajaks, zwany Wielkim, w mitologii greckiej syn Telamona, władcy Salaminy; krewny Achillesa i najdzielniejszy po nim wojownik pod Troją; uniesiony gniewem za przysądzenie zbroi po Achillesie chytremu Odyseuszowi, wpadł w szał i wymordował część stada owiec, sądząc, że to ludzie jego przeciwnika; oprzytomniawszy popełnił ze wstydu samobójstwo, przebijając się własnym mieczem; mit ten wykorzystał m.in. Sofokles w tragedii *Ajaks szalony.*

263 o d c z a s u p o l e m i k.... W i ę c k o w s k i e g o – w odpowiedzi na artykuły Ludwika Krzywickiego w „Prawdzie" pt. *Tymczasowy obrachunek* Aleksander Więckowski (1854 – 1920) ogłosił najpierw polemikę pt. *Wątpliwa pozycja pewnego obrachunku.* („Głos" 1890, nr 15), a następnie cykl artykułów zasadniczych, precyzujących stanowisko zespołu redakcyjnego, pt. *Lud w programach demokratycznych* („Głos" 1890, nr 23, 24, 27, 29, 31, 34); było to najświetniejsze jego wystąpienie publicystyczne na łamach „Głosu", pisma, którego stworzeniu, a potem ratowaniu przed upadkiem po aferze Kiersza poświęcił cały swój talent organizacyjny; ponieważ mieszkał stale w Petersburgu, a do Warszawy dojeżdżał tylko od czasu do czasu, więc w tygodniku żyjącym aktualnością rzadko zabierał głos; po latach główny przeciwnik, Ludwik Krzywicki, uzna walory polemiki Więckowskiego, pisząc we Wspomnie*niach* (t. III, Warszawa 1959, s. 90):

Jego przyczynek lśnił się barwnymi, silnymi miejscami. Cytaty pełne dowcipu, które przecież w ciągu lat zbierał w swoich notatkach, jak inni materiał faktyczny, zostały puszczone w ruch, ażeby mnie powalić. Wystrzelał ich niemało i zubożył posiadany zasób, którego już nigdy nie uzupełnił. Wobec szarych moich „porachunków" jego przyczynek wyodrębniał się świetnością pióra, obfitością dowcipu – słowem, Więckowski zdobył się na wysiłek wyjątkowy w sposób legalny po raz pierwszy i ostatni w życiu. Wszystkie mosty zostały pomiędzy nami spalone, tj. pomiędzy głosowiczami a mną.

kierowników prawie że pozyskał moją sympatią. Krzywicki pociągnął ku „Prawdzie" cały orszak „ścisłych" ewolucjonistów i kosmopolitów, którzy secesją od „Głosu" dają dowód, że „mają zamiar przysiedzenia fałdów nad nauką społeczną".

Do takich należy Paweł Z. i Jaś S., z którym wczoraj prowadziłem niepotrzebnie dysputę, idąc aż na Karczówkę i z powrotem. Ci młodzi ludzie chorują na mądrość i zaprzaństwo ducha. Wiadoma rzecz, że Krzywicki, wielki badacz stosunków społecznych, utrzymywał pewnego razu, że pierwszą jego rzeczą, od jakiej zacząłby działanie na gruncie miejscowym, byłoby wysadzenie w powietrze Częstochowy. Gdy nazwałem projekt taki co najmniej nierozważnym, lud bowiem zamordowałby wysadzacza i zamordowałby każdego, kto by po nim działanie od tego samego chciał zaczynać kroku – zapytano mię, czy jestem konserwatystą?

Taką jest logika ludzi ślepo wierzących w powagi, choć klną na czym świat stoi tym właśnie zaśniedziałym umysłom, tym konserwatystom, który wierząc w słowo dajmy na to Mickiewicza, nie zmieniają zasad podstawowych przez życie całe.

Jaś, zgadzam się, nie umie rozumować na podstawach logiki, ale uderza mię fakt rażący: rozumowanie o konieczności metamorfozy przekonań uderza mię bez przerwy, zdanie to powtarzało mi co najmniej stu młodych i starych społeczników. Jest to już znamię czasu. Dach nad ojczyzną zgnił i leje się na głowy jej mieszkańców młoda, szalona burza, która dom ten rozwali bezmyślnie. Zdaje mi się, że zostaję sam jeden z przezwiskiem „szowinisty".

Gniewa ich to nawet, że Popławski w „Głosie" mówił o patriotyzmie chłopskim, ogólnochłopskim niejako, chrzcząc tym mianem przywiązanie do zagona indywidualne, które w sumie daje patriotyzm niemal. Gniewa ich to, że Więckowski chce wiedzieć, nie tylko c o zostaje na gruncie po burzy przewrotu ekonomicznego, ale i k t o zostaje. Gniewa ich ludowość w ogóle, „ten lud, lud, lud" – chcą wytworzyć ruch robotniczy, mówią mi o świętowaniu w Warszawie 8 tysięcy robotników[264]. (Wszystkich ich jest 200 tysięcy.) Chcą przyczepić lud do kwestii robotniczej: 7 milionów, choćby 2 miliony bezrolnych, do 200 tysięcy... Wesołe błazeństwo.

Ci młodzi ludzie nie tylko kwestionują, ale po prostu rzucają błotem na Mickiewicza. Ludzi ceniących słowo wypowiedziane przez niego nazywają braminami, wpatrzonymi w przeciągu wieku we własny pępek. Jest ich legion. Ciekawa rzecz, czy też oni się zmienią? Dziś są to głupcy, karły, kretyny moralne, wyschłe serca, ale idzie ich ławica w przyszłość; jeśli się nie zmienią...

---

264 m ó w i ą o ś w i ę t o w a n i u w W a r s z a w i e 8 t y s i ę c y r o b o t n i k ó w – w roku 1890 po raz pierwszy obchodzono w Warszawie dzień l maja jako międzynarodowe święto klasy robotniczej; organizatorami święta byli działacze Związku Robotników Polskich (J. Tański, A. Warski, L. Krzywicki) oraz II Proletariatu (S. Padlewski, M. Kasprzak, Z. Pietkiewicz); po latach Ludwik Krzywicki tak o tym pisał we *Wspomnieniach* (t. III, Warszawa 1959, s. 85, 91):

Wszystkie ugrupowania porozumiewały się nawzajem ze sobą. Aż w dniu l Maja wystąpiły dość licznie. Wprawdzie robotnicy nie utworzyli pochodu – na to trzeba było innego doświadczenia, ale pełno ich było na chodnikach na Nowym Świecie, Krakowskim Przedmieściu, na Marszałkowskiej, w Ogrodzie Saskim, tak że rzucało się w oczy, ile że ten i ów wystąpił w czerwonym lub czerwonawym krawacie, kobiety zaś w takiejże barwy bluzkach lub kapeluszach. [...]

Obchód był bardzo słaby w porównaniu z pierwszymi majami lat późniejszych, ale bynajmniej nie słaby, jak na pierwszą próbę tego rodzaju na bruku warszawskim. A jako uwieńczenie uroczystości dwa artykuły:

w „Prawdzie" wstępny Świętochowskiego – *Święto majowe*, którego treścią była ironiczna odpowiedź przeciwnikom uroczystości, że robotnicy „mieli gwałcić, a nie gwałcili"; w „Głosie" zaś tryumfująca radość z powodu „rozwianej chmury" – lecz wystąpienie słabe przeciwko socjalizmowi naukowemu i zwalczanie go powoływaniem się na całkowicie zapomnianego już wtedy w Rosji ludowca Juzowa i wbijaniem socjalistów w ambicję, ażeby nie byli bezwzględnymi wstecznikami.

Dawniej warto było umrzeć dla „cichych nocnych rozmów rodaków”[265] – dziś nie warto umierać. Wiadoma rzecz, że po nas będzie tylko podłość.

Wczoraj pisałem i posłałem do „Głosu” recenzją o *Hrabi Auguście* Mańkowskiego[266]. Wysłałem ją na imię Hłaski[267], który mię tak do współpracownictwa zapraszał. Ciekawa rzecz...

Z Podlasia – ani wieści, ani słychu. Wszystko się skończyło. Rok temu było mi tego dnia równie źle jak dziś.

Jedyną jeszcze rozkoszą jest wysnuwanie z siebie świata stworzonych utworów, pisanie, życie artysty. Poza tą krainą świat myśli – to ciężkie roboty. Gdzie tu miejsce dla mnie, starego szowinisty?

Wszystko na ziemi
Skryte żałobą...[268]

3 IX (środa).

Stało się, com przewidywał, wyrzekając się w zeszły czwartek spotkania z N. – zerwało się wszystko. Wczoraj były moje imieniny, czyli pretekst dla niej do napisania – nie odebrałem nic. Raz mi się udało, pisząc list do panny Stanisławy, rozmawiać z nią, z

---

265 u m r z e ć d l a „c i c h y c h n o c n y c h r o z m ó w r o d a k ó w” – cytat z wiersza Mickiewicza *Do matki Polki* (w. 44), przytoczony z pamięci, niedokładnie; powinno być: „długie nocne rodaków rozmowy”.

266 p o s ł a ł e m d o „G ł o s u” r e c e n z j ą o *H r a b i A u g u ś c i e* M a ń k o w s k i e g o – która ukazała się w nr 37 „Głosu” z dnia 13 IX 1890 r. w rubryce „Sprawozdania naukowe i literackie”; przedruk w tomie *Elegie,* Warszawa 1928, s. 196 – 201. Na początku swej recenzji Żeromski pisał:

Wydawcy opatrzyli książkę niniejszą oryginalnym na pozór zastrzeżeniem, oświadczającym z woli autora, iż powieść jego komunikowaną była redakcji „Gazety Polskiej” już w kwietniu roku zeszłego. Autor, zastrzeżenie takie redakcji nadsyłając, przewidywał widocznie, że powieść ta, druk której dopiero w marcu rb., czyli po ukazaniu się w „Słowie” pierwszego tomu *Bez dogmatu,* rozpoczęty został, zaliczoną by była przez Taine'ów a Brandesów warszawskich do rzędu naśladownictw reklamowanego po rogach ulic utworu H. Sienkiewicza, ze względu na przypadkowo identyczną w obu utworach formę pamiętnikową, wybór tematu i tożsamość niemal treści. Zestawienie to wstępującemu zaledwie na niwę powieściopisarstwa autorowi szkodzi i tak bardzo w oczach przeciętnej masy czytelników.

267 n a i m i ę H ł a s k i – Józef Hłasko (1856 – 1934), polityk i publicysta, właściciel majątku Przesiemieńce na Białorusi; podczas studiów medycznych w Petersburgu (od 1876 r.) brał udział w działalności studenckich kółek socjalistycznych; aresztowany wskutek zdrady Rodziewicza – Puszczyka w r. 1881, został w roku następnym zesłany na pięć lat do Jenisiejska; po powrocie w r. 1887 do Warszawy wszedł w skład redakcji „Głosu”, gdzie pełnił funkcje kierownika administracyjnego pisma, wspomagając je również finansowo; był członkiem Ligi Polskiej i Ligi Narodowej; jego konsekwentnej polityce przypisuje Ludwik Krzywicki zwrot „Głosu” w kierunku narodowym (*Wspomnienia,* t. III, Warszawa 1959, s. 83 – 84):

Hłasko ciągnął za sobą Popławskiego, podsuwając mu swoje zapatrywania na zebraniach redakcyjnych, ujarzmiał, acz jednocześnie budził w Potockim ducha przekory i narzekania na Hłaskę i Popławskiego w rozmowie z osobami postronnymi. A zwłaszcza przywabiał do pisma młode siły, które prócz haseł demokratycznych zaczęły znajdować tam oddźwięki innego rodzaju, właśnie dla nich bardzo miłe, choć sprzeczne z tamtymi dotychczasowymi założeniami. „Głos” przekształcał się w kuźnicę, w której wykuwano przyszłą taktykę i hasła Narodowej Demokracji. Przynajmniej w jedną z kuźnic.

268 „W s z y s t k o n a z i e m i s k r y t e ż a ł o b ą...” – cytat nie ustalonego autorstwa.

Natalką – obecnie i Stanisława zrozumiała widocznie, co się święci, bo nie odpisała ani słowa. Skończone...

Co zostało z całej otchłani? Nic. Słowa puste, zabawa...

4 IX (czwartek).

Pisać w tych czasach ten rodzaj noweli, jaki się tak niesłychanie rozpowszechnił, należy do rzędu czynów odważnych. Na mnie wywiera jeszcze cudzy sposób pisania wpływ niejaki, ponieważ nie jestem zarozumiały jak Zygmunt, który dzieli pisanie na „wypukłe" i „płaskie" i siebie w każdym swoim wierszu do wypukłych zalicza – a oprócz tego jestem nadzwyczajnie wrażliwy. Wczoraj np. przeczytałem takie nieopisanie wyborne powiedzenie Maupassanta, charakteryzujące wysilenie energii uczuciowej młodego człowieka, pragnącego zdobyć serce kobiety:

Doznawał tego wrażenia, jak więzień bijący pięściami w żelazne drzwi swej celi.[269]

Jest to przepyszne, niewysłowienie trafne. To jedno powiedzenie może stanowić o wartości utworu.

Dziś można pisać i wywierać wrażenie tylko powieścią tendencyjną, ale w duchu nowym. Nienawidzę sam tendencji, brzydzę się nią jak tandetą, ale nie ma ratunku. Obiektywizm tak zbabrano, sprofanowano, zegnano do rzędu bezmyślności, że dziś niepodobna uprawiać tego rodzaju sztuki. W *Upuście* nawet nie będę obiektywnym. Piszę obecnie i drę *Salon,* utworek charakterystyczny, spostrzeżenie po prostu życiowe. Pisać jednak dla cenzury tak nie umiem jeszcze, że niepodobna mi ustrzec się wyrażeń rażących. Trzeba by mieć ze sobą, pisząc, tablicę z szematem *verborum prohibitorum*[270]. Jest to koło młyńskie, leżące na głowie człowieka, który musi myśleć.

Gimnazjum w K. robi na mnie, ilekroć obok niego przechodzę, wrażenie szpitala, w którym robiono mi operacją. Ileż tam podłości dokonywuje się na dzieciach! Pan inspektor[271] trzyma się za ręce z p. Lwowskim, nauczycielem klasy wstępnej; ten ostatni przed egzaminami udziela lekcji po 25 r s. za tydzień (godzina dziennie) i przygotowuje w przeciągu tego czasu malców tak znakomicie, że wszyscy obdzielani jego nauką

269 „D o z n a w a ł t e g o w r a ż e n i a..." –niedokładne przytoczenie słów Andrzeja Mariolle'a, bohatera powieści Guy de Maupassanta *Nasze serce (Notre coeur,* 1890), którą – jako najświeższą nowość paryską – drukował w odcinkach „Przegląd Tygodniowy" 1890, nr 25 – 52; zacytowane zdanie pochodzi z „Przeglądu Tygodniowego" nr 35 z dnia 30 VIII 1890 r., gdzie w anonimowym przekładzie brzmi następująco:

...czuł, że daremnie by kołatał do jej serca, tak jak więzień daremnie uderza pięścią w drzwi z żelaza wykute.

270 *v e r b o r u m. p r o h i b i t o r u m* – (łac.) słów zakazanych, zabronionych (przez cenzurę).

271 p a n i n s p e k t o r – obowiązki inspektora w gimnazjum kieleckim od 13 VIII 1886 r. do 27 VIII 1897 r. pełnił Jewgienij Stefanowicz, wychowanek Kijowskiej Akademii Duchownej, nauczyciel języka rosyjskiego i historii Rosji; wraz z dyrektorem Markiełem Ławrowskim prowadzili ostry kurs rusyfikatorski w gimnazjum.

zdają wyśmienicie[272]. P. inspektor bierze nawet otwarcie po 30 rubli za możność umieszczenia chłopca w gimnazjum. Ludzie biedni nie mają nawet o czym marzyć, dzieci ich z najbezwstydniejszym bezprawiem są odpędzane od egzaminu ze stopniem l.

Gdy p. Lwowskij (Piotr Sigizmundowicz) egzaminował Adasia, przyglądałem się temu procesowi przez okno. Jak już pisałem, Piotr Sigizmundowicz rok temu przeszedł na prawosławie – siedzi we fraku z koszulą wykrochmaloną i kamizelką wyciętą do pępka. Nosi okulary niebieskie, nisko zsunięte, spoza których widać oczy piwne, przebiegłe, plugawe, oczy zdrajcy. Brała mię pokusa tak sobie, dla satysfakcji, dla zagłuszenia złości wyrżnąć go kułakiem w ten wykrochmalony gors.

Zrobiłem sobie przyjemność mówienia z tym świniarzem, choć nie miałem do niego żadnego interesu. Mówiłem po polsku, on po rusku. Mówi po rusku źle, a stara się używać zwrotów niebywałych. Rozprawiał mi o wychowaniu, o potrzebie czytania po rusku z dzieckiem w domu, o konieczności konwersacji ruskiej[273]. Przy końcu rozmowy wyciągnął do mnie rękę. Ja moją ostentacyjnie schowałem w tył. Wytrzeszczył na mnie oczy, drgnął, ale, jak każdy podły człowiek, nie upomniał się nawet o tę zniewagę. Odszedł, trzęsąc łbem. Ogląda się za mną na ulicy i poprawia okulary. Gdyby nie to, że chodzi mi o macochę, której mogłaby awantura zaszkodzić[274], dałbym mu w papę. Wiem, że nie szukałby satysfakcji nawet za pośrednictwem żandarmów, bo mi się boi.

5 IX (piątek).

Założenie w Kielcach gazety – powtarza się i, co ogromnie mię dziwi, znajduje coś w rodzaju poparcia. Bernard K.[275], który skończył chemią mydlarską w Karlsruhe, a jest moim gimnazjalnym kolegą, dziś stał się władcą ogromnego „interesu": ojciec jego schodzi z pola, a jest posiadaczem jedynej na gubernią fabryki mydła w wielkim stylu. Bernasiowi grozi zdobycie w krótkim czasie milionów, jest bowiem nadzwyczaj sprytny, przedsiębiorczy, wytrwały, wytrwały niesłychanie. Inicjatywa – jest jego hasłem. Wczoraj, miękko co prawda, napomknął, że nie byłby od tego, aby gazetę taką założyć. Dla niego rzucenie 3 000 rubli na ten „interes" nie jest rzeczą znaczącą. Ja sam nie dałbym sobie rady – Zygmunt tedy musiałby być wezwany do pomocy. Zygmunt atoli chciałby, i ja nie jestem od tego, aby wydawać pismo w jakimś duchu, prosty bowiem

272 w s z y s c y o b d z i e l a n i j e g o n a u k ą z d a j ą w y ś m i e n i c i e – ten proceder ukrytych łapówek podczas przyjmowania uczniów do gimnazjum posłużył następnie autorowi jako motyw powieściowy w *Syzyfowych pracach* (praktyki nauczyciela Majewskiego w rozdz. III i IV).

273 o k o n i e c z n o ś c i k o n w e r s a c j i r u s k i e j – takie same rady daje inspektor Sieldiew rodzicom uczniów w IV rozdziale *Syzyfowych prac.*

274 c h o d z i m i o m a c o c h ę, k t ó r e j m o g ł a b y a w a n t u r a z a s z k o d z i ć – Antonina z Zeitheimów Żeromska utrzymywała się z prowadzenia stancji dla uczniów gimnazjum kieleckiego; władze szkolne za drobne uchybienia wobec regulaminu, stwierdzone na wizytacji, odbierały prawo do prowadzenia stancji Polakom i przekazywały je osobom pochodzenia rosyjskiego lub dobrowolnie przechodzącym na prawosławie; por. rozdz. XVIII *Syzyfowych prac*, gdzie mowa o likwidacji stancji „starej Przepiórzycy".

275 B e r n a r d K. – Krzyżkiewicz, kolega szkolny Żeromskiego, pochodził z rodziny przemysłowców; po ukończeniu gimnazjum studiował w Karlsruhe i został inżynierem – chemikiem oraz właścicielem fabryki mydła; w jego domu przy ul. Dużej w Kielcach odbywały się zebrania kółka „demokratów", w których uczestniczyli Machajski, Strożecki i Żeromski.

szwindel brukowy dla utrzymania się nie leży w naszym guście. Na to nie warto tracić czasu. W założeniu samym leży kapitalna sprzeczność: Bernard – bogaty przemysłowiec, my obadwaj nie popieralibyśmy interesu wielkiego kapitału... Klapa, a przynajmniej ciągłe z władcą starcia.

„Ciołek" jednakże głupi nie jest. Jest to swojego rodzaju „łeb", spryt ma dziedziczny – z nim można by wejść w mądry układ i znaleźć punkt styczny na gruncie... antysemityzmu naukowego. Swoją drogą, ja zwolennikiem zaciekłym rozbijania kapitału nie jestem wcale, na gruncie szczególniej kieleckim. Tu kapitalizacja – to rozwój, postęp, obudzenie się z letargu, a na kapitał żydowski śmiało, bezkarnie i z czystym sumieniem szczekać można, znajdując brawo we wszystkich kołach, stronnictwach, za wszystkimi parawanami opinii.

8 IX (poniedziałek).

Deszcz nieprzerwany tnie w okna, zimno. Kaszel mię męczy, głowa płonie z gorączki. Smutno... Jakże mi duszno w tych murach, brak powietrza.

Ani jednego słowa, ani wieści z Podlasia. Zapomniany zostałem bardzo szybko.

9 IX (wtorek).

Długim, przykrym i nudnym niewymownie snem wydaje mi się życie obecne. Przeklęte Kielce! [...] Ile podłości na każdym kroku. Drżę cały, gdy myślę, jakie przykrości, jakie krzywdy znosi od inspektora moja macocha. Zrujnował ją umyślnie.

Jestem chory i wyjechać nie mogę. Parę dni temu poszedłem na Karczówkę i zaziębiłem się – kaszel, ból boku; wczoraj Bernard namówił mię na spacer do Słowika. Pojechaliśmy jego końmi. Użyłem: deszcz mię zmoczył. Katar niesłychany nosa i uszu, gorączka.

14 września (niedziela).

W N a ł ę c z o w i e.

W środę o $^1/_2$ do 2 wyjechałem z Kielc wezwany listem pana G.[276], a wieczorem byłem już tutaj. Jestem chory, obawiam się bardzo, czy nie mam początku suchot. Ogrom-

276 p a n G. – Michał Górski (1845 – 1907), bogaty inżynier kolejowy, właściciel folwarku i kilku willi w Nałęczowie; po odkupieniu w r. 1879 od generałowej Konstancji Czemirziny dóbr Nałęczów wraz z pałacem i parkiem (dawniej Małachowskich) umożliwił powstałej w r. 1878 spółce akcyjnej wskrzeszenie Zakładu Leczniczego; organizatorami spółki byli trzej lekarze – sybiracy: dr Fortunat Nowicki, dr Wacław Lasocki i dr Konrad Chmielewski (ojczym przyszłej żony Żeromskiego, Oktawii z Radzi-

ny ból w płucach, kaszel z flegmą, dreszcze, gorączka, ból głowy, osłabienie wielkie. Mam na drugim piętrze domu śliczny pokój z balkonem, wychodzącym na park otaczający pałac. Co drzew! Kołyszą się, kołyszą od zimnego wiatru, który i mnie na wskroś przejmuje, i jeżeli zamknąć oczy, to w szumie, jaki do mojego okna podlatuje, daje się słyszeć głos, który do mnie mówi:

– Nazywam się Natalia...

Mam dużą pracę: cztery godziny dziennie wykładam trzem podrastającym pannom łacinę, algebrę, geometrią, arytmetykę, fizykę, mineralogią, zoologią, botanikę, historią, języki, jakie tylko istnieją na świecie, i rozmaite takie nauki, istnienie których nie zwracało dotychczas na siebie mojej uwagi – rysunków uczę np.

Dziś szukałem z uporem dra Chł.[277], chcąc dowiedzieć się, czy mam te suchoty, czy nie. Nie mogłem spotkać tego doktora nigdzie. Pani Ułaszyn tu jest, Prus, Karłowicz[278] i ... ja. Po przyjeździe do Nałęczowa straciłem dla siebie szacunek dawny i wyrobiłem sobie nowy.

Co ja właściwie jestem wart?

Pisałem recenzją o *Hr. Auguście* – a ja sam jestem hr. Augustem. Z mojego okna roztacza się taki widok, który aż złości – tyle w nim piękna – otóż stoję nieraz w oknie i bezwiednie myślę, myślę, dokąd by stąd uciec. A wszakże drżałem z rozkoszy na myśl, że tu będę mieszkał. Ale nie – patrząc na wzgórze prześliczne, pokryte młodym lasem świerkowym, myślę o Rogaczu – i nie, to nie Rogacz...

Gdybym wyzdrowiał!

Dziwne i bardzo ciekawe, fenomenalne uczucie, taki odcień uczucia, co klinem na chwilę wbija się we mnie, obserwowałem po przyjeździe tutaj. Żal mi było p. Anieli. Nie kocham się w niej nawet namiętnie, nie lubię jej, nie znoszę wielu jej przymiotów, pamiętam całym sercem każde jej dokuczenie – i żal mi jej. Gdyby tak ona sama tego nie widziała, pojechałbym i pocałował ją w rękę. Zimno i głupio pożegnałem ją ukłonem i podaniem ręki. Pamiętam aż do tej sekundy każdym nerwem ręki dotknięcie jej palców trwożliwe, nieśmiałe, a jednak zrozpaczone. Nie spojrzałem na nią, mruknąłem „do widzenia" i poszedłem. Gdym miał odjechać, szła, ażeby się ze mną spotkać. Umknąłem z domu tak, aby mię nie spostrzegła.

Pisałem dzisiaj dużo listów: do Stasi L., do Zygmunta, p. Anieli, Wacka.

Noce bezsenne, nudne obiady, lekcje i choroba.

---

wiłłowiczów Rodkiewiczowej); w domu Górskich Żeromski był nauczycielem od września 1890 r. do stycznia 1892 r.; uczył ich trzy córki: Zofię, Stefanię i Janinę, oraz przygotowywał do egzaminów syna, Zygmunta.

277 d r C h ł. – Kazimierz Chełchowski (1858 – 1917), lekarz i działacz społeczno – oświatowy; ukończył medycynę na Uniwersytecie Warszawskim w r. 1880, po czym był asystentem, a od 1891 r. ordynatorem szpitala Dzieciątka Jezus w Warszawie; w porze letniej był ordynatorem Zakładu Leczniczego w Nałęczowie od r. 1886 do r. 1902, sprawując równocześnie funkcje członka Rady Zarządzającej lub Komisji Rewizyjnej uzdrowiska.

278 K a r ł o w i c z – chodzi o Jana Karłowicza (1836 – 1903), językoznawcę, etnografa, redaktora pisma ludoznawczego „Wisła", współredaktora „Prac Filologicznych" i *Wielkiej encyklopedii ilustrowanej;* jego główną zasługą jest wydanie dwu podstawowych dla wiedzy o języku polskim dzieł: *Słownika gwar polskich* (1900 – 1911) i *Słownika języka polskiego,* tzw. warszawskiego, opracowanego wraz z A. A. Kryńskim i Wł. Niedźwiedzkim (1900 – 1927); po latach Żeromski tak oceniał znaczenie działalności naukowej Karłowicza:

Nadzwyczajne zasługi dla gwaroznawstwa położył Jan Karłowicz. Nie tylko doprowadził do wydania *Słownika gwar polskich,* lecz umiał znaleźć i zachęcić cały szereg pracowników, którzy, dzięki jego inicjatywie i kierownictwu, poczęli gromadzić materiały i spisywać słowniki miejscowe. Za czasów Jana Karłowicza istniał formalny ruch umysłowy, widać było „prąd", dążący w kierunku ludoznawstwa i gromadzenia gwar ludowych. Wychodziły pisma specjalne, jak „Wisła", „Prace Filologiczne", skupiające szereg ludzi świadomych doniosłości tej sprawy *(Snobizm i postęp,* Warszawa 1923, s. 140).

15 IX (poniedziałek).

Gdy zmęczone gorączką, dreszczami, paroksyzmami kaszlu oczy podnoszę, widzę wprost z mojego stolika taki krajobraz, który wydaje się być sennym widziadłem. Oto góra, wzgórze, okryte lasem, w który wsuwa się drożynka, przeświecająca jeszcze w lesie przez konary i grube pnie. Tam właśnie stoi sama jedna pod lasem chłopska chata. Ta górka jest najśliczniejszą w Nałęczowie, bo park sztuczny znaleźć można wszędzie, takiego jednak splatania się wąwozów, lasu świerkowego, wierzb i łąk w poemat niemal – nie ma nigdzie.

16 IX (wtorek).

Dr Chełchowski, którego wczoraj radziłem się, zalecał mi, palec kładąc na nos, aby od wszelkich nadużyć powstrzymać się bezwarunkowo.

Co to są nadużycia?

Nadużycia jest to prawdopodobnie szereg dam, z których żadna nie ma nóg zrośniętych od kolan idąc na północ. Tymczasem – mam łóżko takie szerokie, że mógłbym spać na nim z sześcioma żonami. Z żadną jednak żoną nie śpię i spać nie będę ze względu na położony na nosie palec doktorski.

Dosyć, dosyć!...

Nurzam się w samotności jak szczupak w wodzie. Od godziny drugiej po południu do dziewiątej rano dnia następnego jestem sam w czterech ścianach. Do mojego pokoju prowadzą specjalne schody – mam tu wszystko, czego potrzeba, aby zapomnieć o rzeczach minionych; czytam dużo, kaszlę sobie jak maszyna parowa i nie zapominam. Nie zapominam dlatego może, że jestem chory, zgorączkowany, rozstrojony jak starożytna gitara. Wyzdrowieć, wyzdrowieć!

Każde moje wielkie przedsięwzięcie (ja miewam tylko wielkie przedsięwzięcia) paraliżuje choroba. Ileż razy siadałem do pisania *Upustu* i odrzucany bywałem płomieniami, jakie mi liżą czaszkę, tymi bólami nerwowymi głowy, które oczy wysadzają na wierzch, dreszczami, całym piekłem nędzy malaryjnej. Powiada doktór, rękę kładąc na portcygarnicy, że suchot nie mam. Bardzo pięknie – cóż ja mam w takim razie i czemu jestem biedną, bezsilną istotą, którą rozbija, druzgocze, męczy, wyniszcza choroba wieczna.

Zaczyna się od pierwszego października tran. Ciągle o nim myślę i kontent jestem: traniku miły, ty mię na nogi postawisz... A tranik żołądek mi do reszty popsuje i nauczy, jak się prawidłowo powinno wymiotować.

Co tam! – Oto jesień z jej czystością, z tą czystością powietrza niewysłowioną, która pobudza do pracy myśl.

Z dniem każdym pustoszeje Nałęczów – uciekają ludzie do miast. Szczęśliwej podróży! Owszem, ile wam się tylko podoba, urządzajcie i rauty, i bale, i koncerty, i odczyty, i teatry, bez których żyć niepodobna – tylko, o dobrzy, o mili, nie każcie mnie wracać do miasta!

Bezdoma[279] jestem makolągwa, nie mam, gdzie bym głowę skłonił, a w mieście mieszkać nie mogę, nie chcę nawet żyć życiem umysłowym, choćbym nawet miał do maksimum zgłupieć, życiem, które uczy, porywa, rozbudza zdolności i śpiące zamiary. Wolę prostotę, wolę nierozwiązane zagadki – ale niech mam nad sobą niebo i krajobraz, powietrze dla płuc.

17 IX (środa).

Wyszedłem wczoraj niepotrzebnie na spacer, bo dzień był śliczny, i zaziębiłem się jeszcze bardziej.

Spotkałem Prusa, asystującego jakiejś damie. Szczególnie ładnie on wygląda, gdy asystuje damie: stawia nogi z wysoka jak wielbłąd, przysiada jak wór żyta na wadze dziesiętnej. Niezwykły, tajemniczy człowiek. Wspomniawszy *Lalkę,* trudno uwierzyć, że ta szara człowieczyna napisać zdołała takie arcydzieło...

Mieszka w pałacu naprzeciwko moich okien. Co ja bym dał za to, aby się z nim poznać!

Dziś śliczny dzień – ciepło, ani jednej chmurki, a przejrzysto niesłychanie. Zielone wzgórza kąpią się w słońcu, drzewa nieruchomo żegnają lato.

Ostatni dzień letni. Nie wiosna to, a wiosenne uczucie wcieka w chore, targane kaszlem piersi moje. Nie mogę wyjść i z żalem z okna, zza szyb żegnam ostatni zapewne dzień letni. Kto wie – jestem chory – może już mam do przeżycia tylko jedne zimę... Cóż począć! Śpiewajmy piosenkę wiosenną, która „płynie w duszy”...

Leise zieht durch mein Gemüt
Liebliches Geläute:
Klinge, kleines Frühlingslied,
Kling hinaus ins Weite!

Kling hinaus, bis an das Haus,
Wo die Yeilchen spriessen!
Wenn du eine Rose schaust,
Sag, ich lass' sie grüssen.

279 b e z d o m n a – tak w autografie; dojmujące poczucie bezdomności pojawia się często na kartach *Dzienników,* później zaś charakteryzować będzie bohaterów Żeromskiego (np. Jakuba Ulewicza z noweli W *sidłach niedoli),* aż motyw ten znajdzie obszerne rozwinięcie ideowe i artystyczne w powieści *Ludzie bezdomni.*

Dziś miesiąc upłynął od chwili, jak pożegnałem dom, gdzie „fiołki rosną”... Już nie rosną, już na zawsze zwiędły. Dziś także zaszedł do P. pokłon mój, przesłany N. przez ręce S. ode mnie.

Czy mi odpiszą?

22 IX (poniedziałek).

W niedzielę otrzymałem aż dwa miłe listy: od Zygmunta W. i ... Natuchny. Zygmunt usilnie prosi o skłonienie Ciołka – Krz.[281] do wkładania storublówek w wydawnictwo książek dla ludu miejskiego, które „grupa” chce podnieść do tego przynajmniej stopnia, na jakim stoją ludowe (wiejskie) wydawnictwa. Sam on pisze w „Głosie”, dobrze mu się wiedzie...

Artykuł mój, jak mi pisze Zygmunt, już wydrukowany, choć dotąd go nie odebrałem („Głos” mi przyseła redakcja za darmochę); zapraszają mię nadal do pisania – figle, migle... Z „Głosem” zespolę się teraz mocniej, ponieważ porządnieje. W numerze ostatnim (38), w artykule Ziemińskiego taki jest uryweczek:

Takiego stanu, w którym znikłoby uczucie miłości do ziemi rodzinnej, przywiązanie do mowy ojczystej, poczucie szczególnej solidarności z tymi, śród których się wzrosło i dojrzało; takiego stanu, w którym by ludy świata całego, pomieszane ze sobą w jednę chaotyczną masę, nie znały innych celów nad te, które łączą jednostki w celu wyprodukowania pewnej wartości ekonomicznej – wątpię bardzo, czy przy całym wysiłku fantazji osiadły mieszkaniec Europy byłby w stanie sobie wyobrazić.

---

280 c y t a t z H e i n e g o – jest to szósty liryk Henryka Heinego z cyklu *Nowa wiosna (Neuer Frühling,* 1831), przytoczony w całości; w bardzo niedokładnym przekładzie Czesława Jankowskiego brzmi następująco (H. Heine: *Dzieła wybrane;* t. I: *Utwory poetyckie,* Warszawa 1956, s. 245):

Cicho grają w duszy mej
Dźwięki, nuty, tony...
Leć, wiosenna piosnko, w świat,
Leć w dalekie strony.

Leć, gdzie domek stoi jej,
Wkoło krąż tajemnie;
Kiedy różę zoczysz tam,
Pozdrów ją ode mnie.

W szczególności tłumacz dla rymu poświęcił sens drugiego wersu drugiej strofki, który w oryginale znaczy; „Gdzie fiołki rosną”. Do tych słów, nieobecnych w przekładzie Jankowskiego, nawiązuje autor *Dziennika* w dalszym tekście.

281 C i o ł k a – K r z. – Bernarda Krzyżkiewicza.

Sam Zygmunt, w swoim „niewypukle" co prawda pisanym artykule[283], wypowiada się z miłością dla ludu, która jest miarą po prostu wartości człowieka. „Niewypukłość" pisania Zygmuntowego maluje się w takim np. powiedzeniu:

... od szlachcica, przeciskającego się przez tłumy w czterokonnym powozie, do baby wiejskiej, którą do miasta przyciągnęło na sznurku prosię...

Czytelnik, nie obeznany ze sprawami gminnymi (socjaliści), może wpaść w rozpacz na samo przypuszczenie, że w Proszowskiem prosięta prowadzają na sznurku baby na jarmark.

Nie myślmy jednak na chwilę o sprawach społecznych. Oto list Naci:

Gdyby tak było: „co z serca – to z myśli", nie dręczyłaby tęsknota i żal za minioną przeszłością... Czy naprawdę P. chory i czy pobyt Jego w Nałęczowie jest tylko chwilowy? Ostatniego listu Pana nie oddałam pannie L. – obawiałam się, że mi go nie da przeczytać, a tak tego pragnęłam. Czy bardzo się Pan za to gniewać będzie?

Niech mi Pan odpisze pod adresem: Iksmor. *poste restante* w Łosic.[284]

18 IX 90

Odpisałem już wczoraj ogromny list, pisałem i do Ciołka Kr. Tylko że jeszcze chory jestem...

26 września (piątek).

Na górach otaczających Nałęczów żółkną i czerwienieją drzewa. Każde ma swoją barwę: od ciemnobrunatnej do jasnożółtej. Zdaje się, że las płonie. Na tle tym, jak wieczne uczucie, a jedno jest, które nie umiera nigdy – miłość ziemi rodzinnej, zieloną, żywą, mocną krasą czarują sosny. Przykuwa wzrok ten las dziwny. Biedne buki, graby, olsze i brzozy... Zdaje się, że dźwięczy w sercu przeczucie bolesne, nadzieja dużego, nieuleczonego smutku, który nie przyszedł jeszcze, ale nadchodzi – gdy się na las ten

282 *C z y m j e s t I z r a e l?* – Witold Ziemiński publikował w ośmiu rozdziałach szkic historyczno – społeczny pt. *Czym jest Izrael?* („Głos" 1890, nr 33 – 42); Żeromski przytoczył krótki wyjątek z szóstego odcinka w nr 38 z drobnymi zmianami; najważniejsza z nich: zamiast „nie znały innych celów" w oryginale jest „nie znałyby innych węzłów".

283 Z y g m u n t w s w o i m... a r t y k u l e – była to właściwie korespondencja z Proszowskiego, zatytułowana *Listy ze wsi* i podpisana: W. Głuchowski („Głos", nr 38 z 20 IX 1890 r.); stąd pochodzi zdanie, przytoczone przez Żeromskiego bez zmian. Warto zaznaczyć, że pseudonimu Wasilewskiego: W. Głuchowski nie wykazuje ani bibliografia zawartości „Głosu" 1886 – 1899, opracowana przez zespół pod kierownictwem Marii Stokowej (Wrocław 1955), ani trzytomowy *Słownik pseudonimów i kryptonimów pisarzy polskich* Adama Bara (Kraków 1936 – 1938); niniejszy zapis Żeromskiego w *Dzienniku* ma zatem znaczenie źródłowe.

284 I k s m o r.... w Ł o s i c. – Iksmoreż jest to anagram nazwiska Żeromski (tak podpisał artykuł *Spod Stopnicy* w „Głosie", nr 35 z 31 VIII 1889 r.); Łosice – to najbliższe miasteczko, położone w odległości ok. 7 km od Łysowa, gdzie była poczta.

patrzy. Jakby cię ktoś drogi żegnał z daleka, jakby płacząc donosił, że cię już nigdy nie zobaczy.

Kilka dni temu chodziłem na górę sosnową tamtędy właśnie, którędy idzie ta biała drożynka, jaka mię wabiła od dawna. Na szczyt wyszedłszy, miałem pod nogami szczelinę, którą zsunąłem się [w] wąwóz. Co za wąwóz! Zdaje się, że się umyślnie skrył między góry, że się tai pod sosnami. Wytaczają się z jego łożyska parowy poprzeczne, ciemne, mroczne. Zakuwa to w podziw. Siadłbyś tam na trawie pod drzewami i wpatrywał się w masę drzew... Nic nie ma lepszego, nic bardziej godnego miłości nad ziemię, nad las.

Jutro wysełam szkic przezwany „humoreską" pt. *Salon do redakcji*[285]. Pisałem go w ciągu kilku ostatnich dni bez przerwy. I dosyć niemądry wyszedł *Salon...* Posełam, bo napisane, ale mam chęć podrzeć to dzieło.

28 IX (niedziela).

Jeżeli jakaś bieda nowa nie obali mych przedsięwzięć, urządzę sobie czynne i porządne życie. Studiuję języki po godzin kilka dziennie, pracuję nad szkicami, robię, jednym słowem.

Porządek, systematyczność wabią mnie. Wstaję rano. Tylko zdrów nie jestem: ciągle kole w boku, boli głowa, nerwy mną rzucają. Choroba nerwowa rozwija się z jodu.

Pisała do mnie Helena. A co? Moja eks – Beatrycze rada by porwać mię na wędzidło. Znać w liście jej gorycz i żal. Zmieniam się, otrząsam z miłostek, chcę zapracować sobie na troszeczkę pamięci u ludzi, a tego zrobić nie można, kochając się ciągle.

Tylko że ja nie mogę bez miłostek wyżyć. Zaczyna mi się podobać... Stasia. „Wziąłem" i napisałem do niej dziś list z oświadczeniem się o jej rękę niemal. Wiem, że mię odpali jako konkurenta, ale to mi otworzy na oścież drzwi do niej. Ona się troszkę kochała we mnie, będzie więc tym łatwiej. Wysłałem list rekomendowany.

Kaprysy – nic więcej...

Deszczyk jesienny tnie w szyby. Liście z drzew lecą, drzewa jakby się zanosiły od płaczu, łka cały park. Stoję czasami przytulony do szyby, patrząc na ową daleką, wzgórzystą przestrzeń i dźwięczą we mnie pomysły prac, rozwijają się czasami z jednego obrazu całe utwory... Jedyne chwile godne pamięci. Czuje się w sobie duszę i serce i widzi świat nowy, własny, przez nikogo nie dojrzany...

Salon już wysłany. Czekam, jaki go tam los spotka... Zginie pewno, bo niewiele wart.

285 w y s e ł a m s z k i c... p t. *S a l o n* d o r e d a k c j i – zapewne do redakcji „Głosu", z którą zamierzał „zespolić się teraz mocniej"; humoreska ta nie była drukowana w „Głosie".

29 IX (poniedziałek).

Wróciłem z hotelu, gdziem pisma świeże czytał. Jestem odurzony, jakbym się upił. Sztuka daje niezmierne szczęście, upaja, roznamiętnia... Błąkałem się po parku, wydychając z siebie upojenie. Spotykam się z Prusem, który jest chory i błąka się również z panią R.[286] Uciekam od nich do źródła po prawej stronie drogi prowadzącej z pałacu. Prześliczne źródło! Namawiam z całego serca pana G., aby tam na obmurowaniu stoku ustawić biust Mickiewicza. Tam będę z nim o niedoli mojej i moich biednych braci gadał. Prześliczne źródło! Idę potem w szpalery i piję czyste powietrze...

O, sztuko, ty wynosisz zmęczoną duszę ludzką w krainę zapomnienia niedoli, ty jesteś żywicą mojego serca, która się wytacza w promieniach słońca...

Właśnie czytałem teraz książek dużo, które sztukę poniżają niejako. Mówię o Szczedrynie. Człowiek ten sprowadził ilość i jakość wyobrażeń – do formuł algebraicznych niemal, zburzył obraz i na miejscu jego postawił sylogizm. Czytałem jego История одного города і Письма к тетеньке[287]. To nie humor, to jad rozmącony w wodzie sodowej. Po łyżeczce, po łyżeczce!... Co za męka pisać za pomocą algebry!

Studium o Prusie w „Prawdzie"[288] rysuje naszego humorystę i ukazuje w śmiechu jego ludzkie, szczere, nadczułe serce. To różnica.

---

286 p a n i ą R. – tj.z Oktawią z Radziwiłłowiczów Rodkiewiczową (4 XII 1862 – 10 VII 1928); 21 II 1887 r.. wyszła ona za mąż za wdowca, 27 lat od niej starszego Henryka Rodkiewicza (29 VII 1835 – 22 I 1889), administratora Zakładu Leczniczego w Nałęczowie; po jego śmierci zaczęła pracować w administracji uzdrowiska, mieszkając nadal z trzymiesięczną córką Henryką w domu zdrojowym (dawnym pałacu Małachowskich); wbrew legendzie szerzonej przez St. Piołun – Noyszewskiego, jakoby Żeromski poznał swą przyszłą żonę w redakcji „Wędrowca" w r. 1889 i zawdzięczał jej protekcji możność publikacji pierwszych nowel w „Głosie" (*Stefan Żeromski. Dom, dzieciństwo i młodość.* Warszawa 1928, s. 175 – 176), w rzeczywistości poznanie Żeromskiego z Oktawią Rodkiewiczową nastąpiło dopiero w końcu 1890 r. w Nałęczowie. Wspominał o tym po latach przyrodni brat Oktawii, Konrad Chmielewski, w pierwszym odcinku wspomnień z cyklu *Mneme* („Tygodnik Ilustrowany" 1939, nr 5) świadomie korygując inne wersje:

Ja byłem wtedy w VII klasie gimnazjum i przyjechałem na święta Bożego Narodzenia z bratem do domu. Ojciec powiada: – „Słuchajcie chłopcy, tam na pocztę łazi grać w szachy jakiś nowy nauczyciel ze dworu Górskich, podobno człowiek inteligentny, literat – zajmijcie się nim i sprowadźcie go tu do nas". Z miejsca kopnąłem się do parku i zaraz na drodze spotkałem mężczyznę w ubogim palcie, zniszczonej barankowej czapce, o małej [miłej?], pociągającej twarzy. Przedstawiłem mu się szybko i wciągnąłem do naszego mieszkania. Skarżył się na fatalne warunki, w jakich musi biedak we dworze pracować. Przedstawiłem go później ojcu, który go przyjął nadzwyczaj przychylnie. W czasie naszej rozmowy nadeszła nasza siostra – w ciężkiej, wdowiej żałobie z maleńką Heniuleczką na ręku. Stefan został jej przedstawiony przez ojca.

Przez wiele miesięcy Żeromski z Oktawią Rodkiewiczową widywali się tylko przypadkowo. Jeszcze we wrześniu 1891 r. p. Oktawia swatała pisarza z Jadwigą Truszkowską w Lublinie. Dopiero w październiku 1891 r. Żeromski uznany został oficjalnie za „starającego się", ale ślub z p. Oktawią wziął dopiero za rok, 2 IX 1892 r., w starym, modrzewiowym kościółku w Policznej pod Jedlnią, gdzie proboszczem był jego kolega szkolny, ks. Antoni Grudziński. Oprócz czterech braci pani Oktawii (rodzonych: Rafała i Stanisława Radziwiłłowiczów oraz przyrodnich: Konrada i Zygmunta Chmielewskich) na ślubie obecni byli m. in. Bolesław Prus i prof. Florian Łagowski jako świadkowie.

287 u t w o r y S z c z e d r i n a – Michaił Sałtykow (1826 – 1889), pisujący pod pseudonimem N. Szczedrin – to znany rosyjski pisarz – –satyryk, rewolucyjny demokrata; w powieści *Dzieje pewnego miasta* (1869 – 1870) przedstawił groteskowy obraz miasta Głupowa i jego rządców, despotyzm caratu i hierarchii urzędniczej oraz bierność i apatię mas ludowych; podobnie z wielką przenikliwością i zgryźliwą kpiną obnażał choroby społeczne i zepsucie obyczajów w cyklu satyrycznym *Listy do cioci* (1882); obydwa te utwory Żeromski czytał w oryginale.

288 s t u d i u m. o P r u s i e w „P r a w d z i e" – było to studium Aleksandra Świętochowskiego pt. *Aleksander Głowacki (Bolesław Prus)*, drukowane w ośmiu numerach „Prawdy" (nr 32 – 39) od dnia 9 VIII do 27 IX 1890 r. Przedstawiając rozwój twór-

3 października (piątek).

Schodziłem już wszystkie niemal góry otaczające dolinę nałęczowską. Byłem na górach porytych przez ścieżki, za zakładem pod wsią Charzem, dziś byłem na górze „Poniatowskiego”[289], byłem pod folwarkiem Antopolem, słowem wszędzie, gdzie roztaczają się te cudowne, jakby malowane krajobrazy.

Jakie tu są łąki prześliczne nad rzeką, leżące między okrągłymi pagórkami gliniastymi, takie równe, otoczone na krańcach zaroślami dębiny... Byłem dziś aż w Bochotnicy pod kościołem[290], za parkiem, na górach. Zimno już. Wiatr mroźny dmie w moje okna. Czytam Szczedryna, a gdy podnoszę oczy, czaruje mię czerwieniejący las liściasty na sąsiednich górach. Nie umiem nawet opisywać tych miejsc, każących się kochać, dość mi żyć w nich, patrzeć na nie od rana do nocy.

---

czości literackiej i publicystycznej Prusa od jego luźnych kontaktów z „Przeglądem Tygodniowym” poczynając, a kończąc na analizie *Lalki,* Świętochowski napisał wiele uwag pozytywnych, ale nie brakło też w jego artykułach pochwał zaprawionych żółcią. Tak np. akcentując eklektyczny światopogląd Prusa i jego publicystyki w *Kronikach tygodniowych* pisał, że „z gąsienicy liberalnej wyfrunął piękny motyl konserwatywny”, a jego *Kroniki* porównał do fraszek, które „są po części odbiciem realistycznej natury jego talentu, ale także wynikiem ciasnoty obrębu, w którym mógł się poruszać jego humor”. Stać jednak Prusa – twierdził dalej Świętochowski – na dowcip wysokiej klasy, który zbliża autora do Dickensa i Thackeraya. Wysoko oceniając nowele, które weszły w skład czterotomowego wydania *Szkiców i obrazków* (a zwłaszcza *Anielkę),* krytycznie osądzał *Omyłkę* jako „wyzuty z wszelkiego prawdopodobieństwa i miejscami odrażający melodramat”. W znamienny dla siebie sposób chwalił autor szkicu oryginalność Prusa, podkreślając, iż jest on „pisarzem oryginalnym w dość znacznej mierze, a przeto dla literatury bardzo wartościowym umysłem, kryształem nie nadzwyczajnej wielkości, ale szczególnego i pięknego kształtu”. Najbardziej charakterystyczne dla studium Świętochowskiego było skoncentrowanie uwagi na *Placówce* i krótkich opowiadaniach Prusa, a ostentacyjne lekceważenie najnowszej powieści, *Lalki.* Stawiał jej zarzut wadliwej kompozycji, wynikłej z „odcinkowego” pisania, jednostajności akcji, błędów psychologicznych w konstrukcji głównych bohaterów – Wokulskiego i Izabeli, za najprawdziwszą artystycznie postać uważając Rzeckiego. „Mistrzostwo Prusa bowiem objawia się nie wobec natur energicznych i czynnych, które są sprawcami wypadków, ale słabych i biednych, które są ich ofiarami.” Taka postawa pisarza wynika z jego naturalnych skłonności do minimalizmu. W konkluzji, do której nawiązuje autor *Dzienników,* Świętochowski stwierdzał:

Nie jest to filozof, uczony, głęboki myśliciel, oryginalny reformator; ale jest to świetny humorysta z częstymi przebłyskami geniuszu, poeta nizin życia i drobnych żyjątek, zatopionych w morzu społecznym, mistrz obrazków drobnych i postaci maluczkich, dostojnik literatury, a nie protegowany faworyt jakiegoś pisma, nie bohater chwili, znikający i zapomniany po ostatnim oklasku przyjaciół. On w piśmiennictwie zostanie i na długo zostanie z wielkim swoim talentem i z czułym swoim sercem.

Ze szkicem Świętochowskiego ostro polemizował Bolesław Prus na łamach „Kuriera Codziennego”, nr 308 – 316 z dn. 7 XI – 15 XI 1890 r., w artykule pt. *Słówko o krytyce pozytywnej (Poemat realistyczny w 6 pieśniach).* Aleksander Świętochowski replikował w „Prawdzie”, nr 47 – 50 z dn. 22 XI – 13 XII 1890 r., artykułem pt. *Unikat literacki.*

289 g ó r a „P o n i a t o w s k i e g o” – zwana popularnie Poniatówką; tutaj witano uroczyście w r. 1787 króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, wracającego ze zjazdu w Kaniowie do stolicy.

290 w B o c h o t n i c y p o d k o ś c i o ł e m –w oddalonej ponad kilometr od Zakładu Leczniczego w Nałęczowie wsi Bochotnica znajduje się na wzgórzu murowany kościół parafialny z XVIII w., a obok cmentarz, gdzie spoczywa wielu wybitnych i zasłużonych artystów i działaczy nałęczowskich: Michał Elwiro Andriolli, Kazimierz Gliński, trzej odnowiciele Nałęczowa: dr Fortunat Nowicki, dr Wacław Lasocki i dr Konrad Chmielewski, działacze społeczni: dr Karol Benni, inż. Michał Górski; tutaj została także pochowana Oktawia Żeromska w 1928 r.

Liście z drzew dzisiejszej nocy wiatr do połowy oberwał, odkrywa mi się widok na „Ukrainę”[291], na hotel i zakład[292]. Odebrałem list od Natalki. Tak – odebrałem list... Troszkę mię to nudzi.

Piszę, piszę bez końca. Dziennik w zaniedbaniu, lecz czasu mam mało. Zwiedzam Nałęczów, pracuję, piszę, myślę, myślę – ale co myślę, jasno nie da się określić. O czymś myślę...

Na ścieżkach w górach spotykałem się z Prusem. Nie poznałem go, bo chodzi zawsze z tą panią R. Onegdaj byłem z damami w lesie o parę wiorst stąd. Grzyby zbieraliśmy i piekliśmy kartofle w popiele jałowcowym. To frajda! Jesienią na polu piec kartofle!

9 X (czwartek).

Czas mam nadzwyczajnie wypełniony pracą – pisać nawet dziennika nie ma czasu. Od dziewiątej do drugiej zazwyczaj trwają lekcje. Ile robię zadań, ile słów najrozmaitszych języków biję sobie w głowę, ilu się rzeczy nasłucham. Trudne jest położenie nauczyciela takiego jak ja. Daję sobie jednak radę.

Od jutra zacznę znowu dwugodzinną lekcję ze Stachem Poniatowskim[293], synem gospodarza z Sadurek. Przygotuję go do drugiej klasy za darmo. Zamierzałem pisać nowelkę dawno na taki temat – sprawdza się w życiu. Pięknie! Wczoraj był u mnie stary Poniatowski, prosił.

Wczoraj także przysłano mi numer 37 „Głosu” z moim artykułem[294] w dziale „Sprawozdań naukowych i literackich”. Dla kogo piszę? – Dla Wacka. Gdy czytam własny artykuł, wyobrażam sobie, jak Wacek w niedzielę po południu brnie po błocie w dziurawych butach, w palcie odziedziczonym po mnie, z ostatnią dziesiątką w kieszeni, do cukierni na Złotą ulicę, kawy czarnej (po obiedzie, którego nie jadł) dać każe i popijając one pomyje, w pisma nos wsadza. Czyta, czyta... Czyta „Prawdę” rozważnie, rozmyślając, rozgrzewa się Świętochowskim; „Tygodnik Ilustrowany” obejrzy, „Głos”, rzecz prosta ... I nagle – Stefan!

---

291 w i d o k n a „U k r a i n ę” – nazwa murowanej willi w stylu *empire,* otoczonej rozległym ogrodem, w bezpośrednim sąsiedztwie willi „Oktawia” (nazwanej imieniem matki Oktawii Rodkiewiczowej), przy ul. Góra Armatnia; obecnie mieści się w „Ukrainie” urząd pocztowy.

292 h o t e l i z a k ł a d – jakkolwiek źródła nałęczowskie (szczawa wapienno – żelazista o małej zawartości kwasu węglowego) znane były i wykorzystywane dla kuracji już ok. 1800 r., to jednak prawdziwy rozwój uzdrowiska rozpoczął się w r. 1878 od zawiązania spółki akcyjnej (31 udziałów po 5 tys. rubli), która wybudowała budynki Zakładu Leczniczego nad stawem w 1880 r. oraz przeprowadziła rurami wodę mineralną wprost ze zdrojów do łazienek kąpielowych; duży budynek dwupiętrowy, gruntownie przebudowany z dawnych resztek dworskich po Małachowskich, pełnił rolę hotelu – pensjonatu dla chorych; wyposażony był w gabinety lekarskie, sale gimnastyki leczniczej, pracownię chemiczno – mikroskopową oraz czytelnię, salę bilardową, jadalnię itd.; budynek ten łączył się z drugim, tzw. hydropatią, w której mieściły się sale i łazienki do różnorakich kąpieli: zimnych natrysków, gorących zabiegów mineralnych, okładów borowinowych, jak również elektroterapii, lamp kwarcowych itd.; wszystkie urządzenia zakładu zostały zdewastowane podczas pierwszej i drugiej wojny światowej, a następnie odremontowane i unowocześnione.

293 l e k c j e z e S t a c h e m P o n i a t o w s k i m – jak informuje autor dalej, 18 X 1890 r., ów chłopiec miał na imię Wojtek; był on obok Staszka Góry w Oleśnicy i Michałka Tarki w Nałęczowie jednym z prototypów Andrzeja Radka z *Syzyfowych prac* w zakresie edukacji początkowej; „stary Poniatowski” należał do uświadomionych chłopów i był sołtysem w Sadurkach, w r. 1894 za działalność oświatową został wywieziony w głąb Rosji.

294 p r z y s ł a n o m i n u m e r 3 7 „G ł o s u” z m o i m a r t y k u ł e m – tj. z recenzją książki Aleksandra Mańkowskiego *Hrabia August.*

Z jaką on ciekawością ogląda każde zdanie, przerzuca oczami cały słup druku, wraca znowu... Czyta takie zdanie: „...błądzi niemal po tej jedynej elipsie myślenia, poza którą chodzi się swobodnie, prawda, ale samopas...” Co on tu myślał? Patrzcie, państwo...

I przypomina o mnie, i żałuje, że mnie nie ma, że nie może wygadać swoich myśli... Jedyny przyjaciel i jedyny uważny czytelnik moich artykułów.

Od 4 bm. zacząłem żłopać tran.

Już jesień diabelska nastała. W moim pokoju zimno jak w lodowni, szczególniej w nocy. Rozgrzewają mię pomysły takie jak *Archanioł.* Boże, usuń z Warszawy cenzurę! Niepodobna pisać w tych kleszczach, trzeba smażyć mózg nad wynalezieniem wyrazów, które by nic nie mówiły i które by mówiły wszystko. Najczęściej też wynajdzie się takie wyrazy, które nic i nikomu nie mówią.

Facet sprawia mi męczarnię prawie. Czasami nad jednym zdaniem zakazanym siedzę dzień, czasami dwa. A studium rzeczywiste nie uda się, bo nie jestem sam na tym polu... W *Archaniele* dopiero mogę błysnąć jako samotny na tym polu. Toteż boję się.

O cztery wiorsty stąd mieszka panna Faustyna M.[295], siostra żony Olszewskiego, wychowanka doktora N.[296] Przerobiła dla ludu *Placówkę, Starą baśń* i *Kuźmę Jeża*[297], pisała dużo i chciała zostać nauczycielką ludową, lecz suchoty jej przeszkodziły. Tu była nauczycielką do moich elewek. Dziwna rzecz! Same nowele w ręce włażą, z życia czerpane[298]. Opowiadała mi jej życie pani G.[299] ze śmiechem...

Ecce virgo![300]

---

295 p a n n a F a u s t y n a M. – Faustyna Morzycka (1864 – 1910), córka Juliana, od 1893 r. administratora Zakładu Leczniczego w Nałęczowie, i Marii z Obuchowskich, działaczka oświatowa i autorka książek dla ludu, mieszkała wówczas we wsi Piotrowice, gdzie miał swój majątek mąż jej siostry Rozalii (Róży), Mieczysław Brzeziński, przyrodnik i popularyzator wiedzy, pisujący pod pseudonimem Wiktor Olszewski; w latach 1893 – 1895 była kasjerką w administracji uzdrowiska, później, od 1905 do 1907 r. współpracowała z Żeromskim w Towarzystwie Oświatowym „Światło” i ułatwiała nielegalne przekraczanie granicy Królestwa więźniom politycznym zbiegłym z Zamku lubelskiego; o jej działalności pisał Żeromski we wspomnieniu O *Adamie Żeromskim:*

Kozacy sotniami poczęli jeździć po „nałęczowskiej republice”. Żandarmi poczęli otaczać szopę „Na Pałubach” przed każdym niedzielnym odczytem, a policmajster zjawił się w asyście swych drabów u drzwi sali. Wreszcie pełen wóz żandarmów i zbirów zajechał do szkoły „Na Pałubach” i w biały dzień porwana została nauczycielka, panna Faustyna Morzycka – której imię niech będzie zawsze we czci! *(Dzieła* IV, l, Warszawa 1963, s. 81).

296 w y c h o w a n k a d o k t o r a N. – Faustyna Morzycka wychowywała się w domu dr Fortunata Nowickiego (19 II 1830 – 11 VI 1885), jednego z wskrzesicieli Zakładu Leczniczego w Nałęczowie; za udział w powstaniu styczniowym został on zesłany w głąb Rosji, gdzie wiele lat był kierownikiem zdrojowiska wód żelazistych w Lipecku w gub. tambowskiej; po powrocie do kraju zamierzał stworzyć analogiczny zakład, toteż w 1872 r. badał źródła żelaziste w Szepietówce na Wołyniu, a w 1876 r. dotarł do Nałęczowa, gdzie z wielką energią zajął się planem budowy zakładu; przybył tu w momencie, gdy generałowa Konstancja Czemirzina była już zdecydowana wydzierżawić pałac z parkiem na obóz dla artylerii za cenę nawozu, którym zamierzała użyźniać grunta; nie zniechęcony upadkiem majątku i ruiną pałacu, Nowicki wydzierżawił od niej park z zabudowaniami za sumę l 200 rb. rocznego czynszu płatnego z góry (akt rejentalny podpisano w Warszawie w listopadzie 1877 r.), a następnie scedował swe prawa na rzecz spółki udziałowej, powstałej 11 II 1878 r. w celu budowy Zakładu Leczniczego; po uzyskaniu w listopadzie 1879 r. zezwolenia ministerstwa na otwarcie zakładu inż. Michał Górski nabył od K. Czemirziny Nałęczów i odstąpił park i pałac spółce za umiarkowaną sumę częściowo wypłacaną udziałami.

297 p r z e r o b i ł a K u ź m ę J e ż a – była to przeróbka powieści Teodora Tomasza Jeża *Historia o pra – pra – pra...wnuku i pra – pra – pra... dziadku* (Wilno 1863), zatytułowana: *Kuźma Jeż. Opowiadanie z dawnych czasów*. Z powieści T. T. Jeża z upoważnienia autora skróciła F. Morzycka (Warszawa 1886).

298 s a m e n o w e l e w r ę c e w ł a ż ą, z ż y c i a c z e r p a n e – na losach Faustyny Morzyckiej oparta została w pewnym stopniu fabuła noweli *Siłaczka.*

299 p a n i G. – Górska, żona inż. Michała Górskiego.

300 e c c e v i r g o! – (łac.) oto dziewica!

17 X (piątek).

W ciągu ubiegłego tygodnia odebrałem dosyć listów: od panny Stanisławy, od Natalki, pani Anieli i Zygmunta W. Stasiuchna napisała jednocześnie z Natalką. Listy te odebrałem razem. Pisane były, rzecz prosta, w sekrecie... Stasia zbeształa mię, domyślać się nawet zaczęła, że pisałem listy pod dwoma adresami jednocześnie. Odpisałem, że ją kocham, a Natalce odpisałem, aby przyjechała do Warszawy w pewnym terminie. Pani Aniela doniosła mi, że nowelę moją z „Nowej Reformy”[301], którą wysłał z Krakowa profesor Wojnarowicz[302], Moskale złapali na granicy.

Zygmunt doniósł mi, że zaproszony jestem przez „odnośne sfery” do napisania *Historii literatury polskiej* dla rzemieślników. Azaż mam iść między ludzie uczone? Myślę teraz po całych dniach o podziałach literatury, zaniedbując robotę nowelistyczną. Czasami i od podziałów odrywają mię spacery. Wczoraj jeździłem konno we dwoje z panią G. – ohe!

Jechaliśmy ciągle, nie wiedzieć czemu, lasami. Droga idzie na prawo, a my – w las. Co prawda unikałem nadzwyczajnych gęstwin, aby snadź niewiasty do złego nie kusić.

Śliczna okolica! Zagajnik np. sosnowy pod Wojciechowem. Ze trzy wiorsty sosen młodych, wydzielających po prostu mleko i miód dla piersi. W parowach rosną wszędzie piękne bukowe i dębowe gaje i roztwiera się daleka perspektywa, ginąca aż we mgle jesiennej. Byliśmy na folwarku w Antopolu, przy stawach, lataliśmy w cwał, co koń skoczy. Jadąc z powrotem spotkaliśmy Prusa, naturalnie z panią R. pod rękę.

Dziś deszcz znowu. Znowu choroba mi się czepia.

18 X (sobota).

Wojtek (nie Stach) Poniatowski przychodzi do mnie z Sadurek aż, odległych od Nałęczowa o dobre trzy wiorsty. Droga jest fatalną, w Bochotnicy na przykład po kolana gliny na drodze. Aż mi żal chłopaka! W zimie da się może zorganizować „Akademią” z parobków i wyrostków. Teraz jeszcze akademicy kopią kartofle i buraki. Cicha jesień

---

301 n o w e l ę m o j ą z „N o w e j R e f o r m y” – chodzi o wymienioną wcześniej nowelę pt. *Niedobitek*, sygnowaną anagramem Stefan Omżerski; „Nowa Reforma”, jako pismo zakordonowe o kierunku liberalno – demokratycznym, nie miała debitu pocztowego w Królestwie i dlatego egzemplarze jej konfiskowano na granicy.

302 p r o f e s o r W o j n a r o w i c z – chodzi tu prawdopodobnie o Edwarda Wojnarowicza, który był wówczas organizatorem, a od l stycznia 1891 r. redaktorem odpowiedzialnym i wydawcą dwutygodnika „Polski Lud”, wychodzącego w Krakowie do 1897 r. W artykule wstępnym *Do czytelników* (1891, nr l) pisał:

Wielka uroczystość narodowa przewiezienia zwłok Adama Mickiewicza z Paryża do Katedry krakowskiej na Wawelu, uświetniona licznym i serdecznym udziałem ludu polskiego, natchnęła ludzi dobrej woli piękną myślą upamiętnienia dnia 4 lipca 1890 roku wydawnictwem pisma dla ludu. Zacny zaś ziomek nasz z New Yorku w Ameryce, Pan Erazm Jarzmanowski, podejmując tę myśl, znaczną ofiarą pieniężną ułatwił jej urzeczywistnienie. [...] Celem naszego pisma jest oświata, a przez nią polepszenie bytu naszego ludu.

przerwała się, nastały wichry, deszczyki, niebo zasłały chmurki, patrząc na które otrzymuje się wrażenie kataru.

Chory jestem znowu. Tysiące chorób mię męczą: huk w uszach, oczy bolą, szczęka próchnieje, ręka boli, w boku kłuje, noga boli – a przy tym rozdrażnienie nerwowe z jodu, którego piję siedm kropel na dzień. Noce bezsenne, przewidywania śmierci, obawa straszna przy każdym pogorszeniu. Doprawdy sztuka to w całej takiej męce zachować duszę na dobre czyny wrażliwą i trzeźwy umysł... literacki.

Czytałem Szczedryna *Gaspada Gołowlewy*[303] i *Fata morgan*ę Gamastona.[304]

Brzozy tylko jeszcze mają liście „żółciuśkie kieby osroł", jak mawia się pod Kielcami. Park pusty. Na górze „Armatniej"[305] widać wille, zakład, „Ukrainę". Smutno – chory jestem i coraz bardziej chory. Nie danem mi będzie czasu na zarobienie sobie choćby na dwuwierszowy kącik w literaturze...[306]

---

303 S z c z e d r y n a G a s p a d a G o ł o w l e w y – *Państwo Gołowlewowie* (1875 – 1880) to powieść należąca do szczytowych osiągnięć Sałtykowa – Szczedrina; ukazał w niej autor degenerację i rozkład moralny rodziny szlacheckiej, tworząc w postaci Judaszka, głównego bohatera utworu, ponury i na swój sposób tragiczny typ świętoszka – obłudnika.

304 F a t a m o r g a n a G a m a s t o n a – Gamaston to pseudonim Gustawa Kamieńskiego (1848 – 1930), inżyniera – technologa i powieściopisarza, który w latach 1886 – 1891 był dyrektorem technicznym fabryki Lilpopa i Rau w Warszawie, od 1891 do 1895 r. podróżował po Europie zachodniej i Stanach Zjednoczonych Ameryki Półn. badając stan kolejnictwa i z tego zakresu ogłosił szereg prac fachowych; jego powieść *Fata morgana* (Warszawa 1890), oparta na wspomnieniach studenckich, zyskała mu dużą popularność, nieprześcignioną przez późniejsze powieści i komedie ani przez liczne nowele i wspomnienia, ogłaszane w „Gazecie Warszawskiej", „Kurierze Codziennym", „Wędrowcu" i w „Tygodniku Ilustrowanym".

305 n a g ó r z e „A r m a t n i e j" – na tej górze Żeromski w 1905 r. nabył od dra Wacława Lasockiego plac („morgę"), sąsiadujący z sadem owocowym przy willi „Oktawia", i wzniósł na nim pracownię („chatę") w stylu podhalańskim według projektu Jana Koszczyc – Witkiewicza; dom jednoizbowy, drewniany, kryty gontem, o trzech oknach od strony wschodniej i z gankiem otwartym od strony południowej; w „chacie", położonej nad parkiem i uzdrowiskiem, zamieszkał pisarz jesienią 1905 r.; tu z dala od zgiełku i ruchu pisał *Dzieje grzechu*, *Słowo o bandosie*, *Z odczytem*, *Dumę o hetmanie*, znaczne partie *Róży*; tutaj też było centrum ruchu oświatowego i konspiracyjnego w okresie rewolucji; po latach Żeromski tak pisał o „chacie" we wspomnieniu *O Adamie Żeromskim*:

Budowa „chaty" na szczycie Góry Armatniej w pobliżu grupy dzikich drzew, domu składającego się z jednej jedynej izby, wysokiej i szerokiej jak spichlerz, o ścianach gładkich z sosnowych drewien, do której prowadzą zamczyste drzwi, a zaopatrzonej we trzy okna ogromne. Morga nabytego gruntu zasadzona została owocowymi drzewami jabłoni i gruszek oraz dzikim w dole „laskiem Adama". Wrosły tam w ziemię wysmukłe modrzewie i włochate wejmuty, szereg polskich sosen, jodły świętokrzyskie i dwie cudzoziemskie tuje, niebieski świerk, ozdoba całego „lasku", i dwa leniwie rosnące cisy. Aleja gęstych lip i grabiny otoczyła kwadrat pochyłego pola. Ileż to zabiegów i kłopotu wchłonęła w swe ściany ta „chata" za osiemset rubli, pracownia, a raczej leżalnia!

[...] Trzy wielkie okna, jakoby tryptyk nieporównany, zawarły w ramach swych krajobraz najpiękniejszy pod słońcem. Stała w nich Góra Poniatowskiego, prasłowiańskie grodzisko z fosą na szczycie, szklaną górą o stromych zboczach, które okrywa szkliwo twarde, przed nieskończonością lat wypalone dla obrony czyjegoś zamku na szczycie przed jakimś wrogiem. Ciągnęła się cynkowska dolina z błękitnym nad nią lasem, który zniżał się do niej jak strofa pieśni przepływającej w marzenie... Równina dalej lubelska, ziemia zbożem zasiana, tomaszowickie aleje, idące w dal, w świat. Bochotnicki kościół i cmentarz na wzgórzu... (*Dzieła* IV, l, Warszawa 1963, s. 71, 73).

Po wyjeździe za granicę w 1908 r. Żeromski przez szereg lat nie bywał w „chacie". Dopiero w czerwcu 1918 r. przewiózł tu z Zakopanego syna, Adasia, ciężko chorego na płuca, któremu lekarze doradzali wyjazd na niziny ze względu na osłabione serce. Po śmierci Adasia w „chacie" dnia 30 lipca 1918 r. Żeromski wybudował nie opodal na „mordze" kamienne mauzoleum dla zwłok syna według projektu Jana Koszczyc – Witkiewicza, dokąd przeniesiono trumnę z cmentarza w Bochotnicy w 1922 r.

306 d w u w i e r s z o w y k ą c i k w l i t e r a t u r z e... – tekst został przerwany w połowie stronicy; zarówno strona *verso* tej karty, jak i 15 kartek następnych pozostało nie zapisanych.